

ANETA PONOMARENKO

# OSTATNIE ŚLEDZTWO





ANETA PONOMARENKO

# OSTATNIE ŚLEDZTWO



SZARA GODZINA





*Jadwidze, Henrykowi i Mariuszowi Bugajnym, i cioci Maryli, rzecz jasna!*



# Rozdział 1

*Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie miało być ujawnione i nic nie pozostało utajone, co by nie wyszło na jaw  
(Mk 4,22; Łk 8,17)*

*Z serca bowiem pochodzą złe myśli, zabójstwa, cudzołóstwa, rozpusta, kradzieże, fałszywe świadectwa, bluźnierstwa  
(Mt 15,19)*

Stał ukryty w cieniu bramy i obserwował przez nieosłonięte okna parteru, co dzieje się w środku. Kobieta zachowywała się pozornie normalnie, jak każda inna – siedziała przy stole, przy którym zjadła lekką kolację, i piła właśnie herbatę, przeglądając jakieś kobiece czasopismo. On wiedział jednak, że ten pomiot szatana w kolejnym pokoleniu i kobiecym wcieleniu wrócił do miasta, by siać zło i zgniliznę w Kaliszu, tak spokojnym i czystym jak nigdy przedtem. Zasługiwała tylko na śmierć, podobnie jak jej stryj. Oboje wrócili do Kalisza, by znów kalać to miasto swoim diabelskim dziedzictwem. Jedynie ich śmierć przywróci równowagę! Tyle że najpierw musi zdobyć to, co znajduje się w posiadaniu tej kobiety. Coś niezmiernie dla niego ważnego. Ona nawet o tym nie wie... Ale dopóki tego nie uzyska, nie może jej zabić.

Przypominał sobie, jak wspaniale się czuł, gdy ostrze wbijało się w ciało tego godnego pogardy człowieka, którego ukarał. Nie musiał go zabijać, ale... Cóż, chciał to zrobić. Zdarzyło się to kilka miesięcy temu, ale uczucie wszechogarniającego triumfu i satysfakcji było wciąż jeszcze świeże i intensywne. Nawet przez chwilę nie obawiał się, że policja coś zwęszy. Co prawda, lekarz badający ciało, ten Małyszko, coś chyba podejrzewał, ale nie był niczego pewien. Nie miał ani dowodów, ani siły przebicia, by przekonać policmajstra do swoich hipotez. Zupełnie brakowało mu pewności siebie Zaifa. Ach, gdyby na jego miejscu był właśnie on, sławetny Jakub Zaif, a do tego Walery Jezierski, sprawy mogły się potoczyć zupełnie inaczej!

Ale cóż, Jezierski, choć nadal był agentem do specjalnych poruczeń, rzadko przebywał w mieście, w którym od dawna nic się nie działo. Większość czasu spędzał w swoim majątku pod Kaliszem, koło Żelazkowa. Zaif od wielu lat mieszkał w Stanach Zjednoczonych i do kraju przyjeżdżał raz na dwa lata. Wtedy co najmniej dwa miesiące spędzał w Kaliszu, a właściwie w jego pobliżu, u Jezierskich.

Wielka szkoda. Chciałby mieć przeciw sobie tych dwóch niezwykłych ludzi. Gdy staje się do walki z godnymi siebie przeciwnikami, to satysfakcja jest większa, a i zabawa lepsza. Nie przeszkadzało mu nawet, że to Żyd i Rosjanin, bo miał jednak trochę bardziej liberalne podejście do kwestii czystości rasowej mieszkańców miasta niż jego przodkowie. Nie o rasę tu przecież chodzi czy narodowość, lecz o czystość moralną, o to, czy ktoś w ogóle wierzy w Boga. Najgorsi są ateusze, ci, co w nic nie wierzą. Tacy na przykład bezdomni i żebracy! Nie sieją, nie orzą, myślą, że wszystko im się należy, bo są biedni. Biedni?! Nieroby i tyle! A jeszcze gorsi są masoni! Zaraza i zgnilizna tocząca zdrową tkankę społeczeństwa! Wszystko, co złe, pochodzi od nich! I nikogo nie zwiodą zapewnienia, że masoneria nie istnieje, że została zlikwidowana. Czart zawsze ochroni dzieci swoje! Któż to wie lepiej niż on sam?

Zabicie tamtego człowieka było czymś w rodzaju jego inicjacji. Nie było to, co prawda, jego pierwsze zabójstwo, pierwsze jednak z tak bliska. Śmierć zadana własnoręcznie, twarzą w twarz, oko w oko, niemal oddech w ostatni dech... Nigdy przedtem nie czuł się tak wspaniale. Nawet rozkosz, jakiej mogła dostarczyć kobieta, nie mogła się z tym równać, choć do niedawna wydawało mu się to czymś niezrównanym. Oczywiście, jego przyszła żona nic o tym nie wiedziała, bo była czysta i nieskalana niczym pierwsze śniegi. Problem tkwił w tym, że nie był jedynym starającym się o jej rękę i nie mógł mieć pewności, że ją zdobędzie. Jego konkurenci, a szczególnie jeden z nich, byli o wiele lepiej sytuowani. On miał nazwisko i pozycję społeczną, ale majątek stopniał bardzo na przestrzeni lat. Już jego ojciec musiał żyć na znacznie niższej stopie, niż powinien, a po śmierci rodzica dużą część resztek fortuny pochłonęły jego zagraniczne studia, na których nie żałował sobie niczego. Teraz musiał zrobić

coś, by podreperować domową kasę, i nawet dokładnie wiedział co. Ba, poczynił już nawet pewne kroki w tym kierunku. A że ktoś jeszcze przy tym poniesie śmierć... Cóż, tym lepiej. Znowu poczuje się bliski Bogu, który życie daje i odbiera. On też tak może. Zabrać komuś życie lub je oszczędzić.

Jeśli się uda... on i jego rodzina nie będą musieli sobie niczego odmawiać do końca życia. Siostrze da prawdziwie pański posag, a matka będzie mogła spędzić resztę życia na Riwierze, przyjmując znajomych na herbatce lub wystawnych kolacyjkach i grając w wista. Tak jak lubi najbardziej.

Przedtem jednak czeka go naprawdę sporo pracy. Zdobycie majątku, ręki wybranki, zadbanie o dobre imię rodziny, które jest zagrożone przez ten pomiot Garszyńskich. No i nie może zapominać o swoich obowiązkach wobec miasta. Na samą myśl o tym, co go czeka, poczuł dreszcz emocji. Po miesiącach planowania wreszcie przejdzie do czynów i okryje swoje imię chwałą. Będzie jednym z najbardziej liczących się mieszkańców Kalisza. Poważanym. Szanowanym. Skrywającym swoje mroczne tajemnice. Wszystko dla dobra miasta, choć o tym akurat nikt się nie dowie. Tymczasem odwagę i wielkość należy doceniać także u wroga. Tym większa satysfakcja, gdy się go zwycięży. Niestety, tu, w Kaliszu, był skazany na miernoty, które obecnie „strzegły” bezpieczeństwa i porządku w mieście. Ale kto wie, może jednak Bóg dozwoli, by zmierzył się z najlepszym. Miasto wszak znajdowało się w przededniu ważnych wydarzeń, a do takowych ściąga się na wszelki wypadek asa, a nie zostawia wszystko w rękach byle śmiecia. Cóż, Kalisz coraz bardziej schodzi na psy. Ludzie nie są już tacy jak kiedyś, nie cenią żadnych wartości. Tak zwani szacowni obywatele nie są już tacy szacowni, a i przestępcy to zwykłe zbiry bez czci, honoru i klasy. Otóż to, wszystkim brakuje klasy! Z długiego rodu strażników czystości i spokoju miasta pozostał jedynie on.

Był ciepły majowy wieczór. Zmrok już zapadał, było jednak jeszcze dość jasno. Eliza Garszyńska spieszyła w stronę ulicy Mariańskiej, gdzie stał Hotel Europejski. Była tam umówiona ze stryjem Józefem, który specjalnie przyjechał tu z Łodzi. Stryj przeprowadził się tam z rodziną przed jedenastu laty, rok po tragicznej śmierci brata i bratowej, jej rodziców. Ona sama wraz z siostrą od dawna mieszkała w Warszawie, u bezdziejnej ciotki, siostry matki, która przygarnęła sieroty po tym strasznym wydarzeniu. Do Kalisza przyjechała trzy dni temu i zatrzymała się u pani Łączkowskiej, przyjaciółki jej śp. rodziców, a także ciotki, choć z tą ostatnią dość rzadko się widywały, ledwie dwa, trzy razy w roku. Czuli się dumna z tej znajomości, gdyż pani Felicja Łączkowska była postacią wielce poważaną w Kaliszu – to ona od lat organizowała Piątki Literackie, które kształtowały życie kulturalne miasta<sup>1</sup>.

Dziś Eliza chciała załatwić ze stryjem kilka spraw związanych ze spadkiem po rodzicach, nad którym ten sprawował pieczę przez te wszystkie lata. Chciała go powiadomić, a właściwie zmienić jego nastawienie do sprzedaży kolekcji osobliwości ojca wraz ze starymi dokumentami, które także zbierał. Wszystkie te rzeczy leżały przez lata w depozycie u Dymitra Szymanowskiego, greckiego handlarza winem, a po jego śmierci u Leona Kapalińskiego, który po pojęciu za żonę wdowy po Janie Grabowskim, także Greku, zajął się prowadzeniem księgarni „Braci Grabowskich”. Społeczność grecka w Kaliszu często bywała skłócona, a mimo to zawsze trzymała się razem i przejmowała zobowiązania swoich ziomków.

Stryj bardzo sprzeciwiał się sprzedaży kolekcji brata, ale zgodnie z jego testamentem dziedziczyła ją Eliza, starsza z córek. Poza tym stryj niewiele mógł teraz zdziałać, bo ona była już więcej niż pełnoletnia. Miała obecnie dwadzieścia dziewięć lat, aż nadto, by móc decydować o losie swoim i swojej własności.

Eliza obejrzała się niespokojnie za siebie, gdyż od jakiegoś czasu miała nieodparte wrażenie, że ktoś za nią idzie. Ale nikogo nie zobaczyła, ulica była pusta. Nikt jej też nie minął, choć jakiś czas temu specjalnie zwolniła kroku. Pewnie jej się coś zdawało. Był wieczór, ściemniało się, a wokół ani jednego przechodnia, choć to centrum miasta. Ale była niedziela, dwudziestego maja. Wieczorne nabożeństwa jeszcze się nie rozpoczęły, ludzie jedli kolację, leniuchowali w domach. Rodzinne spacerunki i wizyty u krewnych się skończyły, dzieci kładziono spać. Nic dziwnego, że ulice puste.

Mimo to z ulgą przestąpiła próg hotelu, gdzie przywitał ją uprzejmy uśmiech portiera, pytającego, czym



może służyć. Odparła, że przysłała do stryja, Józefa Garszyńskiego. Portier uśmiechnął się jeszcze szerzej i poprosił, by chwilę poczekała w saloniku obok restauracji, a stryj za chwilę do niej zejdzie.

Nie czekała zbyt długo, stryj musiał być już gotowy. Powitanie wypadło nieco niezręcznie i sztywno, oboje bowiem nie widzieli się kilka lat, a i przedtem też spotykali się tylko raz lub dwa do roku, zwykle z okazji świąt. Wujostwo Kawczyńscy, czyli siostra matki z mężem, jakoś nie przepadali za młodszym bratem radcy Garszyńskiego, prawdopodobnie z wzajemnością. Mawiali często, że ma on mentalność i maniery parweniusza, mimo że pochodzi z dobrej rodziny szlacheckiej. Najwyraźniej wszystko, co najlepsze z rodu, przypadło starszemu bratu.

– Witaj, Elizo! – Stryj stał w progu salonu z nieco teatralnie rozłożonymi ramionami. Eliza wstała niepewnie i dyskretnie mu się przyjrzała. On w tym czasie robił dokładnie to samo i ta świadomość rozśmieszyła ją, rozładowując wewnętrzne napięcie. Śmiało podeszła do starszego, mocno posiwiałego krewnego i szczerze go uściskała.

– Jak się masz, stryjaszku? Mam nadzieję, że podróż nie była zbyt nużąca?

– Oj, była, była. – Najwyraźniej stryj na stare lata polubił zrządzenie. – To nie dla ludzi w moim wieku tak się wytrząsać na wybojach w karetce z kiepskimi resorami. Gdybyż tak kursowała tu już kolej, jechałoby się, jak się patrzy. My w Łodzi wiemy, co to kolej... – Machnął ręką. – Ale Kalisz to wciąż ta sama zabita deskami dziura, którą omija główny strumień cywilizacji.

– Ależ stryjaszku – zaoponowała Eliza, w której obudził się lokalny patriotyzm, choć sama nie mieszkała w Kaliszu od wielu lat. – To nie wina miasta ani jego mieszkańców. Na pewno wiesz, że to carskie władze zabraniają budowy kolei, mimo że gubernator Daragan od lat osobiście się o to stara.

– Może masz i rację, moja duszko, ale siądźmy sobie lepiej i napijmy się herbaty. Mam nadzieję, że zdołam ci wybić z głowy ten barbarzyński pomysł, by sprzedawać kolekcję ojca, a mojego świętej pamięci brata, świeć panie nad jego duszą.

– Bardzo mi to przykro mówić, stryjaszku, ale nie zmienię zdania – odparła Eliza, z wdziękiem nalewając herbaty do filiżanek, którą dopiero co wniósł młody lokaj. Był bardzo niezręczny, biedaczek chyba dopiero od niedawna sprawował tę funkcję i choć starał się jak mógł, nie wypadało to najlepiej. Ale swe niedostatki nadrabiał gorliwością i wyjątkowo przyjemnym dla oka wyglądem. Po tej niestosownej myśli Eliza mocno się stropiła. Co też za fanaberie przychodzą jej do głowy! I to w stosunku do człowieka, bądź co bądź, z niższej sfery! Zarumieniona aż po białka oczu usiadła naprzeciw stryja.

– A dlaczegóż to? – zapytał stryj, zaskoczony nieco mocnym rumieńcem na twarzy bratanicy. Czyżby musiała sprzedać kolekcję, bo popadła w tarapaty? Nie była zamężna, do tego niemłoda, więc byłby to rzeczywiście kłopot nie lada... – Jeśli potrzeba ci jakiejś sumki, to służę ci pożyczką, i to bezzwrotną... Rozumiem, że mogły ci się przydarzyć jakieś problemy natury... hm, hm... sercowej... i ten tego...

Eliza spojrzała ze zdumieniem na stryja, lecz szybko zorientowała się, co mu chodzi po głowie, i wybuchnęła śmiechem.

– Nie przydarzyły mi się żadne tego typu kłopoty, stryjaszku! – zawołała rozbawiona. – Choć to prawda, że sprzedaż części kolekcji ojca wiąże się z przeżyciami natury sercowej! Po prostu zamierzam wyjść za mąż.

– Nie powiesz mi chyba, że nie masz godnego posagu? – Brwi stryja powędrowały w górę. – Wszak jestem pewien, że w testamencie... A i ciotka z wujkiem zapewne...

– Tak, tak, to wszystko prawda. Mam wcale dobry posag, który wujostwo wydatnie wsparli, choć muszą też pamiętać o mojej młodszej siostrze. Chodzi jednak o to, że wraz z moim narzeczonym zamierzamy wyjechać za granicę, tam kupić ziemię...

– Za granicę? A małoż to ziemi w Polsce?

– W jakiej Polsce? – spytała gorzko Eliza. – Nie ma żadnej Polski! A my chcemy żyć w wolnym kraju, gdzie człowiek ma wszystkie prawa i nie szpieguje się go ani nie zamyka za to tylko, że powiedział kilka

słów, które się komuś nie spodobały...

– Ha! – wykrzyknął stryj z mieszaniną przerażenia i triumfu jednocześnie, że udało mu się przejrzeć siostrzenicę. – Zareczyłaś się z jakimś chłystkiem, który za swój obowiązek uważa pracę w konspiracji czy jak to tam nazywacie! Jakiś bolszewik bądź inna zaraza?! Ochronę ma na karku albo już siedzi?! I ty musisz go teraz wykupić z więzienia, inaczej wyślą was na Sybir, tak?! I dlatego musisz czmychnąć z nim za granicę?!

– Ależ nie, stryjaszku – zaoponowała lekko urażona Eliza. – Mój narzeczony to porządny człowiek, z dobrej, prawniczej rodziny. Choć, przyznaję, że nieobce nam są rewolucyjne pisma. Nie mieszkamy się w to jednak, tylko chcemy wyemigrować do Stanów Zjednoczonych. To młody kraj, ale już można go nazwać ostoją wolności i praw obywatelskich. A wiesz, jak droga będzie podróż z niemałym bagażem, kupno ziemi? Potem trzeba liczyć się z tym, że nie od razu uda nam się zarabiać, więc musimy mieć oszczędności, by przetrwać pierwsze lata...

– Toż to szczyt głupoty pchać się tam, gdzie nikt cię nie zaprasza, gdzie nie masz wsparcia rodziny, a nawet język obcy i dogadać się trudno!

– Jakbyśmy tu mogli mówić tylko po polsku! – parsknęła Eliza i niespodziewanie dla samej siebie się rozpłakała.

– No tak, co racja, to racja. – Garszyński był wyraźnie stropiony. – Ale tak jechać w obce kraje... Tak daleko! Ja bym się bał...

– A my nie! – zakrzyknęła gorąco Eliza. – Zresztą... Cóż, muszę się tu przyznać stryjkowi, że już sprzedałam kolekcję ojca...

– Co?!

– Trudno. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Sprzedałam i już. I to dobrych kilka dni temu.

Stryj aż zatrząsł się z nietajonego oburzenia. Jakby do wtóru, jednocześnie rozległ się brzęk tłuczonej porcelany. Obejrzeli się za siebie, gdzie skruszony lokaj stał z opuszczoną głową i rozbrajająco bezradną miną nad skorupami czegoś, co przed chwilą jeszcze było zapewne dzbankiem lub może filiżankami. W jednej ręce trzymał pustą teraz tacę. Biedak po chwili oszołomienia rzucił się na kolana, by wycierać parującą i wciąż rozszerzającą się plamę herbaty lub może – jeśli miał szczęście – tylko gorącej wody.

Starszy pan pokręcił z niesmakiem głową i natychmiast przestał się interesować incydentem, w duchu dziękując niebiosom, że jego służba nie jest ani w połowie tak niezdarna. Eliza także nie zwróciła większej uwagi na nieszczęsnego lokaja, gdyż zaprzętały ją teraz własne emocje.

– Komuż to, jeśli można wiedzieć, sprzedałaś nasze dziedzictwo? – wycedził stryj po chwili milczenia. – Czy zdajesz sobie sprawę, że tam mogą być rzeczy, które gromadził mój dziad? Albo i jeszcze starsze? A może nawet jakieś papiery...

Tu starszy pan aż wzdrygnął się na myśl o takiej lekkomyślności. Kto wie, czego i kogo dotyczyły takie dokumenta, jakie kłopoty mogły wyrządzić komuś... Jakby na potwierdzenie jego najgorszych przeczuć bratanica beztrąsko przytaknęła:

– Były i papiery. Cały kuferek. Wszystko sprzedałam panu Józefowi Kobierzyckiemu z Bogumiłowa<sup>2</sup>. To podobno w pobliżu Łodzi. A może Sieradza? Znasz go? Dawał najlepszą cenę.

– Kobierzycki? – Garszyński był widocznie poruszony. – Herbu Korab?

– Być może, nie sprawdzałam jego paranteli! – roześmiała się Eliza. – Wydawał się jednak równie dystyngowany, jak bogaty.

– Jeśli to ten sam, to muszę przyznać, że stało się mniejsze zło, niż przypuszczałem. – Garszyński wyraźnie się rozpozgodził. – To znany kolekcjoner, naprawdę zna się na rzeczy i nie szcędzi środków. Na pewno nie upubliczni rzeczy, których nie powinny oglądać osoby postronne. Poza tym będzie chciał przesłać coś na wystawę archeologiczną, o której teraz bez przerwy trąbi prasa. No, jeśli do tego dał ci dobrą cenę, to przestanę żałować, żeś sprzedała część naszego rodzinnego dziedzictwa bez konsultacji ze mną.

– Pan Kobierzycki na pewno będzie na wystawie – potwierdziła z entuzjazmem Eliza, odetchnąwszy z ulgą na widok lepszego humoru stryja. – Wszak już pisali o tym w „Gazecie Kaliskiej”!

– Czytałaś?

– Tak, i to dziś lub wczoraj, naprawdę niedawno. Może zresztą mają w hotelu ostatnie gazety, to i stryjasek sam przeczyta.

– No to zadzwoń na tego nicponia lokaja, może potrafi przynieść gazetę, nie niszcząc jej przy tym tak jak nieszczęsną porcelaną hotelową. Choć pewnie i tak była marnej jakości.

Eliza rozejrzała się po saloniku, a nie widząc nikogo, zadzwoniła. Ku jej zdumieniu pojawił się starszy wiekiem lokaj, który z wielkim dostojeństwem dryfował w ich kierunku. Pewnie młodemu słudze mocno się dostało za niezdarność. Wysłuchawszy z wielką uwagą życzenia starszego pana, z takim samym dostojeństwem ruszył w drogę powrotną, by po dobrym kwadransie pojawić się z kilkoma gazetami na srebrnej tacy. A niósł ją tak, jakby to były co najmniej insygnia królewskie w czasie ceremonii koronacji.

Stłumiwszy śmiech, Eliza serdecznie mu podziękowała i zajęła się wyszukiwaniem artykułów o wystawie, podczas gdy stryj uzbrajał się w monokl.

– Pan Kobierzycki mówił mi, że do wielu osób guberni kaliskiej, także i do niego, Komitet Wystawy Archeologicznej rozesłał odezwę, w której wyrażono nadzieję, iż poprą one usiłowania podjęte w celu zgromadzenia eksponatów na wystawę, przesyłając swoje zbiory. O, tu mam chyba odpowiedni fragment: „Otrzymawszy pozwolenie od władzy, urządzamy w Kaliszu wystawę zabytków archeologicznych i sztuk pięknych. Wystawa trwać będzie przez miesiąc kwiecień br. Wobec tego udajemy się do W. P. z uprzejmą prośbą o łaskawe poparcie naszych usiłowań, a mianowicie o użyczenie na wystawę okazów w posiadaniu W. P. będących, jak również o zebranie takowych w kole swoich znajomych”<sup>3</sup>.

Eliza uniosła oczy znad gazety i spojrzała na stryja wyczekująco, gotowa mu podać gazetę. Ten skinął głową i powiedział:

– Czytaj dalej, dziecko. Moje oczy są już bardzo słabe i nawet monokl niewiele tu pomoże.

Młoda kobieta uśmiechnęła się i uniosła wyżej gazetę.

– „Wielu kolekcjonerów pospieszyło z dostarczeniem eksponatów na tę wystawę – czytała. – Najwięcej okazów dostarczyli: Józef Kobierzycki z Bogumiłowa (przeszło 150 przedmiotów), Michał Rawicz-Witanowski z Kłodawy (40 przedmiotów), dr Stanisławski z Sieradza i T. Łuniewski z Korytnicy (7 przedmiotów). Z dnia na dzień przybywa antyków, nie tylko o wartości historycznej, ale i artystycznej. Pojawiło się wiele cennych okazów, m.in. sięgających odległych czasów wykopaliska doktora Wojciechowskiego z Kalisza”<sup>4</sup>.

– Piszą, jakie konkretnie eksponaty przysłano? – zainteresował się stryj.

– Nie za bardzo, czasem coś wymienią, ale nie podają za dużo szczegółów. To chyba nic dziwnego. W końcu to powinna być niespodzianka, nie sądzisz, stryjaszku?

– Niekoniecznie. Właściwie wcale tak nie sądzę.

– Dlaczego? – Zdziwienie młodej kobiety było szczere.

– Każdy kolekcjoner z krwi i kości na pewno woli wcześniej wiedzieć, co będzie mógł obejrzyć, a może nawet nabyć... Hm, chyba jednak zostaną w Kaliszu trochę dłużej, niż zamierzałem, i wybiorę się na tę wystawę. Kiedy ją otwierają?

– Za kilka dni. Zaraz sprawdzę. O, mam, dwudziestego czwartego maja.

– To już za cztery dni – ucieszył się Garszyński. – W takim razie zostaję. Zadzwoń na służbę. Muszę przedłużyć mój pobyt w hotelu.

– Dobrze, stryjaszku. Ja tymczasem wrócę do pani Łączkowskiej, u której się zatrzymałam.

– Hm, to ta literatka, czyż nie? I emancypantka zapewne też?

– Zapewne – roześmiała się Eliza, którą konserwatyzm stryja bawił.

– Zostaniesz na wystawie?

– Nie wiem. Chętnie obejrzałabym te eksponaty, ale równie spieszo mi spotkać się z narzeczonym.

Chcielibyśmy wkrótce wyjechać, a tu taka masa rzeczy jeszcze niegotowa!

– Skoro zamierzacie wyjechać tak daleko – zaczął surowo stryj – i prawdopodobnie na zawsze, mogłabyś poświęcić kilka dni i obejrzeć takie wydarzenie w swoim rodzinnym mieście.

Eliza spojrzała mu w oczy i ze zdumieniem odkryła, że są pełne łez.

– Ma stryjaszek rację – odrzekła miękko. – Powinnam zostać.

– Ale czy to znaczy, że zostaniesz?

– Ma się rozumieć. Czy stryjaszek zrobi mi tę uprzejmość i posłuży mi za przewodnika? Na pewno stryjaszek wie o wiele więcej o sztuce niż ja.

– Ma się rozumieć, moje dziecko. – Staruszek wyraźnie się rozpromienił. – Czy zjesz jutro ze mną obiad?

– Oczywiście. O której?

– Hm... Myślę, że o szóstej będzie w sam raz.

– W takim razie do jutra, stryjku.

– Nie ucałujesz starego?

– Z największą przyjemnością!

Pożegnanie przerwało wejście majestatycznego lokaja.

– A gdzie to podział się ten młody lokaj? – spytał stryj, którego wcale to nie interesowało, chciał jednak odwrócić uwagę od swego wzruszenia. – Natarliście mu uszu, mam nadzieję?

– Młody lokaj? – Brwi służącego powędrowały wysoko, dużo wyżej niż hotelowego gościa, ale twarz pozostała bez wyrazu. – Pan wybaczy, w tym hotelu to ja jestem najmłodszy...

– W takim razie kto podawał nam herbatę? – zdziwił się Garszyński.

– Powinien ją podać lokaj, który miał wtedy swoją zmianę, ale zatrzaskał się w... Mniejsza z tym... Z herbatą wysłałem służącą.

– Ależ nam herbatę podał jakiś młody człowiek w liberii lokaja! – poparła stryja Eliza.

Lokaj spojrzał na nią beznamyślnie. Był nauczony, by kompletnie nie przyjmować do wiadomości większości tego, co mówią goście. Zwykle bredzili bez ładu i składu, mieli jakieś fanaberie, kaprysy, woda była za zimna, ręcznik nie dość miękki, herbata za gorąca... Kto by się tym przejmował? Hotel miał nie byle jaką renomę i naprawdę nie było powodów do narzekań. Bo niby dlaczego? Od czterech lat, odkąd był w rękach nowych właścicieli, małżeństwa Przybylskich, właścicieli restauracji znajdującej się po drugiej stronie ulicy, zmienił się nie do poznania. Nie tylko otrzymał nazwę Europejski, zeuropeizowano go także wewnątrz: dobudowano drugie piętro, zainstalowano światło elektryczne, które zastąpiło gazowe, oraz pierwszą w mieście windę. Na dodatek wszystko odświeżono. Hotel miał teraz sześćdziesiąt cztery pokoje różnej wielkości, salę balową, palarnię i restaurację na parterze<sup>5</sup>.

– To niemożliwe – wycedził z wyższością. – Państwo wybaczą, czy podać coś jeszcze?

W obliczu takiej nieprzejednanej postawy oboje pokręcili tylko głowami. Młoda kobieta zaczęła wkładać rękawiczki, a Garszyński zaczął omawiać szczegóły przedłużenia swego pobytu w hotelu.

Chwilę później Eliza spieszyła z powrotem do domu pani Łączkowskiej, u której spodziewała się zastać kilka ciekawych osób i otrzymać trochę świeżych informacji o wystawie, choć nie był to bynajmniej piątek, dzień spotkań przy literaturze, ale niedziela.

W czasie, gdy Eliza wracała do domu, inne wydarzenia rozgrywały się właśnie w budynku Kaliskiego Towarzystwa Wzajemnego Kredytu, mieszczącego się od 1899 roku w byłym domu Artura Prewitza przy alei Józefiny nr 552<sup>6</sup>. W byłym, ponieważ w tym roku<sup>7</sup> kamienica stała się własnością banku.

Wystawa wzbudziła tak duże zainteresowanie wśród mieszkańców całej guberni kaliskiej, że na pierwszą wieść o jej organizowaniu wielu prywatnych kolekcjonerów pośpieszyło z dostarczeniem eksponatów na ekspozycję. Tymczasowo magazynowano je właśnie w budynku Kaliskiego Towarzystwa Wzajemnego Kredytu, które był niczym innym jak rodzajem banku. Mimo że Kalisz był bardzo spokojnym miastem, patronujący wydarzeniu gubernator Daragan na wszelki wypadek kazał wzmocnić strażę



i zwiększyć częstotliwość patroli policyjnych w okolicy. Nic dziwnego, skoro niemal cała sala Towarzystwa została zapełniona paczkami nadesłanymi z różnych stron guberni.

Przysłano wiele naprawdę cennych okazów, na przykład do działu obrazów przybyły portrety arcybiskupa Karnkowskiego i księcia Adama Czartoryskiego, a także staloryt przedstawiający portret Ignacego Przybylskiego, rektora szkół kaliskich. Pojawiły się również portrety: Filipa Van Dycka, Cranacha i Bacciarellego. Do działu bibliotecznego natomiast napłynęły dokumenty: *List z niewoli tatarskiej do króla z 1698 r.*, oryginalny dekret sądu ziemskiego sieradzkiego w sprawie o dobra Sarnowo z 1451 roku, cenne zabytki i nieznane rękopisy po Klementynie z Tańskich Hoffmanowej oraz stary antyfonarz z IV wieku, należący dawniej do kolegiackiego kościoła w Łasku. Ponadto zebrano kolekcję ryngrafów, miniatur, pasów słuckich, wspaniały starożytny szal indyjski, zegary, tace, bardzo cenne puchary, porcelanę i kryształy. Wszystko to razem pozwalało przypuszczać, że wystawa archeologiczna okaże się prawdziwym sukcesem i godnie zaprezentuje gubernię kaliską. A co najważniejsze, mimo że otwarcie wystawy miało nastąpić już wkrótce, wciąż napływały kolejne przedmioty!

Nic dziwnego, skoro gromadzenie własnych kolekcji dzieł sztuki i zabytków z przeszłości było jedyną dotąd dostępną formą ochrony zabytków. W zaborze rosyjskim opiekę nad zabytkami sprawowała Cesarska Komisja Archeologiczna w Petersburgu, lecz nie była zainteresowana troszczeniem się o polskie pamiątki przeszłości. Dlatego wszystkie zabytki pozyskane podczas prac wykopaliskowych były przekazywane carskiej stolicy albo nieodwracalnie niszczone. W praktyce więc rolę komisji archeologicznej musieli pełnić prywatni kolekcjonerzy. Dwory ziemiańskie, mieszczańskie wille oraz niewielkie mieszkania kryły często imponujące zbiory biblioteczne. Obok bibelotów, będących zwyczajowymi ozdobami wnętrz, znajdowały się tam również przedmioty naprawdę wartościowe, ale wyglądające co najmniej dziwnie w prywatnym mieszkaniu. I tak, na przykład na ścianach willi reagenta Stanisława Bzowskiego zawieszono portrety trumienne, Michał Rawicz Witanowski, z zawodu farmaceuta, z zapalem pokazywał swoim gościom płaszcz wyjęty z trumny arcybiskupa Karnkowskiego, natomiast u ks. Sobczyńskiego goście mogli podziwiać gwoździe z trumny bp. S. Sarnowskiego oraz fragment trumny, w której była niegdyś pochowana królowa Zofia<sup>8</sup>.

Dumni posiadacze wiele z tych przedmiotów przysłali na wystawę, wartość zgromadzonych tam rzeczy była niebagatelna, dlatego policja wzmocniła patrole, a od wewnątrz pilnował depozytu opłacany przez Towarzystwo Wzajemnego Kredytu stróż z psem. Mimo to na cztery dni przed jej otwarciem ktoś włamał się do budynku! I bardzo możliwe, że doszłoby do kradzieży lub co najmniej nieodwracalnych zniszczeń (nie wiadomo, co gorsze), gdyby nie pies właśnie. On to bowiem wyczuł intruzów dużo szybciej niż stróż. Ba, możliwe, że gdyby nie pies, stróż w ogóle nic by nie zauważył aż do chwili, gdy byłoby już za późno. Ominąłby go wówczas niebagatelny zaszczyt pozostania bohaterem. Chwilowym, co prawda, ale biorąc pod uwagę fakt, że stróż ów rychło potem rozstał się ze światem, zaszczyt i tak był na wagę złota.

Trzej włamywacze nic nie zdążyli ukraść, a zniszczyli tylko zamki od drzwi wejściowych. Zanim bowiem dotarli dalej, wypadł na nich z przeraźliwym jazgotem i warczeniem pies stróża. A że hol był obszerny i wyłożony kamieniem, echo spotęgowało odgłosy wydawane przez zwierzę, tak iż przestraszonym złodziejom wydało się, że ruszyła na nich cała sfera tych szczekliwych stworzeń, będących prawdziwym utrapieniem dla ludzi ich fachu. Włamywacze jak niepyszni ruszyli natychmiast do odwrotu, a za nimi na ulicę wybiegł stróż, który krzyczał na całe gardło:

– Policja!!! Złodzieje!!! Policja!!!

Wszystkie okna w sąsiednich budynkach pootwierały się z trzaskiem, a do krzyków stróża dołączyły inne głosy, pytające, co się stało, lub w sposób mało parlamentarny wyrażające głęboką dezaprobatę wobec zakłócenia ciszy nocnej. Spłoszeni tym niespodziewanym zamieszaniem złodzieje gnali już teraz przed siebie ile sił w nogach, nie oglądając się, aż wpadli prosto w ręce ulicznego patrolu. Drugi deptał im po piętach, a trzeci nadciągał z boku.



– No to mamy was, bratki – podkreślił węża policmajster Jan Poraj, wysuwając się z cienia pobliskiej bramy i podchodząc dostojnym krokiem.

Cóż, minęły już czasy, jak to było na początku jego kariery, kiedy sam biegał zdyszany po mieście, głównie zresztą w poszukiwaniu swojego szefa, Walerego Konstantynowicza Jezierskiego, agenta do specjalnych poruczeń w randze radcy stanu. Co prawda, Jezierski nadal był jego szefem, teraz już w randze rzeczywistego radcy stanu<sup>9</sup>, ale od kilku lat to Poraj zajmował się zwalczaniem przestępczości w Kaliszu. Wypływało to głównie z faktu, iż po fali zbrodni z 1888 i 1890 roku w mieście nastał spokój, z rzadka tylko zakłócany przez nieliczne i raczej błahe incydenty, niewymagające bezpośredniego nadzoru agenta do specjalnych poruczeń. Znudzony Jezierski skupił się zatem na życiu rodzinnym, kupił posiadłość wiejską pod Kaliszem i zajął się gospodarowaniem, pilnowaniem zbiorów i sianokosów, nastawianiem domowej roboty wina i nalewek.

Poraj, wzorując się na metodach pracy swego mistrza, postanowił od razu na miejscu wstępnie przesłuchać całą trójkę; niedoszli złodzieje mogli bowiem posiadać ważne informacje wymagające natychmiastowej reakcji. Stał więc na szeroko rozstawionych nogach, podparł się pod boki i po kolei spojrzał groźnym wzrokiem na każdego ze złoczyńców z osobna. Ci struchleli pod okiem surowego stróża prawa. Szczególnie jeden z nich wyraźnie podupadł na duchu, zaczął bowiem szlochać. Był najmłodszy z nich wszystkich i to jego Poraj postanowił wziąć w pierwszej kolejności na spytki. Policmajster miał nadzieję, że był to jego pierwszy „skok” i wszystkie emocje z tym związane zmiękczyły już odpowiednio biedaka.

– Ty! – powiedział nagle, wskazując palcem na środkowego bandytę.

Ten zachwiał się jak pod ciosem, ale podtrzymany silnym ramieniem jednego ze stójkowych, nawet nie osunął się po ścianie na ziemię, pod którą pragnął się zapaść. Poraj kazał odprowadzić nieco na bok kamratów przerażonego młodzika, żeby nie mogli zastraszać go ani w żaden inny sposób wpływać na zeznania chłopaka.

– Mów! – nakazał krótko, gdy zostali poza zasięgiem słuchu pozostałych.

– Ale co, wasza miłość? – wyszeptał, szcękając zębami.

– Wszystko, co wiesz.

– Kiedy ja nic nie wiem...

Poraj zgrzytnął zębami tak, że przerażony chłopak odruchowo zasłonił się rękami, jakby się bał, że groźny policmajster go uderzy.

– Na początek powiedz, jak się nazywasz.

– Wołają na mnie Zbychu... – wyszeptał nieśmiało chłopak.

– Zbychu? No dobrze, a jak masz na nazwisko?

– Wojtas, wasza miłość.

– Wojtas, powiadasz? Z tych Wojtasów, co to się kamieniarstwem zajmują?

– To stryj, wasza miłość. Ale on nas nie chce znać, odkąd ojciec umarł. Matka sama nas utrzymuje, jest praczką, panie.

– I tak jej się odwdzięczasz za ciężką pracę? Kradniesz?

– Chciałem jeno trochę jej pomóc, parę groszy przynieść, żeby przez kilka dni mogła sobie odpocząć... – rozplakał się Zbyszek.

– A pomyślałeś, co ona będzie przeżywać, jak cię teraz zamkniemy w cyrkule? – huknął Poraj. – Jak się będzie martwić? Skąd weźmie pieniądze na adwokata?

– Znikąd – szepnął chłopak i otarł oczy rękawem. – W życiu nie miałem tylu pieniędzy.

– Chcesz, żeby musiała jeszcze ciężiej pracować? Skąd weźmie choćby na paczkę z jedzeniem dla ciebie do więzienia?

Zbyszek płakał już teraz rzewnymi łzami. Poraj mruknął coś, potem wyjął własną chustkę do nosa wielkości sporej serwety, którą uszyła mu żona, i podał ją chłopakowi.

– No, nie becz już. Coś wymyślimy i może nie trzeba będzie cię zamykać na długo.

Chłopak spojrział na niego z nadzieją i zamasyścię wytarł oczy i nos.

– Musisz coś wiedzieć – kontynuował policmajster. – Jeśli teraz nam pomożesz, ja ci pomogę później.

W odpowiedzi usłyszał tylko zduszone łkanie, ale tym razem pełne ulgi. Po chwili zobaczył brudną rękę, która podawała mu zużytą chustkę.

– Zatrzymaj chustkę – powiedział wspaniałomyślnie Poraj. – A teraz się skup.

Zbyszek posłusznie przybrał wyraz twarzy, który w jego ocenie miał przypominać skupienie.

– Sami wpadliście na pomysł, by przyjść tu na robotę?

– Chchyba nie, Wasza Miłość – wyszeptał po chwili namysłu nieszczęśnik, wciąż jeszcze dzwoniąc zębami.

– Ktoś wam kazał?

– Ano... niby tak.

– Kto?

– Ja go nie znam! – zawołał na nowo przerażony chłopak. – Raz żem go tylko widział, i to z daleka!

– Domyślam się, że to nie ty z nim rozmawiałeś – powiedział Poraj znacznie łagodniejszym tonem, który spowodował głębokie westchnienie ulgi u przesłuchiwanego. – Coś ci jednak musieli zdradzić twoi kamraci przed skokiem. Co ci powiedzieli?

– Że szykuje się robota...

– Dalej – ponaglił go policmajster.

– No, że trza wynieść z gmachu kilka paczek...

– Byle jakich paczek? – przerwał mu Poraj.

– Raczej nie, ale nie wiem dokładnie jakich, bośmy nawet nie zdążyli dobrze wejść do środka, kiedy te psy skoczyły na nas ze strasznym jazgotem, a Siwy, nasz szef, on bardzo się boi psów, nawet takich całkiem małych, rzucił się więc pierwszy do ucieczki, a my za nim...

Poraj uśmiechnął się pod wąsem, ale nie dał po sobie niczego poznać.

– Siwy miał gdzieś zapisane paczki, które mieliście ukraść?

– Ano tak, wasza miłość. Papier miał przy sobie, w kieszeni, żeby nic nie pomylić...

– Stasiak, do mnie! – krzyknął Poraj, przygotowując tym chłopaka niemal o zawał serca. – Przeszukaj dokładnie Siwego, w kieszeni powinien mieć spis rzeczy, które mieli ukraść – nakazał policjantowi, który służył się przed nim wyprężył. Teraz jednak podrapał się po głowie, okazując wielki frasunek.

– No? – spytał bez ceregieli Poraj. – Czego nie rozumiesz, bałwanie?

– Ano, nie wiem, wasza miłość, który to Siwy.

– Jak nie wiesz, to spytaj, ale na twoim miejscu zacząłbym od tego, który ma prawie białe włosy – poradził mu zwierzchnik.

Twarz młodego stójkowego natychmiast się rozjaśniła, skłonił się więc szefowi i skoczył w stronę zatrzymanych. Jasiek był pewien, że teraz Stasiak skrupulatnie wykona swoje zadanie. Był to dobry policjant, może trochę wolno myślący, ale gdy już mu się jasno wyłożyło, co ma robić, swoje obowiązki traktował poważnie i z wielką starannością.

Poraj wrócił do swojego młodzika i znów spojrział na niego surowo.

– Powiedziałaś, że raz widziałeś tego, który zlecił wam robotę – zaczął z namysłem. – Jesteś młody, masz dobry wzrok, musiałaś coś zapamiętać z jego wyglądu. Opisz mi go najdokładniej jak możesz.

Chłopak podrapał się za uchem, wyraźnie zakłopotany.

– Kiedy nawet nie wiem, jak zacząć – wyznał.

– Na początek spróbuj określić, jaki był wysoki – westchnął policmajster, wiedząc już, że nie pójdzie łatwo. Chłopak może nie był głupi, ale zasób jego słownictwa był żałośnie ubogi.

– Ano, trochę wyższy od waszej miłości.

– Przypatrz się swoim kamratom i moim policjantom – nakazał mu Poraj. – Który jest podobnego

wzrostu?

Chłopak przyjrzał się uważnie policjantom i wskazał na Stasiaka.

– I dosyć gruby był – dodał.

– No to będzie miał z metr osiemdziesiąt pięć wzrostu – mruknął Poraj, notując. – Jaki miał kolor włosów?

– Włosów żem nie widział. Kapelusz miał.

– A pamiętasz, jak był ubrany? – zaczął z innej beczki Poraj.

Twarz chłopaka rozjaśniła się.

– Aligancko – stwierdził. – Surdut nosił i kapelusz. No i miał taką frymuśną laskę, chociaż nie był ani stary, ani kulawy.

– Bardzo dobrze – pochwalił go Poraj. – Miał też może monokl?

– Że niby co? – wybałuszył na niego oczy chłopak.

– Takie szkiełko w oku – wyjaśnił policmajster, stłumiwszy westchnienie. – Może na łańcuszku albo tasiemce.

Chłopak myślał przez chwilę tak intensywnie, że niemal było widać obracające się w jego mózgu trybiki, w końcu potrząsnął z żalem głową.

– Żadnego szkiełka żem nie widział. Alem widział coś innego.

– Co? – zainteresował się policmajster.

– Miał złoty ząb – wyznał z zachwytem chłopak. – Tak pięknie błyskał w słońcu, że nie mogłem oczu oderwać.

– Złoty Czesiek... – Poraj wypowiedział te słowa z nie mniejszym zachwytem niż zatrzymany chłopak.

– Niby co? – zdziwił się młodzik.

– Nie co, a kto – powiedział niecierpliwie policjant. – Zresztą to nie twoja sprawa. Stasiak, do mnie!

Stójkowy w mig stanął przed przełożonym.

– Dowiedziałem się właśnie, że ci trzej działali na zlecenie pewnego znanego w kraju pasera handlującego kradzionymi dziełami sztuki – oznajmił władczo. – To sam Złoty Czesiek.

Stasiak aż zbaraniał na te wieści. Z szacunkiem spojrzął na szefa.

– Znalazłeś coś u Siwego?

– Tylko to – stójkowy wyjął pomiętą kartkę.

Poraj uważnie przestudiował ją w milczeniu, w końcu schował kartkę do swojej kieszeni na piersi.

– Wiem, gdzie mieszka nasz ptaszek – powiedział. – Zrobimy tak...

I szczegółowo wyjaśnił stójkowemu plan dalszych działań.

Po chwili jeden z patroli odprowadził trójkę schwytanych złodziei do cyrkułu. Dwa pozostałe pod wodzą Poraja ruszyły do podrzędnego zajazdu, w którym podobno zatrzymał się Złoty Czesiek.

Niestety, mimo szybkiej i niespodziewanej akcji dzielnego policmajstra nie udało się schwytać tego ptaszka. Nie wiadomo, czy ktoś go ostrzegł, czy też może był to skutek silnie wyostrzonego instynktu samozachowawczego, ale koniec końców, pokój okazał się pusty. Jediną pociechą Poraja był fakt, że przestępca uciekł ponoć nie całkiem kompletnie ubrany, odziany jedynie w koszulę i krzywo zapięte spodnie, a także wciąż ze szlafmycą na głowie. W dłoni dierzył jeden podróżny neseser, resztę bagażu, czyli dwa małe kufry podróżne, był zmuszony zostawić. Teraz Jasiek z satysfakcją przeglądał ich zawartość.

Zrobiwszy wszystko, co było do zrobienia na miejscu, Jasiek kazał zabrać bagaże Złotego Cześka do cyrkułu i polecił z samego rana wysłać za nim list gończy. Przesłuchanie pozostałych złodziei postanowił odłożyć do rana, na razie wydał rozkaz, by zamknąć niefortunnym włamywaczy w osobnych celach.

Sam tymczasem pofatygował się do budynku Towarzystwa Wzajemnego Kredytu, by sprawdzić powstałe szkody. Wrzawa przed kamienicą już ucichła. Dzięki gorliwości stróża, który skwapliwie opowiadał na prawo i lewo, co się stało, ludzie szybko zaspokoiili ciekawość i pozamykali w końcu

okna, a nieliczni gapie zdążyli się rozejść. Także i stróż wrócił do siebie, by wrzucić coś na ząb i zaparzyć sobie gorącej herbaty, którą zamierzał wzmocnić kilkoma kroplami okowity, wyrabianej potajemnie przez jego szwagra.

Poraj rozesłał kilku ludzi, by sprawdzili ulice w pobliżu budynku, gdyż na razie nie miał pewności, że złodziei nie było więcej. To prawda, że złapano trzech, ale mogli oni działać w większej grupie, a schwytani współnicy kłamali, by dać towarzyszom czas na ucieczkę. Nie bardzo w to wierzył; uznał jednak, że nie zaszkodzi tego sprawdzić, sam zaś wszedł do kamienicy w asyście dwóch policjantów.

Skierował się w stronę plamy światła, za którą spodziewał się ujrzeć stróżówkę, a w niej bohatera wieczoru, dzielnego Macieja Borowca. W budynku nie było jeszcze oświetlenia gazowego, policjant liczył więc, że Borowiec zaopatrzy ich w latarnie. Poza tym chciał jak najszybciej, na gorąco, usłyszeć jego relację z minionych wydarzeń. Jakież było jego zdziwienie, kiedy odkrył, że stróżówka jest pusta, mimo że na maszynie spirytusowej kipiała woda w rondelku, a pies najspokojniej w świetle wyjadał podgrzaną na patelni mielonkę z talerza swego pana. Widać było, że puszkę otwarto i podgrzano bardzo niedawno, tłuszcz bowiem jeszcze nie zdążył skrzepnąć.

Stróża nie było, ale przynajmniej latarni nie brakowało. Skonsternowany Poraj odruchowo wyłączył maszynkę spirytusową i po krótkim namyśle postanowił dać spokój psu. Skoro jego pan był tak niefrasobliwy, że pozostawiał niezabezpieczone jedzenie w zasięgu pyska psa, sam sobie zasłużył na utratę kolacji, tak jak pies bezapelacyjnie zasłużył na nagrodę, gdyż w porę odkrył intruzów i wszczął alarm. Nie zwracając już uwagi na zwierzę, Poraj rozdał swoim ludziom latarnie i kazał im się rozejrzeć po budynku. Sam także wyruszył na poszukiwania stróża. Najpierw zajrzał do kilku pomieszczeń, aż wreszcie w jednym dostrzegł nikłą poświatę rzucaną przez latarnię. Wszedł ostrożnie, bo sala była nieduża, ale ciemna. Omal nie wpadł na plecy jednego z policjantów.

– Lipski, co tak stoisz jak baran! – zakrzyknął, lecz spojrzał odruchowo w dół. Teraz widział to samo, w co wpatrywał się stójkowy, więc tylko mruknął do siebie: – Ani chybi, Jego Ekscelencja urwie mi głowę...

– Co pan powiedział, szefie? – Stójkowy drgnął i spojrzał na Poraja tak nieszczęśliwym wzrokiem, że Jaśkowi zrobiło się go szczerze żal.

– Nic, nic – westchnął Jasiek. – Zastanawiam się tylko, czy Jego Ekscelencja gubernator pozwoli nam kontynuować śledztwo, czy też każe od razu wezwać agenta do specjalnych poruczeń.

Z piersi młodego stójkowego wyrwało się nabożne, pełne szacunku westchnienie, Walery Konstantynowicz Jezierski cieszył się bowiem ogromnym respektem u wszystkich mieszkańców miasta, ale największym wśród podległych mu policjantów. O jego wyczynach, w których przed laty swój udział mieli także Poraj oraz doktor Zaif, krążyły niemal legendy.

– Na mój rozum Jego Ekscelencja każe natychmiast wezwać drugą ekscelencję – powiedział i uśmiechnął się niepewnie, ponieważ perspektywa pracy pod wodzą samego Jezierskiego bardzo mu się spodobała.

– Na mój także – znów westchnął Poraj, który uwielbiał swojego szefa, ale też bardzo chciał wreszcie wykazać się w samodzielnym śledztwie. – Sprawdź, czy coś stąd nie zniknęło, ja zajmę się resztą.

– Ale jakże ja poznam, czy co nie zginęło? – zmartwił się Lipski.

Jasiek westchnął ciężko.

– Po kurzu, ofermo, a właściwie po jego braku.

– To znaczy... Co to właściwie znaczy?

Poraj wzniósł oczy do nieba, ale zobaczywszy tylko sufit, potrząsnął głową i westchnął. Skaranie boskie z tymi niedoświadczonymi żółtodziobami! Wszystkiego trzeba ich uczyć, wszystko tłumaczyć, jakby jeden z drugim sami nie mogli ruszyć głową. Ale za to nie mógł narzekać na brak ludzi. Z czasem w końcu i ci nowi się wdroszą. Taką przynajmniej miał nadzieję.

– Jeśli zobaczysz na zakurzonej podłodze plamę, to znaczy, że stał tam przedtem jakiś przedmiot,



prawda?

– Prawda! – gorliwie przytaknął Lipski.

– Ale teraz go nie ma, prawda?

– Prawda!

– To znaczy, że go ukradli, prawda?

Lipski podrapał się po głowie.

– Co ci się nie zgadza?

– A jak tylko przenieśli ten przedmiot w inne miejsce?

Poraj zaniemówił, by po chwili uśmiechnąć się szeroko.

– Wiesz co, Lipski? Jeszcze będą z ciebie ludzie. Mogło i tak się zdarzyć, ale na razie założymy, że przedmiot został skradziony, dobrze? Wyjaśniać będziemy później. A teraz do roboty.

Policjant z ulgą poszedł obejrzeć boczne pomieszczenie, gdzie gromadzono ostatnio nadesłane paczki z eksponatami na wystawę, gdyż główna sala nie była już w stanie pomieścić przesyłek. Tymczasem Poraj stał jeszcze przez chwilę i wpatrywał się w podłogę.

Przed nim leżał z rozrzuconymi ramionami Maciej Borowiec. Wokół stróża walały się poprzewracane skrzynie, pomięte papiery i skorupy jakiegoś stłuczonego garnka. Jego szeroko otwarte oczy wpatrywały się w sufit. Jaśkowi przez chwilę wydawało się, że dostrzega w nich coś jakby wyrzut, ale po chwili stwierdził, że to tylko gra światła płynącego z latarki trzymanej przez wciąż jeszcze rozdygotanego Lipskiego.

W piersi stróża tkwił trzonek wielkiego, rzeźnickiego niemal noża, a wokół rozlewała się ciemna plama, która w tym nikłym świetle w żaden sposób nie przypominała krwi. Jasiek jednak dobrze wiedział, że nie mogła być niczym innym. Wystarczająco wiele razy widział w swojej karierze zwłoki zamordowanych ludzi, by żywić w tej materii jakiegokolwiek złudzenia.

Policmajster przeżegnał się odruchowo, lecz nagle zamarł, ponieważ do głowy przyszło mu pytanie, które powinien od razu sobie zadać. Kto, u licha, zabił Borowca? Czyżby szajka rzeczywiście była liczniejsza?

Gorączkowo zastanawiał się, co robić dalej, gdyż byłby to jego pierwszy całkowicie „własny” trup, odkąd Jezierski wycofał się z codziennej pracy zawodowej i zaglądał do miasta tylko od czasu do czasu. Miałby szansę samodzielnie rozwiązać zagadkę zabójstwa! Była to okazja, o jakiej marzył! Lecz w tym momencie wbiegł do sali zdyszany Stasiak, tupocząc ciężkimi butami po posadzce. Zaraz za progiem zatrzymał się, gdyż w pomieszczeniu było ciemno; słaby płomień latarni Lipskiego nie rozjaśniał mroku.

– Szefie! – krzyknął dziwnie piskliwym głosem. – Szefie! Jest pan tu?

– Jestem! – zawołał Poraj. – Lipski, chodźże bliżej z tą nędzną latarnią, bo Stasiak nas nie widzi. Co się stało?

Stasiak podszedł bliżej, ciężko dysząc.

– Po co tak biegłeś? – zdziwił się Jasiek. – Pali się czy co?

– Palić to się nie pali, ale... – wydyszał Stasiak i niespodziewanie oparł się o ścianę.

– Co ty, rozchorowałeś się? – zaniepokoił się już nie na żarty Poraj. – Mów natychmiast, co się stało! – rozkazał.

– Znaleźliśmy, szefie... – zaczął i natychmiast przerwał, gdyż dopiero teraz dostrzegł leżące na podłodze zwłoki stróża. Zgiął się wpół, jakby go rozboleł brzuch. – Chyba będę rzygał... – wyszeptał i osunął się po ścianie.

Zirytowany Poraj złapał go, zanim upadł.

– Lipski, nie stój tak, pomóż mi! – stęknął. – To kawał chłopa!

Lipski posłusznie ujął zemdlonego Stasiaka z drugiej strony i razem ostrożnie położyli go na podłodze.

– Leć do stróżówki po wodę – nakazał Poraj. – Trzeba tę primadonnę ocucić.

Lipski, który tylko trochę lepiej zniósł widok ciała Borowca i wcale nie chciał ponownie oglądać



zwłok, skwapliwie wybiegł z sali. W holu jednak zwolnił kroku, bo chociaż dumny był jak paw, gdy dostał pracę w policji, teraz jakoś niespieszno mu było z powrotem.

Poraj, który do cierpliwych nigdy nie należał, nie czekał na młodego stójkowego, lecz od razu zaczął klepać nieprzytomnego Stasiaka po twarzy. Zdecydowane działania szybko odniosły skutek, bo po chwili chłopak otworzył oczy.

– Ale żeś mi stracha napędził! – sapnął Poraj. – To, zdaje się, twój pierwszy nieboszczyk?

– Drugi... – szepnął słabym głosem Stasiak.

– Drugi? – zdziwił się Poraj. – A kiedy był pierwszy? Czyżbym coś przeoczył? Przecież nie było cię, gdy wyciągaliśmy zimą topielca z Proсны...

– Szefie...

– No, mów wreszcie, o co chodzi!

– W uliczce obok znaleźliśmy zwłoki...

Policmajster zerwał się na równe nogi.

– Zwłoki?! Czyje?!

– Nie wiem, szefie, ale to chyba jakiś żebrak...

Zdumienie Poraja sięgnęło zenitu. Żebrak do niczego nie pasował w tej sprawie, która i tak nie przedstawiała się jasno.

– Żebrak, powiadasz?

Umysł Poraja pracował gorączkowo. Sprawa włamania do magazynu eksponatów na wystawę niespodziewanie przerodziła się w sprawę o dwa zabójstwa. Tylko czy te zabójstwa są ze sobą jakoś powiązane, czy też to zwykły zbieg okoliczności? Poraj, uczeń Jezierskiego, doskonale pamiętał, że agent nie wierzył w coś takiego jak zbieg okoliczności, przeciwnie, robił się wtedy dużo bardziej podejrzliwy.

– Skąd wiesz, że to żebrak?

– Ano, tak po ubraniu.

– I żaden z was go nie rozpoznał? Jest ich w mieście sporo, ale w końcu nie aż tylu. Ja sam każdego znam choćby z widzenia, a już nie chodzę po ulicach tyle, co wy!

– Ale ten, szefie...

– No! – ponaglił go niecierpliwie Poraj.

– Strasznie zmasakrowany, szefie... – przerwał nagle Stasiak, jęknął i odwrócił głowę. W ten oto sposób nieszczęsny stójkowy niechcący udowodnił, że jest człowiekiem słownym – mimo krótkiej zwłoki, zrobił w końcu to, co zapowiadał wcześniej.

## Rozdział 2

Nie bacząc na późną porę, Poraj pognął na ulicę Babiną 3 i osobiście ściągnął z łóżka Alfonsa Parczewskiego<sup>10</sup>, znakomitego adwokata, który był przy okazji członkiem komitetu organizacyjnego wystawy i jako prawnik miał u siebie listę wszystkich nadesłanych okazów, jako że opracowywał *Katalog wystawy archeologicznej i zabytków sztuki urządzonej w Kaliszu w sali ratuszowej w maju i czerwcu 1900 roku*<sup>11</sup>. Parczewski, znamienity obywatel Kalisza, zainicjował zawiązanie licznych organizacji, z którymi potem ściśle współpracował, nie tylko w Kaliszu, ale w innych miastach, a nawet za granicą. Szczególnie bliskie jego sercu były Łużyce, ale rozrzut jego zainteresowań był zaiste ogromny! Był między innymi członkiem zarządu Kaliskiego Towarzystwa Dobroczynności, dyrektorem Towarzystwa Kredytowego Miejskiego, prezesem Oddziału Kaliskiego Towarzystwa Popierania Przemysłu i Handlu, prezesem Rady Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego, honorowym radnym miasta Kalisza i od 1891 roku prezesem Towarzystwa Muzycznego w Kaliszu. Na organizowane przez siebie koncerty muzyczne i wokalne sprowadzał znanych artystów warszawskich i zagranicznych. Znany też ze swego zamiłowania do etnografii i turystyki (zwłaszcza pieszej) prezesował Alfons Parczewski

kaliskiemu oddziałowi Towarzystwa Krajoznawczego<sup>12</sup>. Działał także w Kaliskiej Straży Ogniowej, gdzie kilkakrotnie wybierano go na dyrektora rady straży, jak również był członkiem połączonego dozoru kościelnego kaliskich parafii czy Rady Opiekuńczej Prywatnej Szkoły Realnej<sup>13</sup>. Oprócz tego wykładał również geografii, historię i literaturę polską na tajnych kursach prowadzonych przez swoją siostrę Melanię, nic dziwnego zatem, że nie był zachwycony wizytą policji w środku nocy.

Narzuciwszy na piżamę szlafrok, wyszedł do intruza z zamiarem ostrego przywołania go do porządku, uświadomienia niestosowności jego postępowania oraz działań, jakie zamierzał podjąć z samego rana, by podobne incydenty nigdy już się nie powtórzyły. Nie zdążył jednak na dobre otworzyć ust, gdyż Poraj bez ceregieli przerwał mu w pół słowa. Cóż, Jasiek nie zawahałby się ściągnąć z łóżka samego gubernatora, gdyby powód był dostatecznie ważny, tym bardziej więc niestraszny był mu adwokat, choćby najznamienitszy. Jezierski bowiem wpoił mu, że praworządność i dobro śledztwa jest zawsze najważniejsze i każdy, bez względu na stanowisko, koneksje i tym podobne, musi mu się podporządkować.

Trzeba przyznać, że Parczewski w mig ocenił powagę sytuacji i nie próbował już dyskutować z policmajstrem. Nawet kazał przynieść mu filiżankę mocnej herbaty, a sam w tym czasie szybko się ubrał, zabrał teczkę ze stosowną dokumentacją i w niespełna kwadrans był gotowy do wyjścia. Poszli pieszo i Jasiek nie mógł się nadziwić, że taki zażywny, starszy pan potrafi za nim nadążyć, i to bez zadyszki! Toteż z ciekawością zerkał na niego z boku, bo choć oczywiście widywał adwokata od czasu do czasu na mieście, to raczej z daleka. Tak jak w czasie wizyty księcia Imeretyńskiego w Kaliszu, nowego generał-gubernatora Królestwa, kiedy to adwokat stał na czele deputacji miejskiej<sup>14</sup>.

Parczewskiego z pewnością nie można było zaliczyć do amantów, którzy nawet w późnym wieku bez trudu łamią serca niewieście, ale z całej jego postaci biła prawdziwie hetmańska dostojność, zapewne po części z powodu silnej osobowości, a po części ze względu na powolność ruchów. Adwokat nawet mówił spokojnie i bez pośpiechu, ale za to wyraźnie, akcentując wszystkie sylaby i dokładnie wymawiając każde słowo. Poza tym był to mężczyzna średniego wzrostu, raczej tęgi, z bardzo dużymi wyrazistymi niebieskimi oczami, o długich siwych włosach zaczesanych do góry, wysokim czole, gęstych krzaczastych brwiach, wydatnym nosie i siwych wąsach.

No cóż, nic ciekawego, osądził w duchu lekko rozczarowany Jasiek, który w głębi duszy żywił jeszcze naiwne przekonanie, że wszystkie znane osoby powinny wyglądać lepiej niż reszta ludzkości i jakoś się wyróżniać. Jednak równie sprawiedliwie stwierdził, że wygląd nie ma tu żadnego znaczenia, a liczy się jedynie wiedza adwokata.

Na miejscu okazało się, że Parczewski nie bez powodu był tak cenionym obywatelem Kalisza i prawnikiem. Bez zbędnych pytań, a co ważniejsze, bez wzdragań, biadań czy hysterii na widok skąpanych w krwi zwłok, metodycznie i z uwagą obejrzał każdy zakamarek mniejszej sali, samemu przyświecając sobie latarnią. Dopiero potem z pomocą dwóch policjantów zabrał się do szybkiej inwentaryzacji eksponatów. Po bitych trzech godzinach Jasiek otrzymał wreszcie jego ekspertyzę, ta jednak wprawiła go w zdumienie.

– Złodziej zabrał jedynie kufer pana Kobierzyckiego pełen starych rękopisów, dokumentów, listów, a nawet rachunków – oznajmił adwokat. – Ten kufer należał kiedyś do świętej pamięci radcy Garszyńskiego. Znam te papiery, sam kiedyś je oglądałem u nieboszczyka... Ma się rozumieć, jeszcze za jego życia. Prawdziwy rarytas. – Po chwili dodał z niejaką dumą: – Ja sam dałem na wystawę kilka cennych zabytków sztuki z XVIII wieku, a także trochę starych planów, map i rękopisów, między innymi przywilej Zygmunta Augusta z tysiąc pięćset sześćdziesiątego drugiego roku, z potwierdzeniem nadań dla kościoła św. Idziego w Szadku<sup>15</sup>...

Jasiek nie miał w sobie ani krzty nabożności dla starych dokumentów czy ksiąg. Wszystko to według niego bardziej nadawało się do rozpalania w piecu, a nie na wystawę, a cóż dopiero mówić o tym, by było bardziej wartościowe niż ludzkie życie! Toteż bez ceregieli przerwał wypowiedź prawnika.

– Co?! – zakrzyknął oburzony. – Zabić kogoś dla kufra pełnego starych papierzysek?

Parczewski uśmiechnął się pod nosem, bo już zorientował się, z jakim typem człowieka ma do czynienia. Zaraz jednak przypomniał sobie, że ten policjant przyczynił się do ujęcia wielu przestępców, w tym autorów okropnych zbrodni, które kiedyś dwukrotnie wstrząsnęły Kaliszem<sup>16</sup>, nie oburzył się zatem ani nie zaprotestował.

– Też nie do końca to rozumiem – powiedział zamiast tego zgodnym tonem – boć w skrzyniach obok, także nadesłanych przez pana Kobierzyckiego, były inne bardzo wartościowe rzeczy: wykopaliska i zabytki epoki pogańskiej, rękopisy, dokumenty, stare druki oraz złotolity pas w karpią łuskę...

– Tak, tak – znów przerwał mu nieco zniechęcony Jasiek. – Na dzisiaj wystarczy. Był pan bardzo pomocny, mecenasie Parczewski, ale teraz może pan wracać do domu. Jutro przyślę do pana policjanta, by spisał formalny protokół, a pan łaskawie podyktuje mu spis tych skradzionych papierzysek...

Parczewski wstał i przez chwilę przyglądał się policmajstrowi wnikliwie, niczym jakiemuś okazowi fauny, którego jeszcze nie widział. Pod tym spojrzeniem buńczuczny dotąd Jasiek poczuł się niepewnie, jak uczeń przed surowym obliczem profesora, i pomyślał, że to jest jednak Ktoś. Nie byle jaki rajca miejski, którego myśli, że jak ma „stanowisko”, to już jest nie lada osobą, a w gruncie rzeczy... Jasiek, który widział wielu takich ludzi i dobrze poznał ich grzechy i grzeszki, nie miał dla nich za grosz szacunku, omal nie machnął ręką. Ten adwokat był jednak inny. Może potraktował go zbyt obcesowo? Może należałoby go przeprosić? Zanim Jasiek rozstrzygnął ten dylemat, Parczewski niespodziewanie się uśmiechnął.

– Mimo wszystko dobry z pana policjant, młody człowieku – stwierdził serdecznie i równie niespodziewanie klepnął Poraja po plecach. – Tak trzymać! A jutro niech pan sam do mnie zajrzy. Dopełnimy formalności, a potem napijemy się świetnej nalewki z moreli, którą nastawia moja siostra Melania. Mówię panu, palce lizać! A jak wygląda! Nalewka, rzecz jasna, choć i Melanii niczego nie brakuje. Jak słońce wlane do kryształowych kieliszków! Ale na mnie już czas.

Adwokat skłonił się i wyszedł z sali, zanim zaskoczony Jasiek odzyskał mowę. Jeszcze dłuższą chwilę stał tak, intensywnie rozmyślając nad sytuacją. Starannie uporządkował sobie fakty, stosując nieco pracowitą, ale dobrze sprawdzoną metodę, czyli notowanie. Przejrzał zapiski, poukładał je w kolejności czasowej, a następnie jeszcze raz wszystko zanotował, tym razem w punktach. Wyszło mu jak byk, że ma dwa zabójstwa, niekoniecznie ze sobą powiązane, bo jedno dotyczy pilnującego ekspozatów przeznaczonych na wystawę strażnika Borowca, a drugie żebraka, który na pewno niczego nie pilnował, co najwyżej sam chętnie by coś zwędził. No właśnie, zwędził? Może tu kryje się związek między ofiarami? Może ten żebrak także próbował coś ukraść z sali Towarzystwa Wzajemnego Kredytu? Wszedł złodziejom w drogę, więc go zabili... Zaraz, zaraz, ale po co mieliby go zabijać? Było ich więcej, bez problemu daliby mu radę i zabrali łup, może nawet szturchnęli tu i ówdzie, ale od razu mokra robota? Nie, to nijak nie pasuje, zwłaszcza że żaden z nich do tej pory nie miał zarzutów poważniejszych niż kradzież czy rozbój.

Jasiek westchnął i znów spojrzał na notatki – poza tym miał jeszcze włamanie i kradzież. Wyjątkowo obfity w wydarzenia wieczór, nie ma co. Zwykle całymi miesiącami nic się nie działo, a tu jak nie gruchnie! Od razu dwa trupy, włamanie i kradzież ponoć cennych, tfu, papierzysek. Poraj ziewnęła szeroko, bo oczy już mu się same zamykały. Co za noc! Z niesmakiem zatrzasnął notatnik i postanowił jednak trochę się zdrzemnąć przed wizytą u gubernatora, który, jak amen w pacierzu, wezwie go jutro z samego rana. Do świtu pozostało niewiele czasu, wszak to czerwiec, ale Jego Ekscelencja będzie go oczekiwał nie wcześniej niż około ósmej rano, więc złapałby kilka godzin snu. Wtedy też myślałoby mu się lepiej, postanowił zatem czym prędzej wprowadzić w czyn swoje zamiary. Zebrał ludzi, wydał im rozkazy odnośnie do dokładnego sfotografowania i zabezpieczenia miejsc zbrodni oraz samego budynku Towarzystwa, które przecież straciło stróża.

Kazał też wezwać starego Maciąga, którego najwyraźniej czas się nie imał, a śmierć pewnie o nim

zapomniała, bo wciąż pracował jako woźnica i nadal na zlecenie policji przewoził zwłoki z miejsc zbrodni. Za sowitą opłatą, rzecz jasna, ale robota była parszywa i nikt inny się do niej nie kwapił. Miał zabrać zwłoki do lodowni w szpitalu św. Ducha, w którym teraz miejsce Jakuba Zaifa zajął jego uczeń, Staś Małyszko. Jasiek bardzo lubił i cenił Stasia, w głębi duszy jednak tęsknił za czasami, gdy sam uczył się od dwóch mistrzów, których uwielbiał: Zaifa i Jezierskiego. Co oni zrobiliby na jego miejscu? Zwykle Zaif wolał sam obejrzyć ciała na miejscu zbrodni i Staś Małyszko pewnie też by tak zrobił, tylko że akurat nie było go w mieście. Pojechał na jakiś zjazd lekarski czy coś takiego i miał wrócić dopiero pojutrze po południu. Zwłoki nie mogły tyle czekać bez schłodzenia. Pozostaną jednak fotografie i szkice, które policmajster sam zrobił. Mimo to niezadowolony Poraj westchnął i potrząsnął głową. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

– Skocz no który po kredę! – zawołał do swoich ludzi.

– Po kredę, szefie? – zdziwił się Stasiak.

– A tobie co? Za echo robisz czy jak? – zirytował się Jasiek. – Nie wiesz, co to kreda?

– Wiedzieć to wiem, ale po co...

– Nie mędrkuj, ośle, tylko przynieś mi kawałek kredy. Niezbyt mały, żeby mi wystarczyło na obrysowanie ciała.

– Aaaa! – wykrzyknął mimowolnie Stasiak, który tym razem wyjątkowo szybko zorientował się, o co chodzi Porajowi. – Znakomity pomysł, szefie!

– No, ja myślę! – odparł Jasiek z nieskrywaną dumą.

Po kolejnych dwudziestu minutach mógł się zabrać do dzieła, z czym uwinął się szybko, przy wydatnej pomocy Stasiaka.

– No, teraz Maciąg może zabierać ciała. Wiecie, co macie robić?

– Tak jest, szefie! Zresztą niedużo już zostało.

– Później możecie iść do domu, poza tymi, co będą pilnować miejsc znalezienia zwłok i budynku.

Dyżury wyznaczone?

– Tak jest, szefie!

– No, to dobranoc.

Z sali, w której leżał martwy strażnik, Jasiek skierował się do holu. Już zamierzał wyjść, kiedy zatrzymał go jakiś dźwięk dochodzący od strony stróżówki, ruszył więc ku niej. Tam zastał psa, leżącego na podłodze, z łbem smutnie opartym na przednich łapach i takim wyrazem oczu, że Jaśkowi serce się ścisnęło, choć był on ostatnią osobą, którą można było podejrzewać o jakieś sentymenty. Ale ten pies... Zwykły kundel, to fakt, ale widać, że zdrowy i dobrze odżywiony. No cóż, pełnił tu funkcję niemal policjanta, nawet pomógł złapać złodziei. Kto wie, czy bez niego stróż w ogóle by coś usłyszał. Straty mogłyby być o wiele większe niż utrata jednego kuferka z papierami. A teraz leży tu samotny i bezpański... Poraj pomyślał, że nie uchodzi zostawić stworzenia Bożego na pastwę losu, bez żadnej opieki. Westchnął po raz chyba setny tej nocy i rozejrzał się za jakimś sznurkiem. Znalazł całkiem mocny w szafce stróża i zaimprovizował coś w rodzaju kagańca i smyczy. Nie bez obaw założył owo ustrojstwo nieznanemu sobie psu, lecz ten widać wyczuł, że Jasiek nie chce mu zrobić nic złego, i nawet nie warknął.

I tak noga w nogę poszli do domu Poraja, który był już tak zmęczony, że nieomal zasypiał na stojąco. W progu mieszkania przy ulicy Grodzkiej powitała go żona, jak zawsze czujna, bo już przywykła do nienormowanych godzin pracy męża; była z niego zresztą niezmiernie dumna. Na widok psa jednak oniemiała, bo była to ostatnia rzecz, jakiej by się spodziewała. Dzieciaki od dawna pragnęły mieć jakieś zwierzątko w domu, choćby kotka lub królika, ale Jasiek twardo się temu sprzeciwiał. A teraz, proszę, sam przyprowadził psa! Na pytające spojrzenie żony policmajster machnął tylko ręką i mruknął: „Jutro”, z czego wywnioskowała słusznie, że mąż musi padać z nóg i wszystko wytłumaczy jej później.

Z samego rana Poraj stawił się u gubernatora i został niezwłocznie wpuszczony. Michał Piotrowicz



Daragan siedział za biurkiem zasłanym stertą papierów.

– Poczekaj chwilę, tylko to dokończę – powiedział i ręką dał gościowi znak, by usiadł, a sam wrócił do opatrywania uwagami jakiegoś dokumentu. Wciąż wyglądał młodzieńczo, a zarazem dostojnie, zapewne z powodu posiwiałych skroni i tajonego smutku, malującego się szczególnie wokół ust i w oczach. Jasiak wiedział, że smutek ów pogłębił się przed laty po śmierci drugiej córki, Marii, która w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym roku utonęła w odmętach zdradliwej Proсны. I tak obie bliźniaczki w dwuletnim zaledwie odstępnie czasu opuściły ten padół łez. Najpierw umarła Anna, w której Jakub Zaif zakochał się niegdyś bez pamięci. Biedaczka zmarła w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku po kilku dniach choroby, która z początku nikomu nie wydawała się śmiertelna. Ot, zwykłe przeziębienie, gorączka – aż tu nagle szast prast i po dziewczynie. Potem zaś Marii zdarzył się ten nieszczęśliwy wypadek. Teraz gubernatorowi pozostali jeno dwaj synowie. Krążyły też co prawda plotki o nieślubnym synu Daragana z panną Michaliną Wiśniewską, pokojówką, dla której gubernator ponoć całkiem stracił głowę...<sup>17</sup> Miecio Zawidzki. Tak się podobno nazywał... W to jednak Jasiak nie zamierzał się zagłębiać. Mało to ludzie plotkują? A im kto wyżej na świeczniku, tym bardziej budzi ciekawość gawiedzi, u niektórych wręcz chorobliwą. A ludzie wręcz wymyślają niestworzone historie, byle tylko przez chwilę wzbudzić zainteresowanie innych.

Z sennego zamyślenia wyrwał go zatroskany głos gubernatora:

– Mów, chłopcze, co też działo się dziś w nocy. Podobno doszło do zabójstwa?

Jasiak zerwał się na równe nogi.

– Niestety, Wasza Ekscelencja ma rację. Ściśle mówiąc, doszło do dwóch zabójstw – oznajmił służbiście.

– Aż do dwóch? – zdumiał się Daragan. – Widzę, że to poważna sprawa. Usiądź, chłopcze. Znamy się nie od dziś i na osobności nie musisz mnie tak oficjalnie tytułować. Opowiedz mi po prostu ze szczegółami, co się stało.

Poraj posłusznie zajął miejsce, ale jakoś niezręcznie mu było, więc wstał, ale na znak gubernatora znowu usiadł. Wyprostowany jak struna zaczął mówić. W trakcie opowieści wróciły emocje, więc Jasiak zapomniał w końcu o etykiecie, zależnościach służbowych i ze swadą dokładnie zrelacjonował wydarzenia z nocy. Daragan uważnie słuchał. W końcu powiedział:

– Wiesz, że to poważna sprawa, prawda? Lada moment otwieramy wystawę, a tu włamanie, kradzież części eksponatów i dwa zabójstwa.

Jasiak tylko skinął głową.

– Wiem, że bardzo pragniesz sam zająć się tą sprawą, ale... sam rozumiesz, że...

– Trzeba wezwać szefa – dokończył Jasiak i natychmiast zakrył ręką usta. Jak mógł wchodzić w słowo gubernatorowi! Zerknął z obawą na Daragana, ale ten tylko machnął uspokajająco ręką.

– Tak, trzeba wezwać agenta Jezierskiego. Na pociechę powiem ci, że doktor Zaif także już przyjechał i pewnie właśnie się rozpakowuje. Będziecie znów pracować razem, jak kiedyś. Poślij kogoś po nich, bo nie ma czasu do stracenia.

Jasiak aż zarumienił się z radości. Z chęcią byłby podskoczył albo klasnął w ręce, ale nie wypadało statecznemu policmajstrowi zachowywać się jak dziecko. Zapytał więc tylko:

– Czy Wasza Ekscelencja pozwoli, bym sam pojechał do Borkowa?

Daragan uśmiechnął się dobrotliwie.

– Oczywiście. Ale wydaj najpierw dyspozycje swojemu zastępcy. Jasiak, a co stało się z tym psem dozorczy? Nakarmił go ktoś? Gdzie on teraz jest?

Poraj uśmiechnął się, a w duchu pomyślał, jakie Kalisz ma szczęście, że taki wspomniały człowiek jest tu gubernatorem. On zawsze pomyślał o każdym, nawet najmniej ważnym stworzeniu, przejął się jego losem. Tylko prawdziwie wielcy ludzie mają tak wielkie serca. Znał jeszcze dwóch takich...

– Sam go wzięłem, Wasza Ekscelencjo, do domu zaprowadziłem, więc głodny na pewno nie chodzi.



– Zatrzymasz go?

– Pewnie tak, bo dzieciaki od dawna już mi suszą głowę, żeby jakieś zwierzątko mieć w domu, choć doprawdy nie wiem, po co, skoro nam samym ledwie miejsca starcza...

– Masz za małe mieszkanie? – zainteresował się gubernator. – Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Gdzieżbym śmiała się skarżyć, ja to się cieszę, że w ogóle udało nam się takie mieszkanie wynająć, bo to i okolica porządna, i czynsz nie za wysoki...

– Jaśku, jesteś urzędnikiem państwowym, dobrze pracujesz, strzeżesz bezpieczeństwa obywateli, więc zasługujesz na porządną pensję i także mieszkanie. Nikt nie będzie ci miał tego za złe. Porozmawiam z Kaminskim, on na pewno wyszuka ci odpowiednią kwaterę, a administracja weźmie na siebie koszt jej opłacenia...

– Ależ Wasza Miłość! – Jasiek omal nie zemdlał z wrażenia, a że nogi się pod nim ugięły, padł na krzesło, by natychmiast się zeń zerwać. Rzucił się do stóp gubernatora, by mu ucałować dłoń, ale ten pogłaskał go tylko po głowie.

– No już, dość tych głupstw, mój drogi, masz robotę, i to pilną.

Jasiek zerwał się na równe nogi.

– Już lecę, Wasza Miłość!

– Czekaj, czy zarządzono już sekcję zwłok?

– Ciała przewieziono do szpitala, ale Staś... to jest doktor Małyszko na pewno nie zaczął jeszcze sekcji, bo wyjechał do Łodzi i wróci dopiero jutro. Nikt inny też jej nie robi, bo w szpitalu mają teraz urwanie głowy z... Jak oni to powiedzieli? A, z zatruciami pokarmowymi. Zdaje się, że po jakimś weselu.

– Dobrze się składa, bo w takim razie sekcję będzie mógł przeprowadzić doktor Zaif. Nie żebym nie miał zaufania do doktora Małyszki, w końcu jest uczniem Jakuba, ale skoro mamy pod ręką samego mistrza...

Poraj tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu, trzasnął obcasami i wybiegł z gabinetu.

– No proszę, jakby mu z dziesięć lat ubyło. Znów biega, zamiast poruszać się z godnością, jak na przedstawiciela władzy przystało... – mruknął do siebie z dobrotliwym uśmiechem Daragan.

– Co Wasza Ekscelencja każe? – zapytał Jacenty, który natychmiast wsunął się do gabinetu, gdy tylko Jasiek z niego wybiegł.

– Nic, nic. Idź do kuchni i zarządź porządną kolację. Dziś wieczór będziemy gościć doktora Zaifa i agenta Jezierskiego.

Jacenty uśmiechnął się szeroko, choć jednocześnie oczy zwilgotniały mu ze wzruszenia.

– Czy przyjadą do pałacu z żonami i dziećmi?

Daragan westchnął.

– Raczej nie. Sprowadza ich tu zbrodnia. Ale nie martw się, po skończonej sprawie na pewno zjadą do nas całymi rodzinami.

Jacenty spochmurniał.

– A tyle lat spokoju było – powiedział, potrząsając siwymi bokobrodami.

– Może za dużo? – rzekł w zadumie gubernator. – Widocznie ktoś tam na górze uznał, że czas znów poddać nas próbie.

– Ależ Wasza Ekscelencjo! Nie zasłużyliśmy na takie próby. To spokojne miasto, pełne bogobojnych ludzi, którzy żyją ze sobą w zgodzie i szanują się nawzajem. Nigdzie wcześniej, gdzie tylko zwierzchność życzyła sobie umieścić Waszą Ekscelencję, nie było nam tak dobrze!

– Jacenty, Jacenty, za stary jesteś na takie idealizowanie miejsc i ludzi. Ludzie wszędzie są jednacy, trochę dobrzy, trochę źli, a od czasu do czasu pojawia się wśród nich prawdziwy potwór, niczym wilk pomiędzy owcami.

– To Wasza Ekscelencja niezwykle trafnie ujął. Dobrze, że mamy na miejscu odpowiednich ludzi,

k którzy zapolują na tego wilka. Polacy mają na to nawet odpowiednie przysłowie: Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka.

Gubernator z trudem stłumił uśmiech.

– Jesteś prawdziwą skarbnicą wiedzy, drogi mój Jacenty. Idź jednak teraz do kuchni i zajmij się kolacją. A mnie każ przynieść herbaty i kilka ciasteczek. I nie zapomnij o konfiturze.

Jacenty obruszył się.

– Raz tylko w życiu zdarzyło mi się o niej zapomnieć, a i to tylko dlatego, że akurat do kuchni wpadła pomywaczka i zalała pół podłogi brudną wodą ze ścierki...

– Jacenty?

– Już idę, Wasza Miłość.

Tymczasem Jasiek sadowił się właśnie na koźle obok Pieti, głównego woźnicy gubernatorskich zaprzęgów. Mimo iż mógł siedzieć wygodnie w głębi powozu, nadal było to jego ulubione miejsce, z którego w dodatku mógł obserwować ulice i ludzi.

– Jedziemy do Borkowa! – oznajmił Pieti. – I nie oszczędzaj koni, bo sprawa jest niezwykle pilna.

Pietia tylko uśmiechnął się pod wąsem.

– A kiedyż to nie była pilna? – mruknął flegmatycznie. – Jak jedziesz do agenta Jezierskiego, to ani chybi jest to sprawa nie cierpiąca zwłoki. A może i same zwłoki? – Tu Pietia roześmiał się z własnego dowcipu, nie zwracając uwagi na powściągliwość Jaśka. – Podobno przyjechał także doktor Zaif?

– Ano przyjechał.

– No to nie musisz się martwić. Rozwiążą sprawę w trymiga!

– Nigdy nie jest tak prosto, jak ci się wydaje, Pietia. Pamiętaj, ile czasu nam zabrało schwytanie Forstera albo Vogla<sup>18</sup>?

– Grunt, że ich złapaliście. I nigdy to nie trwało dłużej niż kilka miesięcy. A gdzie indziej takie sprawy ciągną się jeszcze dłużej albo i w ogóle nie łapią tych skurczybyków.

– Co prawda, to prawda – zgodził się Jasiek i oparł się wygodniej.

Do Borkowa Starego<sup>19</sup>, wsi, w której znajdowała się zakupiona przez Walerego Konstantynowicza Jezierskiego posiadłość, było około sześciu wiorst<sup>20</sup>. Sam majątek, czyli park wraz z zabudowaniami dworskimi i stawem, miał prawie pięć i pół sążnia kwadratowego i był bardzo zadbane<sup>21</sup>. Wjechali na teren parku główną bramą, znajdującą się w jego południowej części, i wkrótce ich oczom ukazał się dworek, który Jezierski gruntownie odnowił. Był to piękny klasycystyczny budynek z początku XIX wieku, skierowany frontem w kierunku południowo-wschodnim. Główne wejście znajdowało się od strony wschodniej, a zdobiły go dwa klomby i niewielkie, ale dobrane ze smakiem skupisko rododendronów, kwitnących obficie w całej gamie barw, od białego do fioletowego. Po przeciwnej, zachodniej stronie wykopano trzy studnie, ale nie było ich widać, gdyż zlokalizowano je pośród naprawdę pięknych drzew. Idąc dalej, wzdłuż wschodniej elewacji budynku napotykało się piwnicę, która pełniła funkcję chłodziarki.

Sam dwór był murowany, otynkowany, z piętrowym, czterokolumnowym portykiem, zwieńczonym trójkątnym frontonem z herbem Wczele i nakryty dwuspadowym dachem z lukarnami. Od strony południowo-zachodniej Jezierski dobudował piętrową część z niską attyką i panopliami<sup>22</sup>. Wewnątrz znajdowała się klatka schodowa z balustradą w stylu empire.

Wokół rozciągał się park<sup>23</sup>. Został rozplanowany na rzucie prostokąta wydłużonego z południa na północ i sąsiadującego od strony wschodniej z podwórzem folwarcznym, od południowej ze spichlerzem i ogrodem użytkowym z warzywnikiem, a od zachodniej z traktem do Tykadłowa. Natomiast od strony północnej znajdował się malowniczy staw. Park, choć niezbyt wielki, był przepiękny, szczególnie o tej porze roku. Właśnie kwitły liczne robinie akacjowe, roztaczające wokół upojną woń, było też kilka jesionów wyniosłych, kasztanowców i klonów oraz okazały dąb, wierzba płacząca nad stawem i krzewiaste cisy.

Gdy powóz wjechał na podjazd, przed dom wyszedł sam Walery Jezierski, paląc cygaro. Czas niewiele go zmienił. Widocznie praca na świeżym powietrzu dobrze mu robiła, bo był teraz dużo szczuplejszy, bardziej muskularny i opalony. W ogóle nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt osiem lat.

– Jasiek! – zawołał zdumiony. – Prędzej nagłej śmierci bym się spodziewał niż ciebie! Co się stało?

Jasiek zeskoczył zręcznie z kozła i odruchowo otrzepał spodnie. Pietia także się wygramolił i z radością podszedł, by się przywitać.

– Od razu coś się musiało stać? – spytał Jasiek, ale spojrzeniem uciekł nieco w bok, co nie uszło uwadze jego szefa. – Słyszałem, że doktor z rodziną przyjechał.

– Widać, że zostawiłem policję w dobrych rękach – zażartował Jezierski. – Doktorowa nawet nie zdążyła rozpakować połowy rzeczy, a doktor nie dopił jeszcze swojego kieliszka wina, a ty już stukasz do drzwi! Proszę, proszę. A teraz mów, co się naprawdę dzieje, bo głowę dam, że coś się stało. I nic nie kręć, już ja cię znam.

– Nic się przed Waszą Miłością nie ukryje – westchnął Jasiek, zsuwając czapkę na tył głowy. – Ano, mamy włamanie, kradzież starych papierzysk i dwa trupy, w tym jeden w Towarzystwie Wzajemnego Kredytu, a drugi niemal tuż obok, ale już na ulicy. Znaczy się w takim zaułku. A wszystko wydarzyło się tej nocy...

Jezierski w mig spoważniał.

– Jak widzę, mamy poważny problem. Otwarcie wystawy nastąpi lada dzień. Pozwól chociaż doktorowi odsapnąć chwilkę po podróży. Zaifowie przyjechali ledwie pół godziny temu, nawet obiadu jeszcze nie zjedli...

– Obiad może poczekać – powiedział spokojnie Jakub Zaif, który niepostrzeżenie stanął w drzwiach i zdążył usłyszeć krótką, acz treściwą relację Poraja. Wyglądał niemal tak samo jak dwanaście lat temu, gdy Jasiek ujrzał go po raz pierwszy, choć skronie nieco przyprószyła mu siwizna, a wokół oczu widać było kilka zmarszczek. Nadal był to wysoki, szczupły mężczyzna o bystrym spojrzeniu, który mimo skończonej czterdziestki wyglądał wciąż młodzieńczo. – Sam wiesz, Walery, że czas jest w takich wypadkach najważniejszy. Ciała zostały na miejscu?

– Nie, Wasza Miłość. Zabrał je stary Maciąg, alem przedtem nakazał dokładnie wszystko obfotografować, a zwłoki nawet obrysowano kredą, więc wiadomo dokładnie, gdzie i jak leżały...

Początkowo zmartwiony Zaif odetchnął z ulgą.

– Bardzo dobrze – pochwalił Jaśka. – Godnie zastępujesz agenta Jezierskiego. Kiedy zdjęcia będą gotowe?

– Mam nadzieję, że już są – uśmiechnął się szeroko Jasiek. – Kazałem je natychmiast przynieść do gabinetu Waszej Miłości w pałacu gubernatora, któren sam z pewnością chętnie zapozna się ze szczegółami.

– W takim razie tylko skoczę po moją torbę lekarską i powiem żonie, że wrócimy dopiero na kolację...

– Już nie musisz, kochanie – powiedziała jego żona Sara, która wyszła przed dom razem z Deborą, małżonką Jezierskiego. Obie panie miały ciemne włosy i kunsztowne fryzury. Wyglądały pięknie i zwiewnie w koronkowych letnich sukniach. Były zadbane i pełne uroku, choć Debora była dobre dziesięć lat starsza od Sary. – Słyszałyśmy, o czym rozmawiacie.

– Przecież was tu nie było – zdziwił się Jezierski.

– Ale okna salonu są otwarte na oścież – uśmiechnął się Zaif.

– No cóż, gdy wychodziłem, obie piłyście herbatę w jadalni – słabo zaprotestował agent. – Widzę, że nasze panie sprawują się nie gorzej niż moi policjanci. Nic się przed nimi nie ukryje.

– Toteż nawet nie próbujcie brykać gdzieś na boki! – oznajmiła Debora, mrugając porozumiewawczo do Sary. – A tak na poważnie, długo was nie było, więc poszłyśmy was szukać w salonie.

– A gdzie diatwa? – zainteresował się nagle Jezierski. – Coś podejrzanie cicho się zachowują. Nasze cztery smyki i wasza trójka stanowią wyjątkowo zgrane stadko; jak broją, to zawsze wspólnie.

– Dzieci pobiegły w głąb parku, a potem na pewno na pola – wyjaśniła Sara. – Nasze dziewczynki stwierdziły, że najpierw muszą się przywitać ze swoimi ukochanymi miejscami, a chłopcy i tak zawsze im towarzyszą. Są rzeczywiście nierozłączni.

– Nic dziwnego, skoro widzą się co dwa lata – mruknął Jezierski, dumny ojciec bliźniaczek i dwóch synów. Zaifowie mieli na razie tylko jednego syna i dwie córki.

– Widywaliby się co roku, gdybyś zechciał się ruszyć i odwiedzić nas w Stanach – oświadczył doktor z lekkim wyrzutem. – Przez ostatnie dziesięć lat byliście u nas tylko dwa razy.

– Sam wiesz, ile trzeba było włożyć pracy, żeby to miejsce wyglądało jako tako.

– Wygląda wzorcowo, szefie – gorąco zapewnił go Poraj, który po powitaniu pań grzecznie odszedł na bok z Pietią i podczas rozmowy przyjaciół rozglądał się wokół z zachwytem. Wreszcie wrócił, by dowiedzieć się, co postanowili. – Jakem był tu w zeszłym roku, kończył pan fasadę i obejście. No i porządkował pan park, bo był strasznie zapuszczony.

– Rzeczywiście – roześmiała się Debora. – Od tej wiosny mam już nawet porządny ogród kwiatowy i warzywnik. Chcesz zobaczyć?

– Nie teraz – przerwał Jezierski. – Może jak wrócimy, chociaż pewnie będzie już wtedy ciemno. Kiedy indziej, Jasiek. Wiesz, że zawsze jesteś u nas mile widzianym gościem. Jak się ta sprawa skończy, to odwiedzisz nas z całą rodziną, z żoną i dziećmi.

– Toż dopiero będzie gromadka! – klasnęła w ręce Sara.

– Ciekawe, jak ich upilnujemy – mruknął ze starannie skrywanym uśmiechem Jezierski. – W końcu mamy tu niemały staw i nie chciałbym, żeby które się utopiło.

– Nasze dzieci świetnie pływają – oznajmił spokojnie Zaif. – Wasze chyba też?

– Też, też, dopilnowałem tego. Zostały twoje pociechy, Jasiek. Pływają?

– Ano nie – westchnął Poraj. – Jakoś nie było okazji, żebym ja sam się nauczył, więc co dopiero dzieciaki.

– Nie martw się, nadrobimy to – poklepał go po ramieniu agent. – Nauczysz się i ty, i twoje dzieci. To ważna umiejętność, gdyż latem i zimą notujemy najczęściej utonięć.

– Rozumiem, że latem – zaciekała się Sara – ale zimą? Przecież nikt się wtedy nie kąpie.

– Nie, ale ludzie chętnie jeżdżą na łyżwach albo chodzą na ryby. Niejeden raz lód się załamał i... Mniejsza z tym, robota czeka. Jakubie, idź po swoją torbę, bo skoro jeszcze się nie rozpakował, to służąca sama jej nie znajdzie.

Gdy Zaif z żoną wszedł do środka domu, zawsze praktyczna Debora zapytała:

– Zmieścicie się w jednym powozie? Może trzeba wyprowadzić nasz powóz...

– Ależ kochanie, w zupełności wystarczy nam jeden powóz. Mieściliśmy się w nim nawet wtedy, gdy byłem znacznie grubszy. A byliśmy zwykle w tym samym składzie.

– To prawda, łaskawa pani. – Poraj stuknął obcasami. – Ośmielę się nawet stwierdzić, że były to wspaniałe czasy.

– Zgadza się – uśmiechnął się Jezierski. – I to pomimo okoliczności.

– Bywało krwawo... – zaczął z werwą Poraj, ale natychmiast przestał, widząc groźny wzrok szefa. – Przepraszam bardzo, ja też raczej nie gadam w domu o robocie. Pietia, szykuj konie – zakończył zmieszany.

– Co tu szykować? Szkapę tylko czekają, żeby ruszyć w drogę. Nawet nie zdążyły się porządnie zasapać, a trochę ruchu przeca im trzeba, co by całkiem nie padły z nudów.

– Teraz to im ruchu raczej nie zabraknie. – Jezierski uśmiechnął się i ucałował żonę na pożegnanie. – Do widzenia, kochanie. Zostaw nam coś na kolację.

– Nie wiem, po co. Na pewno Jacenty o was zadba.

– Nie wiadomo, czy znajdziemy chwilę na posiłek. Musimy najpierw pojechać na miejsce zbrodni, a Jakub będzie chciał choćby tylko wstępnie obejrzeć ciała.



– Ale macie oglądać jakieś zdjęcia u gubernatora. Wtedy na pewno Jacenty coś wam przyniesie z kuchni...

– Na pewno, łaskawa pani – potwierdził skwapliwie Jasiek. – Sam słyszałem, jak Jego Ekscelencja zadysponował ulubione potrawy doktora i szefa, chociaż byłem już za drzwiami.

– Sam widzisz – roześmiała się Debora. – Kolacja nie będzie ci potrzebna.

– Nie wiadomo. Na wszelki wypadek miejcie coś pod ręką dla zgłodniałych mężów. Gotów? – spytał Jakuba, który właśnie pojawił się na ganku, trzymając w jednej dłoni torbę, a w drugiej rękę żony.

– Możemy jechać – odparł doktor i ucałował połowicę. – Uważajcie na siebie i nie pozwólcie dzieciom zbyt długo siedzieć wieczorem.

– Nie martw się, nasze pociechy wieczorem będą już tak zmęczone, że same powpadają do łóżek!

– A nasze osobiście zagonię spać – dodała wesoło Debora. – Na szczęście są posłuszne, choć psotne. Nam się nic nie stanie, Jakubie, ale za to wy bądźcie ostrożni. Macie wrócić w jednym kawałku! Każdy w swoim!

Mężczyźni usadowili się w powozie. Pietia świsnął w górze batem, bo nigdy nie bił zwierząt, i ruszyli. Pietia po drodze postanowił widocznie dotrzymać słowa w sprawie rozruszania koni, bo tak je popędzął, że stanęli przed budynkiem Towarzystwa szybciej, niż przypuszczali. Poraj dumnie poprowadził przyjaciół, zerkając niespokojnie na boki, czy jego ludzie prezentują się dostatecznie profesjonalnie. Modlił się w duchu, by żadnego nie przyłapać na drzemce lub innym bumelowaniu. Po drodze objaśniał szczegółowo, co i gdzie się zdarzyło. Nawet nie musiał przy tym sięgać do notatek, gdyż wszystko miał jeszcze świeżo w pamięci.

Jezierski z Zaifem dokładnie wszystko obejrzeni, z rzadka tylko wymieniając lakoniczne uwagi. Jednak Jasiek zauważył, że doktor bardzo dużo czasu poświęcał na przyglądanie się zakurzonej podłodze, co go i zdziwiło, i zaniepokoiło. Co też, u licha, takiego tam widział?

– To już wszystko, Wasza Miłość – oznajmił w końcu Jasiek i dyskretnie otarł pot z czoła.

Jezierski usiadł na przyniesionym naprędce krześle, których kilka Jasiek kazał ustawić pod samą ścianą, by nie przeszkadzały w oględzinach, i machinalnie potarł podbródek.

– Hm, wygląda na to, że złodzieje próbowali się włamać, pies zaczął szczekać i zaalarmował strażnika, który przepłoszył złodziei. Jednak jeden musiał się schować, co w tej ciemnej i zagraconej sali nie stwarzało najmniejszych problemów. Wezwano policję, która schwytała złodziei. Tymczasem strażnik nagadał się z gapiami i w końcu wrócił. Tu jednak czekał na niego schowany złodziej i zakłął biedaka. Może nie mógł się niepostrzeżenie wymknąć?

– A dlaczego pies tym razem nie zaszczekał? – zapytał Zaif.

– Skąd mam wiedzieć? – stropił się agent. – Może został na dworze?

– Ale Jasiek, gdy wrócił, zastał psa w środku, nie na dworze.

– Może strażnik nie zamknął drzwi i jakiś przechodzień wpuścił psa?

– Cóż to za strażnik, który nie zamyka drzwi!

– Nie wszyscy są sumienni.

– Ale chyba do tak ważnej pracy zatrudnili kogoś sprawdzonego, zaufanego, nie sądzisz?

– Tak by nakazywał rozsądek – zgodził się niechętnie agent. – Ale wiesz, jak to bywa. Było już późno, strażnik na pewno był zmęczony, a poza tym czuł się pewnie, bo przecież przepłoszył złodziei, których szybko schwymano.

– Zgodziłbym się z tobą, gdyby nie dwie rzeczy. Po pierwsze, złodzieje sami stwierdzili, że uciekli wszyscy i nikt z nich nie został...

– To może był tu też Złoty Czesio, żeby dopilnować sprawy?

– To oczywiście możliwe, ale czy Czesio kiedykolwiek kogoś zabił?

– Nie, ale zawsze może być ten pierwszy raz.

– Walery, próbujesz sam siebie przekonać, że masz rację. Najpierw Czesio potrafi działać tak, że nikt



go nie zauważył, nawet wynajęci przez niego ludzie, a potem daje się nakryć strażnikowi? A nawet gdyby, to co, nie umiałby uciec? Do tej pory zawsze mu się udawało, nawet Jaśkowi wymknął się z zasadzki. No właśnie, myślisz, że zdążyłby zrobić to wszystko i wrócić do zajazdu?

– Musiałby się mocno pospieszyć, ale sądzę, że to możliwe.

– No dobrze, na upartego dałby radę. Ale przeczy temu inny fakt.

– Mianowicie?

– Ślady butów. Dokładnie wszystkie obejrzałem, przyjrzałem się też butom policjantów, Jasiek ma takie same. W pobliżu stróżówki i w samej stróżówce miałem możliwość zobaczyć ślady butów strażnika. A w sali znalazłem ślady zupełnie innej osoby. Inny rodzaj obuwia i rozmiar...

– Może to były właśnie ślady Złotego Cześka? – podsunął mu radośnie agent.

– Teoretycznie miałbyś rację, ale Jasiek mówił, że Czesiek ma około stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu i jest słusznej postury. Tymczasem znalezione przeze mnie ślady z pewnością należały do nieco niższego i szczuplejszego mężczyzny.

– Skąd wiesz, jakie stopy ma Złoty Czesiek?

– Nie wiem, ale to można łatwo wyliczyć, znając wzrost i przybliżoną wagę osoby. Oczywiście, zdarzają się wyjątki i wysoki mężczyzna może mieć małe stopy, ale to zwykle rzuca się w oczy i ten młody chłopak, który opisywał Cześka, na pewno by zwrócił na to uwagę. A jak nie on, to ktoś inny. Miałbyś taką informację w swojej kartotece, tymczasem jakoś nigdy nie słyszałem, żeby Złoty Czesiek w ten sposób odbiegał od normy.

– Masz rację – westchnął agent. – Wynika z tego, że włamać próbował się jeszcze ktoś inny.

– Nie próbował, włamał się.

– Faktycznie, źle się wyraziłem. Włamał się, zabił strażnika i wyniósł kufer z cennymi dokumentami przeznaczonymi na wystawę. Co nie znaczy, że nie działał w zмовie ze schwytanymi złodziejami.

– Nie znaczy. Mógł być ich współnikiem.

– Trzeba przycisnąć tych gagatków, może zmienią zeznania.

– To już twoja specjalność, Walery.

– Istotnie, to moja specjalność i zamierzam sumiennie wywiązać się z obowiązków. Czy coś jeszcze rzuciło ci się w oczy?

– Na razie nic specjalnego, choć z czasem się okaże. Początkowo jakieś informacje mogą się wydawać mało istotne, ale później okazuje się, że mają kluczową wagę. Jasiek, zebrałeś odciski palców?

– Oczywiście, doktorze, z czego tylko się dało. Pobrałem też odciski od wszystkich zamieszanych w tę sprawę, także od nieboszczyka.

– Bardzo dobrze. W takim razie chodźmy obejrzyć miejsce drugiej zbrodni.

Wyszli i udali się za Porajem, który poprowadził ich w stronę dość wąskiego zaułka, a właściwie przesmyku, dzielącego budynek Prewitza od sąsiedniego. Tam również stał policjant pilnujący, żeby nikt tamtędy nie przechodził czy w jakiś inny sposób nie zacierał śladów zbrodni. Zaif z Jezierskim zatrzymali się w pewnej odległości od miejsca, w którym znaleziono ciało, i przyglądali się kredowemu rysunkowi postaci na bruku. Przez to, że były to zwykłe „kocie łby”, czyli kamienie nierównej wielkości i kształtu, rysunek był nieco zdeformowany. Może z tego powodu sprawiał zdaniem Zaifa tym bardziej żałosne i przykre wrażenie.

– I tyle pozostało z człowieka – powiedział. – Jakież to przygnębiające! Ktoś żył, miał jakieś plany na przyszłość, marzenia, może kogoś bliskiego, kto teraz pogrąży się w bólu, i teraz nic z tego nie pozostało. Zabójca przekreślił to jednym ruchem...

– Za pozwoleniem, doktorze – przerwał trochę nieśmiało skrupulatny z natury Poraj. – To był zwykły żebrak, może nawet bezdomny. Jakże mógł mieć plany na przyszłość?

– Jasiek, nigdy nie oceniaj nikogo po pozorach – powiedział surowym tonem lekarz. – To, że ten człowiek nie miał zbyt wielu dóbr doczesnych na tym świecie, nie oznacza, że nie marzył o tym, by coś

jeszcze w życiu osiągnąć, zmienić stan, w którym żył. A dla mnie wystarczyłby tylko fakt, że nie miał niczego z własnego wyboru i zwyczajnie cieszył się życiem. Takim, jakie miał. W sumie spokojnym i pozbawionym codziennej walki o pieniądze czy też ich utrzymanie. Każde życie jest bezcenne, drogi Jaśku. Nawet jeśli on sam swego życia nie cenił, to kto wie, jakie plany miał wobec niego stwórca? Może miał uratować komuś życie? Zapobiec czyjemuś nieszczęściu? Mógł zrobić coś pożytecznego dla innych, nawet o tym nie wiedząc.

– Pan doktor to zawsze gada jak z książki i tak przedstawia sprawę, że człowiek zapomina języka w gębie – westchnął Poraj. – Dobrze, że moi ludzie stoją na tyle daleko, że nie słyszą, jak mnie pan tu objeżdża!

– Nigdy nie podważyłbym twojego autorytetu przy podwładnych – uśmiechnął się Zaif. – Ale nie lubię, gdy któraś z bliskich mi osób wygłasza takie pochopne i generalizujące sądy.

– Generalizujące?

– Mniejsza z tym – wtrącił się Jeziński.

– No, mniejsza – zgodził się skwapliwie Jasiek, czym wywołał uśmiech u obu swoich przyjaciół. – Ale – dodał zaraz pospiesznie, z nutką triumfu w głosie – co by wszystko było jasne, ten żebrak nie zginął od jednego ciosu nożem, tylko od kilku, a pan doktor powiedział, że zabójca przekreślił to jednym ruchem!

– To była tylko przerośnia – westchnął agent. – A co to jest przerośnia, za karę dowiesz się sam. Spytaj jakiegoś nauczyciela albo księgarza. A teraz streszczaj, co tu znaleźliście.

– Poza ciałem tego biedaka to nic – stwierdził markotnie Jasiek. – Żadnych śladów butów. – Tu zerknął ze skruchą, ale i wdzięcznością na Zaifa, który ani razu nie dał mu odczuć, że przegapił ślady butów na zakurzonej posadzce na miejscu pierwszej zbrodni. – Tylko ciało i krew wokół niego.

– Lepiej sprawdźmy jeszcze raz – zaproponował agent. – Nie to, żeby ci nie wierzył, Jasiek, ale co trzy pary oczu doświadczonych ludzi...

– Nie obraziłem się, szefie – westchnął melancholijnie Poraj. – Wiem przecież, że nigdy nie zawadzi rzucić okiem jeszcze raz.

Wszyscy trzej zbliżyli się do kredowego rysunku i zaczęli uważnie przyglądać się wszystkiemu wokół.

– Nie było w pobliżu żadnych przedmiotów, choćby drobnych, jak na przykład zapałki? – spytał agent. – Może jakieś śmieci?

Poraj bezradnie rozłożył ręce.

– No właśnie, to jest dziwne, bo zwykle w takim miejscu znajduje się mnóstwo śmieci, ale nie tym razem.

– Walery, to wygląda tak, jakby ktoś specjalnie uprzątnął to miejsce. – Zaif był zmartwiony.

– To prawda. – Jeziński był również zafrasowany. – A to oznacza...

Zapadła chwila milczenia, którą przerwał w końcu zaciekawiony Jasiek:

– Co to oznacza, szefie?

– Że ta pozornie błaha zbrodnia... – Agent zawahał się i zerknął na Zaifa. – Mam na myśli mało ważne stanowisko społeczne tego biedaka...

– Tak, wiem, co masz na myśli – uśmiechnął się mimowolnie Zaif. – Mało kogo wzruszy śmierć jakiegoś żebraka.

– No właśnie. A to oznacza...

– Chciałbym się wreszcie dowiedzieć, co to właściwie oznacza – poskarżył się Jasiek.

– Naprawdę sam na to nie wpadłeś?

– Szefie, pan tu jest od myślenia.

– Nie czuj się zwolniony od myślenia tylko dlatego, że jestem tu ja lub doktor, trutniu! Myśleć masz zawsze. No, to do roboty. Mów na głos, może szybciej ci oświeci. Zacznij od tego, że skoro ktoś oczyścił miejsce, w którym zabito żebraka...

Jasiek westchnął jak miech kowalski.

– Skoro ktoś oczyścił miejsce... – zaczął posłusznie Poraj i przerwał, by po chwili klepnąć się w czoło, aż echo poszło po zaułku. – To znaczy, że ta zbrodnia musi mieć duże znaczenie! Prawda, szefie?

– Prawda. Pozornie błaha zbrodnia w rezultacie okazuje się zbrodnią, która jest bardzo istotna.

– Przynajmniej dla mordercy lub z jego punktu widzenia.

– A to co znów oznacza?

– Że to, co jest ważne dla mordercy, niekoniecznie musi być ważne z punktu widzenia innej osoby.

Na przykład policjanta, który wygłasza powierzchowne sądy i ocenia ludzi po pozorach. I co wtedy?

Proste. Nie zwróci na to uwagi i szybko zamknie sprawę, nie szukając za bardzo zabójcy, bo wyjdzie

z założenia, że to pewnie inny żebrak, z którym zabity pokłócił się o jakiś drobiazg. A coś mi się wydaje,

że sprawcy właśnie chodzi o to, żebyś szybko zamknął sprawę i nigdy nie dotarł nawet w pobliże

prawdziwego zbrodniarza.

– Ależ, szefie!

– Na pociechę powiem ci, że większość policjantów pewnie dałaby się na to nabrać.

– Sam pan widzi, szefie. Staram się, jak mogę, ale człowiek całe życie się uczy.

– Otóż to. Nigdy o tym nie zapominaj, żebyś nie osiągnął zgubnego stanu samozadowolenia, kiedy

będzie ci się wydawać, że pozjadałeś wszystkie rozumy.

– Tak jest, szefie.

Tymczasem Zaif odszedł kawałek dalej od ciała, w kierunku, w którym mógł uciec zabójca, jeśli nie

wrócił tą samą drogą, czyli od ulicy. Zaułek prowadził na podwórze za budynkiem, a z niego można było

wyjscie bramą sąsiedniej kamienicy z powrotem na ulicę. Doktor przeszedł całą tę drogę wolnym krokiem,

nie spuszczać oczu z bruku. Gdy wrócił, miał zamyślony wyraz twarzy.

– Hm, to dziwne – powiedział. – Widzieliście tam dalej...?

– Co? Co? – zaciekawił się i jednocześnie zaniepokoił Jasiek.

– Wygląda mi to na ślady krwi.

– No, przecie! – parsknął Jasiek. – Zadźgał go ktoś, to nie dziwota, że krew pryskała jak z sikawki.

– Jesteś pewien, że nieboszczyk miał przecięte tętnice? – zainteresował się doktor.

– O, jak rany, nie wiem! Ale jak był taki podźgany, to przecie krew musiała tryskać!

– Te ślady są inne – zdecydowanie stwierdził Zaif. – Moim zdaniem zostawił je zabójca.

– Jak to zabójca? – zdziwił się Jasiek.

– Sądzę, że się zranił podczas ataku. To nie takie znów dziwne, jeśli używa się noża. Zakrwawione

ostrze jest śliskie, a wtedy skaleczenie jest niemal pewne. Zresztą sami zobaczcie te ślady krwi.

Poprowadził ich kilka kroków dalej w głąb zaułka i pokazał pojedyncze brązowe plamy w kształcie

łzy.

– Moim zdaniem uciekł tędy, a krew mu kapała ze zranionej ręki, tworząc właśnie takie plamki. Ich

wydłużony koniec wskazuje kierunek, w jakim biegł...

– No, nie wiem – powiedział Poraj sceptycznie. – W końcu krew kapie tu i tam, a ślady są różne...

– I tu się mylisz. Zresztą masz dowód przed oczyma. Te ślady są przecież niemal jednakowe.

– Niby tak.

– Nie niby, Jasiek – stwierdził agent. – Są niemal jednakowe. Doktor ma rację. Ale skąd

przypuszczenie, że ten wydłużony koniec wskazuje kierunek ucieczki, Jakubie?

– To możecie sobie sami sprawdzić, niekoniecznie się kalecząc – uśmiechnął się Zaif. – Wystarczy

jakaś zabarwiona ciecz, żeby się odznaczała od podłoża. Choćby woda z farbką. Polej sobie nią rękę

i zobacz, jak kapie. Gdy stoisz w miejscu, plamy będą okrągłe, najwyżej z mniejszymi odpryskami wokół.

Gdy zaczniesz biec, kapiąca woda przyjmie taki właśnie kształt. To proste zjawisko fizyczne, związane

z prawem powszechnego ciężenia odkrytym przez Newtona. Wydał on w tysiąc sześćset osiemdziesiątym

siódmym roku dzieło o grawitacji...

– Wierzę ci na słowo – przerwał mu pospiesznie agent. – Ale pomysł jest ciekawy. Musimy, Jasiu, sami to sprawdzić w cyrkule. Nie, żebym ci nie wierzył, Jakubie, ale warto zobaczyć to na własne oczy i przekonać się, czy nie ma wyjątków. Tak, warto wiedzieć takie rzeczy, bo to bardzo pomaga w śledztwie. Choćby sama informacja, czy zabójca stał nad ciałem, czy biegł i w którą stronę...

– No właśnie, sprawdźmy jeszcze, czy nad ciałem nie ma okrągłych plam krwi, co by oznaczało, że zabójca stał nad nim chwilę. Im więcej takich plam, tym dłużej stał w jednym miejscu, a krew sobie kapiała. O, widzicie? Tutaj, tutaj i tutaj. – Końcem laski wskazywał im kolejne plamy, które ledwo można było odróżnić od bruku. – Krople w pobliżu ciała oznaczają także, iż rana zabójcy zaczęła szybko krwawić, zatem rana musiała być dość głęboka. Hm, tu nie mam pewności, bo palce dość silnie krwawią nawet przy płytkim skaleczeniu, ale za to krótko. Sam nie wiem...

– Mniejsza z tym – oświadczył agent. – I tak podsunąłeś nam nowe narzędzie do walki ze zbrodniarzami.

– To nie moja zasługa – stwierdził skromnie Zaif. – Francuzi Florence i Fricon zbudowali całą dyscyplinę naukową, żeby dać odpowiedź na pytanie, jak wyglądają ślady krwi, zależnie od tego, czy ulega ona rozprysnięciu, czy tryska z tętnic, czy zostaje rozmazana. Plamy okrągłe albo z ząbkowanymi brzegami wskazywałyby na kapanie kropel krwi, plamy podłużne – skośny kierunek upadku. Jeśli krew pada z niezbyt dużą siłą na poziomą płaszczyznę pod kątem prostym, zostawia inne ślady niż krew silnie rozpryskiwana. Można też odróżnić ślady krwi tryskającej z tętnic od śladów powstałych wskutek wielokrotnego uderzania w skaleczone, zakrwawione miejsce na ciele.

– Ależ to znakomite wieści! Musimy się tego koniecznie nauczyć!

– Najlepiej poprzez praktykę, wtedy twoi ludzie sami się przekonają, że to prawda.

– No i obejdzie się bez narzekań na nowomodne, lecz guzik warte pomysły przełożonych.

– Ktoś kiedyś odważył się przy tobie narzekać? – zdziwił się Zaif.

– Nie wprost, ale mnie wystarczy wyraz twarzy takiego niedowiarka. Jakubie, musisz mnie tego nauczyć, zanim wyjedziesz. A teraz do rzeczy, Jasiu, zapomniałem zapytać, czy przeszukałeś kieszenie tego żebraka?

Poraj spuścił głowę.

– Jeszcze nie, ale tyle się działo...

– W porządku, to nie był wyrzut. Nie da się zrobić wszystkiego naraz. Mam tylko nadzieję, że wszystko znajdziemy w nienaruszonym stanie i nikt niczego nie zwędzi.

– Żaden z policjantów nigdy by się na to nie odważył – zapewnił go Jasiu. – Trzymam ich twardą, ale sprawiedliwą ręką, szefie, tak jak pan!

Jeziński wymienił z Zaifem rozbawione spojrzenia.

– Jestem ci bardzo zobowiązany, mój drogi, ale nie bój się wcielać w życie własnych pomysłów. Nawet jeśli z początku nie jesteś ich pewien. Wszystko wyjdzie w praniu, jak to się mówi.

– Tak jest, szefie.

– Poza tym zwłoki często są okradane. Na szczęście rzadko czynią to policjanci, ale i w naszych szeregach trafiają się czarne owce. Najczęściej dochodzi do tego podczas transportu lub w szpitalu. Ale Maciąga też nie podejrzewam – dorzucił pospiesznie agent.

– W takim razie jest nadzieja, że zobaczymy w szpitalu, co ofiara miała w kieszeniach – zakończył polubownie Zaif. – *À propos*, czy wiadomo, kim był ten żebrak?

– Nie, Wasza Miłość. Nikt go na razie nie rozpoznał i chyba raczej do tego nie dojdzie.

– A czemuż to? – zainteresował się agent, choć domyślał się odpowiedzi.

– Bo ktoś dokumentnie rozwalił nieboszczykowi także twarz.

– Nie wspominałeś jakoś o tym fakcie.

– Zapomniałem, szefie. Ale i tak sekcja dopiero przed nami, a wszystkich szczegółów dowiedziałyby się pan z raportu.



– Słusznie. Co zatem robimy teraz? Jedziemy do szpitala czy do pałacu gubernatora, gdzie pewnie czekają na nas fotografie miejsc zbrodni i wstępne raporty?

– Jedźmy do szpitala – zaproponował Zaif. – Nie zrobię, co prawda, błyskawicznej sekcji, ale dokonam zewnętrznych oględzin, a wy w tym czasie obejrzyjecie zawartość kieszeni nieboszczyka. Może twarz nie będzie aż tak zmasakrowana i da się sporządzić choćby portret przypominający ofiarę za życia i ktoś ją jednak rozpozna.

– Jedźmy w takim razie do szpitala – zdecydował Jezierski. – Będziemy mieli więcej informacji dla Jego Ekscelencji.

W szpitalu św. Ducha panowało wielkie zamieszanie. Osławione już w całym mieście wesele trwało trzy dni i przewinęło się przez nie ponad trzysta osób. Niestety, większość uległa zatruciu pokarmowemu i wiele z nich wymagało leczenia szpitalnego.

Trójka przyjaciół przemknęła zupełnie niezauważona w tym chaosie i wreszcie Zaif z wielkim wzruszeniem przekroczył progi swego dawnego królestwa, pomieszczenia, które przed kilku laty wynajął od szpitala za własne pieniądze. Urządził w nim nowoczesne laboratorium, a za nim pokój do przeprowadzania sekcji, w którym poczesne miejsce zajmował duży metalowy stół. Przy laboratorium wydzielił też coś w rodzaju niewielkiego gabinetu, gdzie miał biurko, dwa krzesła i szafkę na dokumenty. Teraz laboratorium należało do miasta, ale pracował w nim tylko jeden człowiek, Stanisław Małyszko, oficjalny lekarz sądowy i patolog, konsultujący wszystkie budzące wątpliwości przypadki medyczne. W większości dotyczyło to osób żywych i łączyło się z wypłatą odszkodowania, dlatego Staś nie narzekał na brak pracy. Sekcje zwłok zdarzały się dość rzadko, a już sekcje ofiar zabójstwa prawie nigdy. W ciągu minionych dziesięciu lat, kiedy to doktor Zaif wyjechał na stałe do Ameryki, były tylko dwa takie przypadki, zresztą dość proste, ponieważ chodziło o zabójstwo w afekcie – niewiernej żony oraz sąsiada.

Wzruszony Zaif rozglądał się po pomieszczeniu, które niemal nie zmieniło się od czasów, gdy sam je urządził. Przybyło kilka nowocześniejszych narzędzi, ale zauważyłby je tylko specjalista. Jezierski także doświadczał silnych wrażeń, ponieważ Małyszko najwyraźniej był wielbicielem należącej niegdyś do Zaifa kolekcji starych narzędzi chirurgicznych i zachował je wszystkie. Oto budząca dreszcz zgrozy piła tarczowa Graefego, która szczyrzyła zęby w upiornym uśmiechu. Trepan, który z boku wyglądał jak korkociąg, jako że miał podobną rączkę, straszył grubym ostrzem pośrodku, podczas gdy wokół otaczały go mniejsze. Rozwieracz laryngologiczny zdawał się mrugać porozumiewawczo, jakby zapraszając do współpracy. Ostrza piły na korbkę do cięcia czaszki może i służyły tylko do rozcinania części czaszki tak, aby umożliwić dostęp innym narzędziom, niemniej teraz agent miał wrażenie, iż chciały wwiercić mu się w głowę. Kleszcze litotomiczne do chwytania małych kamieni pęcherzowych, narzędzia do wrywania zębów i gilotyna do usuwania migdałków błyszcząły zachęcająco, udając, że są całkowicie niegroźne, podczas gdy były po prostu odrażające. Podobnie jak mocno wydłużone narzędzie do wyciągania kul, które było w stanie dosięgnąć pocisk tkwiący głęboko w ciele pacjenta. Sztuczna pijawka z kolcami do nakłuwania i ręczna piła do amputacji wywołały u agenta taką słabość w nogach, że gdyby nie podparł się ręką o ścianę, to by upadł.

Niebacznie omiół kątem oka sąsiednią gablotę, gdzie ujrzał nożyczki jelitowe Dupuytrena, a obok wykonane z kutego żelaza instrumenty położnicze i szprycę służącą do przepłukiwania ran. Stwierdził, że ma dość, gdy jego wzrok padł na coś wyglądającego dużo bardziej niewinnie i interesująco zarazem.

– Poznajesz? – zapytał Zaif, widząc słaby uśmiech na bladym obliczu przyjaciela.

– Wyobraź sobie, że tak. To lewatywa z dymu tytoniowego, o ile dobrze pamiętam – stwierdził Jezierski.

– A to co znowu za lichy? – zdumiał się Poraj. – Pan wie, szefie?

– Wiem – uciał krótko agent, nie zagłębiając się w szczegóły.

– Do czego to służy? – dopytywał się chłopak.

– Może wyjaśnisz Jaśkowi? – zaproponował doktor.

– Wierzaj mi, Jasiek, nie chcesz tego wiedzieć – oznajmił uroczyście agent z szelmowskim błyskiem w oku, gdyż był przekonany, że Poraj tym bardziej będzie się dopytywał. I nie omylił się.

– Ja bym jednak bardzo chciał wiedzieć! Może szef powie...

– Mogę ci co najwyżej zademonstrować użycie tego narzędzia. Oczywiście na tobie.

Jasiek odruchowo cofnął się dwa kroki.

– Może najpierw pan doktor mi wyjaśni, na czym to polega, skoro pan nie chce, szefie.

– Ależ bardzo proszę – uśmiechnął się szeroko Zaif. – Lewatywa tytoniowa polega na wdmuchnięciu dymu tytoniowego w odbyt pacjenta. Pierwotnie stosowano ją w celach reanimacji ofiar zbyt długiego przebywania pod wodą, później dla różnych innych medycznych celów. Podłużną końcówkę wkłada się nieprzytomnemu w odbyt, a następnie wprowadza dym przy pomocy dmuchawy. Temperatura oparów miała sprzyjać poprawie oddychania.

Jasiek cofnął się o kolejne dwa kroki i otarł pot z czoła.

– I co, mam ci to zademonstrować? – spytał Jezierski.

– Szkoda tego dymu, szefie. – Jasiek nadrabiał miną. – Zmarnowałby pan tylko cygaro.

– Popatrz, Jakubie, jaki chojrak! – zaśmiał się agent. – Tyle że stoi już przy samych drzwiach, aby mógł w każdej chwili czmychnąć!

– Wcale nie – zaprotestował Poraj, ale miejsca nie zmienił. – Chętnie to sobie kiedyś obejrzę, w końcu jakiś topielec może się zawsze trafić.

– Nie martw się, będzie jak znalazł, gdy zaczniesz już u nas naukę pływania – pocieszył go obłudnie agent.

– Nieprędko znajdę na to czas, szefie, jestem bardzo zajęty. Ostatecznie do tej pory pływanie nie było mi do niczego potrzebne. O, proszę spojrzeć, pan doktor już zabiera się do nieboszczyka, więc za chwilę dostaniemy zawartość kieszeni denata.

– Nie zechcielibyście mi pomóc? – zaproponował Zaif, rzucając figlarne spojrzenie na agenta. – Będzie szybciej.

Agent zbladł i najchętniej natychmiast by wyszedł, ale na drodze do drzwi wyjściowych stał mu Poraj. Nie chcąc okazywać słabości przy podwładnym, Jezierski zaczął wycofywać się w stronę małego gabinetu, gdzie kiedyś Zaif z Małyszka spożywali także posiłki, jeśli wypadło im długo pracować.

– To ja zaparzę herbatę – oznajmił i nie czekając na odpowiedź, pospiesznie zniknął za drzwiami. – Jasiek na pewno chętnie ci pomoże – dobiegł ich jeszcze jego przytłumiony głos.

– Chodź, Jasiek, bo sam nie dam rady rozebrać biedaka – stęknął doktor. – Nie masz się czego bać, martwi w niczym nam już nie zagrażają. Tylko żywych należy się obawiać.

Nieco zdezorientowany Jasiek przeszedł z ociąganiem do pomieszczenia sekcyjnego.

– Wiem, że ma pan rację, doktorze – sapnął, starając się omijać wzrokiem leżące na metalowym stole ciało – ale jakoś mi nieswojo.

– To normalne – pocieszył go Zaif. – Ale zapewniam cię, że łatwo przywyknąć. A ty już przecież nie raz widziałeś zwłoki.

– No tak, ale na miejscu zbrodni.

– Zatem pomyśl sobie, że jesteś właśnie na miejscu zbrodni.

– Jakoś nie potrafię – stwierdził markotnie Poraj.

– No cóż... – Zaif właśnie sobie przypomniał, że trzeźwo myślący Jasiek nigdy nie grzeszył nadmiarem wyobraźni. – Ale nie zaprzeczysz, że jesteśmy w szpitalu, a tu często przecież zdarzają się zgony. A czy to śmierć naturalna, czy gwałtowna, nie ma znaczenia, wszak...

– ...trup to trup – dokończył Jasiek, biorąc się pod boki, co wyraźnie dodało mu animuszu. – Ma pan rację, nie ma się czego bać. I każdy z nas kiedyś znajdzie się w tym stanie.

– Jesteś nieoceniony – mruknął Zaif, oglądając leżące na stole mocno okaleczone zwłoki. Znoszone ubranie było podziurawione i pokryte zaschniętą krwią. Uniósł dolny brzeg koszuli, czy też czegoś, co

kiedyś nią było, i odsłonił kawałek ciała na brzuchu. Potem długą chwilę przyglądał się ranom.

– Hm, to dziwne – powiedział wreszcie.

– Co takiego?

– Te rany.

– Dlaczego, doktorze?

– Nie wyglądają jak typowe rany po nożu.

– Jakżesz to! – wykrzyknął Jasiek. – Przecież sam widzę, że ciało jest podziurawione jak sito!

– Niewątpliwie są to rany klute – przyznał Zaif – lecz moim zdaniem nie zadano ich nożem.

– A czym?

– Nie jestem pewien – oznajmił powoli Zaif, który usłyszał cichy skrzyp drzwi. Nie odwrócił głowy, ale i tak był pewien, że Jezierski uważnie słucha ich rozmowy.

– Czym można kogoś zadźgać, jak nie nożem? – dziwił się Jasiek.

– Mój drogi, każdym ostrym narzędziem. Choćby różnem, szpadą, włócznią, długim gwoździem, dłutem, wkrętakiem, nożyczkami, a nawet drutem do robótek.

– Drutem do robótek? – powtórzył skonsternowany Poraj. – Ale chyba nie tym razem? Nie chciałbym aresztować jakiejś kobieciny, która pasjami lubi dziergać szaliki...

– A po cóż jakaś kobieta miałaby zabijać żebraka? – teraz zdziwił się doktor. – Każdy przecież mógłby zabrać czyjś drut i go użyć w zbrodnym celu.

– To fakt – odetchnął z ulgą Jasiek. – Nie wiem czemu, ale człowiek zwykle zakłada, że sprawcą jest... jakby to powiedzieć... właściciel narzędzia. A przecież mają do niego dostęp inni ludzie.

– Dobrze rozumiesz – pochwalił go doktor, wciąż uważnie przyglądając się ranom i odzieży.

– A wracając do naszego nieboszczyka, czym go według pana zadźgano, doktorze? Jestem pewien, że nie drutem do robótek, bo po nim byłyby małe, okrągłe dziurki w ciele, a tutaj rany są inne.

– Jasiek, ty się po prostu marnujesz! Dlaczego nie pójdziesz do szkoły? Skończyłeś przecież tylko podstawową. Gdybyś rozwinął swoje umiejętności, poszerzył wiedzę...

– Eeee, jakoś nigdy nie lubiłem szkoły – bąknął zawstydzony Jasiek. – Nie szło mi najlepiej, a poza tym musiałem szybko iść do pracy, żeby pomóc matce.

– Wielki błąd, ale rozumiem. Wciąż jednak możesz go naprawić. Na naukę nigdy nie jest za późno. A jeśli nie szkoła, to ucz się sam. Są książki, a wielu ludzi chętnie ci pomoże, podpowie, co czytać... Choćby Staś Małyшко, daleko nie szukając.

– A pan Parczewski?

– Tego nie wiem, ale nie zawadzi go zapytać. Z tego, co wiem, on cały czas się dokszałca.

– Przemyślę to – obiecał Jasiek. – A co do narzędzia...

– Tak, tak, jasne, że chciałbyś to wiedzieć, ale pewności nie mam. Według mnie to było jakieś ostrze, ale raczej cienkie, a jednocześnie dość płaskie. No i ostre. Zobacz, brzegi ran są gładkie, nieposzarpane. Pasowałyby mi szpada, ale kto dziś używa szpady?

– To fakt. Ale taką broń można jeszcze znaleźć.

– Z pewnością. Ktoś może mieć pamiątkę po przodkach, niektórzy kolekcjonują militaria...

– Na wystawie są właśnie militaria – wyszeptał z przejęciem Poraj.

Doktor i młody policjant spojrzeli na siebie.

– Będziesz to musiał sprawdzić, Jasiek. Może coś jeszcze stamtąd zginęło. Ale pamiętaj też, że szpadę niełatwo ukryć. Gdyby ktoś po mieście paradował z taką bronią, na pewno zauważyłoby to mnóstwo osób.

– Tym lepiej dla nas – stwierdził dziarsko Jasiek. – Ale z wystawy raczej czegoś takiego nie ukradziono. Na wszelki wypadek to jednak sprawdzę. Ja i moi ludzie, bo sam z wszystkim nie podołam.

Zaif nie słuchał go zbyt uważnie, wciąż zastanawiając się nad narzędziem zbrodni.

– A podczas włamania do magazynu? – zapytał.

– Pan Parczewski zrobił dokładny spis skradzionych rzeczy, ale nie zaszkośli się upewnić. Może ktoś miał coś takiego przysłać, ale rzecz nie dotarła, bo ktoś ukradł ją w drodze.

– Tak, to też możliwe.

– Porozmawiam z panem Parczewskim.

– Bardzo dobrze. A teraz wreszcie zdejmijmy ubranie z tego biedaka i sprawdzmy zawartość jego kieszeni. Gotowy?

– Tak jest – odparł Jasiak i uśmiechnął się raźno.

W tejże jednak chwili rozległo się pukanie do drzwi i do środka głowę wsadził Stasiak.

– Szeffie! – zawołał, rozglądając się ciekawie po laboratorium.

– Czego tam? – odkrzyknął Poraj i ruszył w jego stronę.

– Dostaliśmy zgłoszenie o napadzie na pewną młodą damę. Podobno żebracy...

Nie dokończył, gdyż drzwi gabinetu otworzyły się z trzaskiem i pojawił się w nich Jeziarski.

– Napad? – zatarł ręce. – Doskonale! Ja się tym zajmę. A wy bierzcie się do roboty. Spotkamy się w pałacu gubernatora.

I wyszedł zważym krokiem w towarzystwie wniebowziętego Stasiaka, odprowadzony zaskoczonymi spojrzeniami przyjaciół.

## Rozdział 3

– Może zaczniemy jeszcze raz, bo nadal nie bardzo rozumiem, o co tu chodzi – powiedział zmęczonym głosem Jeziarski. – Kto w końcu panią napadł?

Lekko zirytowany rzeczywisty radca stanu stał na rogu ulicy Mariańskiej, która niedawno była świadkiem niecodziennych wydarzeń. W bezpiecznej odległości za nim zgromadził się już niewielki tłumek gapiów, zerkających ciekawie na osoby, które oddzielała od nich surowa obecność dwóch stójkowych.

Przed Jeziarskim stała malownicza grupa składająca się z dobrze ubranej młodej kobiety oraz trzech żebraków, trzymających się w pełnej szacunku odległości. Rozdygotana Eliza Garszyńska dość chaotycznie próbowała właśnie wyjaśnić agentowi, co się stało, lecz nie na wiele się to zdało.

– Może ja będę zadawał pytania, a pani po prostu na nie odpowie – zaproponował agent, któremu żal się zrobiło słaniającej się na nogach panny. Szczególnie że pamiętał ją jeszcze jako nastolatkę, którą wkrótce dotknęła tragiczna śmierć rodziców. Nie chciał jej jednak zabierać do cyrku, bo nie było to miejsce dla młodej damy, a obecność trzech obdartych, brudnych i, co tu dużo mówić, wydzielających niezbyt miły zapach mężczyzn wykluczała możliwość wejścia do pobliskiego hotelu. Pozostawało szybko załatwić sprawę na ulicy.

Panna skinęła tylko głową.

– Kto na panią napadł? Bo jak zrozumiałem, nie byli to ci trzej... dżentelmeni?

– Nie, skądże, oni mnie uratowali, za co jestem im nieskończenie wdzięczna. Ale nie wiem, kto mnie napadł.

– Czy to znaczy, że go pani nie zna, czy też może nie zdążyła się mu pani przyjrzeć?

Panna zastanowiła się chwilę, co odwróciło jej uwagę od własnych przeżyć.

– Na pewno nie zdążyłam mu się przyjrzeć, gdyż wszystko działo się strasznie szybko. Poza tym on był tak jakoś zamaskowany...

– Miał czymś zasłoniętą twarz? – zainteresował się Jeziarski.

Garszyńska uśmiechnęła się mimo woli.

– Nie miał maski jak zbójca z powieści, jeśli o to panu chodzi. Lecz twarz przesłaniał mu kołnierz i wysoko zawiązany halsztuk. Na pewno starał się ją ukryć. Poza tym zauważyłam tylko długi, obszerny płaszcz, nie wiem zatem nawet, w co i jak był ubrany.



Agent przyjrzał się jej bacznie.

– Hm... Mimo to pani opis bardziej pasuje do kogoś z wyższych sfer niż do zwykłego bandyty wywodzącego się z gminu. Mało który rabuś z gminu nosi halsztuk, osobiście żadnego takiego nie spotkałem. Wynika z tego, że był to ktoś lepiej urodzony, choćby urzędnik albo ktoś przynajmniej zamożniejszy.

– Cóż, gdy ujął to pan w ten sposób, to muszę przyznać panu rację. Choć to dziwne, prawda?

– Dlaczego?

– Jak to! Przecież osoby z towarzystwa nie trudnią się napadami.

– Hm, nie byłbym tego taki pewien, choć może rzeczywiście napady niekoniecznie wchodzą w zakres ich aktywności. Pamiętam kilku morderców, którzy pozbawili życia więcej niż jedną osobę, a wszyscy oni pochodzili z tak zwanych dobrych rodzin. Daleko nie szukając, tak jak Forster, zabójca pani rodziców<sup>24</sup>.

Eliza pobladła, a na jej twarzy odmalowały się po kolei zdziwienie, szok, potem gniew, a na końcu smutek.

– Ma pan zupełną rację – powiedziała głucho. – Jak mogłam być taką naiwną gąską, która sądzi, że tylko ludzie z gminu mają skłonności do przestępstw.

– Proszę nie robić sobie wyrzutów, gdyż tak zazwyczaj po prostu jest. Pospolite uliczne napady są dziełem pospolicitych ludzi, którzy tą drogą chcą szybko coś zdobyć. Im wyższe sfery, tym bardziej wyrafinowane przestępstwa, ale jednak wciąż są to przestępstwa. Mniejsza z tym, wróćmy do naszego napastnika. Mówił coś do pani, poznałaby pani jego głos?

Eliza potrząsnęła głową.

– Niestety, żałuję, lecz nie odezwał się ani słowem.

Jeziński potarł podbródek.

– Hm, to niewiele mamy informacji o tym gagatku. Spróbujmy zatem ugryźć ten problem z innej strony. Dysponuje pani jakąś znacznie większą kwotą w gotówce?

– Prawdę mówiąc, tak. Właśnie sprzedawałam większą część kolekcji ojca panu Kobierzyckiemu. Między innymi po to przyjechałam do Kalisza. Prawie wszystkie formalności załatwiliśmy listownie i poprzez prawników, ale musiałam być obecna podczas przekazania kolekcji. Inaczej pan Grabowski... Oj, przepraszam, teraz majątkiem zarządza jego zięć, pan Kapaliński, który miał ją w depozycie, nie wydałby jej, nawet gdyby pan Kobierzycki dysponował notarialnym pełnomocnictwem.

– Hm, to wiele wyjaśnia, a przynajmniej daje do myślenia. Pieniądze są zawsze najczęstszym motywem napadów, choć nie sądzę, by nosiła pani przy sobie gotowiznę. Mam rację?

Eliza skinęła głową.

– Lepiej by mu było zacząć się na bagaż pani lub napadać na panią w podróży powrotnej. Ale przestępcy nie zawsze grzeszą mądrością, inaczej byśmy ich nigdy nie wyłapywali. Na wszelki wypadek radziłbym jednak wpłacić pieniądze do któregoś banku i odebrać gotówkę dopiero w Warszawie. Wiem, że to więcej zachodu, a i procent sobie potracą niemały, krwio pijcy, zawsze to jednak bezpieczniej.

Panna zapewniła go, że jeszcze dziś pójdzie ze stryjem i jego służącym do banku lub wyśle pieniądze przez kogoś zaufanego.

– To dobrze. A dokąd właściwie pani szła, panno Elizo?

– Do Hotelu Europejskiego, w którym zatrzymał się mój stryj.

– Byliście państwo umówieni?

– Tak, na obiad.

– Czy ktoś o tym wiedział?

Eliza spojrzała na niego zdumiona, nie mogąc pojąć, po co agentowi taka informacja.

– Tylko pani Łączkowska, u której mieszkam. Z nikim innym nie miałam jeszcze czasu się zobaczyć, gdyż przyjechałam z Warszawy zaledwie dwa dni temu.

– Nikt nie był świadkiem państwa rozmowy?

– Zdaje się, że lokaj hotelowy, ale co to ma właściwie do rzeczy?

– Nie chcę pani straszyć, ale z pani opisu oraz z tego, co powiedzieli pani, hm, obrońcy, wynika, że napaść na panią mogła być zaplanowana.

– Tak pan myśli? – zdumiała się. – Ale nie posądza pan chyba lokaja o znowę z jakimiś bandytami...?

– Na razie nic nie podejrzewam, ale i niczego nie wykluczam. A już dla porządku, ten lokaj nie wydał się pani dziwny? To znaczy, czy nie zachowywał się dziwnie?

Garszyńska roześmiała się.

– Po prawdzie to tak. Był młody, bardzo przystojny i niezbyt wprawny w swym fachu!

Jezierski także się uśmiechnął.

– No cóż, jeśli są to zarzuty takiej natury, faktycznie trudno przypuszczać, że to on panią napadł. Chyba że w taki sposób chciał doprowadzić do bliższej znajomości z panią.

– To chyba lepiej by było, gdyby mnie ratował, niż napadał, nie sądzi pan?

Agent był przyjemnie zaskoczony logiką jej wypowiedzi. Najwyraźniej po pierwszym szoku dziewczyna przyszła już do siebie i na pewno była osobką rezolutną.

– Ma pani rację, ale może nie miał zaufanego przyjaciela, który odegrałby rolę napastnika, więc musiał działać sam. Najpierw chciał upozorować napad, a po chwili wybiegłby pani na ratunek z pobliskiej bramy, wołając głośno, że właśnie przegonił jakiegoś bandziora i pytając szarmancko, czy nic się pani nie stało. Na koniec zaofiarowałby pani swoje ramię w drodze powrotnej. Całkiem dobry sposób na zawarcie znajomości, nie sądzi pani?

– Jak najbardziej. Niestety, nikt prócz tych trzech panów nie pojawił się w zasięgu wzroku, ale i tak jestem rada, że akurat się zjawili.

– Tak, to bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności. Na dziś to wszystko. Jeśli chce pani wrócić do domu pani Łączkowskiej, to dam pani eskortę...

– Nie, nie, dziękuję panu, ale obiecałam stryjowi, że zjem z nim obiad i spędzimy razem czas aż do wieczora.

– W takim razie stójkowy odprowadzi panią do hotelu i sprawdzi, czy nikt podejrzany się nie czai w holu lub salonie. Każę mu też mieć oko na wszystkich młodych i przystojnych lokajach czatujących na posażne młode panny.

– Ależ proszę nie robić sobie kłopotu. A już na pewno nie chciałabym zaszkodzić Bogu ducha winnemu lokajowi!

– No cóż, jak sobie pani życzy, ale gdyby coś wzbudziło pani niepokój lub wydało się dziwne, proszę mnie zawiadomić. Nawet gdyby to był drobiazg. Ostrożności nigdy dosyć.

– Tak pan to powiedział, jakby groziło mi jakieś wielkie niebezpieczeństwo – zażartowała Eliza, lecz w jej spojrzeniu czaił się niepokój.

– Na razie nie mam podstaw, by tak sądzić – uspokoił ją agent. – Jednakowoż, jak już powiedziałem, ostrożności nigdy dosyć. Może to był chuligański napad, może nawet spodobała się pani jakiemuś ladaco, jednak wolałbym dmuchać na zimne. Wkrótce wielkie otwarcie wystawy i już do miasta zjeżdżają się różni ludzie. Większość to porządni obywatele, pasjonaci, zamożni kolekcjonerzy. Ale tam, gdzie pieniądze i drogie przedmioty, nie brakuje i złodziei, którzy śledzą takie okazje i przyjeżdżają nieraz z daleka. Niedawno mieliśmy już kilka włamań, zabito też stróża pilnującego eksponatów na wystawę oraz bezdomnego, którego nazwiska jeszcze nie udało się nam ustalić. Słyszała pani ostatnie wieści? Nie? Pewnie dziś w hotelu o niczym innym nie będzie się rozprawiać. Proszę zatem na siebie uważać. A jutro przyślę kogoś, żeby spisał protokół z tego zdarzenia. Gdzie mam pani szukać? Ach, u pani Łączkowskiej lub w hotelu? Bardzo dobrze.

To mówiąc, skinął na stójkowego i kazał mu odprowadzić pannę Garszyńską. Gdy kobieta zniknęła mu z oczu, Jezierski zajął się przesłuchiowaniem trzech żebraków. Ich zeznania nie wniosły jednak nic

nowego w sprawie napadu, poza tym że potwierdziły relację panny Garszyńskiej. Jak to barwnie opisał jeden z nich, Antczak, który agentowi wyglądał na samozwańczego przywódcę tej grupki, akurat wychodzili sobie zza rogu, gdy ujrzeli, że jakiś osobnik w długim czarnym płaszczu ściska kobietę za szyję i ciągnie ze sobą. Od razu było widać, że to nie przekomarzanie się kochanków, bo panna wyraźnie się opierała, chociaż nie krzyczała, ruszyli więc w ich stronę. Potem okazało się, że krzyczeć nie mogła, tak ją bowiem skubany przydusił, że ledwo dychała. Z napastnika musiał być jednak niezły kozak, bo uciekł, dopiero gdy wyciągnęli noże. Przedtem wydawało im się nawet, że był gotów do bitki z nimi trzema naraz, więc musiał być albo bardzo odważny, albo bardzo głupi. Zaraz potem dobiegł ich turkot szybko odjeżdżającego powozu.

Wysłuchawszy tej barwnej, przerywanej wieloma okrzykami relacji, Jezierski mocno się zafrasował. Nie dał jednak po sobie nic poznać, przeciwnie, pochwalił mężczyzn za odwagę i nagroził każdego rubelkiem, czym zyskał sobie ich wielką wdzięczność. Zaowocowało to tym, że z własnej inicjatywy obiecali mu w razie czego donieść o ewentualnych niepokojach w mieście czy planowanych włamaniach, choć Jezierski nie miał złudzeń, że co najwyżej wydadzą jakichś obcych złodziejasków, którzy do Kalisza przyjechali na „gościnne występy”.

Przy okazji dowiedział się jednak jeszcze jednej rzeczy, a mianowicie, że od jakiegoś czasu w mieście dochodziło do agresywnych ataków na żebraków i bezdomnych. I to nie byle jakich, bo kilka razy nie skończyło się na poszturchiwaniu czy pobiciu. Nie obyło się bez dotkliwych ran, jeden taki to nawet umarł, bo zakażenie mu się wdało, a na lekarza nie miał. Żaden z przesłuchiwanym mężczyznom nie umiał jednak powiedzieć, kto napada, bo sprawca zawsze był zamaskowany. Wiedzieli tylko, że to jakiś młody mężczyzna, co można było rozpoznać po ruchach i głosie, chociaż napastnik bardzo rzadko się odzywał. Z reguły atakował zniemacka, cicho, bez żadnego uprzedzenia i litości. Tak samo potem znikał.

Mężczyźni oczywiście słyszeli, że któryś z nich został zeszłej nocy zamordowany, lecz nie potrafili powiedzieć kto. Na pewno nikt z ich „rewiru”. Obiecali jednak dać znać, gdy tylko się czegoś dowiedzą. Agent kazał zatem stójkowemu spisać ich nazwiska i pożegnał się z nimi nad wyraz grzecznie, podając każdemu rękę. Ta niespotykana uprzejmość drugiej po gubernatorze osobie zrobiła wielkie wrażenie nie tylko na nich, ale i na stojących w pobliżu gapiach. Jezierski wiedział jednak, co robi. Zawsze powtarzał, że więcej much złapie się na miód niż ocet, a teraz coś mu mówiło, że najwyraźniej nadszedł czas, kiedy to przedstawiciele tak zwanego marginesu będą mu potrzebni. Albo on im. A może i jedno, i drugie.

Jezierskiego ucieszył, a jednocześnie zmartwił fakt, że kaliscy żebracy postanowili się dla bezpieczeństwa trzymać teraz w grupach. Z jednej strony, to dobrze, że potrafili się zorganizować, z drugiej – źle to świadczyło o kaliskiej policji, która nie potrafiła zapewnić bezpieczeństwa obywatelom, choćby tym najmniej znaczącym.

Wrócił do pałacu gubernatora wolnym krokiem, rozmyślając nad tym, co usłyszał, oraz nad tym, co też tym razem los im szykuje; bo że coś szykowało, było dla Jezierskiego pewne. Już on miał nosa do takich spraw i teraz jego nos wyczuwał coś, co bardzo, ale to bardzo mu się nie podobało.

Na miejscu czekali już na niego przyjaciele. Właśnie zasiadali do stołu w towarzystwie gubernatora i jego żony oraz dwóch pań, z którymi gubernatorowa utrzymywała ściślejsze stosunki. Tego popołudnia były u niej na herbacie i z radością przyjęły zaproszenie na obiad.

– Pani Janina Modrzycka – żona gubernatora po przedstawieniu mężczyznom kończyła właśnie wzajemną prezentację – i pani Genowefa Schrajer.

Tymczasem odmłodzony o dziesięć lat Jacenty dwoił się i troił, nadzorując podawanie do stołu coraz to nowych smakołyków i osobiście doglądając najdrobniejszych szczegółów. Po dwakroć zmieniał serwetki, zmiatał srebrną szczoteczką niewidoczne okruchy z obrusa i z trudem dał się powstrzymać przed odesłaniem butelki wina, które nie wydało mu się dość dobre, bo nie „oddychało” dostatecznie długo.

Rozmowa przy stole toczyła się wartko i polegała głównie na wymianie nowin, które ze względu na

obecność Zaifa zataczały coraz to szersze kręgi, zahaczając przy tym również o Amerykę. Jezierski jednak pilnował, by nie zeszła na tematy wydarzeń z ubiegłej nocy.

Po smacznym i obfitym posiłku panowie przeszli do gabinetu gubernatora, by omówić ostatnie wydarzenia.

– Jego Ekscelencja wybaczy, ale muszę przynieść świeże opakowanie cygar – oświadczył Jacenty, który w niepojęty sposób wsunął się za nimi zupełnie niezauważony. – Obawiam się, że te całkiem już zwietrzały.

Daragan uśmiechnął się pod wąsem, ale nie zdążył odpowiedzieć, gdyż Jezierski otworzył na oścież drzwi i wymownym gestem wskazał kamerdynerowi wyjście.

– Głowę dam, że są znakomite i wcale nie zwietrzały – powiedział serdecznie, acz stanowczo. – Lepiej przynieś nam kawę i koniak, a i czymś słodkim także bym nie pogardził.

Spochmurniały Jacenty natychmiast się rozpromienił i zdematerializował.

– Nie wiem, co mam powiedzieć, gdy już to wszystko przyniesie – poskarżył się Jezierski. – Może Jego Ekscelencja coś wymyśli, żeby Jacenty zostawił nas wreszcie samych?

Daragan uśmiechnął się dobrotliwie.

– Nie ma co wymyślać. Wystarczy powiedzieć, że musimy spokojnie porozmawiać, a już Jacenty dopilnuje, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

– Ależ to znaczy, że biedak będzie warował niczym smok tuż za drzwiami.

– No i cóż z tego? Drzwi są mocne i grube, na pewno nic nie usłyszysz. A nawet gdyby, to jestem pewien jego dyskrecji.

– Nie o to się martwię. – Jezierski zapalił cygaro. – To już starszy człowiek i nie powinien stać na korytarzu, narażony na niewygodę i przeciagi.

– Nikt z nas, niestety, nie młodnieje, Waliesza – westchnął gubernator. – Ale nie żałuj staremu człowiekowi tego, co sprawia mu radość.

– Nawet za cenę kataru? – Agent uśmiechnął się szelmowsko.

– Wszak mamy doktora pod ręką – ton Daragana był równie żartobliwy. – I wiosna już w całej krasie, nie jest zimno.

– Może na dworze, ale w tych grubych murach zawsze wieje chłodem.

– To każ mu się ubrać i już nie marudź.

Jezierski odpuścił sobie jednak dyskusję z wiernym sługą na temat cieplejszego ubioru, bo i tak wiedział, że nic nie wskóra w kwestii etykiety, która w takim miejscu absolutnie wykluczała inny ubiór niż liberia.

– Zbierzmy zatem wszystkie informacje, którymi dysponujemy – zaproponował Jezierski, gdy wszyscy już wygodnie usiedli, obstawieni troskliwie przez Jacentego filiżankami z kawą, kieliszkami koniaku oraz słodyczami. – Później postanowimy, co dalej.

– Pewnie to, co akurat wypadnie – westchnął Zaif. – Obawiam się bowiem, że na razie za mało wiemy, by cokolwiek skutecznego przedsięwziąć.

– Jak zwykle optymista! – skwitował nie bez ironii Jezierski.

– Nie może być aż tak źle – łagodził Daragan. – Na pewno już coś wiecie.

Jezierski potarł podbródek.

– Obawiam się, że tym razem Jakub ma rację. Nie znamy jeszcze nawet nazwiska drugiej ofiary, choć wciąż nie ma pewności, czy oba zabójstwa w jakiś sposób się łączą.

– Według mnie to prawie pewne – stwierdził Zaif.

– Ja także podzielam zdanie doktora – oświadczył uroczyście Poraj,omal nie pękając przy tym z dumy, że zasiada w tak szacownym gronie.

– No cóż, czas pokaże – mruknął filozoficznie agent. – Choć i ja jestem skłonny się z wami zgodzić.

– No dobrze, zostawmy na razie tę kwestię – powiedział gubernator. – Na razie wiem tylko to, co



zrelacjonował mi Jasiek. Czy wiadomo coś więcej?

– Niewiele – westchnął agent. – Powiedz, Jakubie, co udało ci się ustalić po oględzinach ciała.

– Sekcję przeprowadzę dopiero jutro – zastrzegł doktor – całkowitej pewności zatem nie mam...

– Po prostu podziel się z nami swoimi wnioskami, kochanku – powiedział łagodnie gubernator. –

Będziemy pamiętać, że to na razie nie do końca sprawdzone informacje.

– Niewiele doprawdy mogę dodać w tej sprawie. Na razie wszystko zdaje się świadczyć o tym, że obie zbrodnie popełniono w podobny sposób, to znaczy przy użyciu noża. Jednej ofierze zadano wiele ciosów, co moim zdaniem świadczy albo o zaciekłości zabójcy, albo o jego osobistym zaangażowaniu, gdyż niemal każdy cios mógł być śmiertelny i nie było potrzeby zadawać ich tak dużo...

– Co masz na myśli, mówiąc o osobistym zaangażowaniu zabójcy? – zainteresował się agent.

– I którą ofiarę masz na myśli? – poparł go Daragan.

– Pewnie Borowca, strażnika – domyślił się Poraj. – Bo to przecież on złodziejowi najbardziej przeszkadzał w kradzieży.

– Otóż mylisz się, Jaśku – odparł doktor. – Najwięcej ciosów otrzymał ten niezidentyfikowany mężczyzna. Sam przecież widziałeś. Strażnikowi wbito nóż w klatkę piersiową, ale innych ran nie znalazłem.

– No właśnie, dlaczego tego żebraka tak pokłuł? – dopytywał się Jasiek.

– W czym mógł mu zagrażać? – gubernator także nie krył zdziwienia.

– Może coś widział? – zaczął się zastanawiać na głos Poraj.

– To prawdopodobne – ostrożnie przyznał doktor.

– A może po prostu nie lubił żebraków? – zastanawiał się dalej Jasiek. – Ale żeby od razu zabijać?

– Ha! – wykrzyknął niespodzianie agent i zerwał się na równe nogi. – Jasiek ma rację!

– Tak? – Zdumienie Poraja było wręcz niebotyczne.

– A konkretnie w jakiej kwestii, jeśli można wiedzieć? – spytał gubernator.

Jezierski zaczął energicznie spacerować.

– Ten zabójca nie lubi żebraków! Zanim tu przyszedłem... – Przerwał na chwilę, by uporządkować myśli.

– ...musiałeś bardzo pilnie sprawdzić napad na jakąś kobietę, pamiętamy – przerwał mu Zaif ze starannie skrywanym uśmiechem, który jednak nie uszedł uwadze agenta. Ten tylko pogroził mu palcem, ale nie obruszył się za tę uwagę. Zamiast tego powiedział:

– Ha! I tu sprawa robi się co najmniej dziwna!

– Mówże, Waliesza, nie trzymaj nas w takim napięciu – łagodnie skarcił go gubernator. – Jestem ogromnie ciekaw, czego takiego się dowiedziałeś, że zrywasz się z fotela i biegasz mi po gabinecie tak szybko, że niemal robisz przeciąg!

– Otóż po pierwsze, tą kobietą okazała się Eliza Garszyńska – oznajmił niemal uroczyście Jezierski.

– No, no – mruknął tylko Zaif, podczas gdy gubernator z Porajem wydali okrzyk zaskoczenia i poczęli domagać się szczegółów.

Jezierski z satysfakcją streścił im niedawne wydarzenia i opowiedział także to, czego niejako niechcący dowiedział się od trzech żebraków na temat ataków na nich.

– Jak się domyślacie, żaden z nich nam tego nie zgłosił – powiedział na zakończenie. – Ze zrozumiących względów ci ludzie nie lubią policji ani jej nie ufają. Ale moja wrodzona uprzejmość – tu dumnie wypiął pierś – spowodowała...

– Czy uprzejmość może być wrodzona? – zdziwił się Zaif. – To raczej nabyta umiejętność...

– Mniejsza z tym – szybko przerwał mu agent. – Najważniejsze, że powiedzieli mi coś, czego wcale nie zamierzali policji ujawniać, bo woleli działać sami. Niezbyt to dobrze o nas świadczy, ale teraz... Sami rozumiecie – zakończył nieco niezręcznie, gdyż właśnie dotarło do niego, że jak na razie są to tylko dodatkowe informacje, który w niczym nie pomagają rozwiązać sprawy zabójstwa strażnika i włamania.

– Czyżby było dwóch zabójców? – gubernator powiedział na głos to, co właśnie wszystkim przyszło do głowy.

– Niewykluczone – stwierdził ostrożnie agent. – Wszak już mieliśmy do czynienia z podobnym przypadkiem<sup>25</sup>.

– Tak, to prawda – zafrasował się Daragan.

– A mnie nie podoba się tak duża zbieżność w czasie tych dwóch zabójstw – doktor był innego zdania. – Musiałyby to być ogromny zbieg okoliczności. Za duży, jak dla mnie, a przecież to ty, Walery, zwykle powtarzasz, że nie ma zbiegów okoliczności.

– I zdania nie zmieniłem. Lecz musimy wziąć pod uwagę także i taką możliwość.

– Och, hipotez możemy stawiać wiele – zgodził się z nim Zaif. – Później należałoby je gruntownie przedyskutować, tak żeby każdy mógł podać swoje wnioski i pomysły. To zawsze dobrze wpływa na proces myślenia.

– Tak? – zaciekawiał się Poraj, zawsze gotów nauczyć się czegoś nowego, pod warunkiem, że mogło mu się to przydać w pracy. – A w jaki sposób to działa, panie doktorze?

– Jasiek, na litość boską, nie teraz! – zawołał agent.

– Ale...

– Cicho bądź. Później doktor wszystko ci wyjaśni. Teraz trzeba postanowić, jakie działania powinniśmy podjąć.

– Ja na pewno zajmę się sekcją zwłok – oznajmił Zaif. – To mi zajmie cały dzień.

– Ty, Jasiek, pójdziesz pogadać z żebrakami. Tylko grzecznie, żeby ich nie zniechęcić, bo coś czuję, że mogą nam się przydać.

– A my im – dodał pogodnie gubernator. – Trzeba coś zrobić dla tych biedaków, nie godzi się, żeby istoty ludzkie żyły w taki sposób.

– Z całym szacunkiem, ale Wasza Ekscelencja nie wie, że wielu z nich całkiem nieźle zarabia na tym procederze – obruszył się Poraj. – Zapewniam Wasze Miłości, że niczego im nie brakuje.

– Ale nie powiesz chyba, że wszyscy oni tacy cwani? – zaniepokoił się Jezierski. – Naprawdę każdy z nich opływa w dostatki?

– No nie, ale kilku na pewno...

– To zajmij się tymi, co są naprawdę biedni i nie mają pracy – poradził szef. – A szczególnie bezdomnymi.

– Trzeba koniecznie ustalić tożsamość tego biedaka z mojej lodowni – dodał Zaif. – Nie zapominajmy, że często łatwo znaleźć zabójcę, oczywiście, jeśli morderstwo popełniono na tle osobistym.

– A nie mógłbym tam posłać Stasiaka? – spytał markotnie Jasiek.

– Przecież sam chciałeś rozwiązywać sprawę zabójstwa tego nieznanego biedaka – przypomniał mu Daragan z uśmiechem. – No to masz już tę sprawę. Nie narzekaj.

– Naprawdę?! – Jasiek zerwał się, ale zaraz się opanował. – Mogę, szefie, poprowadzić to śledztwo?

– Możesz, możesz. Tylko masz mi o wszystkim zaraz meldować, bo co, jeśli się okaże, że doktor ma rację i obie sprawy jakoś się łączą? Wszyscy musimy być na bieżąco.

– Ma się rozumieć! Dziękuję, szefie!

– A co ty będziesz robił, Waliesza? – zapytał gubernator.

– Porozmawiam jeszcze raz z Elizą Garszyńską i jej stryjem. Ten napad to jakaś podejrzana sprawa.

– Co sugerujesz?

– Właśnie nie wiem, ale nos mi mówi, że coś tu nie pasuje.

– Przypuszczasz, że dziewczyna cię okłamała?

– Nie, ona z całą pewnością mówiła prawdę, lecz cały ten napad brzydko mi pachnie. No cóż, obawiam się o jej bezpieczeństwo i jestem prawie pewien, że to nie koniec.

– Masz dowody albo chociaż poszlaki wskazujące na jakieś konkretne przestępstwo? Może się w coś

wmieszała?

– Nic nie mam i nic konkretnego nie wiem poza tym, co usłyszałem od niej i tych żebraków. A tak przy okazji, nie sądzicie, że coś za dużo tych żebraków? Przy śmierci Borowca trup żebraka, przy napaści na Garszyńską trzech obrońców, też żebraków. Nie, to nie może być tylko zbieg okoliczności.

– No, nie wiem. – Daragan nie wydawał się przekonany. – Ale ufam twojemu policyjnemu instynktowi. Jeśli jest coś do odkrycia w sprawie tego napadu na dziewczynę, na pewno to znajdziesz.

– Mam nadzieję, ale nie zmartwię się specjalnie, jeżeli tym razem okaże się, że nie miałem racji.

– Tak, to nie byłoby źle.

Przerwało im pukanie do drzwi.

– A kogóż to znowu niesie? – zirytował się Jeziński. – Przecież wyraźnie zazaczyłem, żeby nam nie przeszkadzano.

– Musi to być zatem coś ważnego – uspokoił go Daragan. – Nikt z pałacu by nas nie niepokoił. Zresztą chyba już skończyliśmy, prawda? Czy też są jeszcze jakieś sprawy do omówienia?

– Nie, masz rację.

– Jasiek, otwórz drzwi. Zobaczmy, jakież to nowiny ktoś nam niesie.

Poraj podszedł do drzwi i otworzył je z rozmachem. Za nimi stał Stasiak w towarzystwie wyraźnie niezadowolonego Jacentego.

– Mówiłem mu, że nie wolno Waszym Miłościom przeszkadzać, ale...

– Już dobrze, mój drogi – powiedział uspokajająco gubernator. – Wpuść go do nas.

– Co tam, Stasiak? – spytał Poraj, obdarzając biedaka najsurowszym ze swych spojrzeń. – Oby to było coś ważnego!

– Tak sędzę, szefie – wyszeptał pobladły policjant, miętosząc w ręku czapkę i zerkając ciekawie na gubernatora i Zaifa, a potem na gabinet. Same znakomitości, a on wśród nich! A to się jego Kaśka zdziwi, gdy jej o tym opowie. Może nawet da sobie ukraść całusa...

– No? – groźnie powtórzył Poraj, kołysząc się na szeroko rozstawionych nogach.

Stasiak z trudem oderwał się od gorączkowego notowania w pamięci wszystkich szczegółów wyposażenia wnętrza i wyglądu osób w nim zgromadzonych.

– Dostaliśmy do cyrkule wiadomość. Znaczą telegram.

– Telegram? – zdziwił się Poraj. Rzadko dostawali tą drogą jakieś informacje. Komuś musiało się spieszyć. – Od kogo?

– Od pana Kobierzyckiego z... z... miałem tu gdzieś zapisane...

– Z Bogumiłowa – odpowiedział mu litościwie Jeziński, przysuwając się bliżej. – Wiemy, o kogo chodzi. Gdzie ten telegram?

– Ano – Stasiak podrapał się po głowie, którą zaraz potem spuścił – chyba żem go zgubił po drodze...

– Zgubiłeś? – pozornie spokojny ton i wzrok Poraja nie wróżyły podwładnemu nic dobrego.

Struchlały Stasiak aż się skulił w sobie. Nie śmiał podnieść oczu. Taka kompromitacja! I to wobec kogo!

– Albo może zostawiłem w cyrkule... – wyszeptał.

– To sobie załatwicie później – zniecierpliwiał się agent. – Mów, co było w tym telegramie. Pamiętasz chociaż?

Twarz biedaka natychmiast się rozjaśniła.

– Krótki był! – zawołał radośnie. – Toć co mam nie pamiętać!

– Mów zatem.

– Ano, stało tam, że zdarzyło się coś ważnego i że ktoś włamał się do tego jegomościa. Znaczą do tego Kobierzyckiego z... z...

– Bogumiłowa. To wszystko? – Jeziński był bardzo zdziwiony.

– I prosi o przybycie kogoś. Znaczą kogoś od nas. Znaczą się z policji...

Zdumienie agenta wzrosło.

– Ależ to nie nasza jurysdykcja! To inna gubernia!<sup>26</sup>

Jeziński przeszedł w głąb pokoju, bliżej przyjaciół i zaczął coś im tłumaczyć przyciszonym głosem, tymczasem Poraj nachylił się w stronę podwładnego.

– Stasiak, wracaj do cyrkułu tą samą drogą i szukaj telegramu! – nakazał wściekłym szeptem. –

Najpóźniej jutro rano mam go widzieć na biurku! Taki wstyd!

– Wiem, Wasza Miłość – odrzekł pełen skruchy Stasiak. – Może jednak zostawiłem go w cyrkule?

– Oby tak było! A teraz jazda do roboty!

Stasiak wyprężył się, skłonił wszystkim i spiesznie wyszedł, szczęśliwy, że dostał burę tylko od Poraja. Mogło się skończyć dużo gorzej.

W tym czasie pozostali przestali nawet szeptać, gdyż zanim wyszedł Stasiak, do gabinetu wkroczył Jacenty i od razu zajął się ich naczyniami. Poczekali więc, aż za nieszczęśliwym policjantem zamkną się drzwi, a troskliwy kamerdyner wymieni im kieliszki i filiżanki oraz uzupełni ich zawartość. Dopiero potem wrócili do rozmowy.

– Warto to jednak sprawdzić – poradził gubernator. – Mam na myśli telegram. Jedź tam z samego rana. Z panną Garszyńską porozmawiasz później. Gdybyśmy mieli kolej, to zdążyłbyś to zrobić jeszcze tego samego dnia, ale końmi... No cóż. W obie strony jak nic zjedą ci co najmniej dwa dni.

– Dwa dni?! – wykrzyknął mimo woli zdumiony Zaif. – Przecież mamy już rok tysiąc dziewięćsetny... To chyba niemożliwe?

– Mój drogi, wciąż zapominasz, że nie jesteśmy w Ameryce – uśmiechnął się pobłażliwie agent. – Własnym powozem i tak odbędę tę podróż szybciej.

– Szybciej?

– Gdybym wyjechał z Kalisza dyliżansem, dajmy na to o godzinie jedenastej rano, w Łodzi byłbym o dwunastej, pierwszej w nocy. Do Warszawy byłoby jeszcze gorzej, gdyż podróż trwałaby jakieś trzydzieści sześć godzin... No ale teraz ludziska zwykle dojeżdżają dyliżansem tylko do Łodzi i tam przesiadają się na kolej. Podróż skraca się do jakichś dwudziestu godzin<sup>27</sup>. Ja natomiast wyjadę wczesnym rankiem, nie muszę się nigdzie zatrzymywać, tylko do zmiany koni, przybędę zatem w okolicy Łodzi wieczorem. Gdyby mi się udało od razu porozmawiać z panem Kobierzyckim, to po zanocowaniu mógłbym znów z samego rana wyruszyć w drogę powrotną. Wieczorem byłbym już w Kaliszu. To nie tak znów źle.

– Ale kolejną...

– Trudno – przerwał mu agent. – Nie mamy jeszcze kolei, zatem nie ma co gdybać.

Daragan westchnął. Od lat starał się o pozwolenie na budowę linii kolejowej dla Kalisza, ale carskie władzy wciąż nie wyrażały na to zgody<sup>28</sup>. Największym jej wrogiem był oczywiście generał Hurko, który z bliżej nieokreślonych przyczyn nie znosił gubernatora Daragana, przekładając tę niechęć na całą kaliską gubernię i szkodził jej, kiedy tylko mógł, choćby blokując wszelkie inicjatywy służące jej rozwojowi.

Daragan pamiętał jak dziś wizytę Hurki sprzed kilku lat, a dokładniej z 16 czerwca 1891 roku, kiedy to sam „naczelnik kraju” odwiedził nowy kaliski ratusz. Przyjął wtedy miejscową deputację z prezydentem Zachwatowiczem na czele i nawet wysłuchał tej od lat ponawianej prośby, ale stwierdził tylko, że „współczuje potrzebie Kalisza z powodu kolei, ale on nie będzie popierać budowy”. Jako człowiek konsekwentny słowa dotrzymał i przez kolejne sześć lat nic w tej sprawie się nie działo.

Na szczęście nic nie trwa wiecznie, tak więc i zniechęconego w całym kraju Hurkę zastąpił w końcu ktoś inny. Najpierw był to Szuwałow, a po nim księżę Aleksander Imeretyński, który dla odmiany przyjaźnił się z Daraganem<sup>29</sup>. Księżę zawitał do Kalisza 13 czerwca 1897 roku i przyjął na audiencji dwie delegacje – miejską i ziemiańską. Obydwie przedłożyły memoriał w sprawie budowy kolei, na co Imeretyński dyplomatycznie powiedział: „Z zasady nic nie obiecuję, współczuję jednak najzupełniej waszym życzeniom i o ile to będzie możliwe, postaram się coś zrobić”<sup>30</sup>. W tym przypadku akurat dobrze



się stało, że i on słowa dotrzymał, bo już w następnym roku sztab naczelny wyraził zgodę na budowę kolei pod warunkiem, że trasa pójdzie przez Łódź i Koluszki, a tory będą szerokie. Dekret o budowie kolei car podpisał dokładnie 28 lutego 1898 roku, co było jednoznaczne z podjęciem decyzji o jej budowie. Nic dziwnego, że i ten dzień głęboko zapadł gubernatorowi w pamięci.

Zaraz potem przedstawiono pierwsze oferty. Pułkownik Tyzenhausen wysunął projekt budowy kolei elektrycznej i zelektryfikowanie wszystkich miast leżących na trasie. Pojawili się i inni konkurenci do koncesji, m.in. hrabia August Potocki, hrabia Tomasz Zamoyski, Zarząd Kolei Fabryczno-Łódzkich. W listopadzie 1899 roku pod przewodnictwem gubernatora Daragana rozpatrzono wszystkie podania i przyjęto jedynie oferty Tyzenhausena i kolei warszawsko-wiedeńskiej oraz wybrano trasę, która biegła z Warszawy przez Sochaczew, Łowicz, Zgierz, Łódź, Pabianice, Łask, Zduńską Wolę, Sieradz i Opatówek do Kalisza.

– A właśnie, jak tam budowa kolei? – zapytał z zainteresowaniem Zaif. – Walery pisał mi, że coś się ruszyło w tej sprawie?

– Jego Ekscelencja może być z siebie zadowolony – powiedział z dumą Jezierski. – Po wielu latach jego bezskutecznych zabiegów najważniejsze problemy tej inicjatywy zostały w końcu rozwiązane: wybrano ofertę, trasę i zdecydowano się na rosyjski, szerszy rozstaw szyn<sup>31</sup>.

– Martwię się, że potrwa to jeszcze bardzo długo<sup>32</sup>. A kto wie, jak długo tu pozostanę? Wszak w każdej chwili mogą mnie przerzucić gdzie indziej albo w ogóle...

Gubernator nie dokończył i zapatrzył się zamyślonym wzrokiem gdzieś w dal. Zdumiony Zaif posłał Jezierskiemu pytające spojrzenie. Ten jednak pokręcił tylko głową, a doktor zrozumiał przekaz. Wszystkiego dowie się później.

– Zatem ustalone – odezwał się Daragan już normalnym, opanowanym tonem. – Ty, Waliesza, jedziesz z rana do pana Kobierzyckiego, Jasiek z ludźmi odszukuje żebraków, rozmawia z nimi i stara się ustalić, kim był zabity mężczyzna, a doktor przeprowadza sekcje.

– A co z panną Garszyńską? – zapytał markotnie Jezierski. – Jakoś mi ta sprawa nie daje spokoju. Może chociaż wyślemy do niej Stasiaka, żeby spisał zeznania i miał ją na oku? Poza tym mogła sobie coś przypomnieć przez ten czas.

– Sądziś, że coś jej grozi? – zaniepokoił się gubernator.

– Nie jestem pewien, ale faktem jest, że ktoś ją napadł. Może zechce ponowić atak?

– A jeśli to był zwykły napad rabunkowy? Złodziejowi jest raczej obojętne, kogo napada, i nie ma podstaw sądzić, że po raz drugi wybierze pannę Garszyńską.

– Chyba że wie, iż dostała właśnie sporo gotówki.

– I tak lepiej by zrobił, gdyby włamał się do domu, w którym mieszka ta panna, zamiast ponownie na nią napadać – zauważył Zaif. – Jakie są szanse, że pani Garszyńska nadal będzie te pieniądze nosić przy sobie? Nawet niezbyt inteligentny złodziej chyba się domyśli, że po czymś takim panna wpłaci pieniądze do banku lub da je komuś na przechowanie.

– Otóż to – zgodził gubernator.

Agent nie wydawał się przekonany. Nerwowo przemierzał gabinet i co chwila tarł podbródek.

– Wasz tok rozumowania jest jak najbardziej poprawny – zaczął powoli – ale...

– Tak?

– Już wam mówiłem, że coś mi się w tej sprawie nie podoba! – wyrzucił w końcu z siebie dość gwałtownie. Był poirytowany, bo sam nie potrafił określić, co mu nie daje spokoju. Nie miał żadnych konkretnych podstaw, ale czułby się lepiej, gdyby wiedział, że młoda kobieta ma kogoś do ochrony poza nie najmłodszym stryjem, który na pewno nie zdoła obronić ani jej, ani siebie.

Sprawę rozstrzygnął gubernator.

– Waliesza, jeśli masz się wciąż zamartwiać, to już lepiej poślij tam Stasiaka. Przynajmniej będziesz spokojniejszy. Co prawda, mamy trochę mało ludzi, bo większość z nich jest zajęta ochroną zbiorów na

wystawę oraz pilnowaniem porządku w mieście, ale jedną osobę możemy chyba oddelegować, prawda, Jasiak?

– Prawda, Wasza Ekscelencjo! Ja bym jednak polecał Lipskiego. Jest bystrzejszy. A jeśli ktoś ma działać bez wsparcia, to lepiej, żeby miał głowę na karku.

– Bardzo ci się chwali, że znasz swoich ludzi – Daragan nigdy nie szczędził słów uznania. – W takim razie jutro z samego rana poślijcie Lipskiego. A teraz, panowie, czas odpocząć przed jutrzejszym dniem. Pietia was odwiezie.

– Dziękuję – odparł Jezierski. – I może lepiej będzie, gdy przenocuje u nas. Po co ma biedak wracać po nocy. Przyjedziemy jutro wczesnym rankiem we dwa powozy. Ja swoim pojedę do Bogumiłowa, a Pietia zostanie w pałacu.

Wyszli z gabinetu i przez hol skierowali się do wyjścia. Tam spotkali gubernatorową wraz z paniami z obiadu, które także czekały na powóz. Rozmowa zesłała na zbliżające się otwarcie wystawy.

– Wiem, że to wielka śmiałość z mojej strony – powiedziała nagle pani Modrzycka, oblewając się rumieńcem – i że wszyscy państwo będziecie na otwarciu... My oczywiście także... Ale chciałabym zaprosić państwa do nas dwudziestego czwartego na wieczór... Wraz z małżonkami, naturalnie. – Spojrzała nieśmiało na Zaifa i agenta. – To będzie dla nas wielki honor. W tym dniu mój syn obchodzi imieniny, ale odbędzie się również inna ważna dla nas uroczystość, a mianowicie zaręczyny mojej córki Heleny.

Nieco zaskoczona gubernatorowa natychmiast zaczęła jej gratulować, a po chwili zdumienia dołączyli do niej pozostali, choć Jezierski musiał nadrabiać miną, gdyż w obecnej sytuacji spotkania towarzyskie były ostatnią rzeczą, o jakiej marzył. Pomyślał jednak, że dla jego „zakopanej na wsi” żony będzie to miłe urozmaicenie, więc stłumił westchnienie i dołączył do gratulujących.

W powozie zaniepokojony Zaif nie omieszkał zagadnąć przyjaciela o dziwne słowa gubernatora odnośnie do jego niepewnej przyszłości, choć bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że dosłownie zasypał go pytaniami.

– Walery, wytłumacz mi, proszę, co miał na myśli gubernator Daragan, mówiąc, że nie wiadomo, jak długo tu zostanie? Co to właściwie znaczy? Że w każdej chwili mogą go gdzieś przerzucić? Przecież to najwyższy urzędnik carski na terenie guberni kaliskiej, czyż nie?

Jezierski westchnął ciężko i odruchowo rozejrzał się wokół, jakby chciał się upewnić, że nikt ich nie słyszy. Albo jakby spodziewał się znaleźć ukrytego tu gdzieś wroga, pomyślał Zaif.

– Najpierw muszę cię uprzedzić, że wszystko, co tu powiem, musi pozostać wyłącznie między nami – powiedział cicho agent. – Tak, wiem, że jesteś nad wyraz dyskretny, lecz tym razem nawet drobna nieuwaga z twojej strony może doprowadzić do katastrofalnych skutków. Jesteś przyzwyczajony do życia w wolnym kraju, którego zostałeś obywatelem, i zapomniałeś pewnie trochę, jak się tu żyje.

Zaif solennie obiecał, że będzie bardzo ostrożny w tej materii i nie będzie z nikim postronnym o tym rozmawiał, więc Jezierski podjął temat.

– Rzeczywiście, Michał Piotrowicz jest najwyższym urzędnikiem carskim na tym terenie, ale nawet on nie działa bez żadnej kontroli.

– Kontroli? – zdumiał się Zaif.

– A tak. Każdego urzędnika w terenie nadzoruje żandarmeria Królestwa Polskiego, rodzaj tajnej policji carskiej. Tak było i jest. Nie wiem, na ile znasz przeszłość gubernatora, ale ci powiem, że zanim Michał Piotrowicz został kaliskim gubernatorem, sprawował tę samą funkcję w Wołogdzie, a to, jak pewnie wiesz, Rosja, a nie Kraj Przywiślański. Już wtedy znany był z łagodnego i humanitarnego usposobienia, czego najlepszym przykładem może być fakt, iż żywo interesował się warunkami życia zesłańców politycznych i starał się je poprawić. Wówczas jeszcze nie było mnie przy nim, ale w Petersburgu chodziły słuchy, że właśnie zbyt tolerancyjne podejście do zesłańców było powodem jego przeniesienia do Królestwa. Tutaj dla odmiany niemal od początku zarzucano mu, że nie w pełni realizuje

politykę rusyfikacyjną.

– Według Polaków to właśnie stanowi jedną z jego licznych zalet – zauważył doktor.

– Oczywiście, ale to, co jest zaletą dla Polaków, jest wadą dla Rosjan. A od jakiegoś czasu naczelnicy żandarmerii ślą raport za raportem do władz zwierzchnich, wprost oskarżając Daragana o liberalizm i polonofilstwo.

– Czy wcześniej też ślali?

– Oczywiście, lecz dużo rzadziej i nie w tak, powiedziałbym, alarmującym tonie. Obecnie sytuacja mocno się zaogniła. Ruch socjalistyczny niezmiernie się rozwinął i dociera do coraz liczniejszych mas w całym Imperium Rosyjskim. Rzecz jasna, są to głównie robotnicy, ale też chłopci i Żydzi. A największy problem w tym, że socjaliści głoszą między innymi konieczność wyzwolenia się z niewoli cara, więc sam rozumiesz... Wszyscy teraz wzajemnie się szpiegują, a władza... No cóż, władza chyba drży z niepokoju o swoją pozycję i każde odstępstwo od polityki, która ją umacnia, traktuje z całą surowością. Tutaj nie ma wyjątków, nawet rodowici Rosjanie mogą się spotkać z nie lada restrykcjami...

Jeziński zamilkł na chwilę i zamyślił się. Doktor mu nie przeszkadzał, cierpliwie czekając, aż sam podejmie przerwany wątek, co też wkrótce nastąpiło.

– Ślają te raporty coraz częściej pewnie dlatego, że Michałowi w ostatnich latach udaje się zrealizować coraz więcej inwestycji korzystnych dla Kalisza, a nieprzynoszących realnych korzyści samej Rosji. Jest nowy ratusz, park od dawna stanowi wizytówkę miasta, kończą właśnie budować wspaniały teatr, ruszyła budowa kolei, no i teraz ta wystawa archeologiczna. Z pewnością przyczyniła się do tego również przyjaźń z księciem Imeretyńskim, obecnym generał-gubernatorem Warszawy<sup>33</sup>, który poparł wiele jego planów, szczególnie tych dotyczących kolei. Ale co do niego mam pewne wątpliwości...

– Nie jestem pewien, kogo masz na myśli.

– Imeretyńskiego. To arystokrata, a tacy prawie nigdy nie występują przeciw carowi. A ten... Jest podejrzanie łagodny dla Polaków. Nie znam go dobrze, ale jestem pewien, że to nie taki szczerzy typ o złotym sercu jak nasz Michał Piotrowicz.

– Wyczuwasz w nim jakiś fałsz? – domyślił się doktor.

– Właśnie, trafnie to ująłeś. Ale mniejsza z tym, bo i tak nie mam jak tego sprawdzić ani tym bardziej dowieść. A wracając do przeklętych naczelników żandarmerii, wiesz, co ich najbardziej oburza? Że gubernator utrzymuje bliskie, jak dla nich zbyt bliskie, kontakty z inteligencją polską i żydowską. I to nie tylko służbowe, lecz również towarzyskie, czego ty i twój ojciec jesteście znakomitym przykładem.

Zaif mimo woli uśmiechnął się.

– Poza tym razi ich fakt, że Jego Ekscelencji nie przeszkadza język polski, co więcej, sam nim dobrze włada, nie licząc całej rzeszy urzędników, którzy w jego obecności przemawiają po polsku. Jak sam wiesz, w naszej guberni od dawna powszechnie mówi się po polsku w sklepach i kawiarniach, ale żeby do tego w urzędach! Na domiar złego w zeszłym roku miał miejsce pewien incydent, który przysporzył wielkiej popularności gubernatorowi w oczach mieszkańców, ale też i licznych wrogów po stronie władz.

– Cóż takiego się wydarzyło? – zaciekał się doktor. – Bo jakoś nic sobie nie przypominam z twoich listów.

Jeziński machnął ręką.

– Tyle miałem wtedy na głowie, że chyba faktycznie zapomniałem ci o tym napisać. To było bodajże trzeciego listopada, kiedy Michał Piotrowicz akurat bawił za granicą na urlopie, ja zajęty byłam końcowymi pracami remontowymi domu przed zimą, a i Jasiak też gdzieś wyjechał z rodziną. Zastępował go Stasiak, pilnie nadzorowany przez Kaminskiego, a sam wiesz, jaki z tego ostatniego służbista. Do miasta zjechał wtedy teatr Juliana Myszkowskiego ze Lwowa, a pech chciał, że w ten dzień przypadało także święto państwowe. Na rozkaz Kaminskiego Stasiak polecił orkiestrze teatralnej odegrać przed samym spektaklem hymn rosyjski *Boże, Caria chrani*, co wywołało ogromne oburzenie

publiczności. Gdy Michał Piotrowicz wrócił i się o tym dowiedział, skarcił Kaminskiego, że niepotrzebnie wywołuje tylko nastrój wrogości w mieście. Odtąd obowiązuje takie ciche porozumienie i hymn państwowy wykonuje się na długo przed przedstawieniami i praktycznie bez udziału Polaków...<sup>34</sup> Ale znasz ludzi, ktoś nie omieszkał o tym donieść ochranie, możesz sobie zatem wyobrazić, jak na to zareagowali naczelnicy żandarmerii.

– Rzeczywiście, takie działania nie mogą się podobać zaborcom... To jest władzy – zafrasował się Zaif. – Podejrzewasz kogoś o współpracę z żandarmerią?

Agent spochmurniał.

– A jakże, na czele mojej listy jest oczywiście Kaminski. Co do innych, nie mam żadnej pewności. Powiem ci szczerze, ufam tylko Porajowi.

– Tak, to dobry, uczciwy i lojalny chłopak, oddany ci całą duszą. Ale, ale, czy ciebie także obserwują żandarmi?

– Ma się rozumieć! Ostatnio jednak rzadko udzielam się służbowo, bo i po prawdzie, nie było takiej potrzeby. Ale nie martw się, ja też trzymam rękę na pulsie i orientuję się we wszystkim, co się dzieje w mieście i najbliższej okolicy. Mam też swoje źródło informacji w żandarmerii, ale że to płotka, to nie o wszystkim wie. Zawsze to jednak coś.

– Powiedziałbym nawet, że to bardzo cenna znajomość. Szczególnie w momencie, gdy narastają niepokoje społeczne i polityczne. Wtedy też rośnie liczba tajnych spotkań politycznych, zawiązują się różnego rodzaju ugrupowania i Bóg wie, co jeszcze. Na pewno dzieje się tak i w Kaliszu?

Agent skinął głową i uśmiechnął się.

– A jakże, lecz dyskretnie zasugerowałem pewnym osobom, żeby typowo patriotyczne zebrania urządzano w Skalmierzycach, bo to już zagranica. W samym mieście mamy więcej działań kulturalno-edukacyjnych niż politycznych, w czym prym wiedzie siostra pana Parczewskiego, Melania, a i on sam od tego nie stroni. Jasiak poznał go osobiście wczoraj, a właściwie dziś nad ranem i jest pod wielkim wrażeniem jego osobowości, choć się do tego nie przyznaje. Ale cóż, skoro sen z oczu żandarmów spędzają także zwykłe organizacje użyteczności publicznej, jak straż ogniowa czy kółka myśliwskie!

– Ale dlaczego? – zdumiał się Zaif.

– Bo dysponują bronią palną – wyjaśnił krótko agent.

– Czy to aby już nie paranoja?

– Takie nastały czasy – westchnął agent. – Teraz rozumiesz już, czego obawia się Michał Piotrowicz. On wie równie dobrze jak ja, że żandarmeria aż kipi ze złości i szkodzi mu, jak może. Ja również obawiam się, że to tylko kwestia czasu i ktoś tam w Petersburgu zadecyduje o losie gubernatora<sup>35</sup>. A nie będzie to z pewnością awans, tego jestem pewien.

Jeziński spuścił głowę i pogrążył się w niewesołych myślach, podobnie jak jego przyjaciel. Prawdę mówiąc, Zaif był wręcz wstrząśnięty zasłyszanymi wieściami i skalą niepokojów politycznych, które – jak mu się dotąd wydawało – raczej omijały jego senny rodzinny Kalisz i rozgrywały się gdzieś w Warszawie, Poznaniu czy Wrocławiu, bo ruch socjalistyczny nie znał granic i nie omijał żadnego z zaborów.

W niewesołym nastroju i pełni niespokojnych myśli dojechali do Borkowa. Wszyscy już spali, poza jednym służącym, który pomógł Pieti wyprzeżnąć i oporządzić konie, oraz starej kucharki, która w mig przyniosła im do jadalni niewyszukaną, acz niebywale smaczną kolację.

Przyjaciele byli już tak senni, że po posiłku starczyło im sił jedynie na wypalenie cygara (Jeziński) i wypicie kieliszka wina (Zaif) oraz bardzo zdawkową rozmowę. Później obaj udali się prosto do łóżek i zasnęli kamiennym snem.

Kolejny dzień obaj przyjaciele rozpoczęli bardzo wcześnie, jeszcze zanim obudziły się ich rodziny. Szybko uporali się ze śniadaniem i ruszyli w drogę do Kalisza. Jeziński z przyjacielem wsiedli razem do powozu agenta, Pietia jechał sam. Dopiero w mieście Zaif się przesiadł i Pietia odstawił go do szpitala,



tymczasem agent wysiadł przy pałacu gubernatora, gdzie miał swój gabinet połączony linią telefoniczną z cyrkułem. Szybko sprawdził, czy nie pojawiło się coś nowego w śledztwie, skontrolował, co kto robi, i upewnił się, że Lipski już został oddelegowany do pilnowania panny Garszyńskiej. Zaznaczył przy tym policjantom, że Lipski powinien być w cywilnym ubraniu, co spowodowało trochę zamieszania, gdyż chłopak już wyszedł. Kazał również przekazać Porajowi, który także już ruszył w teren, by przysłał kilku żebraków do szpitala w celu identyfikacji ofiary. Później porozmawiał jeszcze chwilę z gubernatorem i udał się w podróż do Bogumiłowa.

Zaif tymczasem pracował już nad autopsją strażnika Borowca. Tym razem nie miał asystenta, gdyż Małyszko jeszcze nie wrócił z konferencji, więc praca szła mu wolniej, niżby chciał. Wyniki jednak go nie zaskoczyły: Borowiec zginął od ciosu zadanego prosto w komorę serca, w wyniku czego zmarł niemal natychmiast. Innych obrażeń doktor nie znalazł.

Zmęczony usiadł na chwilę w swoim starym, ciasnym gabinecie, by napić się herbaty i posilić naprędce przed kolejną sekcją, gdy ktoś donośnie załomotał w drzwi. Zaif otworzył i zobaczył kilku żebraków w towarzystwie wyraźnie zdystansowanego Stasiaka. Ten ostatni miał cokolwiek dziwną minę, w której doktor spostrzegł mieszaninę niezadowolenia i skrępowania, podczas gdy pozostali mężczyźni nie przejmowali się bynajmniej obecnością umundurowanego policjanta, byli wręcz pełni animuszu i tryskali dobrym humorem, racząc biedaka przeróżnymi, zwykle niezbyt wybrednymi anegdotami, głównie na temat policjantów.

Zaif stłumił uśmiech i uprzejmie zaprosił wszystkich do środka. Mając jeszcze świeżo w pamięci opowieść przyjaciela, przedstawił się i podał wszystkim rękę, a w zamian poznał nazwiska beztroskiej gromadki. Później zapytał, co ich sprowadza, choć domyślał się, że przyszli tu zidentyfikować ciało. Wtedy naprzód wystąpił Bartłomiej Antczak.

– Przyszlim tu, Wasza Miłość, zobaczyć tego zakłutego biedaka – powiedział, a reszta skwapliwie mu przytaknęła. – Podobno to jeden z nas i może go rozpoznamy. Szkoda by było pochować go w jakiejś zbiorowej mogile, wszak to też człowiek.

I podniósł zawadiacko głowę, jakby się spodziewał protestu. Zaif jednak z całym spokojem zapewnił go, że jest tego samego zdania i będzie niezmiernie rad, jeśli uda się poznać nazwisko denata. Uprzedził ich, że nie będzie to miły widok, później zaś poprowadził w głąb pomieszczenia i odsłonił prześcieradło, skrywające doczesne szczątki biedaka leżącego na metalowym stole.

Wszyscy natychmiast zamilkli i na moment wręcz zamarli, wpatrując się w blade, nieruchome ciało.

– Za życia wydawał się jakby chudszy – odezwał się wreszcie ochryplym z przejęcia głosem Antczak.

– Co nie?

Jego kamraci niepewnie pokiwali głowami.

– Tera jakiś masywniejszy się zrobił – wtrącił nieśmiało inny, Pietrzak, o ile Zaif dobrze zapamiętał nazwisko.

– To częste wrażenie – powiedział doktor. – Wielu osobom wydaje się, że ich bliscy po śmierci wyglądają nieco inaczej, bo i tak jest w istocie. W ciele zachodzą pewne procesy... Ale mniejsza z tym. Mniemam, że panowie go jednak rozpoznają?

– Ano. – Antczak kiwnął głową z takim przekonaniem, że aż coś mu trzasnęło w karku. – Toć to Mazur, prawie jak żywy, świeć panie nad jego duszą.

– A wiecie, jak miał na imię? Przydałaby się taka informacja na grobie biedaka. Bo nie sądzę, byście znali datę jego urodzin. A może jednak?

Antczak strzelił palcami.

– Psia krew, jakże on miał na imię? Zawsze nazywaliśmy go po prostu Mazur, bo to nazwisko i jakby przyzwisko jednocześnie. No, który pamięta?

Następnych kilka minut upłynęło na pełnych emocji rozważaniach, nie brakło nawet szturchańców i wyzwisk, lecz doktor zdusił w zarodku chęć zde gustowanego Stasiaka do interwencji i nauczania

niepokornych mężczyzn szacunku. Małomówny z natury Zaif potrafił świetnie wyrazić wzrokiem to, co chciał. Tym razem także wystarczyło jedno ostre spojrzenie, by policjant wypuścił powietrze z płuc bez wypowiedzenia słowa.

– Ano, było mu Józwa – powiedział wreszcie Antczak, jak zwykle zabierając głos w imieniu reszty.

– Na pewno?

– Jak amen w pacierzu.

– Czy miał jakąś rodzinę? Wypadałoby kogoś powiadomić, a i może ktoś z bliskich podałyby również jego wiek.

Antczak pokręcił głową.

– Nie, panie, Józwa był sam jak palec. Nie urodził się tutaj, przywędrował skądś lata temu i został. Zmęczyła go włóczęga, powiedział, a u nas zawsze znajdzie się jaka dobra dusza, co rzuci coś do jedzenia.

– To może znacie chociaż w przybliżeniu jego wiek?

Nastąpiła kolejna burzliwa dyskusja, w końcu krakowskim targiem mężczyźni ustalili, że Józwa miał mniej niż pięćdziesiąt lat, coś między czterdzieści sześć a czterdzieści osiem. Pewności jednak nie mieli.

Stasiak wszystko skrętnie zanotował, podobnie zresztą jak i Zaif, i zaczął wypychać całe towarzystwo w stronę wyjścia. Mężczyźni nie protestowali, ale tuż przed drzwiami Antczak się zatrzymał.

– Panie doktorze, co z nim teraz będzie? – zapytał. – Skoro on nie ma tutaj rodziny, a my nie wiemy, skąd pochodził, to kto go pochowa?

– Zostanie pochowany na koszt miasta – oświadczył oficjalnym tonem Stasiak. – A teraz wynocha już, pan doktor ma mnóstwo pracy.

– Dobrze i to – burknął Antczak. – Tylko nie zapomnij, fagasio, jego imienia i nazwiska, bo jak zobaczę na grobie, żeś coś pomylił, osobiście tak potrząsnę tym twoim pustym łbem, że...

Stasiak aż spurpurowiał na taki brak szacunku wobec władzy i już zaciskał pięści, by odpowiednio ukarać śmiałka, lecz powstrzymał go Zaif.

– Spokojnie – powiedział spokojnym, lecz stanowczym tonem. – Nie będziecie się tu bić, bo to by znaczyło, że nie macie w ogóle szacunku dla zmarłego. Józef Mazur zostanie pochowany jak każdy inny pełnoprawny obywatel tego miasta, z należyтым szacunkiem i w odpowiednim grobie. Osobiście o to zadbam.

– Nie wstyd wam, łajdaki?! – wrzasnął na nich Stasiak. – Rozrabiacie u doktora, jakbyście sobie gorzałkę popijali w jakiejś speluncie!

Antczak nie zwrócił uwagi na rozjątrzonego policjanta, wpatrywał się natomiast uważnie w oczy doktora. To całkiem niegłupi człowiek, pomyślał Zaif, także przyglądając się dość jeszcze młodemu mężczyźnie. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że jest również wykształcony, a przynajmniej umie czytać i pisać.

– Dziękuję panu, doktorze – powiedział uroczyście Antczak, jakby z oczu Zaifa wyczytał coś, co go poruszyło. I, o dziwo, w jego głosie nie było nawet śladu gwary. – Może pan zawsze liczyć na naszą pomoc.

– A po cóż doktorowi wasza pomoc! – parsknął ironicznym śmiechem Stasiak. – Doktor...

– Dziękuję wam, Antczak – przerwał mu Zaif. – Będę o tym pamiętał. Do widzenia, oby w przyjemniejszych okolicznościach.

– Do widzenia, doktorze – odparł poważnie mężczyzna, by po chwili znów stać się rubasznym, zawadiackim niebieskim ptakiem, który z niejednego pieca chleb jadł i otwarcie gardził „szanowanym” społeczeństwem, które go wyrzuciło poza swój nawias, i jego zasadami. I któremu stała praca na pewno była nie w smak. – Chodźta, chłopcy, nic tu po nas.

– A żebyś wiedział – burknął Stasiak i z miną męczennika ruszył za niechcianym towarzystwem.

Po ich wyjściu Zaif zamyślił się na długą chwilę i nie od razu usłyszał, jak po kilku minutach drzwi

uchyliły się delikatnie. Instynktownie wyczuł jednak obecność innej osoby. Spojrzał w stronę wejścia i nie bez zdziwienia, ale i radości ujrzał Stasia Małyszkę. Właściwie to już dawno Stanisława, lecz stare przyzwyczajenie zwyciężyło.

– Staś! – zawołał uradowany doktor. – Jakże ty wyrosłeś, chłopcze!

Zarumieniony z radości i trochę zawstydzony Małyszko skłonił się Zaifowi, jakby był jeszcze studentem.

– Pan doktor! – zawołał.

– Chodźże, chłopcze, niech cię uściskam!

Powitania trwały jeszcze dobrą chwilę, trzeba też było przy naprędce zaparzonej herbacie wymienić się choćby kilkoma najważniejszymi wieściami, w końcu jednak Zaif stwierdził:

– Kochany chłopcze, porozmawiamy sobie na spokojnie jutro i w jakimś przyjemniejszym otoczeniu, teraz jednak muszę przeprowadzić jeszcze jedną sekcję.

– Pan doktor pozwoli mi sobie asystować? – nieśmiało zapytał Małyszko.

– Ależ będę ci niezmiernie wdzięczny, mój drogi. – Doktor serdecznie poklepał go po ramieniu. – Prawdę mówiąc, miałem taką nadzieję. A nie jesteś zmęczony? Przecież ty prosto z podróży.

Spojrzał wymownie na podręczny bagaż, który Małyszko porzucił przy drzwiach.

– Ledwom wysiadł z karetki, gdy usłyszałem, że pan doktor przyjechał i znów pracuje w szpitalu.

– Spotkałeś kogoś znajomego?

– Nie, ale w tym mieście nic się długo nie ukryje. Kichnie pan koło ratusza, a sto metrów dalej powiedzą panu: „Na zdrowie!”. Wieści rozchodzą się tu z prędkością błyskawicy.

– Zawsze mnie to zdumiewało – mruknął Zaif. – Ale cóż, tak to już bywa w małych miejscowościach. W Ameryce jest zupełnie tak samo. Ale bierzmy się do pracy, inaczej zostaniemy tu do późnej nocy.

Jezierski spędzał czas nie mniej pracowicie, choć większą jego część strawił w podróży, klnąc pełne dziur i wybojów drogi, które latem kurzyły się tak, że z okien nie było nic widać ani czym oddychać, jesienią i zimą natomiast powóz tonął na nich w błocie lub zakopywał się w śniegu.

Po męczących godzinach jazdy, przerywanych jedynie zmianą koni, Jezierski z ulgą wysiadł przed domem pana Kobierzyckiego. Był wieczór, ale wcześniej nadany telegram spowodował, że czekano na niego, i to w dodatku z kolacją. Agentowi natychmiast poprawił się humor, choć krótko potem zdecydowanie mu się pogorszył. Oczywiście, nie uszły jego uwadze zaczerwienione oczy pani Kobierzyckiej oraz spłoszone spojrzenia służby, ale nie wypadało wypytywać gospodarzy przy stole, więc skupił się na jedzeniu. Taktowny ziemianin także przeszedł do sedna dopiero w swoim gabinecie, kiedy gość zjadł już posiłek i panowie oddalili się od domowników.

– Jak to dobrze, że pan przyjechał! – powiedział z wyraźną ulgą, gdy znaleźli się wreszcie sami. – Doprawdy, wielce potrzebna jest nam pańska pomoc! Może pan coś wniesie w te zagadkowe i jakże przy tym straszne wydarzenia, inaczej przyjdzie mi się stąd chyba wyprowadzić, gdyż moja małżonka jest wręcz przerażona i grozi mi wyjazdem do rodziny. Dzieci, na szczęście, są jeszcze zbyt małe, żeby zrozumieć całą tę, hm... godną ubolewania sytuację!

Ziemianin usiadł ciężko w fotelu naprzeciwko gościa i poczęstował go cygarem. Z zafrasowanym czołem skupił się na obcinaniu cygara, zapominając przy tym o gościu.

Jezierski uniósł tylko brew i z zaciekawieniem czekał na ciąg dalszy. Sprawa zapowiadała się wyraźnie poważniej, niż wskazywał na to telegram. Kobierzycki wydał mu się bowiem człowiekiem wielce rozsądnym i opanowanym, dlatego nie sądził, by w tak dramatyczny sposób reagował na zwykłe włamanie. Musiało stać się coś jeszcze. Może kolejne włamanie?

– Nigdy w naszym domu nie działy się tak straszne rzeczy jak ostatnio. – Mężczyzna wzdrygnął się lekko i potrząsnął głową, jakby wciąż nie mógł wyjść ze zdziwienia i... strachu?

Agent był coraz bardziej zaintrygowany. Gospodarz tymczasem zorientował się, że nie dał Jezierskiemu gilotyńki do obcinania cygar, szybko naprawił swoje niedopatrzenie, a zaraz potem nalał do

dwóch kieliszków bardzo solidną porcją koniaku.

– No cóż – Kobierzycki na nowo podjął temat – zupełnie nie wiem, od czego zacząć.

– Może od telegramu – zaproponował agent, mając w głębi ducha nadzieję, że zaaferowany swoimi problemami gospodarz nie zwróci uwagi na niezręczność sytuacji. – Tak się złożyło, że nie dane mi było zapoznać się z jego treścią bezpośrednio, a jedynie za pośrednictwem jednego z naszych policjantów.

– No tak, rozumiem – odparł tamten, lecz jego błędzące po gabinecie trochę nieprzytomne oczy świadczyły o czymś zupełnie przeciwnym. – Telegramu? A, tak. No właśnie, w momencie, kiedy go wysyłałem, jeszcze nie wszystko się zdarzyło... To znaczy... Miałem nawet wysłać drugi...

– Proszę najpierw przekazać mi to wszystko, co spowodowało, że mnie pan wezwał, zamiast zgłosić się do miejscowej policji.

– Ależ zgłosiłem to policji! Już tu byli. Wszystko dokładnie obejrzel, spisali, co mówiliśmy. Na koniec stwierdzili, że jeszcze się odezwą, i poszli.

– Tak? To świetnie. Później z nimi porozmawiam. A teraz proszę powiedzieć mi, co pana skłoniło do wysłania telegramu.

– Może tak będzie lepiej – zgodził się Kobierzycki ze słabym uśmiechem. – Od czegoś muszę w końcu zacząć. Choć przyznam szczerze, że mam obecnie wielki zamęt w głowie, dlatego jestem taki rozkojarzony.

– Proponuję spory łyk koniaku i przejście od razu do sedna. Pomogę panu pytaniami.

– Tak od razu do sedna nie mogę, bo najpierw powinienem wytłumaczyć, dlaczego nas nie było w domu.

Agent uśmiechnął się zachęcająco.

– Już rozumiem. Włamano się do pańskiego domu w czasie, gdy państwo przebywaliście gdzieś indziej, tak?

– Tak.

– Czy służby też nie było?

– W zasadzie nie, bo skoro nas nie było, to i służbie daliśmy trochę wolnego.

– Co to znaczy „w zasadzie nie”?

– Został ogrodnik, który ma w pobliżu naszego dworu niewielki domek. Poza tym, jedna ze służących mieszka w sąsiedniej wsi.

– Rozumiem. A państwo gdzie przebywali?

– Żona z dziećmi bawiła u wód, ja także, ale pod koniec naszego wypoczynku wyjechałem do Kalisza, żeby dokonać pewnej transakcji...

Zamilkł na chwilę. Miał taką minę, jakby czegoś zapomniał.

– Z panną Garszyńską, czyż nie? – podpowiedział Jeziński.

– Och, już pan wie.

– Tak. Proszę dalej.

– Usiłowałem sobie przypomnieć, jak ma na imię, ale przecież wystarczy nazwisko. To wszystko przez szok, który przeżyłem. Wciąż jeszcze wszystko mi się miesza. Na czym to ja...?

– Na tym, że wyjechał pan do Kalisza, zostawiając rodzinę u wód.

– No tak, opuściłem rodzinę na jakieś pięć dni przed końcem wypoczynku, rozumie pan, sama podróż...

– Rozumiem doskonale.

– Oczywiście, na czym to ja stanąłem...?

– Pojechał pan do Kalisza, by kupić od panny Garszyńskiej kolekcję jej ojca.

– Właśnie. Wszystko poszło doskonale. Część przedmiotów przeznaczyłem na wystawę i zostałem, żeby dopełnić wszelkich formalności, a przy okazji zobaczyć się z panem Parczewskim. Resztę kolekcji wysłałem ze służącym specjalną kurierką do domu. Dwa dni później wyjechałem. Żona miała przyjechać



dzień później, lecz przysłała mi krótką wiadomość, że po drodze odwiedzi jeszcze krewnych, więc postanowiłem wyjechać jej naprzeciw, bo nudziło mi się samemu w domu. Wysłałem ogrodnika z wiadomością do reszty służących, że jeszcze nas nie ma i mogą wrócić później. Tak więc dom znów został pusty.

– Rozumiem. I co dalej?

– Wróciliśmy wszyscy razem po jakichś dwóch dniach, a tu drzwi wyłamane, a dom przetrząśnięty. Właściwie tylko jego część. Panował w niej wręcz nieopisany bałagan!

– Która część domu?

– Kredens<sup>36</sup>. Pokoje należące do mnie, czyli gabinet i dwa pomieszczenia, w których złożyłem zakupione przedmioty. Były tam jeszcze inne rzeczy, które nabyłem wcześniej i jeszcze nie znalazłem dla nich miejsca, ale złodziej wyraźnie interesował się tylko kolekcją Garszyńskiego.

Zainteresowanie, lecz i lekkie zaskoczenie agenta znacznie wzrosło, lecz nie dał tego po sobie poznać.

– Czy coś zginęło? – zapytał.

Kobierzycki łyknął koniaku i rzekł ponuro:

– Z kredensu tak, konkretnie srebra, z moich pokoi nie.

Zaskoczenie agenta wzrosło.

– Nic nie zginęło z pańskiej kolekcji? – zapytał z niedowierzaniem. – Przecież jest cenna! Jest pan pewien? Może złodziej zabrał jakąś niewielką rzecz, niepozorną i jej brak nie rzuca się w oczy...

Kobierzycki spojrzał na niego z urazą.

– Robiąc porządki, sprawdzałem wszystko z listą. Nic nie zginęło. Ale też spłoszył go nasz ogrodnik, więc pewnie nie zdążył przetrząsnąć wszystkiego.

Jeziński nieco się uspokoił, bo to tłumaczyło dziwne zachowanie złodzieja.

– Przepraszam pana, być może się mylę, ale założyłem, że głównym celem złodzieja była pańska kolekcja, a srebra miały stanowić coś w rodzaju zasłony dymnej, mającej sugerować, że to zwykły napad rabunkowy. Może jednak się mylę... No cóż, teraz tego nie rozstrzygniemy. Proszę w takim razie powiedzieć mi, czy ogrodnik widział złodzieja?

– Ledwo co, bo tamten zaraz uciekł, i to bardzo szybko. Na pewno miał w pobliżu powóz, bo ponoć było słycać turkot kół. Ogródnik coś jednak zauważył...

– Co takiego?

– Ten złodziej miał złoty ząb...

– To takie buty! – wykrzyknął agent, któremu informacje od Kobierzyckiego w połączeniu z wydarzeniami z Kalisza zaczęły układać się w logiczną całość. Potwierdzały też jego teorię.

– Ale to nie wszystko – odezwał się Kobierzycki jeszcze bardziej ponurym tonem.

– Tak?

– Dwa dni później ktoś ponownie włamał się do nas, a przypominam, że tym razem byliśmy już wszyscy, także służba. I... i...

Kobierzycki zbladł i zakrztusił się, jakby niewypowiedziane słowa stanęły mu w gardle. Zaczął kaszleć.

– Wyduś pan wreszcie! – wykrzyknął agent, którego zaniepokoiła nagle pobladła, a zaraz potem zaczerwieniona twarz gospodarza. Bał się, że biedak zemdleje, zanim dokończą rozmowę. Gdyby okazało się, że trzeba wezwać lekarza, mogło to spowodować dużą zwłokę, tymczasem jemu już się spieszyło z powrotem. Na szczęście gospodarz zdołał się opanować.

– Otóż złodziej włamał się w nocy... – zaczął urywanym głosem. – My wszyscy byliśmy w łózkach... Mógł nas pozarzynać jak barany...

Kobierzycki znów pobladł, ale tym razem od razu napił się koniaku, co go widocznie pokrzepiło.

– Ktoś zginął? – zapytał wprost agent.

– Tak. Nasz stary sługa, który spał na dole. Nasze pokoje są na górze, a gabinet na dole...

– Rozumiem – przerwał mu agent. – Nie musi pan mówić nic więcej. Służący nakrył włamywacza, a ten go zabił. Czy tak?

Kobierzycki skinął głową i głośno przełknął ślinę. Znów szybko napił się koniaku i kolory powoli zaczęły wracać mu na twarz.

– W jaki sposób?

– Nie rozumiem?

– W jaki sposób go zabito? Strzałem z pistoletu, uduszono, pchnięto nożem...

– Pchnięto nożem – wykrztusił z siebie gospodarz i znów pobladł.

– Czy te wydarzenia obudziły państwa?

– Nie. Odkryliśmy zwłoki naszego sługi dopiero rano. Biedak był już całkiem zimny... A rzeczy splądrowane, ale już nie tak bardzo jak poprzednim razem.

– Hm... To wiele wyjaśnia.

– Może panu, bo ja nadal jestem ciemny jak tabaka w rogu – stwierdził Kobierzycki z goryczą. – Ale gdy doszła mnie wieść o włamaniu do magazynu eksponatów na wystawę, pomyślałem sobie, że to musi mieć jakiś związek. Dlatego wysłałem panu telegram. To znaczy, po pierwszym włamaniu... Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że włamywał się do nas morderca!

– Rzeczywiście, byliście państwo w wielkim niebezpieczeństwie – przyznał agent. – Sądzę jednak, że nic już wam nie grozi.

– Sądzi pan? Wolałbym, żeby miał pan pewność!

– Ja również, ale z przestępcami nigdy nic nie wiadomo. Mam jednak wszelkie dane po temu, by przypuszczać, iż złodziej już tu nie wróci, podobnie jak morderca.

– A to nie ta sama osoba? – zdziwił się Kobierzycki.

– Raczej nie. Prawie na pewno nie.

– Hm... – bąknął z powątpiewaniem gospodarz. – Wygląda na to, że pan istotnie coś wie.

– Drogi panie, na wszelki wypadek możecie się przenieść na jakiś czas do rodziny czy wyjechać gdzieś indziej, sądzę jednak, że złodziej raczej nie wróci.

– Ale dlaczego tak pan myśli?

Jeziński zastanawiał się przez chwilę.

– Przeszukał w końcu wszystkie pana rzeczy i nie znalazł tego, czego szukał – zaczął wolno, wciąż analizując zdobyte informacje. – Teraz zatem szuka gdzie indziej. Pewnie znów w Kaliszu. Choć tam też nie znalazł tego, na czym mu zależy... A może znalazł? W końcu ukradł kufer z dokumentami, które zgromadził Garszyński...

– Chodziło mu zatem o kolekcję po Garszyńskim! – zakrzyknął z nutką triumfu w głosie gospodarz. – Czyli miałem rację!

– Tak mniemam.

– Ale ja nadal mam resztę tej kolekcji w domu! – Słaba nutka triumfu Kobierzyckiego znikła bez śladu, powrócił natomiast niepokój.

– Zapewniam pana, że ten drugi zdążył ją sobie dokładnie obejrzeć, skoro spędził tu prawdopodobnie nawet całą noc. Jeśli i tym razem nic nie zginęło, nie powinno się już nic takiego powtórzyć.

– Mam nadzieję! A co, jeżeli pan się myli?

– Już mówiłem, możecie państwo wyjechać.

– No cóż, naradzimy się z żoną i coś postanowimy. A co pan zamierza zrobić?

– Chciałem jak najszybciej wracać, ale muszę najpierw porozmawiać z tutejszą policją. Będzie pan tak uprzejmy i skieruje mnie, gdzie trzeba?

– Oczywiście. Przenocuje pan oczywiście u nas, prawda? Nie ma sensu tuc się po nocy do zajazdu. Rano pojedziemy do cyrkułu w Sieradzu.

– Bardzo pan uprzejmy, dziękuję.

– To ja dziękuję, mimo wszystko dodał mi pan otuchy!

– Ależ, doprawdy, nic jeszcze nie zrobiłem...

Wymiana grzeczności potrwiała jeszcze przez jakiś czas, dopóki uczynny gospodarz nie ulokował gościa w sypialni i życzył mu dobrej nocy.

Jezierski spał jak dziecko, czego nie można było powiedzieć o domownikach, jednak obecność tak ważnej „policyjnej” osobistości z sąsiedniej guberni dodała im trochę otuchy.

Rankiem agent pojechał z Kobierzyckim do Sieradza, gdzie przy okazji wysłał z poczty telegram do Poraja z informacją, że wróci późno w nocy, i pytaniem o postępy w śledztwie. Po wizycie w cyrkule, gdzie przyjęto go bardzo uprzejmie, a nawet serdecznie, choć niczego nowego się nie dowiedział, poszedł jeszcze sprawdzić, czy nie nadeszła odpowiedź.

Zadowolony urzędnik podał mu blankiet ze słowami:

– Zwykle klienci są bardzo zadowoleni z naszych usług. Działamy naprawdę szybko.

Jakież było jego zdziwienie, gdy ten klient po przeczytaniu odpowiedzi przybladł, zaklął i wypadł na zewnątrz, jakby się paliło. Omal przy tym nie wyrwał drzwi z futryny i prawie przewrócił wchodzącą parę młodych ludzi, których nawet nie przeprosił.

– No cóż – stwierdził urzędnik z pobłażliwością – nie zawsze otrzymujemy dobre wieści.

– Te musiały być naprawdę bardzo złe – mruknął młodzieniec, poprawiając przekrzywiony kapelusz.

## Rozdział 4

Mimo późnej nocy w sali recepcyjnej ratusza trwały końcowe przygotowania do wystawy. Jej otwarcie miało nastąpić nazajutrz w samo południe, ale poprzedzić ją miała msza święta o godzinie dziewiątej. Tymczasem ustawiano ostatnie eksponaty w wyznaczonych im miejscach. Sprawdzano też, czy pozostałe zostały rozmieszczone zgodnie z katalogiem (i albumem fotograficznym) opracowanym przez Alfonsa Parczewskiego. Kolejne działy ekspozycji zawierały wykopaliska i zabytki epoki pogańskiej, monety, militaria, pieczęcie, zabytki sztuki oraz piśmiennictwa.

Wszyscy pracujący przy wystawie zdawali już sobie sprawę z tego, jak wielkie miała ona znaczenie, a przecież do niedawna wszelkie „starożytności” najczęściej usuwano, dosłownie wyrzucając je na śmietnik, by zrobić miejsce nowym budowlom czy przedmiotom. Działo się tak do końca XVIII wieku, także i w ówczesnym Kaliszu, gdzie nikt nie widział niczego niewłaściwego w rozbiórce średniowiecznych obwarowań czy likwidacji ruin gotyckiego ratusza, szczególnie że niemal w tym samym czasie w Krakowie rozważano pomysł usunięcia sławnego ołtarza Wita Stwosza z bazyliki Mariackiej<sup>37</sup>. Na szczęście, kolejne lata przyniosły zmiany i ludzie uznali wreszcie, że to, co stworzyli przodkowie, zasługuje na szacunek i ochronę. To był pierwszy krok w stronę realizacji idei ochrony zabytków. Do Kalisza dotarła ona trochę za późno. Miejskie władze zdążyły tak „odmłodzić” wizerunek grodu, że oprócz kościołów usunięto niemal wszystkie pamiątki po średniowieczu<sup>38</sup>.

Tej nocy światła paliły się nie tylko w ratuszu, ale i w pałacu gubernatora. W jego gabinecie trwało nieformalne posiedzenie równie nieformalnego sztabu pod wodzą Michała Piotrowicza. Brali w nim udział Jakub Zaif i Jasiek Poraj, który na stanowcze polecenie swego szefa przyprowadził swego podwładnego, Hieronima Lipskiego. Młody policjant siedział w najodleglejszym kącie z miną zbitego psa, mimo że gubernator i doktor zapewnili go, iż w tym, co się stało, nie było jego winy. Poraj nie był na tyle wspaniałomyślny, ale tylko dlatego, że wydarzenie owo splamiło według niego honor kaliskiej policji. Wszyscy czekali na agenta, który – wedle nadesłanego telegramu – miał lada chwila przyjechać, gdyż na zegarze bazyliki właśnie wybiła północ.

Jezierski rzeczywiście był już niedaleko. Całą drogę tak kazał popędzać konie, że płaty piany spadały im z boków. Na postojach stangret musiał uwijać się jak w ukropie przy zmianie koni i natychmiast ruszali dalej. Biedak bał się usta otworzyć, nie ośmielił się nawet zapytać, czy nie mogliby gdzieś

naprędcie czegoś przekazać, bo widział, że jego pan jest czymś ogromnie wzburzony.

I tak było w istocie. Jezierski ciskał się bezsilnie w powozie, żałując prawie, że w ogóle wyjechał, choć informacje, które otrzymał od Kobierzyckiego, były ważne. Klął i modlił się na przemian, by jak najszybciej dojechać do Kalisza, chociaż wiedział, że zdążyć w porę, zanim coś się stanie, już nie zdoła.

Gdy spienione konie podjechały niemal galopem pod pałac, Jezierski zręcznie wyskoczył z powozu jeszcze w biegu, przyprawiając stangreta niemal o zawał serca, gdyż biedak ani się spodziewał, że jego pan będzie zachowywał się jak młodzik przed schadzka. Nic mu się jednak nie stało, gdyż mimo swoich lat był teraz szczuplejszy i w lepszej kondycji niż choćby pięć, a tym bardziej dziesięć lat temu, kiedy to stres związany z wyjątkowo skomplikowanym śledztwem odreagowywał jedzeniem. Zmiana trybu życia i praca przy odnawianiu kupionego dworu bardzo mu w tym pomogły.

Teraz zatem poprawił tylko surdut i rażnym krokiem wbiegł po kilku stopniach do pałacu. Nie zatrzymywany przez nikogo – widać służba była powiadomiona – choć zwykle zamieniał kilka słów z napotkanymi osobami, szybko dotarł do gabinetu gubernatora. Z rozmachem otworzył drzwi i wkroczył do środka. Wraz z nim do wnętrza wpadł jakby powiew świeżości, gdyż wszyscy zerwali się, by go powitać. Senność, apatia i zniechęcenie natychmiast czmychnęły, niczym wymiecione miotłą energicznej gospodyni.

– Waliesz! – zawołał gubernator, szeroko rozkładając ramiona, by uściskać agenta. – No, nareszcie!

– Szefie! – niemal krzyczał Poraj w drugie ucho agenta. – Przecież nic się nie stało?! Skąd ten alarm?

Nic nie mówił tylko Zaif, choć i on wyraźnie ożywił się na widok przyjaciela, oraz Lipski, który w ogóle nie wiedział, co z sobą począć w tej sytuacji, więc na wszelki wypadek całkiem znieruchomiał, by nie rzucać się w oczy.

Po gwałtownych, acz krótkich powitaniach Jezierski usadowił się wreszcie w fotelu i z ulgą sięgnął po filiżankę herbaty.

– A teraz powiedz nam, mój drogi, o co ci chodziło w tym dramatycznym telegramie – powiedział gubernator, także siadając w fotelu.

– Dramatycznym? – zdziwił się Jezierski.

– Przyznasz chyba, że słowa: „Natychmiast zaczniemy poszukiwania!” brzmią cokolwiek dramatycznie.

– Być może, choć nie taki efekt był mi akurat w głowie.

– Ale po co mielibyśmy jej szukać? – dopytywał się Poraj. – Przecież wiadomo, że nikt jej nie porwał, tylko sama wyjechała. Pewnikiem wróciła do Warszawy.

– Skąd ta pewność?

– No, przecie zostawiła list.

– Muszę go koniecznie obejrzeć.

– Oczywiście, Walery – wtrącił łagodnie gubernator. – Zaraz go sobie obejrzysz. Ale wytłumacz mi, dlaczego tak się ekscytujesz?

– A sprawdziliście, czy dziewczyna dotarła do Warszawy?

– Nie, bo jeszcze nie zdążyła tam dojechać. Poza tym mogła wyjechać gdzieś indziej...

– Ależ ona wcale nie planowała wyjeżdżać! – wykrzyknął zirytowany agent. – Nie rozumiecie? Ktoś ją porwał, a przedtem zmusił, żeby napisała ten przekłety list!

– A ty skąd to wiesz?

– Bo z nią rozmawiałem. Owszem, miała wrócić do Warszawy, ale dopiero po wystawie. Wybierała się na nią ze stryjem. O, właśnie, rozmawialiście z jej stryjem?

– Nie, bo po co, skoro sama wyjechała! – odparł rozpaczliwie Poraj. – Dlaczego szef się upiera, że ją porwano?

Twarz biednego Jaśka nabrała takiego wyrazu, jakby ten miał się rozplakać. Rozejrzał się po pozostałych, szukając u nich wsparcia. Znalazł je w gubernatorze, gdyż Zaif, jak dotąd, nie odezwał się ani słowem, obserwując tylko z zainteresowaniem toczącą się dyskusję. Lipski, co zrozumiałe, także



milczał, choć teraz ciekawość wzięła w nim górę nad niepokojem i także nie odrywał oczu od rozgrywających się w gabinecie scen.

– Walery – powiedział z troską Daragan. – Nie mogę pojąć, dlaczego tak się upierasz, że tę pannę porwano. Znamy się od tak dawna, a jeszcze nigdy cię takim nie widziałem! Upierasz się przy porwaniu, choć, jak mi Bóg miły, nic na to nie wskazuje!

– Dobrze – powiedział lekko zrezygnowany agent, mimochodem zauważając, że Zaif unosi jedną brew. – Pokażcie mi ten list. Możemy na razie założyć, że macie rację.

Brew Zaifa wróciła na miejsce, a on sam, jakby uspokojony, poprawił się w fotelu.

– No bo mamy – mruknął z ulgą Poraj, ale na wszelki wypadek tak cicho, żeby go Jezierski nie usłyszał.

– Jasiek, podaj agentowi list panny Garszyńskiej.

Poraj wziął leżącą na biurku gubernatora teczkę i wyjął z niej arkusik eleganckiego papieru, jakiego damy zwykły używać do korespondencji. Podał go agentowi.

List był krótki, więc zapoznanie się z jego treścią nie zajęło mu wiele czasu. Jezierski przeczytał na głos:

– „Kochana Pani Felicjo, jest mi ogromnie przykro, ale pilne sprawy spowodowały, że muszę natychmiast wyjechać. Tak się szczęśliwie złożyło, że mogę zabrać się ze znajomymi powozem, ale nie zdążę już wstąpić do Pani pożegnać się i zabrać bagaż. Moje rzeczy proszę przekazać woźnicy, który rano podjedzie karetką pocztową i je zabierze. Wszystko jest już opłacone, także napiwki, więc proszę się niczym nie kłopotać. Stryjowi pošlę osobny liścik, mam nadzieję, że mi wybaczy ten nagły wyjazd. Pozostaje mi tylko jeszcze raz serdecznie podziękować za gościnę, przeprosić i pożegnać się listownie, załączam zatem uściski etc., etc.”. Hm...

– I co o tym sądzisz, Waliesza? – zapytał Daragan. – List brzmi normalnie, nic w nim niezwykłego, poza tym, że panna musiała nagle wyjechać, ale i to się przecież zdarza.

Jezierski stał nadal ze zmarszczonym czołem, wpatrując się w list, jakby miał nadzieję, że powie mu on coś więcej.

– Skąd wiecie, że napisała go panna Garszyńska? – zapytał w końcu.

– No... – zaczął skonsternowany Jasiek. – Przecie znaleźliśmy go w pokoju panny Garszyńskiej.

– Wolałbym jakiś inny dowód.

– Ale jaki, szefie?

– Trzeba o to zapytać kogoś, kto dobrze zna jej pismo, do kogo często pisała...

– Albo kogoś, kto niedawno otrzymał od niej list i jeszcze go ma – podpowiedział Zaif.

– Masz na myśli kogoś konkretnego? – spytał Jezierski, choć domyślał się odpowiedzi.

– Może stryj będzie miał jakieś wiadomości od niej, choćby krótkie. Do porównania wystarczą.

– Tak, to dobry pomysł. – Agent wreszcie się uśmiechnął. – Sam się tym jutro zajmę.

– Ależ jutro wystawa! – przypomniał gubernator.

– Przecież wszystkie uroczystości nie będą trwały cały dzień. Nie martw się, będę na wystawie, gdyż pan Garszyński też się na nią wybiera i może go tam spotkam. Tak wypadnie bardziej naturalnie. Nie ma co straszyć staruszka. Chociaż nie wiem, czy go poznam po tylu latach.

– Sądzisz, że ma coś na sumieniu? – zaniepokoił się Daragan.

– Nie, skądże. Ale po co go niepotrzebnie niepokoić. A teraz, Jasiek, opowiedz ty mi lepiej po kolei, co się tam właściwie stało – zaproponował agent, siadając. Założył przy tym nogę na nogę i zapalił cygaro.

Poraj podrapał się po głowie.

– Co tu mówić, szefie. Lipski dostał przykaz, żeby iść wcześniej rano do pani Łączkowskiej, u której zatrzymała się panna Garszyńska. Miał tam czekać, aż panna wyjdzie, i towarzyszyć jej dyskretnie w pewnej odległości. Wiadomo było, że trochę się naczeka, boć panny nie wstają tak znowu wcześniej,

ale ponoć była umówiona ze stryjem na wczesne śniadanie, około dziewiątej rano.

– Tyle to i ja wiem, przecież z nią rozmawiałem. Powiedz mi coś nowego.

– Mówię jak było od samego początku, żeby nic nie pominąć – zachnął się urażony Jasiek – i żeby mi potem szef nie wymawiał, że...

– Dobrze, już dobrze. Lipski wyszedł, ale musiał wrócić, żeby się przebrać, bo go, baranie jeden, posłałeś w mundurze. I co było dalej?

Jasiek zaczerwienił się jak burak, głównie z powodu wpadki z owym nieszczęsnym mundurem, ale i „baran” nie był mu w smak, szczególnie że podwładny słuchał.

– Dalej niech mówi sam Lipski – burknął, mając przy tym nadzieję, że wyrwany do odpowiedzi w szacownym gronie młodzieniec tak się przejmie, że zapomni o wysoce, jego zdaniem, nietaktownej uwadze szefa.

– Mów, chłopcze – powiedział łagodnie gubernator, zwracając się do Lipskiego.

Młodzieniec zerwał się z fotela, ale nogi się pod nim ugięły i zachwiał się, omal nie padając. Jasiek uśmiechnął się z odrobiną złośliwości, ale że serce miał w sumie dobre, przyszedł mu z pomocą.

– Wasza Ekscelencja pozwoli, żeby Lipski wyjątkowo mówił na siedząco? – zapytał z ukłonem Daragana, dumny jak paw, że może przy podwładnym pokazać, w jak przyjacielskich stosunkach jest z najważniejszą osobą w całej guberni, co powinno całkiem zatrzeć owego „barana”. – Inaczej będziem musieli go zaraz cucić. Chłopak nie jest zwyczajny takiego towarzystwa, więc się trocha denerwuje.

– Ależ oczywiście, mój drogi – uśmiechnął się łaskawie Daragan. – Usiądź, młodzieńcze. Dziś jesteśmy tu całkiem prywatnie, choć omawiamy sprawy służbowe. Nie musimy przestrzegać etykiety. I nie denerwuj się tak. Między nami mówiąc, bardzo teraz przypominasz naszego drogiego Jaśka, gdy dwanaście lat temu zaczynał swą karierę...

Poraj znów spiekł raka i nie wiedział, gdzie oczy podziać. Chyba wszyscy się dziś zmówili, żeby go pogrzyć w oczach tego żółtodzioba. Co prawda, gubernator powiedział też „naszego drogiego”, więc może nie jest tak źle...

– Oj, nie krępuj się tak, Jasiek – nie omieszkał wtrącić się Jezierski, który doskonale znał swojego ulubieńca i teraz w jego twarzy czytał jak w otwartej książce. – To żaden wstyd, że człowiek na początku się denerwuje. Ty się denerwowałeś, ale i ja kiedyś też. Teraz denerwuje się Lipski, ale i on z czasem się przyzwyczai. Mam tylko nadzieję, że nie wyrośnie z niego taki bezczelny młokos jak ty teraz i nie będzie miał takiej niewyparzonej gęby!

– Szef to zawsze człowiekowi tak przygada, że mu w pięty pójdzie – powiedział zrezygnowany Jasiek z goryczą.

– Do rzeczy, panowie, do rzeczy! – przynaglił ich gubernator. – Jest już bardzo późno, a ja zamierzam złapać jeszcze kilka godzin snu przed jutrzejszą, a właściwie już dzisiejszą uroczystością.

– A niech to, znów zapomniałem o tej przeklętej wystawie! – zdenerwował się Jezierski. – Ma wyjątkowo niedogodny termin! Nie mogłeś jej zaplanować choćby za tydzień.

– Nie narzekaj, Waliesza, nie narzekaj. To bardzo ważna uroczystość. No i któż mógł przewidzieć, że coś takiego się zdarzy.

– Wiem, ale przestępcy nie czekają na dogodną dla nas porę. Mniejsza z tym. Wracajmy do sprawy. Mów, Lipski.

Lipski, który zdążył przez ten czas nieco ochłonać, znów chciał się zerwać, ale że nogi wciąż miał jak z waty, pozostał w fotelu. Wyprostował się jednak i wbijając wzrok w dywan, chrząknął i wreszcie powiedział drżącym głosem:

– Ledwo zdążyłem wyjść z cyrkułu, gdy zawrócił mnie kolega... – Odetchnął i nieco śmielej już kontynuował: – Przebrałem się w cywilne ubranie i znów wyszedłem. Szybko dotarłem do domu pani Łączkowskiej i tam zobaczyłem podjeżdżającą kurierkę pocztową. Nie wiedziałem nawet, że to do panny Garszyńskiej, lecz nudziło mi się... – Lipski zająknął się i zerknął na zmarszczonego Poraja, a zaraz

potem na Jezierskiego, ale że ten ostatni nie okazał gniewu, więc mówił dalej: – Zgadałem się więc z woźnicą. Powiedział mi, że zapłacono mu za odbiór bagaży panny, tyle że jej samej nie ma, bo już wyjechała.

– Kto wydał bagaż?

– Pani Łączkowska, chociaż też była zdziwiona, że panna tak szybko wyjechała, nawet bez pożegnania, tylko tyle, że przesłała liścik.

– A kiedy go przesłała i przez kogo?

– Podobno list przyniósł jakiś posłaniec wczoraj wieczorem. Pani Łączkowska go nie знаła, ale wypytała dokładnie co i jak.

– Ale czy ty wypytałeś ją?

– Jakże by inaczej, zapewniam Wasze Ekscelencje, że bardzo dokładnie ją wypytałem, a właściwie to nawet nie musiałem, bo sama chętnie mówiła... Bardzo była zdziwiona tym nagłym wyjazdem panienki.

– Bardzo dobrze, a teraz powiedz, czego się właściwie dowiedziałeś?

– Pani Łączkowska powiedziała, że panna wyszła dzień wcześniej rano, bo była umówiona ze stryjem na śniadanie w hotelu. Miała z nim spędzić prawie cały dzień, więc pani Łączkowska spodziewała się jej dopiero na kolacji. Ale zamiast panny zjawił się posłaniec z listem. Tym właśnie, co to go Wasza Ekscelencja czytał przed chwilą. Na drugi dzień rano ja poszedłem, ale okazało się, że już panny nie było, tylko karetka przyjechała po jej rzeczy. Właściwie to wszystko. Tyle że pani Łączkowska bardzo się dziwowała z tego nagłego wyjazdu, bo na własne uszy słyszała, że panienka miała iść na wystawę razem ze stryjem i że bardzo się z tego cieszyła, bo kiedyś stosunki z rodziną ojca nie były zbyt dobre, a teraz bardzo się ze stryjem zbliżyli, no, i taka zadowolona była. Stryj miał nawet pojechać na ślub panienki, choć przedtem tego nie było w planach, jeno samo zawiadomienie o ślubie. Coś bardzo ważnego musiało się zdarzyć, że tak nagle wyjechała. Nikt nie wie, co to za pilne interesa wypadły panience, że wróciła do Warszawy...

– A skąd wiadomo, że wróciła do Warszawy? – przerwał mu Jezierski z zainteresowaniem.

– Jak to? – zdziwił się Lipski. – Gdzie indziej miałaby jechać? Przecie od lat mieszka w Warszawie.

– Nie wiem, gdzie miałaby jechać, ale zwróćcie uwagę, że w liście nie ma słowa ani o powodach, ani o celu podróży. Czy to nie wydaje się wam dziwne?

– Waliesza, nie ekscytuj się tak. Warszawa nasuwa się sama z kilku względów, także z tego, że właśnie tam kazała zawieźć swoje bagaże.

Jezierski wciąż nie był przekonany.

– Niby tak, ale...

– Doprawdy nie wiem, dlaczego tak się upierasz przy tym porwaniu. Skąd u ciebie taka spiskowa teoria? Nikomu innemu to nawet w głowie nie powstało. No, mniejsza z tym. Mamy coś jeszcze do omówienia? Nie? No to, kochani, do łóżek. Domyślam się, że nocujecie w Kaliszu? – zwrócił się do agenta i doktora.

– Tak, mój stangret zawiezie nas do ojca Jakuba.

– Jutro wielki dzień dla Kalisza.

– Ale mszę chyba sobie darujemy – stwierdził agent, ziewając. – Pozwolisz, Michale Piotrowiczu, że się wyśpimy, potem pogadamy przy sutym śniadaniu z Makssem i poczekamy na nasze żony z dziećmi. Zjawimy się na samym otwarciu, za to w pełnym składzie.

Wielkie otwarcie tak oczekiwanej przez mieszkańców Kalisza wystawy nastąpiło dwudziestego czwartego maja. Poprzedziła je msza święta, która odbyła się rankiem o godzinie dziewiątej w kościełku św. Wojciecha na Zawodziu. Odprawił ją ksiądz kanonik Józef Szafnicki. Wygłosił przy tym piękne kazanie na temat „Czcij ojca swego i matkę swoją”, zalecając w myśl religii chrześcijańskiej poszanowanie pamiątek po przodkach. Po mszy świętej członkowie komitetu wystawy udali się na tzw. Szwedzkie Góry, uważane za miejsce, gdzie dawniej stał zamek książąt kaliskich<sup>39</sup>.

Samo otwarcie ekspozycji odbyło się w południe, w sali ratuszowej. Wystawa – jak na ówczesne warunki – została przygotowana niezwykle starannie. Odpowiednio opisane okazy ułatwiały orientowanie się w zabytkach przeszłości, a dokładna numeracja i zawierający aż sześćset cztery pozycje katalog dawały możliwość szybkiego zapoznania się z każdym pojedynczym przedmiotem.

Po wernisazu wystawa była dostępna dla zwiedzających codziennie od godziny dziesiątej rano do dwudziestej<sup>40</sup>. Aby uniknąć nadmiernego ścisku w dniu otwarcia, wyznaczono cenę wejścia na jednego rubla<sup>41</sup> od osoby. Mimo tak wygórowanej kwoty panował duży tłok, wszak trzeba się było „pokazać”, co dla niektórych było ważniejsze od samej wystawy. W kolejnych dniach ceny biletów były już znacznie niższe, wynosiły bowiem trzydzieści kopiejek...

Jezierski i Zaif przybyli na wystawę z żonami. Jakub był niezmiernie ciekaw tego kulturalnego wydarzenia i rozglądał się z zainteresowaniem. Zaraz po przestąpieniu progu sali rzuciła mu się w oczy wielka oszklona gablota, w której zgromadzono wykopaliska i zabytki epoki pogańskiej. Spośród wielu egzemplarzy za ciekawe uznał zabytki z epoki kamiennej (siekiery, toporki, dłuta, paciorki kamienne, narzędzia krzemienne, urny z ornamentacją kreskową), zabytki brązowe (naramienniki, naszyjniki, szpilki, zapinki) i naszyjniki żelazne.

– Hm, jak na tak skromne środki, którymi podobno dysponują wasi archeolodzy, dział przedhistoryczny reprezentuje się całkiem okazale – zauważył, zwracając się do Jezierskiego. – Sporo tych wykopalisk.

– Zazdroszczę wam tak bogatej i długiej historii – wtrąciła żona Zaifa. – Jestem zauroczona tym miejscem. My w Stanach nie mamy tak starych przedmiotów...

– Kochanie, wszak to młody kraj – pocieszył ją mąż. – Trudno, żeby miał tak stare zabytki. Chyba że po rdzennych mieszkańcach Ameryki.

– No, tak – odparła Sara – ale ja bym wolała nasze, a nie indiańskie zabytki.

– Na to musisz jeszcze trochę poczekać.

– Nie martw się, może w następnym wcieleniu zobaczysz coś takiego u was – zaśmiała się Debora, żona Jezierskiego, a kuzynka Zaifa.

– Raczej wcieleniach – uśmiechnął się doktor. – Jedno kolejne wcielenie nie wystarczy, żeby zabytków w Stanach było więcej. Chyba że oba wcielenia będzie dzieliła duża odległość czasowa...

– Że też wy zawsze zejdziecie na takie tematy... – jęknął Jezierski. – Popatrzcie lepiej na to.

– Co to jest? – poprosiła o wyjaśnienie Sara.

– Patena z czasów Mieczysława III Starego z portretem jego i opata Szymona<sup>42</sup> – przeczytał Zaif. – A to kielich z czasów Kazimierza Wielkiego i kielich gotycki z XVII wieku.

Tu Zaif mrugnął do przyjaciela i zapytał:

– Walery, pamiętasz nasze przejścia związane z tym kielichem?

– A jakże! – uśmiechnął się szeroko agent.

– Jakież to mieliście z nim przejścia? – zaciekawiała się Sara.

– Kochanie, historia tego kielicha jest naprawdę dość... burzliwa – uśmiechnął się Zaif. – I pod jej koniec zostaliśmy w nią także wplątani.

– Chciałabym ją poznać – poprosiła.

– Lepiej zna ją Walery.

– Walery, opowiedz o kielichu – Amerykanka zwróciła się do agenta.

– Nie daj się prosić – poparła ją Debora. – Ja też chętnie posłucham.

– Ech, co tu opowiadać. Leżał sobie spokojnie i wszystko było dobrze, dopóki komuś nie zachciało się go naprawiać. I jak to zwykle bywa, zaczęli przy nim grzebać różni „majstrowie” i omal go całkiem nie zniszczyli. Doszło do tego, że ludzie zaczęli podejrzewać, że ktoś po drodze zamienił prawdziwy kielich na podrobiony, a na końcu Hurko omal nie oskarżył mnie i Jakuba o to, że to nasza sprawa.

– Trochę zanadto to skróciłeś jak na mój gust – powiedziała Debora. – O ile pamiętam, to była całkiem przyjemna historia, w dodatku pełna historii. To taki żart słowny – wyjaśniła, widząc pytające spojrzenia



Sary. – To miało znaczyć, że opowieść o kielichu jest pełna różnych szczegółów historycznych.

– Ach, rozumiem! Walery, koniecznie musisz się bardziej postarać. Najlepiej teraz, gdy mogę na niego patrzeć.

Jezierski westchnął.

– Nie wiem, czy pamiętam wszystkie detale, ale spróbuję. Jest to kielich ufundowany w tysiąc trzysta sześćdziesiątym trzecim roku przez króla Kazimierza Wielkiego. Jego opis zamieścili Aleksander Przeździecki i Edward Rastawiecki w dziele *Wzory sztuki średniowiecznej i z epoki odrodzenia po koniec wieku XVII w dawnej Polsce*<sup>43</sup>. Ja tę historię znam dzięki uprzejmości księży, którzy udostępnili mi dawne zapiski na jej temat, które zachowały się w kolegiacie. To tam na co dzień jest przechowywany ten kielich. Inaczej ani w połowie nie byłbym taki mądry.

– Rozumiemy to doskonale – zaśmiała się Debora. – Walery nigdy specjalnie nie interesował się historią, dopóki nie kupił dworu, w którym teraz mieszkamy. Wtedy nagle opanowała go historyczna mania. Oczywiście, jego konikiem jest historia Borkowa i okolic, ale zaczął też studiować historię Kalisza.

– Nie przesadzaj, moja droga – stropił się Jezierski. – To, że czasem sobie coś poczytam, nie znaczy wcale...

– Ależ Walery, nie ma się czego wstydzić – przerwał mu uradowany Zaif. – Wszak to wspinała nowina! Przecież wiesz, że ja na przykład uwielbiam historię jako dziedzinę wiedzy, choć interesują mnie też inne kierunki.

– Ciebie interesuje nauka w ogóle – stwierdziła Sara. – I jestem bardzo dumna, że mam takiego mądrego męża. Naprawdę, mało kto mu dorówna. Cenią go nawet w Waszyngtonie!

Doktor chrząknął z zakłopotaniem i zaczął protestować, ale Jezierski położył mu rękę na ramieniu.

– Nie wątpię – powiedział i mrugnął do niego porozumiewawczo. – Wszak sam byłem świadkiem, gdy kilku dżentelmenów z zagranicy gięło się przed nim w ukłonach, a było to dobrych dziesięć lat temu<sup>44</sup>.

– Tak? – zdziwiła się Sara. – A co takiego...

– Wracajmy do kielicha albo idźmy dalej – przerwał jej mąż. – Nie zapominaj, że jesteśmy na wystawie.

– Dobrze. Wolę na razie usłyszeć historię kielicha.

– Cóż, jak już mówiłem, leżał sobie biedaczek spokojnie przez wieki całe – Jezierski wrócił do opowieści – aż bodajże w tysiąc osiemset siedemdziesiątym czwartym roku nieznanemu z nazwiska kaliski wikariusz ni stąd, ni zowąd postanowił się wykazać i zrobić porządek pośród będących w posiadaniu kolegiaty sreber. Zamiast jednak po chrześcijańsku, zabrał się do rzeczy po barbarzyńsku. Znajdujące się w kościelnym skarbcu niektóre zabytki kazał oczyszczać, a inne przetapiać! Ów wikariusz zainteresował się, niestety, także pociemniałym ze starości kielichem. Popatrzcie, wygląda jakby był ze złota, ale tak naprawdę wykonano go ze srebra i pozłociono. Na nóżce umieszczono napis wykonany gotycko-słowiańskimi literami. Nad nim dano cztery białe orły piastowskie, a pola pod nimi wypełniono szafirową emalią. Taka sama emalia okalała dół czaszy kielicha.

Obok przyjaciół niepostrzeżenie zebrała się mała grupka innych zwiedzających, którzy przystanęli, by także posłuchać opowieści agenta. Wszyscy w skupieniu wpatrywali się w kielich.

– Na szczęście ów wikariusz postanowił oddać kielich do odnowy, a nie przetopić – mówił dalej Jezierski. – Ale co z tego, skoro efekty okazały się wręcz opłakane. Złotnik z Kalisza, Lüdke, podczas ponownego złocenia kielicha zdjął emalię, a białe orły pozłocił. Jego nadgorliwość nie spotkała się z uznaniem, szczególnie że wezwany znawca stwierdził, że zabytek został po prostu zniszczony. Według niego kielich ze swymi cechami starożytnymi wart był trzydzieści tysięcy franków, a po „naprawie” tylko dwa tysiące franków. Nieszczęsny wikariusz, zapewne niezłe obsztorcowany przez przełożonych, postanowił naprawić swoje błędy i ponownie oddał zabytek do naprawy wspomnianemu już Lüdkiemu. Ten, co prawda, pracę wykonał, ale cóż, kiedy emalię zrobił... Nie uwierzycie z czego!

– Z czego? – zapytała Sara.

– Z kawałków starej niebieskiej ceraty zalanej masą szklaną! Masa ta wkrótce popękała i od razu zaczęła kawałkami odpadać. Nic dziwnego zatem, że kolejna opinia okazała się jeszcze bardziej surowa: „zbarbaryzowanego kielicha tego nikt by nawet nie kupił, bo w nim tylko cena srebra była, a cecha starożytności pod pozłotą zniknęła”. Tak zniszczony kielich musiał czekać jeszcze wiele lat na odnowienie, gdyż zły stan finansów kaliskiej kolegiaty nie pozwalał na podjęcie stosownych działań. Dopiero w tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym roku pokazano sławny kielich biskupowi kujawsko-kaliskiemu Aleksandrowi Bereśniewiczowi i już rok później rozpoczęły się poszukiwania złotnika. W końcu znaleziono odpowiedniego rzemieślnika w Paryżu. Na pośrednika w tych negocjacjach wybrano byłego mieszkańca Kalisza, Nepomucena Rajskiego, fabrykanta kościelnych złotych ozdób. Wybór zapewne wynikał z faktu, że Rajski mieszkał w Paryżu i był znany jako człowiek solidny i uczciwy. Zabytek postanowiono wysłać do Paryża pod opieką dwóch duchownych. Niestety, choć kielich dotarł do Paryża i był pokazywany na wystawach, francuski złotnik wywiązał się z prac równie nieudolnie jak kaliski. Nałożona emalia zaraz po naprawie zaczęła się łuszczyć. „Kaliszanin” relacjonował, że kielich musiano partaczowi odebrać, a że za pracę już zapłacono, wytoczono mu proces o fuszerkę. Sam kielich musiał więc zostać w Paryżu jako dowód rzeczowy. Właśnie w tym czasie w Kaliszu zaczęły szerzyć się plotki, że kielich sprzedano, a na jego miejsce podstawiono jakiś falsyfikat. Mówiono też, iż oryginał znajduje się w Wiedniu, że ks. Godorowski, wikariusz kolegiaty, przed wysłaniem zabytku do Paryża pożyczył go jakiemuś czeskiemu znawcy na kilka dni do obejrzenia i że ten miał go podmienić, a zwrócić już falsyfikat i że nie oryginalny kielich posłano do Paryża, ale ów falsyfikat.

– No, proszę! – wyrwało się starszemu jegomościowi, który z wielką uwagą słuchał opowieści agenta.

– Też o tym słyszałem. Mam nadzieję, że to jednak nieprawda?

Zaskoczony Jezierski rozejrzał się i ujrzał wokół siebie kilkanaście obcych osób. Zaif, który już dawno zauważył, że przybyło im towarzystwa, z trudem stłumił uśmiech, widząc minę przyjaciela.

– Niech pan mówi dalej – zachęciła agenta jakaś starsza dama.

– Drodzy państwo, nie jestem przewodnikiem – obruszył się agent.

– Nic nie szkodzi, świetnie panu idzie! – z entuzjazmem zawołała krzykliwie ubrana żona pewnego miejskiego notabla, którego Jezierski znał z widzenia i za nic nie chciał poznać bliżej, gdyż miał go za łapownika i krętacza. On sam we własnej, bardzo obszernej osobie stał tuż za żoną, kołysząc się na szeroko rozstawionych nogach, z palcami wetkniętymi w kieszonki kamizelki.

– Nie każ państwu czekać – przynagliła go żona łagodnie, ponieważ znała zdanie męża na temat notabla i obawiała się, że Walery zirytuje się i powie coś niezbyt grzecznego, obrażając przy okazji Bogu ducha winnych zgromadzonych wokół ludzi, którzy chcieli tylko posłuchać ciekawej historii. – Twoja opowieść jest naprawdę interesująca, a ty z powodzeniem mógłbyś zmienić zawód.

Jezierski zmarszczył czoło, ale zaraz się opanował. Wiedział, do czego zmierzała żona, a za nic nie chciał zrobić przykrości jej ani pozostałym. Poza notablem i jego połowicą wpatrywały się w niego same miłe i dobroduszne twarze. Cóż mu szkodzi, że oni także posłuchają tej historii?

– W obliczu plotek i potwarzy – podjął agent po chwili – kapituła zachowała wyniosłe milczenie, ale zaczęła przynaglać Rajskiego do jak najszybszego sfinalizowania sprawy. Nakazano mu przerwanie procesu i zakończenie naprawy lub odesłanie zabytku do Kalisza w takim stanie, w jakim był. W tej sytuacji Rajski znalazł innego złotnika, który przywrócił kielichowi stan pierwotny, a zabytek ponownie pokazano paryżanom. Potem kielich wrócił do Kalisza i traf chciał, że było to akurat w tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym roku, mniej więcej wtedy, gdy Forster zamieszkał u radcy Garszyńskiego. Zabytek ponownie złożono w skarbcu kapituły i by ukrócić plotki, na krótko udostępniono wszystkim zainteresowanym. Niewątpliwie obejrzał go wtedy również Forster.

– Kim był Forster? – przerwał mu notabl. Teraz dla odmiany przeżuwał nonszalancko bardzo grube

niezapalone cygaro. – Bo Garszyńskiego znałem, był prawnikiem.

Jezierski tym razem nie wytrzymał, ale widząc spojrzenie żony, pohamował się nieco i odezwał w sposób mniej dosadny, niż zamierzał:

– Forster, drogi panie – zaczął z tym pozornym spokojem, który u jego podwładnych i wielu przestępców wywoływał dreszcz przerażenia – był bezlitosnym mordercą. Posłał do piachu wiele osób tylko dlatego, że był chciwy i miał wielką ochotę na pewien skarb, który do niego nie należał<sup>45</sup>. W tym był akurat podobny do niektórych tu obecnych...

Notabl drgnął i z wściekłością zacisnął szczęki, niechcący przegryzając cygaro. Wysuszony, grubo krojony tytoń rozsypał się wokół, lądując jednak głównie na gorsie koszuli, która ściśle opinała wydatny brzuch.

– Och! – zakrzyknęła jego żona. – Ubrudziłeś się, mój drogi! Wyjdźmy na chwilę, musimy cię oczyścić.

Gdy małżeństwo odeszło, odprowadzane ciekawskimi spojrzeniami, Jezierski bez ponagień sam podjął opowieść:

– Niestety, wystawienie kielicha nie rozproszyło atmosfery podejrzeń. W mieście znów pojawiły się złośliwe pogłoski, że to nie jest oryginalny kielich króla Kazimierza. Głównym podejrzanym był oczywiście Rajski, który jakoby miał przywłaszczyć sobie zabytek. Pewien antykwariusz twierdził, że zamienił on oryginał na falsyfikat, i na nowo odżyły dawne oszczerstwa. To zmusiło księdza Kobylińskiego... Znacie państwo to nazwisko, prawda?

– A jakże, to wielki patriota kaliski, choć nie z urodzenia<sup>46</sup> – odparł jakiś starszy pan, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że historię tę opowiada sam szef kaliskiej policji, a zatem przedstawiciel władzy carskiego zaborcy.

– Otóż to! – uśmiechnął się Jezierski. – A wracając do naszego kielicha, oszczerstwa te zmusiły księdza Kobylińskiego, byłego kanonika kolegiaty, a w czasach, gdy rzecz się dzieje, proboszcza parafii w Goszczanowie, do złożenia dokładnych wyjaśnień, które zdejmowały podejrzania z Rajskiego. Podał zatem do publicznej wiadomości, że „wolno każdemu myśleć, co mu się podoba, kapituła jednak wie, że ma w skarbcu swoim autentyk, kielich Kazimirowski, w takim kształcie, w jakim przed pięciuset laty był jej ofiarowany”. W sumie koszty renowacji kielicha wyniosły niemałą dla kolegiaty sumkę, bo pięćset czterdzieści rubli srebrem. Za podróż wysłannicy kapituły zapłacili z własnej kieszeni. Ale najwyższą cenę – w postaci zszarganego honoru i nerwów – zapłacili wszyscy, którzy przyczynili się do odnowy zabytku. Jak zatem państwo się domyślają, informacja o odzyskaniu przez kaliską policję kielicha, który zabójca Forster wykradł tak, że nikt się nawet nie zorientował, nie przyczyniła się do uznania kielicha za autentyk. Obawiam się, że jeszcze przez wiele lat będą pojawiały się głosy, że kielich jest falsyfikatem<sup>47</sup>.

– Na to już nic nie poradzimy – powiedziała Debora. – Wystarczy, że my wiemy, iż przed nami stoi teraz oryginał. Chodźmy dalej, kochani.

I zręcznie wyprowadziła męża z koła gapiów, których tymczasem jeszcze przybyło.

– Bardzo panu dziękujemy! – zawołał za nimi starszy jegomość. – Szkoda, że w katalogu nie zamieścili takich historii.

– Ignacy, czy ty wiesz, jak gruby musiałby być wtedy ten katalog? – strofowała go kobieta stojąca obok.

– Musieliby go wydać w kilku tomach – zażartował ktoś inny.

Dalszych uwag przyjaciele już nie słyszeli, gdyż przeszli dalej, do działu piśmiennictwa. Tam z dokumentów najbardziej interesujący, a zarazem najstarszy okazał się przywilej króla Władysława Łokietka z 1295 roku, nadający Wilczkowi dwa łany „Wielgiej Woli” pod Szadkiem. Ciekawe były również liczne rękopisy z XV wieku, przywileje cechowe z XVI–XVII wieku i księgi miejskie Koła, Iwanowic i Zamku Kolskiego. Zaif za nadzwyczaj interesującą uznał zawartość grobowca skrzynkowego i wykopaliska izbickie: dwa brakteaty<sup>48</sup> i łańcuchy srebrne pochodzenia skandynawskiego, paciorki średniowieczne oraz srebrne naczynie do wonności pochodzenia arabskiego<sup>49</sup>.

Wśród eksponatów znalazły się także: stary puchar z monetami, należąca do cechu krawieckiego miasta Kalisza lada cechowa z 1685 roku, puchar cynowy cechu szewskiego miasta Kalisza z XVIII wieku oraz puchar kryształowy<sup>50</sup>. Uwagę zwracała również skrzynia „silnie okuta żelazem”, ze sztucznym zamkiem, służąca kiedyś jako skarbiec magistracki. Piękny i kosztowny był także zbiór fajek z pianki morskiej, z których niektóre były ozdobione rzeźbami. Oryginalne były fajki skonstruowane w taki sposób, że palący mógł nabić trzy gatunki tytoniu oddzielnie i w ten sposób jednocześnie je palić. Nie brakowało też na wystawie ozdobnych tabakierok i kasetek inkrustowanych<sup>51</sup>.

Dużym zainteresowaniem zwiedzających cieszyły się także licznie zgromadzone militaria, wśród których na szczególną uwagę zasługiwały średniowieczne pancerze, naramienniki i nagolenniki, szyszak z przyłbicą, miecze, kindżał czerkieski i pałasz kawaleryjski oraz pistolety skałkowe. Zdecydowanie skromniej reprezentowane było malarstwo, jednak uwagę zwracały portrety szlacheckie z XVI–XVIII wieku i miniatury z XVIII wieku<sup>52</sup>. Podobnie było z ceramiką i kryształami – tutaj dominowały przedmioty użytkowe, zaprezentowano zatem głównie wazy, kielichy, talerze, a także nieco srebrnej zastawy i sztucców.

W tym dziale Zaif zatrzymał się dłuższą chwilę i dokładnie obejrzał prezentowane wazy.

– Co takiego w nich widzisz? – spytała Sara.

– Wydaje mi się, że taką wazę – tu wskazał pięknie zdobione porcelanowe naczynie – miała moja matka. Nie jestem pewien, czy była taka sama, czy tylko podobna, bo miałem wtedy może z pięć lat. Niestety, zbiłem ją, a ojciec był niepokieszony. Chciałbym ją odkupić dla niego.

– Musisz zapytać Maksa – zaproponował Jezierski. – On na pewno będzie pamiętał, czy to taka sama waza.

– Ale wtedy nie będzie niespodzianki – zaprotestował Jakub.

– Sądzę, że wystarczająco ucieszy go fakt, że o tym pamiętasz i chcesz naprawić stratę – stwierdziła Debora.

– Może masz rację. Chodźmy dalej.

Przeszli do działu bibliograficznego i dokumentów historycznych, który był o wiele bogatszy i obfitował w tzw. białe kruki. Brak miejsca nie pozwolił jednak wystawić zbyt wielu dokumentów i książek<sup>53</sup>. Ale najefektowniejszy, a zarazem najkosztowniejszy okazał się dział kościelny – zbiór sprzętów liturgicznych na wystawie składał się z czterdziestu pięciu eksponatów<sup>54</sup>. Wśród nich znajdowały się bogate ornaty i kapy, cenne monstrancje i kielichy.

Tam właśnie Jezierscy i Zaifowie spotkali się z gubernatorem Daraganem i jego małżonką.

– Słyszałem, Waliesza, że świetnie się spisujesz jako przewodnik – zażartował dobrodusznie gubernator.

Agent przewrócił oczami.

– I wy też, Michale Piotrowiczu? – rzekł z wyrzutem.

– Chciałem tylko przez to powiedzieć, że kaliszanie są z ciebie dumni.

– Szczególnie że znasz niektóre fakty z życia miasta lepiej niż oni sami – dołączył Zaif.

– Ty znasz ich znacznie więcej – odburknął agent. – Dlaczego nie udowodniłeś tego przy innych eksponatach?

– Nie chciałem ci robić konkurencji.

– Nie bądź taki skromny, Jakubie.

– Nie kłóćcie się, moi drodzy – przerwał im łagodnie gubernator. – Ja tam cieszę się, że wystawa okazała się takim sukcesem.

Miał rację. Jak wkrótce potem przyznał na łamach „Gazety Kaliskiej” jeden ze zwiedzających, Leon Źarski, było na co popatrzeć, gdyż dosłownie przytaczając jego wypowiedź, widz „mając przed oczyma żywe pomniki przeszłości odtworzy i odczuje w duszy obraz minionych czasów”<sup>55</sup>. Szkoda tylko, że odwiedzający nie mieli zbyt dużo czasu na podziwianie eksponatów, wystawa była bowiem czynna tylko



przez dwa miesiące – maj i czerwiec. Mimo to „kaliska uroczystość archeologiczna” nie tylko dowiodła, jak wiele zabytków sztuki posiadały wówczas domy prywatne i jak chętnie dzieliły się one swymi zbiorami ze społeczeństwem<sup>56</sup>. Wystawa jednocześnie zmotywowała miejscowe elity intelektualne do popularyzacji historii miasta i jego okolic, rozbudziła ogromne zainteresowanie przeszłością. Rozpoczęto liczne wykopaliska archeologiczne oraz przeprowadzono na szeroką skalę akcję dokumentacji wszelkich zabytków w regionie kaliskim. Owocem tych prac było m.in. rozpoznanie grodziska Zawodzie w Kaliszu przez Włodzimierza Demetrykiewicza z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie<sup>57</sup>.

– A gdzie twój ojciec, Jakubie? – zapytał gubernator. – Dzieci też nie wzięliście?

– Ojciec został z dziećmi w domu – wyjaśnił Zaif. – Nie może się nimi nacieszyć. Postanowił więc obejrzeć wystawę innego dnia, pewnie już jutro przyjdzie tu z dziećmi.

– Pomieścicie się wszyscy u was w domu?

– Bez problemu. Miejsca jest dużo. A za dwa dni pojedą wszyscy do Borkowa.

– My z Jakubem zostaniemy, dopóki śledztwo się nie skończy – dodał Jezierski. – Oby nie trwało zbyt długo, bo nie chciałbym, żebyś cały pobyt tutaj strawił na uganianiu się ze mną za przestępcami.

– Przynajmniej nie będę się nudził – pocieszył go Zaif.

– A kiedykolwiek się u nas nudziłeś?

– Ależ skąd, ale powiem ci, że dawno tego nie robiłem. W Ameryce nie mam wielu okazji, by się wykazać, zgony następują głównie z przyczyn naturalnych lub w wyniku kłótni. Nic ciekawego.

Gdy tak stali, omawiając wrażenia z wystawy, podszedł do nich starszy pan. Był mocno zdenerwowany, co tłumaczyło nieco jego obcesowe zachowanie. Oczy miał rozbiegane i mocno załamane, dlatego co chwila ocierał je chusteczką.

– Józef Garszyński – przedstawił się krótko. – Przepraszam, że państwu przeszkadzam, ale rozpoznaję tu agenta Jezierskiego, z którym muszę koniecznie porozmawiać.

– Oczywiście – odparł zadowolony agent. – Sam chciałem z panem zamienić słowo i najpóźniej dziś po południu odwiedziłbym pana w hotelu. Wyjdźmy na korytarz, żeby nie przeszkadzać zwiedzającym.

– Po rozmowie z panem znajdziesz nas w cukierni – powiedział jak zawsze taktownie gubernator. – Pamiętaj, że na dziś wieczór jesteśmy zaproszeni do pani Modrzyckiej. Miło było pana widzieć.

Garszyński dał się wyprowadzić agentowi, któremu zależało, by nikt obcy nie słyszał, o czym będą rozmawiali. Dlatego na korytarzu Jezierski zaproponował, że odwiezie pana Józefa do hotelu, gdzie będą mogli rozmawiać swobodniej, a już na pewno wygodniej.

Usiedli w bocznym saloniku. Jezierski zamówił herbatę i ciasto i dopóki służba nie zostawiła ich samych, prowadził ze starszym panem niezobowiązującą rozmowę, choć jej ciężar spoczywał głównie na nim, ponieważ Garszyński siedział osowiały, z ponurą miną.

– O czym chciał pan ze mną porozmawiać? – zagaił wreszcie agent.

Garszyński uniósł głowę i spojrzał Jezierskiemu w oczy. Wzrok miał tak smutny jak u zbitego psa.

– Musiało stać się coś złego – zaczął niepewnym tonem. – Nie bardzo wiem co. I boję się, że pan mi nie uwierzy...

Zawiesił głos i opuścił głowę. Po chwili ją uniósł i znów spojrzał agentowi w oczy, jakby chciał sprawdzić, co się za nimi kryje.

– Czy to ma związek z pańską bratanicą? – zapytał na wszelki wypadek agent, choć był tego prawie pewien.

– Tak... – W oczach i głosie starszego pana pojawiła się iskierka nadziei.

– Proszę mi opowiedzieć, co pana trapi – rzekł pokrzepiająco agent. – Postaram się jakoś temu zaradzić.

– Otóż, widzi pan, my nigdy nie byliśmy ze sobą mocno związani jako rodzina. Odkąd zabrakło brata...

– Tak, tak, pamiętam – wtrącił szybko agent. – Nie musi pan wracać do tamtych tragicznych wydarzeń.

– Wtedy nasze więzi rodzinne praktycznie przestały istnieć. Dziewczynki zabrała siostra ich matki do

Warszawy i łączyły nas tylko kurtuazyjne kartki świąteczne i bardzo rzadkie spotkania. Na palcach jednej ręki mógłbym je zliczyć. Ja zresztą także przeniosłem się z Kalisza do Łodzi, co nie poprawiło naszych kontaktów, mimo że odległość się zmniejszyła.

Starszy pan zamyślił się na dłuższą chwilę.

– Ja zająłem się pracą, moja żona zajmowała się domem i dziećmi, które szybko dorosły, założyły własne rodziny i wyprowadziły się. Nawet nie zauważyłem, kiedy oddaliliśmy się od siebie, tak bardzo pochłonęła mnie praca. I pomnażanie majątku. Moja żona zmarła kilka lat temu i wtedy jeszcze bardziej rozeszły się drogi między mną a dziećmi. Smutne, ale prawdziwe. Właściwie aż do niedawna nie zdawałem sobie z tego sprawy. Dopiero tutaj, w Kaliszu, gdy spotkałem się z Elizą, poczułem, że nie mam już rodziny, tylko ludzi, których znam od dawna, a jednocześnie jakbym nie znał ich wcale. Eliza pewnie wyczuła moją samotność i próbowała jakoś ją zmniejszyć. Nie łudzę się, to pewnie zwykła litość nad starym człowiekiem, żadne przywiązanie, a jednak... znaczyło to dla mnie bardzo wiele. Zbliżyliśmy się do siebie, zwłaszcza że okazało się, iż mamy wiele wspólnych zainteresowań. Choć każde z nas inaczej je traktowało. Zresztą to w tej chwili nieważne.

– Chyba wiem, co ma pan na myśli – rzekł agent. – Pewnie często się o to spieraliście, choć gdy spojrzeć na sprawę obiektywnie, wasze opinie były takie same. Może tylko dochodziliście do nich innymi drogami i wskutek odmiennych doświadczeń.

– Tak! – ucieszył się Garszyński. – Wydaje mi się, że w tym właśnie tkwił problem. Ale nie kłóciliśmy się, nasze spory były pełne... jakby to ująć... życzliwości. Dlatego bardzo przyjemnie spędzaliśmy czas, przynajmniej ja. Mieliśmy zaplanowane zajęcia na kolejne dwa dni, podczas których miałem zamiar odwiedzić ją od zamiaru wyjazdu do Ameryki...

– Panna Eliza chciała wyjechać do Ameryki? – zdziwił się Jezierski.

– Ano tak – westchnął Garszyński. – Razem z narzeczoną chcieli opuścić kraj tuż po ślubie, czyli za kilka miesięcy. Potrzebowali więcej gotówki, stąd ta sprzedaż prawie całej kolekcji po ojcu, czemu byłem, a właściwie byłbym stanowczo przeciwny, gdybym o niej wiedział. Ale Eliza już przeprowadziła transakcję, więc nie było sensu się o to kłócić.

Jezierski i tak był pewny, że starszy pan mimo to nie omieszkał wyrazić swojej opinii, ale zachował to dla siebie.

– Rozumiem – powiedział zamiast tego. – Co było dalej?

– Dzień przed otwarciem wystawy rozstaliśmy się po obiedzie i byliśmy umówieni nazajutrz rano. Tymczasem rano zamiast Elizy pojawił się posłaniec i przyniósł mi ten list.

Garszyński sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął arkusik papieru, identyczny z tym, który Jezierski dostał od Lipskiego. Agent wziął go do ręki, ale zanim zaczął czytać, wręczył Garszyńskiemu list Elizy do pani Łączkowskiej.

– Proszę spojrzeć na ten list. Pańska bratanica wysłała go do pani Łączkowskiej. Byłbym wdzięczny, gdyby pan przyjrzał się pismu, bo chciałbym mieć pewność, że naprawdę napisała go panna Eliza.

Garszyński burknął coś pod nosem, ale wyjął binokle i nasadził je na nos. Tymczasem agent szybko przebiegał oczyma otrzymany arkusik papieru: „Drogi stryju, bardzo mi przykro, ale pilne interesa zmuszają mnie do nagłego wyjazdu, dlatego muszę z przykrością poinformować stryja, że nasze spotkanie nie dojdzie do skutku. Pozostaję z wyrazami szacunku i załączam uściski etc., etc”.

– Wygląda na to, że panna Eliza bardzo się spieszyła, pisząc ten list – zauważył agent. – Jest krótki, a pismo trochę niestaranne, ale tak często bywa, gdy nagli nas czas. Może już była w podróży, a wtedy warunki nie sprzyjają pisaniu listów.

Garszyński prychnął.

– Nic pan nie rozumie!

– Zatem słucham.

– Jeszcze kilka dni temu taki list byłby zupełnie na miejscu. Tak by właśnie do mnie napisała. Jak już

mówiłem, przez te kilka dni bardzo się zbliżyliśmy!

– Rozumiem, lecz w pośpiechu jesteśmy zmuszeni pisać krótko. Wtedy nie ma miejsca lub czasu na długie pożegnania, wyrazy przywiązania i tak dalej.

– Ja to wszystko rozumiem, tyle że ona tu pisze do mnie „stryju”! – wykrzyknął z oburzeniem Garszyński.

– A jakżeż inaczej miałyby pisać? – zdumiał się agent.

– Odkąd się polubiliśmy, zawsze, ale to zawsze, nazywała mnie stryjaskiem! – z dumą oświadczył Garszyński. – A ja nie ukrywałem, jaką przyjemność mi to sprawia. Poza tym, jakież interesa mogła mieć Eliza? To młoda kobieta z towarzystwa, która nie musi pracować, w dodatku jeszcze nie mężatka, więc i domem nie musi się zajmować. Jej majątkiem opiekuje się rodzinny prawnik lub wuj, dziewczyna nie ma też żadnych nowomodnych zainteresowań, które każą kobietom brać udział w wiecach lub pokazywać się półnago w miejscach publicznych, domagając się prawa do głosowania lub innych tego typu bzdur. Nie, żadnych interesów po prostu mieć nie mogła!

– Hm, pańskie spostrzeżenia są ciekawe – mruknął agent. – Tak, naprawdę bardzo interesujące. Ale w jednym chyba się pan myli. Panna Garszyńska mogła mieć jakieś pilne do załatwienia sprawy związane z wyjazdem do Ameryki.

Zacietrzewienie prawnika nie ustąpiło, wciąż był w wojowniczym nastroju.

– Tylko wtedy, jeśli jej narzeczony jest skończonym nicponiem i leniem! – wykrzyknął. – Dlaczego niby miała się zajmować tym wyjazdem zamiast tego wałkonია?

– Zna pan narzeczonego bratanicy?

– Ależ skąd! W życiu na oczy go nie widziałem!

– To skąd pan wie, że to nicpoń?

– Nie wiem i teraz nic mnie to nie obchodzi! Pana też nie powinno. Niech pan ją lepiej znajdzie, zanim coś jej się stanie!

Ten wybuch uświadomił Jezierskiemu, że Garszyński chyba podświadomie nie lubi narzeczonego Elizy z zazdrości, że mu ją zabierze, a w dodatku może ją także „wywieźć” do Ameryki, a przecież dopiero co stali się znów rodziną.

– Oczywiście, taki mam właśnie zamiar – odparł uspokajająco. – Jeszcze jedno pytanie: czy jest pan pewien, że listy pisała panna Eliza?

– Niestety, tak – burknął z niechęcią Garszyński. – Swój przestudiowałem bardzo dokładnie i porównałem z kilkoma kartkami, które mi dotąd przesłała. Ten do pani Łączkowskiej wydaje się identyczny. Ale dobrze o panu świadczy, że w ogóle wpadł na ten sam pomysł – dodał łaskawie.

– Cieszę się – uśmiechnął się pod wąsem agent. – Zatem do jakich doszedł pan wniosków?

– Jak to? – zdziwił się Garszyński. – Przecież to oczywiste. Ktoś ją porwał i zmusił do napisania tych listów! Na szczęście była na tyle inteligentna, żeby dać mi o tym znać, pisząc „stryju” zamiast „stryjasku”.

– Ach tak? – zapytał agent, choć sam był tego samego zdania. Nie chciał jednak zbyt wczesnie zdradzać swojej opinii, żeby „nie wpływać na świadka”, jak mawiali w policji. – Dlaczegoż ją jednak porwano?

Starszy pan znów prychnął, tym razem bardziej z pogardą niż gniewem.

– Widzę, że przeceniłem pana. Powodów może być kilka i to pan powinien je sprawdzić.

– Proszę je wymienić – odparł spokojnie agent, nie biorąc sobie do serca niepoehlebnej opinii rozmówcy.

– Po pierwsze, dla okupu, w końcu pochodzi z bogatej rodziny. Po drugie, dla pieniędzy, bo od niedawna dysponowała dużą kwotą pieniędzy ze sprzedanej kolekcji. Po trzecie, mogła zobaczyć lub dowiedzieć się czegoś, co było dla kogoś niebezpieczne lub ważne, choć przyznaję, to mało prawdopodobne i trąci romansidłem dla pańienek. Musi pan sprawdzić wszystkie te możliwości.

– A co pan zamierza robić?

– Zamierzam zostać i dopilnować tego – oświadczył uroczyście Garszyński.

– Świetnie. Proszę zostać w hotelu i czekać na ewentualny powrót bratanicy lub wiadomość od niej.

I proszę mnie natychmiast zawiadomić, gdyby otrzymał pan jakiegokolwiek wieści.

– Ma się rozumieć.

– I jeszcze jedno: czy ma pan jakąś podobiznę bratanicy?

– Mam wspólne zdjęcie, które wczoraj sobie zrobiliśmy. Ale po co to panu?

– Zamierzam rozkleić afisze o jej zaginięciu, wraz z podobizną i prośbą o informacje. Powielimy przygotowany afisz w drukarni i rozkleimy na mieście.

Garszyński zmarszczył brwi.

– Czy to konieczne? Takie... upublicznienie?

– Wiem, to nic miłego, ale ma swoje zalety. Jeśli nie zaginęła, lecz dobrowolnie gdzieś wyjechała, na pewno się do nas zgłosi, żeby natychmiast wyjaśnić nieporozumienie i zakończyć tę sprawę. Może też zgłosić się jakiś świadek albo ktokolwiek, kto coś wie. Tak czy inaczej, czegoś się dowiemy.

– Hm... Muszę to przemyśleć.

– Bardzo proszę, ale niezbyt długo. Po południu przyślę do pana policjanta i jeśli się pan zgodzi, moi ludzie zajmą się przygotowaniem, aby na poniedziałek afisze były gotowe.

W tym momencie do saloniku wtargnął, a właściwie został wepchnięty zirytowany kamerdyner, człowiek już starszy i siwowłosa. Jego starannie ułożone włosy były teraz równie wzburzone jak ich właściciel. Zaraz za nim w pokoju pojawił się wściekły Poraj, zza którego pleców nieśmiało wychynął Lipski.

– To doprawdy niedopuszczalne! – krzyczał kamerdyner. – Poskarżę się kierownikowi, a on policji!

– Ja tu jestem z policji! – warknął Poraj. – A pan utrudnia mi pracę, co jest surowo karane!

– Co się tu dzieje?! – przez panujący zgiełk przedarł się nieznośny sprzeciwu głos Jezierskiego, który zerwał się na równe nogi. – Spokój, ale już!

Zapadła nagle cisza. Garszyński rozsiadł się wygodnie i uważnie się przyglądał. Był wyraźnie zaniepokojony i wyglądało na to, że przy okazji całkiem dobrze się bawi.

– Jasiek? Dlaczego wpadasz tu jak do meliny podczas nalotu? – zapytał surowo agent.

– Mam bardzo pilne wieści, szefie, a ten tu... nie chciał mnie wpuścić!

– Jego Ekscelencja zakazał przeszkadzać! – bronił się wciąż wzburzony kamerdyner.

– To prawda.

– Ale mamy ciężko rannego, szefie, prawie trupa!

– A, to co innego. Sam pan musi przyznać, że to ważna informacja – zwrócił się agent do kamerdynera.

– Pewnie, pewnie, ale mógł tak od razu mówić, a nie pchać się na siłę!

– Nie będę się tłumaczył przed byle kim, a poza tym to tajemnica służbowa! – obruszył się Jasiek. Kamerdyner także od razu się najeżył. Nowa awantura wisiała w powietrzu.

– Panowie, nie czas teraz i nie miejsce na kłótnie – uspokoił ich Jezierski. – A my umówmy się na przyszłość, że w podobnej sytuacji zawsze pan wpuści policjanta. Oni zazwyczaj mają ważny powód.

– Oczywiście. Tego tutaj zawsze rozpoznam, nawet bez munduru – dorzucił burkliwie kamerdyner.

– Ma pan znakomitą pamięć – zauważył mimochodem agent.

– W tym zawodzie człowiek wyrabia sobie tę cechę. Inaczej nie ma w nim czego szukać.

– Nie tylko w tym zawodzie potrzebna jest dobra pamięć – odezwał się Garszyński. – Jestem adwokatem i też mi się ona przydaje. Tak jak i spostrzegawczość.

– Tak, wiele jest zawodów, w których dobra pamięć jest niezbędna – zauważył agent, wstając. – W moim także. A zatem na dziś to wszystko, panie Garszyński, musimy zakończyć naszą rozmowę, ale wkrótce się do pana odezwę. W razie czego proszę o natychmiastowy kontakt.

– Ale co pan zamierza zrobić, agencie? – zawołał adwokat, na nowo zaniepokojony. Widocznie los bratanicy mocno leżał mu na sercu.



- Najpierw sprawdzę, dokąd doprowadzi nas bagaż.
- Znakomicie! – ucieszył się Garszyński. – To powinien być dobry trop.
- Niekoniecznie, jeśli porywacz jest sprytny. Proszę sobie za wiele po tym nie obiecywać.
- Wielki z pana pesymista.
- Realista.
- Być może. – Starszy pan wstał ciężko, opierając się na eleganckiej lasce. – Pójdę już do siebie.

Zmęczyłem się.

- Wiek ma swoje prawa.
- To nie wiek, drogi panie. Nie jestem już najmłodszy, ale też i nie taki stary. Wciąż pracuję. Ale to choroba. Mój lekarz, a właściwie konował, na którego wydaję od roku fortunę, twierdzi, że to nieuleczalne.

– Przykro mi – stwierdził agent, uświadamiając sobie, że faktycznie, Garszyński jest młodszym bratem zamordowanego przed laty radcy prawnego, więc nie może być aż taki stary. Widocznie wyniszczyła go choroba. I zmiękczyła, sądząc po tym, co mówił o dzieciach i bratanicy.

- Proszę mi obiecać, że nie zaniebda pan tej sprawy – rzekł Garszyński już w drzwiach.
- Nie zaniebdam, proszę się nie martwić.

Adwokat wyszedł z saloniku, odprowadzany do pokoju przez troskliwego kamerdynera, a Jeziński odczekał chwilę i także udał się do wyjścia.

– Naprawdę szef wciąż myśli, że panna Garszyńska została porwana? – dopytywał się Jasiek, gdy znaleźli się już na ulicy. Lipski tylko nadstawiał ucha, lecz przezornie nie wtrącał się do rozmowy.

- Pan Garszyński także doszedł do tego wniosku.
- Ale to stary i chory człowiek. Nie można się opierać na jego osądach.
- To, że jest stary i chory, nie znaczy, że głupi, mój drogi.
- Niby nie, ale jednak...

- To nie twoja sprawa, Jasiek – uciął stanowczo agent. – Mów lepiej, co się stało.
- Ano... – zaczął Poraj, ale nie dokończył, gdyż za nimi rozległo się zdyszane wołanie:
- Panie agencie! Niech pan poczeka!

Odwrócili się obaj i ujrzeni spieszącego ku nim kamerdynera, który sapał i dyszał z wysiłku. Jego dostoyny i powolny chód zastąpił teraz niemal bieg, do czego na pewno nie był przyzwyczajony.

- Co się stało? – zaniepokoił się agent. – Czyżby pan Garszyński zasłabł?
- Nie, chwała Bogu – wydyszał sługa, padając na jedno z krzeseł znajdujących się w holu. – Panowie wybaczą, jestem już za stary na takie biegi! Muszę chwilkę odsapnąć, inaczej...

– Proszę siedzieć i się nie przejmować – uspokoił go agent. – Chciałbym jednak wiedzieć, czy z panem Garszyńskim wszystko w porządku.

– Ależ tak, tylko mnie się coś przypomniało, a pan Garszyński to potwierdził... – Tu starszy człowiek łypnął z niechęcią na Poraja i zawiesił głós.

Jeziński spojrzeniem wskazał Jaśkowi drzwi, co ten oczywiście zrozumiał, lecz wychodząc, miał wielce niezadowoloną minę.

- Proszę mówić, zaciekał mnie pan – zachęcił go Jeziński, przysuwając sobie inne krzesło.
- Otóż kilka dni temu, a to było chyba wtedy, gdy panienska pierwszy raz odwiedziła tutaj stryja, zdarzyła się dziwna rzecz. Wtedy myślałem, że coś im się pomyliło, goście czasem mówią takie nonsensy, ale to zwykle starsi ludzie, a panienska stara nie była...

- Cóż takiego się zdarzyło? – przerwał mu agent.
- Pan i panienska siedzieli wtedy w bocznym saloniku, do którego wejścia nie widać z głównych pomieszczeń...

Jeziński mimowolnie westchnął, co jednak nie uszło uwagi mężczyzny.

- To ważne – oświadczył nieco urażony. – Zaraz pan zrozumie...

– To proszę dalej – uśmiechnął się agent, czym natychmiast udobruchał starszego pana.

– Gdy panienska już miała wychodzić, to zadzwoniła. Byłem akurat w pobliżu recepcji i miałem na wszystko oko, lecz lokaj, który powinien tam się udać, nie nadchodził. Oczekałem chwilkę, ale w końcu sam poszedłem, bo przecież goście nie mogą czekać, a temu trutniowi obiecałem sobie natrzeć uszu, choć to już niemłody człowiek...

– I co się okazało? – agent delikatnie skierował go na główny tor rozmowy.

– Otóż oboje powiedzieli mi wtedy, że obsługiwał im jakiś bardzo młody lokaj, w dodatku niedoświadczony! – Ostatnie słowa wymówił ze zgrozą.

– Cóż w tym dziwnego? – spytał agent.

– U nas nie ma niedoświadczonej służby – oświadczył kategorycznie kamerdyner. – A najmłodsza osoba liczy sobie pięćdziesiąt lat. To jeszcze nie starość, ale też trudno nazwać kogoś takiego bardzo młodą osobą, zgodzi się pan chyba?

Jezierskiemu coraz trudniej było maskować rozbawienie, lecz jednocześnie czuł, że informacje mogą okazać się ważne.

– Oczywiście – odparł ugodowo.

– No właśnie – kamerdyner skinął głową z zadowoleniem. – Wtedy im nie uwierzyłem, nawet dałem im do zrozumienia, że się mylą, lecz... – Służący zawiesił głos i spojrzał z takim zdumieniem na Jezierskiego, że ten poczuł się mocno zaintrygowany.

– Tak? – przynaglił go agent.

– Ale gdy wróciłem i zacząłem szukać winowajcy, żeby natrzeć mu uszu, znalazłem naszego lokaja w... w...

– Tak? – Zdumienie agenta rosło.

– W toalecie dla służby – wykrztusił wreszcie kamerdyner.

– Hm... – Jezierski oniemiał, zupełnie nie wiedząc, co o tym wszystkim sądzić. Czyżby ten człowiek zwariował?

– Nie chodzi tu o miejsce, w którym go znalazłem! – oznajmił triumfująco kamerdyner.

– Nie?

– Nie. Chodzi o to, że on tam leżał na podłodze zakneblowany i związany jak baran, w samej bieliźnie, ot co! – Powiedział to z mieszaniną satysfakcji i niesmaku, a potem spojrzał wyczekująco na rozmówcę, jakby chciał zapytać: „I co ty na to?”.

Reakcja policjanta nie zawiodła go. Jezierski gwizdnął cicho i mruknął:

– A, to takie buty!

Kamerdyner kiwnął z zadowoleniem głową.

– To bardzo ciekawe. Co powiedział, gdy go pan uwolnił? Że ktoś go napadł, być może ogłuszył, zabrał mu ubranie, związał i zamknął w toalecie?

– Otóż to!

– Można zatem wnioskować, że ten ktoś udawał lokaja i obsługiwał panu Garszyńskiemu i jego bratanicy, tak?

– Tak sądzę. Inaczej po co byłaby ta cała szopka?

– Tylko w jakim celu? Nie chciał ich skrzywdzić, bo nie doszło do aktu przemocy...

– Mógł im coś dosypać do herbaty, a potem obrabować – zasugerował kamerdyner.

– To możliwe, ale nie usnęli ani się nie rozchorowali, więc... Ten ktoś chyba bardzo chciał wiedzieć, o czym ci dwoje będą rozmawiali.

– W takim razie na pewno dopiął celu i podsłuchiwał ich. Tam łatwo się ukryć za kotarą i...

– Tak, wiem – przerwał mu agent, wstając. – Bardzo dobrze pan zrobił, mówiąc mi o tym.

– Pan Garszyński także był teraz pewien, że ten ktoś ich podsłuchiwał.

– Nie wątpię. To bardzo bystry człowiek.

Jezierski jeszcze raz podziękował słudze, wcisnął mu rubelka napiwku i wyszedł do zniecierpliwionego już mocno Jaśka.

– Mów, co się stało.

– Ano to się stało – zaczął Jasiek z nieco nadąsaną miną – że na Warszawskiej<sup>58</sup> znów doszło do ataku na żebraka.

– Na Warszawskiej? – zdziwił się agent. – To dobrze, obejrzę sobie to miejsce po drodze, bo idę do cukierni Fibigiera. Albo jeszcze lepiej, obejrzę je razem z Jakubem, skoro to tuż obok. Swoją drogą, to dziwne, że ktoś odważył się zaatakować na ulicy w środku dnia.

– Nie na ulicy, tylko w bramie, ale biedak omal nie zginął. Dostał kilka ciosów nożem w brzuch.

– Jak się o tym dowiedziałeś?

– Szedł akurat tamtędy nasz patrol, dwóch ludzi, bo to niedaleko ratusza, gdzie przecież jest wystawa. I zobaczyli jakiegoś pędzącego przed siebie żebraka. Ponoć biegł, jakby go sam diabeł gonił. Jeden chciał ruszyć w pogoń za uciekającym, ale Lipski, nie w ciemną bity, wolał sprawdzić tyły, że tak powiem, bo go zaciekało, przed czym tamten tak wieje...

– Naprawdę tak zrobiłeś, Lipski? – Agent odwrócił się do młodego policjanta, który niemal deptał im po piętach, nie chcąc nic stracić z rozmowy obu szefów.

– Tak jest!

– Bardzo ci się to chwali, chłopcze. Zapowiadasz się na naprawdę dobrego policjanta.

Lipski pokraśniał z zadowolenia.

– Moja szkoła, szefie. – Poraj był tak dumny, jakby bystry umysł Lipskiego był jego osobistą zasługą.

– Zapewne – uśmiechnął się pod nosem agent. – Tobie też się chwali, Jasiek, że umiesz rozwijać talenta swoich ludzi, miast je tłamsić. Nigdy o tym nie zapominaj i nie bądź zazdrosny o ich sukcesy, bo one zawsze będą o tobie dobrze świadczyć.

– Wiem, szefie. Staram się być taki jak pan.

– Miło mi. Dalej mów ty, Lipski.

– Poszliśmy z kolegą kilka kroków do przodu i u wylotu bramy domu pani Mamroth zobaczyliśmy nieprzytomnego człowieka leżącego w kałuży krwi. Widocznie doczołgał się tam jeszcze o własnych siłach, ale dalej już nie dał rady.

– Widziałeś napastnika?

– Nie, Wasza Miłość. Po nożowniku nie było ani śladu. Moim zdaniem atak nastąpił chyba w podwórzu, i to raczej w jakimś kącie, bo kilka osób mieszkających w oficynie słyszało krzyki i wyjrzało przez okna, ale nic nie zobaczyło. To chyba jednak spłoszyło nożownika.

– No dobrze, co było dalej?

– Kazałem Kowalskiemu lecieć po pomoc, ale w pobliżu nie było akurat żadnego lekarza. Wezwał więc fiakra. Kazałem mu zostać na miejscu, a sam zawiozłem biedaka dorożką do szpitala św. Trójcy...

Był to szpital pełniący jednocześnie funkcję przytułku, a opiekę nad nim sprawowały władze miejskie. Niestety, miał bardzo niewielkie fundusze, więc nie można było go rozbudować, a chorzy byli zmuszeni do jałmużny. Duże zmiany nastąpiły po 1836 roku, kiedy Rada Opiekuńcza szpitala przy Komisji Wojewódzkiej zdecydowała się na budowę nowych gmachów szpitalnych. Projekt sporządził w 1839 roku sam Henryk Marconi<sup>59</sup>, stołeczny architekt pochodzenia włoskiego. Budynki usytuowano między Przedmieściem Wrocławskim a Nowym Światem, do użytku zaś oddano je 2 sierpnia 1842 roku. Szpital był jak na owe czasy bardzo nowoczesny, duża liczba pomieszczeń umożliwiała rozdzielanie chorych według płci i rodzaju chorób. Pracowało tam już nie dwóch, ale czterech lekarzy, co umożliwiło utworzenie specjalizacji. Był więc „oddział” chirurgiczny, chorób wewnętrznych, nerwowych i wenerycznych oraz akuszeria. Oprócz stałych lekarzy pracowali tam też lekarze dochodzący, a studenci medycyny odbywali praktyki. Przy szpitalu istniało również laboratorium chemiczno-bakteriologiczne. Dzięki temu szpital św. Trójcy należał do wyróżniających się w Królestwie Polskim.

Właśnie w tym szpitalu Zaif wynajął przed laty za własne pieniądze spore pomieszczenie tuż obok lodowni, w której trzymano zwłoki, zanim wydano je rodzinie zmarłego. Tam urządził swoje laboratorium i salkę do przeprowadzania sekcji, które służyło do dziś jego następcy, Stanisławowi Małyszce, tyle że już za miejskie fundusze. Przypilnował tego osobiście Jezierski, który chciał mieć sprawdzone miejsce do poprawnego przeprowadzania autopsji. Na szczęście przez ostatnich dziesięć lat rzadko wykorzystywano je w tym celu. Teraz jednak wszystko wskazywało na to, że miało się to zmienić.

– Czy on jeszcze żyje? – zaniepokoił się Jezierski. – Taka podróż mogła mu zaszkodzić.

– Nie wiem, szefie – wyszeptał Lipski z opuszczoną głową. – Gdy wychodziliśmy, jeszcze zipał, ale ledwo, ledwo...

– Natychmiast tam idźcie i poproście doktora Małyszkę, żeby go osobiście zbadał i się nim zajął. W razie czego powiedzcie, że to na mój koszt. Przydałyby się nam jego zeznania, oj, przydały!

– Może doktor Zaif... – zaczął nieśmiało Jasiek.

– Doktor Zaif jest na urlopie, więc będę go niepokoił tylko w ostateczności. Poza tym Staś świetnie sobie poradzi z żywym, a doktor Zaif będzie nam potrzebny przy umarłych.

– A myślałem, że z żywymi trudniej – westchnął do siebie Poraj, ale agent go usłyszał.

– Z jednej strony łatwiej, ale z punktu widzenia policjanta jednak trudniej. Można przegapić coś, co bardzo pomogłoby w śledztwie. Nie pamiętasz, jakich informacji potrafi udzielić doktor Zaif? Zwykle nawet umie choćby w przybliżeniu opisać narzędzie zbrodni! Albo stwierdzić, iż rzekome samobójstwo było sprytnie zamaskowanym zabójstwem.

– To prawda, szefie! – gorliwie przytaknął Jasiek.

– Sam zatem rozumiesz, że w przypadku nieboszczyka, któremu ktoś pomógł przenieść się na tamten świat, zawsze wolę mieć do czynienia z Jakubem, choć muszę przyznać, że Staś godnie go zastępuje. Jednak taki umysł jak doktora Zaifa trafia się raz na sto lat.

– Oj, to także święta prawda. Pamiętaj o tym, Lipski, bo jeśli przyjdzie ci mieć do czynienia z doktorem Zaifem, będzie to dla ciebie nie tylko zaszczyt, ale i okazja do nauczenia się czegoś nowego.

A następnie Jezierski dodał:

– Zabójstwa żebraków, bo wygląda na to, że może ich być więcej. To twoje śledztwo, Jasiek, więc się postaraj. Żebym nie musiał się za ciebie wstydić. Aha, i pospieszcie się. Będę w cukierni najwyżej przez pół godziny. Niech Lipski wróci tu i powiadomi mnie, co z tym biedakiem, a ty, Jasiek, zajmij się śledztwem. Wyślij kilku ludzi, żeby zbadali miejsce ataku nożownika i dobrze wszystko zaprotokołowali. No, to zmykajcie – powiedział Jezierski na odchodnym, gdyż doszli już w pobliże cukierni Fibigerów, mieszczącej się w domu sędziego Rassumowskiego na rogu ulicy Warszawskiej i Poprzeczno-Warszawskiej<sup>60</sup>, w której czekali na niego przyjaciele. Zakład Rudolfa Fibigera uważano za „najozdobniejszy ze wszystkich” i był otwarty do późnych godzin „z litości dla tych, którzy z tej i owej wieczornej wizyty powracają chłodno i głodno do domu”<sup>61</sup>. Od 1895 roku specjalną atrakcją był polifon, czyli rodzaj grającej szafy sprowadzonej prosto z Wiednia „dla uprzyjemnienia czasu gościom”<sup>62</sup>.

Wejście Jezierskiego do cukierni ożywiło nieco znudzonych już i zniecierpliwionych przyjaciół.

– Gdzieś ty się podziewał, Waliesza! – utyskiwał gubernator. – Tyle czasu! Nie pamiętasz, że jesteśmy na dziś wieczór zaproszeni do pani Modrzyckiej?

– Bardzo przepraszam – rzekł agent, siadając i gestem wzywając kelnera. – Proszę o zimne piwo, jeśli panie pozwolą. Tyle się jednak nagadałem, że zaschło mi już w gardle. A wy czym się raczyliście?

– Zjedliśmy już lody, ciastka, wypiliśmy też kawę – powiedziała Debora.

– Kawę mają jednak lepszą u Gussmana – stwierdził gubernator. – Ale ta też nie jest zła. Co cię zatrzymało tak długo? Chyba nie pan Garszyński?

– Z przykrością muszę stwierdzić, że nie tylko.

Daragan spojrział na niego i westchnął ciężko. Już wiedział, że wieści nie będą dobre. Zaif także się nie odezwał. Z jego twarzy nie dało się nic wyczytać. Kobiety natomiast były bardzo podekscytowane.



– Mów, Waliesza.

– No cóż, chciałbym paniom oszczędzić takich wiadomości, ale wkrótce i tak wszyscy się o tym dowiedzą.

– Mówże wreszcie – ponagliła go Sara.

– Kochanie – łagodnie upomniał ją mąż – pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć.

– Ty to tak zawsze! – poskarżyła się Sara. – Sam wiodłeś ciekawe życie, a i teraz co i rusz spotykasz się z różnymi zagadkami i zgonami, to ci łatwo tak mówić! W moim życiu nic się nie dzieje poza spotkaniami towarzyskimi, balami i zwykłą, codzienną monotonią. Dlaczego dziwisz się, że jestem ciekawa?

Zaif tylko westchnął i nic już nie powiedział.

– Powiedz, Walery, co się stało – zażądał gubernator, rozejrzawszy się uprzednio, czy nikt ich nie będzie słyszał. Jednak tak znakomite towarzystwo, choć cieszyło się ogólną uwagą, miało tę przewagę, że nikt nie ośmielił się podchodzić zbyt blisko.

– Nastąpił kolejny atak na żebraka – powiedział agent, który także najpierw uważnie się rozejrzał.

– Kolejny atak, powiadasz – zastanowił się gubernator. – Biedak go zatem przeżył, jak mniemam?

– W zasadzie tak, ale nie wiadomo, czy nie umrze. Właśnie czekam na wieści i bardzo się cieszę, że wybraliście stolik przy oknie. Będę z daleka widział nadchodzącego policjanta.

Sara swoim zwyczajem zasypała agenta pytaniami:

– Co właściwie zaszło? O co tu chodzi? Ktoś nie lubi żebraków? Rozumiem, że nie wyglądają zbyt dobrze, no i nie pachną zbyt pięknie, lecz żeby od razu ich zabijać? U nas daje im się datki, żywność, stare ubrania, buduje noclegownie...

– Saro, kochanie – wtrącił się jej mąż – jeśli chcesz coś usłyszeć, daj Waleremu dojść do słowa.

– Przepraszam! Już będę cichutko jak myszka. Mów, Walery.

Agent przyciszonym głosem opowiedział, co się stało.

– Boże, czy to znaczy, że podczas gdy my tutaj raczyliśmy się kawą i ciastkami, ktoś niemal tuż obok dźgał tego biedaka nożem? – wyszeptala gubernatorowa i przycisnęła chusteczkę do zbielejących ust. Pozostałe panie były równie wstrząśnięte.

– Waliesza, a co ustaliliście z panem Garszyńskim? – zapytał Daragan, żeby odwrócić uwagę dam od makabrycznych wieści.

– No cóż, stary adwokat zgodził się ze mną, że chyba jednak ktoś tę pannę porwał – oświadczył agent, pogryzając ciastko podsunięte mu przez żonę.

– Niemożliwe! – zdumiał się gubernator. Kobiety natomiast aż dostały wypieków z podniecenia. Rzadko kiedy zdarzało się tyle ekscytujących wiadomości naraz. Mężczyźni spojrzeli na swoje panie pobłaźliwie, wiedząc, że w takiej sytuacji także płeć męska nie stroniła zwykle od „wymiany opinii”. Wkrótce całe miasto zatrzęsie się od plotek.

– I co zamierzasz zrobić?

– Najpierw każę sprawdzić, dokąd zawieziono jej bagaż, ale nie wiąże z tym tropem zbyt wielu nadziei. Łatwo go zmylić, zgubić.

– A później?

– Jeśli pan Garszyński się zgodzi, wywiesimy afisze z informacją o zaginięciu panny i prośbą o informacje. Może nawet starszy pan wysupła trochę grosza i uda się ufundować jakąś nagrodę. To zawsze działa.

– Hm – mruknął gubernator. Po jego minie było widać, że nie podoba mu się takie rozwiązanie. – Nie sądzisz, że to trochę nazbyt drastyczne posunięcie? Panna z towarzystwa, taki rozgłos... A jeśli nikt jej nie porwał? Może nas przecież oskarżyć o zniesławienie!

– Biorę to pod uwagę – oświadczył Jezierski. – Mam jednak nadzieję, że gdyby doszło do takiej sytuacji, uda mi się ją przekonać, by tego nie robiła. Wszak to wszystko w trosce o jej bezpieczeństwo.

Poza tym, co z tego, że będzie trochę plotek? Ona już tu nie mieszka, Garszyński także. Praktycznie nie mieszka tu już nikt z ich rodziny.

– Wiem, że troszczysz się o jej bezpieczeństwo – powiedział powoli gubernator. – Tylko czy jej ta troska bokiem nie wyjdzie?

– To prawda, Walery – powiedziała zmartwiona Debora. – Narazisz na szwank dobre imię tej panny.

– Przecież nie zrobiła nic złego – zdziwił się agent. – Nie ścigamy jej listem gończym, tylko szukamy. To wszystko będzie napisane na afiszu. Cóż jej to może zaszkodzić? A jeśli ktoś ją porwał, to także nie jej wina.

– Ale ludzie i tak będą gadać, że uciekła z... z... no, wiesz.

– Z kochankiem? Bardzo wątpię. Ma narzeczonego, którego chce poślubić i z którym zamierza wyjechać do Ameryki. A gdyby nawet z kimś uciekła, to jej sprawa.

– Dobrze chociaż, że planuje wyjazd za granicę – wyszeptała gubernatorowa. – Inaczej ciężkie miałyby tu życie.

– Ależ ona nie zamierza zamieszkać w Kaliszu! – zirytował się Jezierski.

– Nie chodzi tylko o Kalisz... – powiedziała Debora i zamilkła, ponieważ była zawsze lojalna wobec męża i teraz trudno jej było krytykować go na głos. Co innego w cztery oczy.

– Zawsze znajdzie się tu ktoś, kto ma rodzinę lub znajomych w Warszawie – podsunęła delikatnie gubernatorowa.

– Moje panie! – Agent nie krył już rozdrażnienia. – Nie sądzicie, że jej życie i zdrowie jest ważniejsze niż to, że kilka starych bab poplotkuje sobie trochę?

– Hm, gdyby tylko kilka... – westchnęła Debora.

– I gdyby tylko starych... – dodała gubernatorowa.

– I niekoniecznie tylko bab! – wypaliła Sara.

Z opresji wybawił Jezierskiego Lipski, który delikatnie zastukał w szybę.

– Przepraszam, muszę was na chwilę opuścić – powiedział i wstał z godnością, by zamienić na zewnątrz kilka słów z policjantem.

– Tylko się pospiesz – zawołał za nim gubernator. – Wiesz przecież, że nasze panie potrzebują nieco czasu, by przygotować się na wieczorny występ u pani Modrzyckiej.

– Przecież to ma być skromne spotkanie w kameralnym gronie – zdziwił się agent.

– Ależ ty jesteś naiwny! – roześmiała się Debora. – Może i nie będzie to od razu bal, ale wszak mają ogłosić na nim zaręczyny córki pani Modrzyckiej. A fakt, że wieczór ten zgodził się uświetnić swoją obecnością sam gubernator z żoną, oznacza, że będzie tam także cała śmietanka towarzyska miasta i okolic.

– Święci pańscy! – Agent wzniósł oczy w górę. – Czy to znaczy, że będę musiał włożyć frak?

– Oczywiście, kochanie.

– No to nie wiem, czy wrócę. Na pewno mam teraz mnóstwo ważnych rzeczy do zrobienia.

– Zatem się pospiesz – skonkludował pogodnie gubernator. – Czekamy. I nie myśl, że się wykręcisz od tego wieczorku.

Jezierskiego nie było raptem tylko kilka minut.

– No i co? – nie wytrzymała Sara, gdy ten po chwili wrócił.

– No i mamy kolejne zabójstwo – westchnął Jezierski. – Nie udało się tego zaatakowanego biedaka uratować.

## Rozdział 5

Po obejrzeniu miejsca nowej zbrodni wieczór u pani Janiny Modrzyckiej okazał się miłą odmianą. Nawet Jezierski, początkowo niechętnie do imprezy usposobiony, wyszedł z niej w doskonałym nastroju

i odprężony. Pojawił się jednak niezadowolony i tylko dobre wychowanie oraz wyraźne podekscytowanie żony nie pozwoliły mu tego okazać. Mruczał przy tym pod nosem różne niepochlebne uwagi na temat większości gości, którzy według niego po prostu narzucali się ze swoim towarzystwem i tylko ktoś o tak gołęmbim sercu jak Debora czy Sara mógł uważać to za gościnność i uprzejmość.

Na szczęście miał u swego boku Zaifa, który choć jak zwykle małowówny, był jednak w dobrym humorze, podobnie jak gubernator. Ten jednak był co chwila nagabywany przez kolejnych gości, więc agent z doktorem szybko odeszli na bok, by w nieco większym spokoju porozmawiać i przekąsić coś na stojąco z zimnego bufetu, który poprzedzał właściwą kolację. Cieszyli się teraz względną swobodą, później bowiem czekała ich formalna przeprawa przy stole, konwersacje towarzyskie i inne tego typu bzdury, jak krótko skwitował to Jezierski.

Ich żony natomiast niemal od samego początku brylowały w największym tłumie, obie bowiem były nie lada atrakcją towarzyską. Nic dziwnego, skoro odkąd agent przeniósł się do własnego majątku, Deborę rzadko widywano w miejscach publicznych, a Sara miała ten dodatkowy atut, że była osobą „całkowicie światową”, ponieważ pochodziła z Ameryki, była córką bogatego bankiera, a żoną niewiele mniej majątnego lekarza, który w Kaliszu miał swoją renomę, i na pewno była na bieżąco z modą i ploteczkami z wielkiego świata. Agent nawet żartobliwie zauważył, że żadnej z nich wcale to nie przeszkadza, a wręcz przeciwnie, z czym Jakub ochoczo się zgodził.

Niedługo stali sami, wkrótce dołączył do nich sędzia Rasznicki oraz adwokat Parczewski, za nimi zaś trzech innych prawników. Wywiązała się przyjemna, inteligentna rozmowa, która jednak nie trwała zbyt długo, gdyż doszło kilku innych panów, w większości młodszych od szacownego grona „prawniczego”, i wtedy rozmowa przybrała nieco weselsze, a nawet frywolne tony.

Po dwóch kieliszkach wina dużo przyjaźniej usposobiony do świata Jezierski, zagadnął towarzyszy o gospodarzy.

– Przyznam szczerze, że nie znam dobrze ani pani Modrzyckiej, ani jej dzieci – powiedział – choć oczywiście wiem, kim są.

– To chyba dobrze o nich świadczy – zażartował Parczewski, wywołując salwę śmiechu. – Najwyraźniej nie mieli dotąd żadnych konfliktów z prawem.

– Zdaje się, że pani domu nie tak dawno owdowiała? – indagował dalej agent, który niczym dobry pasterz lubił dużo wiedzieć o swoich „owieczkach” i każda okazja była dobra do tego, by wiedzę tę poszerzać.

– Tak, to prawda – rzekł jeden z młodzieńców nazwiskiem Forynowicz. O ile sobie agent przypominał, był to niezły birbant i hulaka, ale o wielkim uroku osobistym, na który mało odporne były szczególnie panie. – Zaledwie rok temu. Janek to mocno przeżył, bo był do ojca bardzo przywiązany. Najbardziej mu było żal, że ostatnich kilka lat przepędził na studiach w Niemczech i do domu rzadko zaglądał.

– Z jakiego powodu zmarł pan Modrzycki? – zapytał Zaif, przyglądając się mimowolnie obandażowanej ręce młodzieńca. – Powiedział pan, że zgon nastąpił nagle?

– Tak właśnie było. Pamiętam, że jednego miesiąca Janek dostał list z domu, że ojciec zachorował, ale medycy są dobrej myśli, chociaż dokładnie nie wiadomo, co to za choroba, bo każdy z lekarzy przedstawił inną diagnozę...

– To ilu tych medyków było? – wtrącił się zadziwiony sędzia.

– Chyba ze trzech, o ile dobrze pamiętam.

– Czy któraś diagnoza okazała się prawidłowa? – spytał Zaif. – I czy ustalono ostatecznie, na co zmarł?

– Jak to jednak zawód determinuje zachowania człowieka! – westchnął Jezierski z uśmiechem. –

Lekarza zawsze zainteresuje jakaś choroba, a prawnik nie oprze się kazurowi.

– Zdaje się, że dopiero ostatnia diagnoza okazała się prawidłowa. To było zapalenie mózgu albo może puchlina mózgu<sup>63</sup>, nie pamiętam.

– Hm, to podobne choroby, ale nie takie same. Leczenie jest trudne i w większości przypadków pacjent

umiera<sup>64</sup>. A co pan sobie zrobił w rękę? To chyba dość poważna rana, bo ręka jest grubo obandażowana.

– Ach, to nic takiego – stwierdził Forynowicz, spoglądając na swój opatrunek. – Chociaż bolało jak diabli. Zraniłem się dziś rano u kolegi. Naprawialiśmy jego matce stolik do robótek na strychu i rozorałem sobie wierzch dłoni jakimś żelastwem.

– Mam nadzieję, że dobrze pan oczyścił ranę, bo może wdać się zakażenie.

– Matka kolegi bardzo porządnie mnie opatrzyła. Drobiazg, nie takie rany odnosiło się na polowaniu. To i tak zresztą nic w porównaniu do śmierci, choćby pana Modrzyckiego. Przykro mi, że nie pamiętam, na co umarł...

– Czy to w tej chwili nie obojętne? – zniecierpliwił się sędzia. – Grunt, że umarł. O, przepraszam, nie to chciałem powiedzieć, źle to wyszło.

Zaczął się tłumaczyć, ale reszta towarzystwa i tak z niego dworowała. Żarty przerwał w końcu Jezierski.

– Panowie, wróćmy do sedna – powiedział. – Niech pan Forynowicz dokończy. Zresztą na pewno może jeszcze nam powiedzieć coś ciekawego o tej rodzinie.

– No cóż, nie wiem, co miałbym jeszcze dodać. Chyba tylko to, że gdyby Janek wiedział, że ojciec tak nagle odejdzie, na pewno przerwałby studia i wrócił do Kalisza, by jak najwięcej czasu spędzić z rodzicem.

– Rzadkie i godne pochwały jest takie przywiązanie – zauważył sędzia.

– To prawda – beztrósco przyznał Albin Forynowicz. – Ja tam ze swoim ojcem ciągle się o coś wadzę, choć nie przeczę, że w innych okolicznościach to całkiem miły staruszek.

– Gdybyś ty, trutniu jeden, mniej się wałkonił, to by cię ojciec nie musiał tak często do porządku przywoływać! – zażartował sędzia.

– A kiedy mam się nacieszyć życiem? – zawołał Albin z udanym oburzeniem. – Jak się człowiek ożeni, to już jakby żywcem był pochowany!

– Toteż unikasz jak ognia i żony, i pracy!

– Pan Modrzycki towarzyszy panu w tych zabawach? – spytał agent.

– Od czasu do czasu. Kiedyś to był świetny kompan, do wypitki i do wybitki, ale teraz ma obowiązki.

– Obowiązki? – zdziwił się pan Niemczycki, dość młody jeszcze radca prawny.

– Ano tak – stwierdził Forynowicz z nieco kwaśną miną.

– Masz na myśli, że teraz został głową rodziny i musi zająć się matką i siostrą?

– Nie do końca. Ale to przecież taka romantyczna historia. Jak z powieści. Gdybym nie był jej świadkiem, nigdy bym w to nie uwierzył. Nie słyszeliście o niej?

Okazało się, że większość nie słyszała, za to bardzo chętnie posłucha. Albin z werwą zabrał się do opowiadania, bardzo rad, że znalazł się w centrum uwagi tak znamienitych gości.

– Wszystko zaczęło się jeszcze w Berlinie, gdzieśmy razem pojechali na studia – zaczął. – Ja od razu poszedłem na prawo...

– A młody Modrzycki na lewo, tak? – zażartował ktoś.

– A Modrzycki na medycynę. Ale wytrwał tylko rok z kawałkiem i też przeniósł się na prawo.

– Dlaczego? – zainteresował się Zaif. – Przestraszył się krojenia trupów?

– Nie, wcale na to nie narzekał. Może tylko czasami, gdy zaraz po suto zakrapianej nocy szedł prosto na zajęcia. Wtedy każdemu żołądek nieco... się skręca. Zajęcia z anatomii temu zdecydowanie sprzyjają. Nie, Janek po prostu stwierdził, że za dużo trzeba zakuwać, a przy naszym wesołym trybie życia trudno znaleźć czas na naukę...

– Toż prawo też wymaga wiele pracy! – oburzył się sędzia.

Forynowicz uśmiechnął się tak rozbijająco, że nie sposób się było na niego gniewać.

– Nie przeczę, ale obaj pochodzimy z rodzin, którym prawnicze tradycje nie są obce, zatem podstawy niejako wyszliśmy z mlekiem matek. Pierwszy rok, prawo rzymskie i tak dalej mieliśmy w małym palcu.



Dlatego wszystkie wieczory i większość nocy spędzaliśmy w różnych szynkach i winiarniach. Zazwyczaj włączyliśmy się w pięciu, taką mieliśmy zwykłą birbancką paczkę. Wszyscy studiowaliśmy prawo, choć dwóch rok wyżej.

– Wszystko pięknie, ładnie, ale co w tym romantycznego? – zapytał sarkastycznie sędzia, który nie lubił, gdy ktoś na dłużej odbierał mu uwagę słuchaczy. – Że niektórzy studenci nadmiernie piją – podkreślił przy tym słowa „niektórzy” i „nadmiernie” – to żadna nowina. A już na pewno nie ma w tym nic romantycznego.

– Cierpliwości, panie sędzio, to dopiero wstęp.

– Radzę się zatem streszczać, młodzieńcze, inaczej nigdy pan jej nie skończy, bo wkrótce zasiądziemy do stołu.

– Panie lubią takie opowieści – zaprotestował inny młodzieniec, towarzysz Forynowicza. Jezierski także skinął głową, bo i jego zaintrygowała ta historia. – Albin może dokończyć przy stole.

– No, doprawdy, wy, młodzi! Za grosz dobrych manier! Dziś są zaręczyny panny Heleny Modrzyckiej. Stanowczo nie wypada...

Nie dowiedzieli się jednak, czego nie wypada, gdyż pojawił się lokaj z tacą.

– To ostatnie aperitify – szepnął konfidencko do sędziego. – Za kwadrans kolacja.

– To znaczy, że przyszli już wszyscy goście?

– Tak mi się wydaje, Wasza Miłość. Właśnie podjechał pan Wyganowski z synem, a za nimi panowie Oswald i Alfons Hindemith<sup>65</sup> i Fryderyk Rüdiger<sup>66</sup>.

– Całe szczęście, bo już mi kiszki marsza grają.

– Zatem może pan Forynowicz dokończy swoją historię? – zaproponował Alfons Parczewski. – Jestem ogromnie ciekaw tej romantycznej części.

– Romantycznej i tragicznej zarazem – dodał Edward Wende<sup>67</sup>, znajomy Forynowicza, który znał już najwyraźniej tę opowieść.

– Tym bardziej jestem ciekaw. Do dzieła, młodzieńcze, a żywo, skoro czasu zostało niewiele.

– Może od razu przejdę do sedna...

– Czas najwyższy! – sędzia wciąż był sarkastycznie nastawiony. – Cóż zatem się stało? Bo chyba się coś stało?

– A jakże. Pewnego razu siedzieliśmy sobie w winiarni, nieźle już podchmieleni, gdy Standhel, nasz kolega z wyższego roku, zapytał nas ponuro, czy sporządziliśmy już testamenty.

– Hm, bardzo rozsądny pomysł – stwierdził z niejakim zdziwieniem sędzia. – Chociaż mało kto w tak młodym wieku o tym myśli.

– Tak mu właśnie odpowiedzieliśmy: że jesteśmy za młodzi. Ale on opowiedział nam przykrą historię swojego kuzyna, który tragicznym zrzędzeniem losu zmarł w młodym wieku krótko po swoim ojcu, ale nie zostawiwszy testamentu, spowodował, że majątek przeszedł w ręce dalszej rodziny, której zresztą szczerze nie cierpiał. Jego matka i siostry zostały na łaskawym garnuszku nielubianych krewnych, testament jego rodzica został bowiem tak skonstruowany, że bez nowego testamentu syna majątek przechodził w ręce męskich krewnych. A on, biedak, nie miał brata, tylko same siostry...

– Coś na kształt fideikomisu rodzinnego<sup>68</sup> – zdumiał się sędzia, a jego zainteresowanie tematem rozmowy od razu wzrosło. – U nas to rzadka forma. W I Rzeczypospolitej fideikomisy przyjęły się w XVI wieku, ale miały charakter wyjątkowy, gdyż godziły w ustrój państwa. Są za to nadal bardzo popularną formą powiernictw rodzinnych w Niemczech, Austrii i Rosji.

– No właśnie, a on był Niemcem, ten Standhel...

Ale sędzia go nie słuchał, tylko mówił dalej:

– Ordynacje tworzone dla ugruntowania znaczenia rodów magnackich, z których najbardziej znani są Zamoyscy i Radziwiłłowie. Statut ordynacji rodowej proponowany był najczęściej przez właściciela-fundatora i wymagał zatwierdzenia przez Sejm. Ordynacja nie mogła być sprzedana, darowana ani

podzielona między kilku spadkobierców, lecz zawsze przechodziła w drodze dziedziczenia w całości na określoną osobę, z reguły na najstarszego syna. Kobiety nie mogły być ordynatami. Ordynat był obowiązany w razie potrzeby utrzymywać członków swojej najbliższej rodziny. Nie miał prawa uszczuplać majątku, a w razie niewypełniania obowiązków statutowych mógł zostać pozbawiony powiernictwa na rzecz następcy lub rodziny.

Sędzia sapnął i zamilkł, by nabrać powietrza, z czego natychmiast skorzystał Forynowicz.

– Tak to mniej więcej wyglądało, panie sędzio. Żaden z nas jednak nie wiedział, na jakich warunkach jest dziedziczony majątek w naszych rodzinach, postanowiliśmy więc natychmiast spisać testamenta. Ale że byliśmy, jak już mówiłem, nieźle podchmieleni, zaczęliśmy sobie żartować. Koniec końców, spisaliśmy na serwetach i kwitach, jakie kto miał przy sobie, testamenta na siebie nawzajem. Losowaliśmy nawet pary. Modrzyckiemu trafił się młody Landau z Ostrowa...

– Wy, młodzi, nie macie za grosz szacunku dla niczego, co święte, jak rodzina czy prawo! – zagrzmiął sędzia. – To było bardzo nierozsądne!

– Przed chwilą raczył pan zauważyć inaczej. Tak czy inaczej, naonczas uważaliśmy to za świetną zabawę...

– A gdyby któryś z was rzeczywiście nagle umarł? – sędzia wciąż nie posiadał się z oburzenia.

– I właśnie tak się stało...

– Co?! – wykrzyknęło jednocześnie kilka osób, lecz nie sędzia, bo jemu wprost odebrało mowę.

– Wiem, wiem, głupio wyszło – tłumaczył się nieporadnie Forynowicz. – Ale przecież nikt z nas tak naprawdę nie wierzył, że wkrótce umrze. Wszyscy byliśmy młodzi i zdrowi jak konie...

– Mówże, chłopcze, kto umarł?! – nie wytrzymał Parczewski, wyrażając tym samym uczucia niemal wszystkich słuchaczy.

– Młody Landau.

– Zachorował?

– Nie, dzień po naszej bibce ktoś go napadł, gdy wracał z winiarni do domu kuzyna czy też stryja, u którego mieszkał. Został uderzony czymś w głowę, pewnie pałką, ale przy tym chyba się bronił, bo na koniec pchnięto go nożem i doszczętnie ograbiono...

– Boże, cóż za straszna historia! – wykrzyknął Parczewski.

– Landau, Landau... – mruczał tymczasem sędzia. – Znałem kiedyś jednego o takim nazwisku, Jakoba, lecz on wyprowadził się do Wrocławia, gdzie dorobił się znacznego majątku jako kupiec i potem przeniósł się do Berlina. Tylko że teraz już od dawna nie żyje...

– To chyba właśnie u jego krewnych zamieszkał Josef na czas studiów. Nie znam dokładnie jego koligacji rodzinnych, wiem tylko tyle, że to bardzo zamożna rodzina żydowskich kupców. Zresztą bardzo mili i gościnni ludzie. Zawsze mogliśmy u nich liczyć na ciepły posiłek, gdy brakowało nam funduszy, co zwykle trafiało się pod koniec niemal każdego miesiąca...

– Ale zaraz, zaraz – ocknął się sędzia. – To chyba znaczy, że młody Modrzycki odziedziczył majątek Landauów?

– To prawda.

– Czy to znaczny majątek?

– Nie znam jego wartości, wiem tylko, że jest bardzo duży.

– Z punktu widzenia prawa wszystko jest w porządku, ale powiem ci, młodzieńcze, że uważam to za nadzwyczaj niemoralne!

– Janek też tak uważa, więc adwokatowi rodziny Landauów zapowiedział, że wszystko ma zostać tak, jak było. Wdowa i siostra Josefa mają nadal dostawać tyle pieniędzy z procentów od kapitału, co przedtem, a on nie weźmie z tego ani grosza.

– Nie prościej byłoby zrezygnować z tego spadku? – zapytał Parczewski.

– Pewnie tak, ale wtedy dalsza rodzina Landauów rzuciłaby się na te dwie biedne niewiasty jak sępy

i oskubała je doszczętnie. Janek z adwokatem uznali, że w ten sposób je ochroni. Oficjalnie majątek przechodzi na niego, a nieoficjalnie wszystko pozostaje po staremu.

– Hm, to ciekawe podejście – stwierdził powoli sędzia. – Nie jestem pewien, czy słuszne, musiałbym się zastanowić...

W tej chwili rozległ się głos gospodyni, zapraszającej gości na kolację.

– Proszę państwa do stołu! – wołała, przechodząc przez cały salon, by każdy mógł ją usłyszeć.

– No cóż, panowie, chodźmy – zarządził sędzia. – Nie można kazać gospodyni czekać. Ale muszę przyznać, młodzieńcze, że twoja historia okazała się faktycznie interesująca.

– Ja też tak sądzę – szepnął Zaif do Jezierskiego.

– I ja – zgodził się z nim agent. – Przynajmniej jakoś dotrwalibyśmy do obiadu, nie nudząc się.

Sama kolacja upłynęła w przyjemnej atmosferze i nawet Jezierski nie narzekał na tak zwaną lekką konwersację, czyli gładzenie o niczym, jak to zwykle nazywał. Posiłek był wyszukany, smaczny i obfity, a rozmowy wesołe i niemęczące.

Przy okazji agent nie omieszkał dokładnie przyjrzeć się Janowi Modrzyckiemu, gdyż był zwyczajnie ciekaw, jak wygląda człowiek, który w wyniku tak niezwykłego splotu okoliczności odziedziczył duży majątek. Mimochodem zauważył, że siedzący kilka miejsc dalej Zaif także zerkał na młodzieńca. Doktora jednak wyraźnie interesował jego zabandażowany palec. No cóż, lekarz zawsze będzie lekarzem, choćby na prozowanej kolacji. Poza tym Jan Modrzycki wyglądał jednak zupełnie normalnie: był to młody, dość wysoki, szczupły mężczyzna o ciemnych włosach i oczach, w dodatku całkiem przystojny. Kobiety za nim pewno szaleją, pomyślał Jezierski, więc wkrótce bogato się ożeni i po kłopotcie. Zaspokoiwszy swą ciekawość, zajął się rozmową z siedzącymi po obu jego stronach kobietami oraz posiłkiem, rzecz jasna.

Gdy kolacja dobiegła końca, panie przeszły do salonu na kawę i desery, a panowie do gabinetu na szklaneczkę czegoś mocniejszego i cygara lub papierosy. W salonie rozmowa wkrótce także zeszała na niezwykle przypadek, który przytrafił się synowi gospodyni. Tym razem głównym przedmiotem konwersacji były jednak bardziej emocje z tym związane, co nie znaczy, że paniom umknął romantyzm i tragizm całej sytuacji. Wręcz przeciwnie, kobiety napawały się samą historią, dosłownie chłonąc każde słowo pani Modrzyckiej. Co i rusz słychać było okrzyki i westchnienia typu: „Cóż to za niecodzienna historia!” lub „Zupełnie jak w jakimś romansie!”. Lecz sama opowieść trwała znacznie krócej, gdyż panie nie interesowały się ani prawniczym rarytasem, jaki stanowił dla niektórych mężczyzn fideikomis rodzinny, ani tym bardziej różnicami między zapaleniem a puchliną mózgu. Po krótkim streszczeniu historii o spisanych w winiarni testamentach panie skupiły się zatem na niezwykłości samej sytuacji oraz na szlachetności Jana i trosce, jaką otoczył wdowę i siostrę młodo zmarłego przyjaciela.

– To po prostu coś niesłychanego – mówiła właśnie pani Modrzycka – jak mój synek wydorósł i zmienił się pod wpływem tych tragedii. Mam tu na myśli zarówno śmierć ojca, jak i późniejszą śmierć młodego Landaua. Oczywiście, nie nastąpiło to od razu. Po śmierci ojca, o której dowiedział się z listu, bo tak to szybko nastąpiło, przyjechał tylko na pogrzeb i w kilka dni potem wrócił do Berlina. Nie chciał zostać w domu, bo wszystko mu tu przypominało ojca, zresztą ostatnim życzeniem mojego męża było, by syn po ukończeniu studiów zamieszkał w jego pokoju i używał przyległego gabinetu. I zakazał cokolwiek w pokojach zmieniać. O, i jeszcze prosił, żeby Janeczek koniecznie przeczytał wszystkie zgromadzone tam książki. Dość dziwaczne życzenie, przyznaję, ale musicie panie pamiętać, że cierpiał, biedaczek, na zapalenie mózgu...

Kobieta zamilkła i poczęła wycierać oczy rąbkiem pięknie haftowanej w drobne kwiatuszki chusteczki z monogramem.

– Ależ rozumiemy, droga pani – wtrąciła szybko jedna z niewiast. – Proszę nie przysparzać sobie cierpień i nie mówić o tak bolesnych szczegółach. Lepiej niech pani nam powie coś jeszcze o Janku.

– A tak, tak, oczywiście. Otóż syn wrócił ze studiów jakieś pół roku temu i długo jeszcze nie mógł się przemóc, by zająć pokoje ojca. Nawet mówiłam mu, że wcale nie musi tego robić, ojciec wszak był

chory, ale on zawsze powtarzał, że ostatnia wola umierającego ojca to rzecz święta... Tak, bardzo byli do siebie przywiązani... O czym to ja...? Ach, tak. Dość rzecz, że dopiero jakieś dwa miesiące temu zdecydował się zająć pokoje męża, i muszę przyznać, że bardzo dokładnie wypełnił jego wolę, bo skrupulatnie przeczytał wszystkie książki, choć widziałam nieraz, jak przy tym ziewa.

– Zależy, jaka to była lektura – stwierdziła rzeczowo pani Hindemithowa. Jako żona drukarza czuła się zobowiązana wyrazić swą opinię. – Kodeksy, romanse, kalendarze...

– Och, głównie jakieś książki prawnicze, ale poza tym mój mąż był też wielkim miłośnikiem pana Dumasa, więc miał też sporą kolekcję jego powieści. Janeczek także uwielbiał go czytać, toteż zostawił sobie te książki na koniec, i dobrze, gdyż wtedy wyraźnie poprawił mu się humor. Ale przy ostatniej, była to zdaje się *Biesiada widm*, znów spochmurniał na jakiś czas. Złościł się wtedy na wszystko bez powodu, na szczęście nie trwało to długo, bo wkrótce humor znów mu się poprawił... Zaraz, o czym to ja właściwie...? W każdym razie krótko potem pojechał do Ostrowa odwiedzić panie Landau. Wcześniej spotkał się z ich adwokatem, ma się rozumieć, ale pan Witwicki przyjechał wtedy do nas. Długo rozmawiali i coś tam ustalili, ale ja się na tym nie znam. W każdym razie adwokat był bardzo wzruszony i gratulował mi tak wspaniałego syna. Janeczek bardzo się przejął nieszczęściem obu pań. Szybko się zaprzyjaźnili i teraz jest tam witany z otwartymi ramionami. Starsza pani Landau cierpi na wadę serca i, niestety, wiele wskazuje na to, że jest to choroba dziedziczna. Janeczek rozmawiał wielokrotnie z ich lekarzem i teraz sam pilnuje, żeby obie panie regularnie brały lekarstwa i mikstury wzmacniające. Często każe je w Kaliszu przygotowywać, rzecz jasna z recepty ich doktora, i sam je zawozi. A niedawno rozmawiał z jakimś aptekarzem, który mu opowiedział o wspaniałych proszkach wzmacniających cały organizm, i pojechał skonsultować się z ich lekarzem, czy panie nie mogłyby zażywać tego specyfiku. Podobno lekarz się zgodził i nasz kaliski aptekarz przygotowuje te proszki w specjalnych kapsułkach, bo chodzi o staranne dozowanie...

– Widać, że syn bardzo przejął się losem tych pań – zauważyła ze wzruszeniem jedna z kobiet.

– To prawda. Nieraz mi mówił: „Mamuś, tak się czasem martwię o te biedactwa! To takie dobre i miłe kobiety. Doprawdy, nie wiem, co robi Zosia, jeśli jej matka zgaśnie! Zresztą Zosia też często niedomaga i lekarz nie wie, czy nie rozwinie się u niej choroba serca, jak u matki. Wtedy i ona mogłaby przedwcześnie zemrzeć. One są do siebie bardzo przywiązane, a ja do nich, bo mnie traktują jak syna i brata”.

– Jakież dobre serce ma pani syn! – wzruszyła się Sara. – Mam nadzieję, że i moje dzieci, kiedy już dorosną, będą takie szlachetne i współczujące w stosunku do innych.

– Musi być pani bardzo szczęśliwa, że udało się pani wychować syna na tak zacnego człowieka – dodała Debora.

– O, tak, święte słowa, droga pani! – podchwyciła z entuzjazmem gospodyni. – Jestem ogromnie szczęśliwa, bo nie raz i nie dwa bałam się, żeby syn nie przejął niektórych wad swojego ojca.

Tu zacna niewiasta westchnęła ciężko i otarła oczy chusteczką. Pozostałe panie niemal wstrzymały dech i natychmiast pochylały się w jej stronę, wietrząc kolejną ciekawą historyjkę, którą później będzie można z lubością roztrząsać w gronie rodzinnym lub też opowiadać swoim gościom podczas poobiedniej herbatki, mając przy tym pewność, że zyska się na ten czas niepodzielną uwagę słuchaczy. Szczególnie że starsze niewiasty pamiętały jeszcze niektóre pogłoski sprzed lat, wedle których pan Modrzycki nie zawsze był takim idealnym mężem i ojcem.

– Ależ jakie wady mógł mieć pani mąż, moja droga! – zagaiła dobrodusznie kuzynka Fryderyka Rüdigera, gdy cisza zaczęła się nieco przedłużać. Była to młoda kobieta, raczej na pewno nie słyszała zatem plotek z przeszłości.

– Och, mój świętej pamięci mąż był wspaniałym człowiekiem, ale jednak tylko człowiekiem i miał swoje przywary – stwierdziła melancholijnie Modrzycka ze wzrokiem wpatrzonym w dal, jakby spodziewała się ujrzeć tam ducha swego małżonka.



– Każdy jakieś ma – stwierdziła kategorycznie pani Hindemithowa. – Ale są wady i wady. Większość z nich jest albo nieszkodliwa, albo łatwo je wyplenić. – Potrząsnęła przy tym tak wojowniczo głową, że nikt nie miał wątpliwości, że ona da sobie radę z każdą wadą bliźniego swego.

– Łatwo pani mówić, skoro ma pani taki energiczny charakter – westchnęła żona młodego prawnika. – Ja tam nic nie mogę zdziałać z moim Edziem. Jak się zaprze, to i wołami go nie zmusisz...

– Trzeba być stanowczą i konsekwentną, moja droga – stwierdziła autorytatywnie żona właściciela drukarni. – Z mężczyznami jak z dziećmi. Należy ich trzymać krótko, a wszystko pójdzie jak z płatka!

Debora z Sarą spojrzały na siebie i gwałtownie pochyliły głowy, usiłując zamaskować wybuch wesołości kaszlem.

– Z moim świętej pamięci mężem nie było tak łatwo, o nie – wróciła do tematu Modrzycka. – Uparty był i do końca życia nie zmienił swoich poglądów, które wpoił mu stryj, bo ojciec nie był taki radykalny w swych sądach.

– A co to właściwie znaczy? – zapytała któraś z pań. – Co konkretnie ma pani na myśli?

– Mój mąż na przykład nie znosił Żydów i masonów – odparła gospodyni nieco zdumionym tonem, jakby dotąd nie mogła się nadziwić poglądom małżonka. – A przecież to tacy sami ludzie jak my. Rozumiem jeszcze inny kolor skóry, taki na przykład Murzyn musi mieć przerażający wygląd... –

Wzdrygnęła się lekko. – Ale ludzie z naszego miasta? Co prawda, masoni są bardzo... bardzo... tajemniczy i to pewnie dlatego ludzie ich nie lubią, bo nic o nich nie wiedzą. Żebracy? Wiadomo, estetycznie rzecz biorąc, nic miłego, lecz przecie to też ludzie, tyle że biedni. No i często po prostu nieszczęśliwi. Za co ich nienawidzić?

– Droga pani! – sprzeciwiła się pani Hindemithowa. – Przecież to zwykłe nieroby! Zagoniłabym jednego z drugim do pracy, ot, choćby do robót publicznych na rzecz miasta, od razu poukładałoby im się w głowach i skończyłaby się ta cała żebranina!

– Ależ kochana, to tacy nieszczęśliwi ludzie! – zaprotestowała gorąco gospodyni. – Nie ułożyło im się w życiu, niektórych rodzina wyrzuciła na bruk...

– Na pewno nie bez powodu.

– Wcale nie. Do nas, to znaczy pod drzwi kuchenne przychodzi czasem pewien biedak i nigdy nie odejdzie głodny. On nic złego nigdy nie zrobił, pracował, ale maszyna ucięła mu rękę po łokieć i zwolnili biedaka. Jak tylko przestał zarabiać, synowa przegoniła go z domu, żeby nie był ciężarem dla rodziny.

– Syn tego biedaka pozwolił jej na to? – spytała z oburzeniem niczym niezrażona Sara. Debora natomiast po uwadze o Żydach straciła ochotę do rozmowy. Podziwiała w tej chwili przyjaciółkę, która nigdy nie przejmowała się antysemityzmem otoczenia. Tym razem, co prawda, nikt nie krytykował Żydów, gospodyni ich wręcz broniła, ale w każdej chwili ktoś mógł się wtrącić z jakąś kąśliwą uwagą, tak ja ta Hindemithowa z żebrakami.

– Niestety, syn już nie żył. Zmarł niewiele wcześniej przed wypadkiem swego ojca na galopujące suchoty.

– No cóż, zdarza się – stwierdziła obojętnie jedna z pań.

– Rozumiem – stwierdziła Sara. – Ma pani dobre serce i obawiała się pani, żeby syn nie przejął po ojcu radykalnych poglądów?

– Otóż to. Na szczęście tak się nie stało. Chociaż może dziwnie to zabrzmie, ale sądzę, że wyjazd na studia bardzo tu pomógł.

– Tak? – zapytała inna z pań. – A to w jaki sposób?

– Po prostu. Był zdany na siebie w obcym kraju, pozawierał nowe znajomości, dużo rozmawiał i dużo widział. Kiedyś sam mi powiedział, że studia bardzo poszerzają horyzonty i że każdy, jeśli tylko ma taką możliwość, powinien studiować, zdobywać wiedzę, zobaczyć inne kraje, innych ludzi. Po prostu zapoznać się z myślą ludzką, z tym, co człowiek potrafi osiągnąć.

– Tak właśnie powinno być! – stwierdziła entuzjastycznie Sara. – Nie można się zamykać w czterech

ścianach ciasnych poglądów, które często nawet nie są nasze, tylko odziedziczone po kimś, kto był dla nas autorytetem. Trzeba zobaczyć kawałek świata, poznać innych ludzi i coś przeżyć, by przekonać się, czy te poglądy są prawdziwe, czy też powinniśmy wyrobić sobie własne.

– No, nie wiem – jedna ze starszych pań była pełna wahania. – Wszak nasi bliscy chcą dla nas dobrze, wpajają nam swoje poglądy w jak najlepszej intencji. Taka drastyczna zmiana zakrawa chyba na brak szacunku.

– Można mieć najlepsze intencje i nie mieć przy tym racji – oznajmiła Sara, wysuwając wojowniczo podbródek.

Debora zerknęła na nią i mimowolnie się uśmiechnęła. Tak, ta osóbką była wymarzoną żoną dla Jakuba. Na pierwszy rzut oka bardzo się różnili, ale tak naprawdę było to tylko wrażenie. W zasadniczych kwestiach, w tym, co naprawdę istotne, byli do siebie bardzo podobni. Zupełnie tak jak my z Walerym, pomyślała. I jak to dobrze, że mamy takie udane małżeństwa! Z takimi osobami jak nasi mężowie można śmiało iść przez życie, nie lękając się niczego, bo ma się przy sobie wierne i oddane serce.

Debora spojrzała tęsknie na drzwi, ale panowie jeszcze nie wracali. Westchnęła cicho i znów zaczęła słuchać toczącej się obok rozmowy.

– Tak, tak, zawsze było z niego dobre dziecko – mówiła właśnie Modrzycka, zapewne znów o swoim synu. – Ale się nie spodziewała, że w tak młodym wieku weźmie na siebie równie poważne obowiązki. Wszak przyznacie, drogie panie, że to poważne obowiązki dla kogoś, kto jeszcze nie założył własnej rodziny i nie ma dzieci...

Panie zapewniły ją, że doskonale wiedzą, o co jej chodzi, że jej syn rzeczywiście jest wspaniałym, odpowiedzialnym mężczyzną i że ma wszelkie powody, by być z niego dumna. Pani Modrzycka z wielkim zadowoleniem przyjęła ich słowa, cała wręcz promieniała dumą.

– Nawet wczoraj pomagał naszej kucharce przygotować tort zaręczynowy dla Helenki, ale jak się zaciął w palec, to go kucharka przegoniła, bo krwawił jak zarzynane prosię, że się tak wyrażę. Musiałam mu znów opatrzeć ranę...

– Znów? – zdziwiła się pani Wyganowska. – Często się tak kaleczy?

– Ależ skąd! – zaprotestowała gospodyni, jakby w obawie, że uznają jej syna za niedołęgę. – To bardzo zręczny chłopiec! Niedawno niechcący zranił go kolega, któremu nóż do obierania owoców omsknął się na jabłku i...

– Mniejsza z tym – przerwała jej pani Hindemithowa. – Nie będziemy przecież roztrząsać wszystkich skaleczeń i chorób naszych pociech. To przyjęcie zaręczynowe. *À propos*, gdzie jest Helena?

– Poszła zmienić suknię...

Rozmowa zeszała na modę i tu prym szybko przejęła Sara, a że temat ten nigdy się paniom nie nudził i był wręcz niewyczerpany, kobiety podjęły go z wielkim zapałem.

Tymczasem w gabinecie panowie raczyli się mocnymi trunkami i papierosami lub cygarami. Pokój, choć obszerny, z trudem pomieścił taką liczbę osób, więc było trochę ciasno i każdy siadał lub stał, gdzie mu akurat było wygodnie. Przez to atmosfera szybko przestała być formalna, zrobiło się swojsko i przyjemnie, niemal „po domowemu”. Wesole rozmowy toczyły się w każdej grupce, zniknęły różnice wieku, urzędu, majątku i paranteli, a mężczyźni przemieszali się, zamiast trzymać się swoich znajomych i przez ten krótki czas stali się sobie niemal równi.

Zaif porzucił towarzystwo lekarzy i z kieliszkiem porto w ręku ruszył w stronę biurka, za którym znajdowała się obiecująco wyglądająca biblioteczka. Pozostałe już obejrzał, ale nie znalazł w nich nic godnego uwagi, poza dziełami prawniczymi, rolniczymi (pewnie z czasów, gdy Modrzyccy mieli jeszcze majątek ziemski), poradnikami i kalendarzami. Po drodze zamienił kilka żartobliwych uwag z nieznanymi sobie ludźmi i wysłuchał kilku skarg sędziego w związku z jego ostatnią sprawą, w której nie zgadzał się z opiniami powołanego na biegłego doktora Małyszki.

Nie zawiódł się, bo jego oczom ukazała się cała kolekcja dzieł pana Dumasa, kilka pozycji pana Balzaka, nawet Poego oraz Teofila Gautiera z *Kapitanem Fracasse* na czele, za którym doktor jednak nie przepadał. Jego powieści, a szczególnie właśnie ta, były zdecydowanie zbyt cliwe. Ominął więc Gautiera i sięgnął po Dumasa. Jego wzrok przyciągnęło piękne francuskie wydanie *Hrabiego Monte Christo*. Przeglądał książkę z przyjemnością, ponieważ była wspaniale ilustrowana, gdy spomiędzy kartek na podłogę spadło kilka arkusików. Doktor schylił się po nie zaniepokojony, gdyż jego bystremu oku nie uszedł fakt, iż były to znane mu doskonale druczki recept. Mimowolnie je przeczytał i doszedł do wniosku, iż są to recepty na przygotowanie mikstury wzmacniającej serce. Zainteresowała go jednak forma leku – zamiast płynu czy też syropu miały mieć postać kapsułek. Zastanawiał się właśnie nad tym, gdy podszedł do niego młody gospodarz.

– Widzę, że studiuje pan moje recepty – powiedział z uśmiechem.

– Choruje pan na serce? – zdziwił się Zaif.

– Źle się wyraziłem – roześmiał się młodzieniec. – To recepty dla pani Landau z Ostrowa. Nie wiem, czy pan słyszał...

Modrzycki wyraźnie się zawahał i trochę zmieszał.

– Coś tam słyszałem – uspokoił go Zaif, domyślając się, że osoba Modrzyckiego jako niespodziewanego spadkobiercy mogła niektórym wydawać się niewyraźna, dwuznaczna albo wręcz niemoralna i wiele niemiłych plotek musiało krążyć na ten temat. – Podobno postąpił pan bardzo szlachetnie w tej jakże niezwykłej sytuacji. Zajął się pan wdową i siostrą przyjaciela i uchronił obie panie przed przejęciem majątku przez dalszą rodzinę.

Modrzycki zaczerwienił się, ale odetchnął z ulgą.

– Wiem, że to wszystko może wydawać się podejrzanym, ale zapewniam pana, że majątek przyjąłem jedynie dla dobra tych pań – powiedział z wielką żarliwością. – To wspaniałe kobiety, które znalazły się w fatalnej sytuacji, i prędzej bym umarł, niż nadużył ich zaufania!

– Ależ nie wątpię w to, drogi panie – powtórnie uspokoił go Zaif, mimowolnie zerkając na opatrunek na rękę gospodarza.

– Skaleczyłem się u kolegi – powiedział młodzieniec, jakby odgadując jego myśli.

Zaif zmieszał się.

– Och, opatrunki widziałem dziś u wielu osób – stwierdził z uśmiechem. – Chyba nastąpiła jakaś plaga drobnych urazów ręki. Patrzyłem na pański sygnet. Bardzo piękny i chyba stary? To rubin?

– Tak, rubin. Ja również zauważyłem, że wiele osób miało niedawno przykry kontakt z ostrymi przedmiotami – roześmiał się ujmująco Modrzycki. – Zawsze to jakaś pociecha! A sygnet jest po moim ojcu. Podobno to pamiątka rodzinna od kilku pokoleń, ale proszę nie pytać od ilu. Nie znam zbyt dobrze historii rodziny, na razie na jej straży stoi matka. Do tej pory mnie to nie interesowało, wydawało mi się, że mam jeszcze czas. Człowiek myśli, że będzie żył wiecznie, ale od czasu tego wypadku w Berlinie, gdy zmarł mój kolega...

– Tak, śmierć innych przypomina nam o własnej śmiertelności – przyznał Zaif. – I śmiertelności innych znanych nam osób. Te recepty...

– To recepty na środek wzmacniający dla pani Landau. – Modrzycki westchnął ze smutkiem. – Mam nadzieję, że jej pomoże, gdyż coraz gorzej z jej biednym sercem.

– Być może, choć to nie jest silnie działający środek. Lecz na pewno pacjentce nie zaszkodzi. Zastanawia mnie tylko postać leku. Dlaczego kapsułki? Trudniej się je robi, przygotowanie potrwa dłużej.

– To fakt, ale zdecydowałem się z moim aptekarzem na tę formę, żeby uniknąć przedawkowania. Pani Landau jest czasem tak słaba i roztargniona, że zapominała, iż wcześniej przyjęła już lek, i brała go ponownie. Albo zażywała go w różnej ilości, pijąc prosto z butelki albo używając różnej wielkości łyżek. Córka i służba nie zawsze mogły jej upilnować, więc kapsułki wydały się najlepszym pomysłem.

Codziennie córka będzie wydawać jej odpowiednią porcję, a reszta znajdzie się w zamkniętej szafce, do której klucz będzie miała tylko córka i ich domowy lekarz.

– Hm, dość pomysłowe – zgodził się Zaif. – Nie chcę się wtrącać, ale może porozmawiałby pan z lekarzem pani Landau i aptekarzem nad wprowadzeniem nowego leku nasercowego...

– Moi drodzy! – tuż obok nich rozległ się nagle tubalny głos nieco podchmielonego już Forynowicza. – O czym wy tu tak graucha... gracha... gruchacie jak gołąbki?

– Pan wybaczy, doktorze – uśmiechnął się przepaszająco Modrzycki. – Chyba muszę mojego przyjaciela odholować do innego pokoju, gdzie zdrzemnie się chwilę i szybko wróci do formy. Chętnie jeszcze z panem porozmawiam, bo może pan, człowiek światowy, zna jakieś lekarstwo, o którym my, prowincjusze, nawet nie mamy pojęcia. Zrobię wszystko dla moich pań, bo i u córki, niestety, dają się zaobserwować objawy choroby serca. Może to dziedziczne...

– Jasiu – wybełkotał Forynowicz – musisz mnie przedstawić tej pannie Landau... Zakocha się we mnie, a ja się z nią ożenię i zadowolę wreszcie mojego rodzica, który marzy o tym, żeby mnie bogato zeswatać... A może lepiej ty się z nią ożeń, tobie pieniądze też są potrzebne...

– Wiesz przecie, że jestem zaręczony – mruknął Modrzycki, czerwieniąc jak rak. – Kocham moją Amelię i tylko z nią się ożenię.

– Amelia to piękność, przyznaję, ale ty narzeczonym jeszcze nie jesteś. Masz duuużą kom... koń... konkuruję... no... dużo rywali! Skąd wiesz, że wybierze ciebie? Majątek Landauów bardzo by ci w tym pomógł, ale bez tych pań na karku...

– Głupstwa gadasz! – skarcił go Modrzycki i energicznie pociągnął go w stronę wyjścia. – Upiłeś się, ośle, chociaż wieczór jeszcze się nie skończył. Chodź spać, zanim przyniesiesz sobie wstyd, a Helenie zrobi się przykro...

Zaif popatrzył jeszcze za nimi i przestudiował recepty, które następnie starannie włożył do książki. Zamyślony wrócił do przeglądania ilustracji, lecz tym razem nie widział ani jednej, gdyż jego myśli błądziły zupełnie gdzie indziej. Tak go zastał Jeziński.

– Nad czym tak dumasz, Jakubie? – spytał.

– Hm... nad wieloma rzeczami – odparł doktor.

– Oho, znam ten ton – zażartował agent. – Na co tym razem wpadłeś?

– Jeszcze nie wiem, muszę to spokojnie przemyśleć.

– Mam nadzieję, że nie chodzi o te zabójstwa. To nie jest dobry pomysł, by wałkować ów temat nawet na przyjęciu.

– Nie, nie, zastanowiło mnie coś i chciałbym to sprawdzić, a przynajmniej dowiedzieć się czegoś więcej.

– Cokolwiek by to było, pamiętaj, że na pewno zrobił to lokaj! – zażartował agent. – Chodźmy do naszych pań, bo tu się zrobiło aż siwo od dymu. Lubię sobie zakurzyć cygarko, ale nie muszę wdychać dymu z kilkudziesięciu naraz!

– Masz rację, ten pokój przypomina Londyn we mgle. Chodźmy.

Przecisnęli się do wyjścia, a za nimi zaczęli wysypywać się z gabinetu inni. Doszli do salonu i otworzyli drzwi. Z przyjemnością zanurzyli się w świeże, pachnące kwiatami wnętrze. Jeziński z uśmiechem zauważył, że był pewien, iż panie rozmawiają o fatałaszkach i kapeluszach, i nie pomylił się.

Jednak w momencie, gdy zaczęli wracać panowie, konwersacja przestała być tak monotematyczna. Gdy towarzystwo mocno się rozgadało, do Jezińskiego podszedł Hindemith i szepnął mu na ucho:

– Wszystko będzie gotowe jutro wieczorem. W poniedziałek z samego rana możecie zacząć wieszać afisze.

– Bardzo panu dziękuję – ucieszył się agent. – To niezmiernie ważna sprawa, bo panna przepadła jak kamień w wodę, a ja poważnie obawiam się o jej bezpieczeństwo.



– Może to jednak fałszywy alarm?

– Bardzo się ucieszę, jeśli okaże się to prawdą, niech mi pan wierzy!

– Ależ wierzę, wierzę, wszak widzę, jak to pana zaniepokoiło. A wie pan, że świętej pamięci radca Garszyński był kiedyś opiekunem części majątku pana Modrzyckiego?

– Nie, nigdy o tym nie słyszałem – zdziwił się Jezierski.

– Może dlatego, że Garszyński zajmował się majątkiem Elżbiety Stawieckiej, która, formalnie rzecz biorąc, była jego ciotką, ale między nimi było tylko pięć lat różnicy. Izabela była najmłodszym, późno urodzonym dzieckiem, siostrą jego matki. Jako dzieci wychowywali się niemal razem i bardzo byli do siebie przywiązani. Gdy dorosli, radca zajął się jej sprawami, a miał co robić, oj, miał, gdyż mąż Elżbiety, major Stawiecki, to był niezły hultaj, hulaka i kobieciarz, jakich mało. Chociaż bardzo majątny. Jego żona została matką chrzestną syna pana Modrzyckiego i jeszcze za życia złożyła sporą sumkę w depozyt, który miał być przeznaczony na kształcenie chłopca. Tym właśnie funduszem po jej śmierci zarządzał radca. Dobrze go ulokował i zabezpieczył, żeby nikt nie mógł go podjąć przed czasem. Mógł być przeznaczony tylko na studia Janka lub, gdyby chłopak ze studiów zrezygnował, dla niego samego do wolnego uznania, ale dopiero gdy chłopak skończy dwadzieścia pięć lat.

– A co się stało z tym funduszem, gdy radca zmarł?

– Nic, leżał sobie w banku i czekał. Gdy młody Modrzycki poszedł na studia, dostawał co miesiąc stosowną sumkę. Zapewniam pana, że nie biedował, chociaż młodziż teraz, panie szanowny, potrafi przehulać każde pieniądze. Z tego, co słyszałem, Janek też sobie nie żałował i mimo funduszu nieźle nadszarpnął rodzinny kapitał. A właściwie jego resztki, choć była to kiedyś bardzo majątna i poważana rodzina.

– To bardzo szlachetnie ze strony pani Chudowskiej, że zabezpieczyła przyszłość swojego chrześniaka – stwierdził agent, nie bardzo wiedząc, co miałby jeszcze powiedzieć na ten zupełnie nieznan mu temat, który jednak widocznie fascynował Hindemitha, bo ten po chwili dorzucił z wypiekami na twarzy:

– Panie szanowny, jakie tu kiedyś krążyły plotki! Ha! Nie uwierzyłby pan, ale jestem pewien, że niektóre były nie tylko plotkami. Biedna Izabela miała z mężem prawdziwy krzyż pański, ponoć nawet zaraził ją francuską chorobą i dlatego nie mogła mieć własnych dzieci. Chociaż... Niektórzy, a zwłaszcza niektóre – drukarz mrugnął porozumiewawczo – byli pewni, że kilkakrotnie była jednak w stanie błogosławionym, niekoniecznie z mężem, tylko właśnie z Mo... Ale to jeszcze nie wszystko...

– Chodźcie tu do nas, moi drodzy! – zawołała pani Hindemithowa do męża. – Mamy tu mały spór i trzeba go rozsądzić.

– To poproście sędziego – burknął cicho Hindemith, lecz posłusznie ruszył w kierunku swojej połowicy. Na odchodnym rzucił jeszcze agentowi przez ramię: – Niech pan zajrzy jeszcze kiedy do mnie, ale do drukarni, bo żona jest strasznie dociekliwa i do wszystkiego się wtrąca. Wypijemy sobie po jednym i dokończę panu tę opowiadkę. Strasznie pikantną zresztą, nie dla uszu cnotliwej kobiety.

Jezierski uśmiechnął się pod wąsem, pewny, że nie o wrażliwość uszu ani cnotliwość małżonki chodziło jego rozmówcy, lecz o jej niepohamowaną ciekawość, by nie powiedzieć wścibstwo. Ominął szerokim łukiem grupę osób zgromadzonych przy żonie szanowanego właściciela drukarni i skierował się w stronę swojej własnej kochanej połowicy, za którą już się trochę stęsknił. Nie widział poza nią świata od ponad jedenastu lat, czyli odkąd się pobrali i cały czas uważał się za szczęściarza, który znalazł swoją „połówkę”.

Nazajutrz w domu Maksa Zaifa przy śniadaniu obie pary porównywały swoje wrażenia z przyjęcia zaręczynowej panny Modrzyckiej. Ich pociechy spożywały posiłek w swojej jadalni, urządzonej specjalnie dla nich przez Maksa w pokoju obok kuchni, by potrawy nie stygły podczas ich przenoszenia. Jadalnia miała małe mebelki, dostosowane do wieku dzieci i zmieniane na większe, gdy urosły. Teraz dokazywały tam z dziećmi Jezierskich i dziadkiem Maksym, który je niemiłosiernie rozpieszczał.

– Całkiem udany wieczór – mówił tymczasem Jezierski, smarując grzanekę odrobiną masła i większą ilością dżemu poziomkowego. – Wyśmienity ten dżem!

– A tak narzekałeś, że musisz tam iść! – zaśmiała się Debora.

– Owszem, narzekałem, ale nie było tak źle. Całkiem dobrze się bawiłem. Tyle plotek, dykteryjek, niezłe jedzenie...

– Niezłe? – zdziwiła się Debora. – Bardzo dobre.

– E, tam, nie umywa się do naszego czy tego tutaj. Może bardziej wyszukane niż nasza prosta wiejska strawa, ale my za to mamy produkty najwyższej jakości i świeżości...

– Walery – przerwała mu bezceremonialnie Sara – powiedziałeś, że ci się podobało, bo było dużo plotek. Kobiety plotkowały, gdy wy poszliście na cygara. Skąd więc wiesz, że było dużo plotek?

– Naprawdę sądzisz, że tylko kobiety plotkują? – zdziwił się Jezierski.

– Pewnie! W życiu nie widziałam, żeby Jakub zajmował się czymś takim.

– No tak, to wiele wyjaśnia. – Agent mrugnął do przyjaciela, który odpowiedział mu uśmiechem. – Jakub może nie, ale on nie jest zwykłym człowiekiem. Przynajmniej na początku naszej znajomości miałem takie nieodparte wrażenie, że to jakiś nadczłowiek. Przy nim można się nabawić kompleksów.

– Coś o tym wiem – westchnęła Sara.

Jakub miał tak zdziwioną minę, że Debora wybuchnęła śmiechem.

– Jakoś nie widać, żeby któreś z was miało jakiegokolwiek kompleksy – powiedziała.

– Bo się już do tego przyzwyczailiśmy – stwierdził agent. – Albo po prostu się z tym pogodziliśmy. Moja droga Saro, mężczyźni plotkują tak samo jak kobiety, albo i bardziej. Tyle że głównie w męskim gronie.

– Pewnie dlatego, żeby kobiety się o tym nie dowiedziały, bo wtedy nie moglibyście ich za to krytykować! – rzuciła zaczepnie Debora.

– To całkiem możliwe – przyznał z całą powagą jej mąż, ale zaraz się roześmiał. – Nasłuchałem się ciekawych historii w gabinecie u Modrzyckich. Jednej, niestety, tylko fragment, choć zapowiadała się najlepiej, bo pikantnie...

Przerwał i zerknął filuternie na Deborę, która pogroziła mu palcem.

– Któż to tak ciekawie rozprawiał? – zapytała. – Pewnie jakiś młodzik?

– Nigdy byście nie uwierzyli. Pan Hindemith.

– Co?! – zawołała Sara. – Właściciel drukarni?

– Ten sam.

– Faktycznie, w życiu bym go nie posądzała o pikantne plotki. Przy takiej żonie...

– Może właśnie dlatego – zauważył Zaif.

– Co masz na myśli, kochanie?

– Taka władcza żona pewnie go krótko trzyma, więc musi sobie to jakoś zrekompensować, gdy ona go nie ma na oku.

– Trafiałeś w sedno, Jakubie! – zaśmiała się Debora. – Jak to ona mówiła? Że mężczyzn trzeba trzymać krótko!

– Chyba jej nie uwierzyłaś? – spytał Jezierski z udawanym przestradchem.

– Nie wiem, nie wiem... Muszę się nad tym zastanowić.

– Debora wcale tak nie myśli. My obie dobrze wiemy, że naszych mężów nie trzeba traktować jak dzieci i bez przerwy pilnować.

– I chwała wam za to!

– Ale co takiego mówił pan Hindemith?

– Saro, nie męcz go – upomniał ją mąż. – Niech zje w spokoju śniadanie.

– Przecież może jeść i mówić jednocześnie... No, może nie całkiem.

– Wiedziałem, że jednak coś zapamiętałaś z zasad savoir-vivre’u, które z takim trudem wpajano ci

w dzieciństwie – uśmiechnął się Jakub. – Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, że moja żona jest bardzo niepokorną osobką, samowolną i czasem lekkomyślną, ale przy tym ma niepospolity umysł i złote serce.

– Lubię, gdy tak o mnie mówisz. – Pocałowała go w policzek. – No i co z tymi plotkami?

– W dodatku upartą niczym pewne zwierzę z długimi uszami, jeśli wiecie, co mam na myśli...

– Obiecuję ci uroczyście, że gdy tylko poznam całą historię, natychmiast ci ją opowiem.

– Będziesz musiał, Walery, inaczej moja żona wywierci ci dziurę w brzuchu.

Sara nie dawała za wygraną:

– Powiedz chociaż, kogo dotyczyła, bo czego to łatwo się domyślić.

– A nie mówiłem? – uśmiechnął się Zaif. – Ma niepospolity umysł i nigdy nie zadaje głupich pytań.

Prawie nigdy...

– No, wiesz! Jak możesz tak mnie oczerniać!

– Ta historia jest sprzed wielu lat, więc nie masz się co tak ekscytować, Saro. A dotyczy świętej pamięci pana Modrzyckiego seniora.

– Widocznie świętej pamięci pan Modrzycki nie był taki święty – zaśmiała się Sara, a z nią reszta.

– Ano nie. Szczegółów jednak nie znam.

– Ale je poznasz i nam opowiesz, prawda? My natomiast nasłuchaliśmy się peanów na temat syna pani Modrzyckiej oraz niezwykłej historii o testamentach...

– Wy też? My również jej wysłuchaliśmy. Nietypowe zdarzenie, prawda, Jakubie?

Zaif skinął głową i zajął się jajkiem na grzance po benedyktyńsku, przecinając je z chirurgiczną precyzją, aż wypłynęło złociste żółtko.

– Ciekawe, co mówiła jego matka, bo myśmy tę historię słyszeli z ust pana Forynowicza, który brał udział w tym żarcie. Szkoda, że skończył się tak tragicznie.

– Jego matka mówiła...

Do końca śniadania trwała wymiana wiadomości na temat tej historii, Modrzyckich w ogóle i co ciekawszych gości oraz rozmowa o prawdziwej epidemii osób ze skaleczonymi rękoma, bo wspólnie doliczyli się takich na przyjęciu aż dwunastu, zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Toteż Jakub, widocznie naprawdę niezwykły człowiek, bo niespecjalnie lubił plotki, z ulgą przywitał koniec posiłku. Nastąpiło to dokładnie w momencie, gdy do jadalni wpadły z krzykiem i łomotem ich dzieci, skutecznie wszystko zagłuszając i kierując myśli rodziców na zupełnie inne tory.

– Jedziemy zaraz z dziadkiem Maksymem do Borkowa! – krzyczały radośnie. Dziadkiem nazywały Maksa zarówno jego wnuki, jak i dzieci Jezierskich, których prawdziwi dziadkowie zmarli jeszcze przed ich narodzinami. – Będziemy się kąpać!

– Czas się zatem pakować – stwierdził agent.

– Tatusiu, wy z wujkiem też pojedziecie?

– Nie dziś, kochanie. Mamy tu ważne sprawy do załatwienia, ale gdy tylko skończymy, natychmiast do was dołączymy.

– Na pewno będziecie łapać groźnych przestępców.

– Coś w tym rodzaju. A teraz, kochani, do walizek!

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że już jadą – wyznał agent przyjacielowi, gdy ich żony z dziećmi poszły na górę pakować rzeczy. – Nie sądziłem, że kiedyś to powiem, ale w tych okolicznościach...

– Tak, w tych okolicznościach to zrozumiałe.

Dwa dni później, w poniedziałek, tak jak się tego obawiał gubernator oraz stryj Elizy, miasto zatrzęsło się od plotek. Z lubością wręcz roztrząsano zabójstwa żebraków i zniknięcie panny Garszyńskiej, nieco mniejszym wzięciem cieszyło się włamanie do magazynu z rzeczami przeznaczonymi na wystawę archeologiczną. Także sama wystawa zeszła trochę na dalszy plan, co nie znaczy, że odwiedzało ją mniej osób. Wręcz przeciwnie, sala recepcyjna ratusza stała się kolejnym miejscem towarzyskich spotkań, gdzie z katalogu wymieniano szeptem uwagi na tematy dużo bardziej współczesne i, co tu ukrywać,

dużo bardziej interesujące.

Tylko Jezierski był z tego faktu zadowolony i ustanowił nawet dla swoich ludzi trzydzieści rubli specjalnego funduszu, żeby mogli wieczorami po pracy spędzić trochę czasu w szynkach, winiarniach czy cukierniach i posłuchać, co też ludzie między sobą gadają. Była to niemała kwota, zważywszy, że kufel piwa kosztował pięć kopiejek, obiad z czterech dań ok. czterdziestu kopiejek, funt<sup>69</sup> chleba cztery kopiejki, dorożka w dzień około dwudziestu kopiejek, a tańsze miejsca w teatrze dwadzieścia–trzydzieści kopiejek<sup>70</sup>.

W Kaliszu było wówczas około setki szynków, sześć winiarni, mniej więcej tyle samo cukierni i restauracji<sup>71</sup>, miejsc do „wymiany poglądów” zatem nie brakowało. I chociaż ludzie gadali dużo, niewiele z tego wynikało. Pierwszego dnia dominowały wszelkiego rodzaju przypuszczenia i hipotezy, co też mogło się z panną stać, nikt jednak nawet się nie zająknął, że choćby widział pannę. A przecież agent wiedział, że w mieście jest wielu ludzi, którzy chętnie pochwaliby się czymś takim, zwykle ubarwiając swą opowieść. Znalazłoby się też kilka osób, które kłamałyby w żywe oczy, że widziały pannę, byle tylko znaleźć się w centrum uwagi. Tym razem jednak nikt nie zaryzykował konfabulacji, gdyż po mieście razem z afiszami gruchnęła fama, że agent Jezierski – w imieniu Jego Ekscelencji Gubernatora, rzecz jasna – jest osobiście zainteresowany tą sprawą, głupio byłoby zatem ryzykować kilka dni turmy za wprowadzenie władzy w błąd.

Kolejnego dnia, we wtorek, pojawił się cień nadziei. Do cyrkułu przyszedł szanowany obywatel, pan Stanisław Rybski, oznajmiając od progu, że widział pannę Garszyńską w jadącą otwartym brekiem razem z kilkoma innymi wesołymi osobami do majątku w Pawłówku pod Kaliszem. Przepytany dokładnie przez policjantów przyznał jednak, że całkowitej pewności nie ma, gdyż powóz minął go tylko, i to z dość dużą prędkością, nie mógł zatem się dokładnie przyjrzeć pasażerom, a samej panny osobiście nie zna, jeno rozpoznał ją z fotografii na afiszu.

Niemniej dwóch starszych policjantów – bo młodzi byli zajęci śledztwem Jaśka i ochroną obywateli na czas wystawy – rażno wyruszyło do majątku Brzozowskich, żeby jak najszybciej tę informację sprawdzić. Na progu powitał ich otoczony wianuszkami kobiet syn właściciela. Po chwili z wnętrza wyszło jeszcze kilku młodych mężczyzn ze śmiechem dźwigających dość ciężkie kosze. Całe towarzystwo wybierało się właśnie na piknik. Widok umundurowanych policjantów zaskoczył ich bardzo, a młody Dominik Brzozowski zaczął się gorączkowo zastanawiać, co też tym razem przeszkrobał, gdyż dwa dni wcześniej bawił się z kilkoma wiernymi towarzyszami do białego rana i, prawdę mówiąc, niewiele z tego wypadu do miasta pamiętał.

Jakież było jego zaskoczenie, gdy policjanci spytali go o pannę Garszyńską. Podrapał się po głowie, rozejrzał po swoich towarzyszach, którzy również mieli zdziwione miny, i odpowiedział pytaniem:

– Któż to, u licha, jest panna Garszyńska?

Tym razem zdziwili się policjanci, ale że przywykli już do najróżniejszych sytuacji, grzecznie wyjaśnili całą sytuację. Pokazali nawet młodym ludziom afisz ze zdjęciem.

– Nie znam panny Garszyńskiej, ale widzę, że jest podobna do panny Słupeckiej. Klara, pokaż się panom. Klara! Gdzie jest Klara?

– Zaraz będzie – powiedziała jedna z dziewcząt. – Przebiera się, bo poplamiła suknię sokiem malinowym twojej babci. – Spojrzała na afisz. – Rzeczywiście, jest bardzo podobna.

– Po co jej sok malinowy? – zdziwił się młody dziedzic.

– Zrobiłyśmy napój na piknik – wyjaśniła dziewczyna. – Z kawałkami kruszonego lodu. Adolf nam pokruszył mniejszą bryłę. Ale jeśli dłużej tu postoiśmy, to lód się na pewno rozpuści.

– Jeśli panny Garszyńskiej tu nie ma, będziecie mogli zaraz ruszać – stwierdził jeden z policjantów.

– Świetnie! – ucieszył się młody Brzozowski. – Na pewno jej tu nie ma, bo w życiu jej nie poznał. Nazwiska nawet nie znam, nic mi ono nie mówi. Oczywiście, przykro mi, że zaginęła. O, idzie Klara.

W drzwiach ukazała się młoda kobieta. Szła zwawym krokiem, ale teraz zwolniła i wreszcie



przystanąła w progu, bo wszyscy się na nią gapili.

– Cóż mnie tak oglądacie? – zdziwiła się. – Przebrałam się, na pewno już nie jestem brudna. Ale cała aż się lepiałam od tego soku. Musiałam się umyć. No, co z wami?

– Mamy tu policję – odezwał się wreszcie Brzozowski. – Przyszli sprawdzić, czy nie jesteś panną Garszyńską.

– A któż to jest?

– Nie wiem. Też jej nie znam.

– Nikt z nas jej nie zna – stwierdziła jedna z panien.

– To dlaczego...? Nic nie rozumiem.

– Ktoś dziś zauważył panią w powozie jadącym tutaj i uznał, że może jest pani panną Garszyńską, która zaginęła bez wieści. Szukamy jej, bo agent do specjalnych poruczeń, Walery Jezierski, uważa, że grozi jej niebezpieczeństwo. W mieście rozklejono afisze z jej wizerunkiem. Naprawdę nic nie słyszeliście? To głośna sprawa.

– Ho, ho! – zdumiał się młody Brzozowski. – Szuka jej sam Walery Jezierski? To faktycznie musi być poważna kabała!

– Nasz szef tak uważa.

– A wy nie?

– Nie nam sądzić. Od tego jest szef.

– Słusznie, słusznie. Ale nic nie słyszeliśmy, bo od tygodnia bawimy tutaj. Nic złego nie robimy, zapewniam pana. Po prostu spędzamy lato na wsi.

– A gdzie pana rodzice?

– Oni spędzają lato na Riwierze.

– Hm... – Policjant przyjrzał się uważnie towarzystwu. – Mam nadzieję, że nie będę musiał tu przyjeżdżać do jakiejś awantury czy pojedynku...

– Niech się pan nie martwi! – zawołała ze śmiechem jakaś panna. – Jest z nami ciotka Dominika i mnóstwo służby. Jesteśmy bardzo grzeczni.

– Ja myślę. Tyle że młodzi zawsze tak mówią, a później... – Policjant w porę ugryzł się w język, bo nie wypadało w towarzystwie młodych panien mówić o niechcianej ciąży. – Różnie to bywa – dokończył.

– Ale co ja mam z tym wspólnego? – chciała wiedzieć panna Słupecka.

– Widzi mi się, że nic, tyle że jest pani do niej dość podobna. W takim razie sprawdzimy jeszcze tylko pani dokumenty, żeby była jasność, że nie jest pani panną Garszyńską, tylko panną Słupecką. Ma pani jakieś?

– Niech się pan zlituje! – Dziewczyna złożyła ręce jak do modlitwy. – Kto zabiera dokumenty na wieś?

– Każdy powinien nosić przy sobie dokumenty, żeby móc je okazać władzy.

– Nie zabrałam żadnych dokumentów, wszak nie wyjeżdżaliśmy za granicę. Może pan pojechać do moich rodziców, oni panu pokażą wszystko, co pan zechce. Mają też moje zdjęcia, więc będzie pan wiedział, że ja to na pewno ja, Klara Słupecka. Podam panu adres.

Policjant podrapał się za uchem.

– Dobrze. Powinienem panią zabrać do miasta, ale jeśli zobaczę u rodziców pani fotografie i dokumenty, to tym razem pani daruję.

– Dziękuję! Bardzo panu wdzięczna, naprawdę! Oto mój adres.

Zaczęła dyktować, a policjant starannie zapisywał.

– W takim razie to już chyba wszystko. Wracamy.

Ostatnie słowo skierowane było już do kolegi, który przez cały ten czas nie odezwał się ani słowem, tylko bacznie się przyglądał. Teraz jednak zaskoczył wszystkich.

– Zaraz, zaraz – powiedział wolno. – Mówił pan, panie Brzozowski, że nie byliście w mieście, a przecież widziano was dziś, jak jechaliście z miasta tutaj. No, to jak było?

Młodzi, którzy zaczęli podnosić swoje kosze piknikowe i szykować się do wyjścia, znieruchomieli. Także policjant prowadzący rozmowę stanął jak wryty, z jedną nogą na stopniu powozu, którym tu przyjechali. Zapadła nagle cisza. Słyszać było tylko brzęczenie owadów i świergot ptaków. Gdzieś dalej odezwała się kukułka.

Pierwszy z zaskoczenia ocknął się młody dziedzic.

– Nie byliśmy w samym mieście – wyjaśnił. – Pojechaliśmy tylko na jego obrzeża, gdzie służący państwa Sadowskich, rodziców obecnego tu Adama Sadowskiego – to mówiąc, wskazał na jednego z młodzieńców z bujną czupryną – przywiózł nam zamówiony prowiant.

Małomówny policjant uniósł brew.

– Prowiantu wam zabrakło? Na wsi?

– No dobrze, wina nam zabrakło. Wyjeżdżając, rodzice zamknęli piwniczkę na trzy spusty. Wiedzieli, że tu będziemy spędzać lato i że dziewczyny wina nie piją, ale ja i moi przyjaciele nie lubimy wody do posiłków.

– Rozumiem. Bardzo przezornych ma pan rodziców.

– Przesadzają – westchnął ciężko Brzozowski. – Jak zawsze zresztą. Ale tacy już są staruszkowie. Na szczęście i tak sobie poradziliśmy.

– Czy rodzice pana Sadowskiego zaopatrzyli was w wino?

– Uchowaj Boże. Oni nic nie wiedzą. Tylko ich służący.

– Ach, tak.

– Nie powie im pan, prawda? – zaniepokoił się Dominik.

– Jeśli nie będzie tu żadnych pijackich burd ani innych ekscesów, to nie powiem.

– Oczywiście, że nie będzie! – zapewnił gorąco Sadowski. – Za kogo nas pan ma?

– Za młodych ludzi, którzy w tym wieku mocno jeszcze grzeszą lekkomyślnością. Ale wszystko dokładnie sprawdzimy i jeśli nie macie nic na sumieniu, zwłaszcza porwania panny Garszyńskiej, nic wam nie grozi.

– Naprawdę jej nie znamy, proszę pana! – zawołała panna Słupecka. – Nigdy o takiej osobie nawet nie słyszałam.

– Może być – zgodził się łaskawie policjant. – Przed wieloma laty wyjechała razem z siostrą do Warszawy i tam już została.

– Po co? – zdziwił się Brzozowski. – Żle tu im było?

– Musiała.

– Ale dlaczego?

– Bo jej rodziców zamordowano.

Młodzi ludzie wytrzeszczyli oczy, a potem spojrzeli po sobie ze zgrozą.

– A niech mnie! – westchnął Adam Sadowski, upuszczając dopiero co podniesiony kosz, czego nawet nie zauważył.

– Kiedy to było? – zapytała Klara. – Chyba dawno?

– O, tak. Przed dwunasty laty. Eliza miała wtedy siedemnaście lat, a jej siostra piętnaście. Zaopiekowała się nimi rodzina z Warszawy.

– Tak, to była ongiś bardzo głośna sprawa – z wnętrza domu dobiegł ich jakiś kobiecy głos.

Wszyscy spojrzeli w tę stronę i zobaczyli wychylającą się z okna na parterze starszą kobietę o starannie ułożonej fryzurze, pamiętającej raczej początek wieku niż jego schyłek.

– To moja ciotka, siostra ojca, Anastazja Brzozowska – wyszeptał Dominik policjantom. – Stara panna – dodał jeszcze ciszej. Na głos natomiast powiedział: – Ciociu, pozwól, że ci przedstawię panów policjantów... O, przepraszam, jak godność panów?

– Wojciech Piotrowicz i Paweł Odmowski – przedstawił siebie i kolegę bardziej gadatliwy funkcjonariusz.

– Panowie przyjechali tu... – zaczął znów Dominik, ale ciotka nie pozwoliła mu skończyć.

– Wiem, po co tu przyjechali – fuknęła. – Słuch mam jeszcze dobry. Poczekajcie, zaraz do was wyjdę.

Po chwili ukazała się w całej swej pulchnej okazałości. Jej suknia, szczelnie zakrywająca dekolt aż po sam podbródek, także pochodziła sprzed co najmniej czterdziestu lat, ale była z niewątpliwie pierwszorzędnej jakości jedwabiu.

– Zaraz przyniosę ci fotel, ciociu. – Brzozowski ruszył do wnętrza domu, lecz ciotka go zatrzymała.

– Zostań, chłopcze. Może i jestem stara, ale jeszcze zdrowie mi dopisuje.

– O, niewątpliwie – odezwał się Piotrowicz, kłaniając się szarmancko. – Szanowna pani wygląda tak, jakby mogła przejść się na spacer stąd do Kalisza i z powrotem, nie męcząc się zbyt.

– Może tylko do Kalisza. – Kobieta uśmiechnęła się z wyraźnym zadowoleniem. – Z powrotem wolałabym już wrócić wolantem.

– W każdej chwili służę szanownej pani. Zabrać panią do miasta?

– Nie trzeba, muszę pilnować tej rozbrykanej gromadki.

– A jednak! Rozbrykani, powiada pani? Gdyby miała pani z nimi jakiegokolwiek kłopoty, proszę tylko przesłać mi wiadomość, a ja już się nimi zajmę. Niczym rodzony ojciec nie pożałuję im pasa.

Dominik Brzozowski jęknął, reszta młodzieży krztusiła się ze śmiechu.

– Poradzę sobie, ale dziękuję za dobre chęci. A teraz do rzeczy. Ta panna – tu wskazała na Klarę – jest na pewno panną Słupecką, nie musi pan tego sprawdzać, bo znam jej rodziców od kołyski. Znam dobrze wszystkich rodziców tych młodych ludzi, więc niech pan da spokój i nie nachodzi ich w domach, bo tylko się wystraszą, że nie wiadomo, co się tu dzieje. A to mimo wszystko dobre dzieciaki. Młodość musi się wyszumieć. W granicach rozsądku, oczywiście, ale ja mam na nich oko. Poza tym ich rodzice są teraz zajęci, bo szykują się do wyjazdu za granicę. Z dziećmi, rzecz jasna. Za tydzień będzie tu zatem pusto, a ja się będę nudzić.

– Jeśli szanowna pani za nich ręczy, nie będę ich sprawdzał – obiecał Piotrowicz.

– Świetnie. A co do panny Garszyńskiej, oni jej rzeczywiście nie znają. Nigdy nawet nie słyszeli tej strasznej historii.

– Strasznej? – zaciekał się Dominik.

– Już sam fakt, że państwo Garszyńscy zostali zamordowani, jest wystarczająco straszny, mój drogi – upomniała go ciotka.

– Z pewnością – zgodził się skwapliwie młodzieniec.

– Rzeczywiście, radca Garszyński miał straszną śmierć – dodała Brzozowska. – O ile pamiętam, ten potwór odciął mu głowę...

Młodym ludziom aż zaparło dech w piersiach. Otoczyli starą kobietę wianuszkami i zaczęli ją prosić, żeby opowiedziała im tę historię.

– To lepsze niż *Zamczysko w Otranto* pana Horacego Walpole'a<sup>22</sup> – szepnęła jedna z panien.

– A *Strach w zamczku* pani Mostowskiej<sup>23</sup> czytałaś?

– Nie, pierwsze słyszę!

– O, to całkiem przyjemna powiastka. Pani Mostowska zapewnia we wstępie, że jest to prawdziwa historia z jej życia...

– Co też ty pleciesz, moja droga! – fuknęła pani Brzozowska. – To był wyśmienity dowcip, jaki jej zrobił pan Frank. Wszystko potem wyłuszczył w listach do przyjaciół, między innymi do moich rodziców, którzy często jeździli na Litwę. Ja byłam wtedy jeszcze dziewczynką, ale rodzice mi opowiadali, jak to naprawdę było. Nadal mam po nich listy, także i ten, w którym pan Frank opisał całą historię.

– Chciałabym zobaczyć ducha! – zawołała z ekscytacją Klara.

– Duchów nie ma, moja droga – stwierdziła kategorycznie panna Brzozowska.

– Ja chyba jednak widziałem ducha... – powiedział wolno Adam Sadowski, a w jego głosie zabrzmiała jakaś dziwna nuta.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdumieniem i zdziwili się jeszcze bardziej – chłopak był blady jak ściana, a dłoń, w której trzymał szklanekę z napojem, tak mu się trzęsała, że lód grzechotał o ścianki naczynia. Wpatrywał się w blat ogrodowego stolika. Po chwili podniósł wzrok i ujrzał kilkanaście par oczu spoglądających na niego z niemym pytaniem.

– A może tylko mi się to przywidziało – powiedział już normalnym tonem, ale ręce wciąż jeszcze lekko mu drżały.

– Prawdopodobnie – rzekła panna Brzozowska z namysłem w głosie. – Ale może nam o tym opowiesz? Razem ocenimy, co też takiego ci się przytrafiło.

– Ech, byłem wtedy na niezłym rauszu. Nie ma o czym mówić, tylko że...

– Tak? – spytała łagodnie pani Anastazja.

– Coś mi po tym spotkaniu zostało...

Odpowiedziały mu okrzyki zdumienia przyjaciół. Panna Brzozowska uciszyła młodzież i powiedziała:

– Mów, chłopcze. Bez względu na to, czy widziałeś ducha, czy nie, poczujesz się lepiej, gdy wyrzucisz to z siebie.

Sadowski skinął głową, głośno przełknął ślinę i zaczął nieco drżącym głosem:

– To było dość późno w nocy. Wraciałem właśnie z... degustacji wina i byłem trochę wstawiony...

Przerwały mu głośnie wybuchy śmiechu.

– Dobrze, byłem całkiem mocno wstawiony i wesolutki jako ten szczygieł na wiosnę. Idę sobie aleją Józefiny<sup>74</sup> i gadam sam ze sobą na różne głosy...

– Przepraszam bardzo – przerwał mu Piotrowicz – ale co to właściwie znaczy?

– Adam bardzo udatnie naśladuje głosy różnych ludzi – wyjaśniła Klara. – Nieraz pękaliśmy ze śmiechu, gdy kogoś parodiował. W ogóle potrafi mówić tak, jakby rozmawiało ze sobą kilka osób, nigdy by pan nie poznał, że to mówi ta sama osoba. Każdy głos inny, potrafi mówić nawet jak kobieta. A jak sobie więcej wypije, to gada tymi głosami sam ze sobą, wcale mu nie trzeba publiczności.

– Rozumiem. To bardzo ciekawa umiejętność. Chętnie bym kiedyś posłuchał, jak pan mówi głosami.

– Ale może nie w tej chwili – włączyła się panna Brzozowska. – Mów dalej, Adasiu.

– Zatem idę i gadam. Byłem już blisko domu Towarzystwa Kredytowego, gdy nagle zupełnie znikąd, uwierzcie mi, wyrosła przede mną jakaś niewyraźna postać. Odziana w obszarpane ubranie, niczym jakiś żebrak, ale najgorsze było to, że nie miała twarzy...

– A co miała zamiast twarzy? – chciała wiedzieć jedna z panien, w ogóle nieprzestraszona tym opisem.

– Jakby to powiedzieć... Coś jakby rozmazaną plamę. Trudno to opisać słowami, naprawdę. W życiu czegoś takiego nie widziałem. W pierwszej chwili pomyślałem, że widzę tak dziwnie i mgliście z powodu rauszu...

– A tak nie było? – zdziwił się Dominik. – Często człowiek widzi niewyraźnie, gdy wleje w siebie za dużo wina.

– A ty skąd o tym wiesz? – zapytała ciotka surowym tonem, ale w oczach miała figlarne błyski.

– Tylko ze słyszenia, droga ciociu – odparł niewinnie chłopak.

Salwy śmiechu na chwilę zagłuszyły wszystko wokół. Śmiała się także panna Brzozowska, i to tak, że musiała wycierać załzawione oczy chusteczką.

– Przepraszamy cię, Adasiu – powiedziała wreszcie stara panna, z trudem łapiąc oddech. – Mów dalej, drogi chłopcze.

Wesołość towarzystwa widocznie dodała Sadowskiemu animuszu, bo kontynuował już mocnym, pewnym głosem:

– Stoimy tak naprzeciwko siebie, ja i ta zjawa, i nic się nie dzieje. Trochę z początku zbaraniałem z zaskoczenia tak niepoślednim widokiem, a potem usiłowałem wysilić wzrok, żeby zobaczyć coś wyraźniej, ale nic to nie dało. W dodatku nie bałem się ani trochę. Duch nie był agresywny i jakoś wszystko wtedy wydawało mi się naturalne i oczywiste. Wtem zjawa coś jakby odezwała się...



– Co to znaczy „coś jakby”? – spytała z niezadowoleniem Klara. – Dlaczego tak dziwnie mówisz, zamiast powiedzieć po prostu „odezwała się”?

– Bo jej głos rozległ się w mojej głowie. Nie słyszałem go przez uszy, tylko właśnie w głowie.

– Rany, Adam, co ty pił? – zakpił Brzozowski. – To na pewno było tylko wino?

– Wiedziałem, że mi nie uwierzycie. Ale co tam, tak to właśnie pamiętam.

– Czy dowiem się wreszcie, co też ta niby-zjawa ci powiedziała? – zapytała panna Brzozowska.

– Powiedziała: „Nie idź tam. Uciekaj”.

Zapadła głucha cisza. Nikt się nie zaśmiał. Nikt się nie odezwał. Pierwszy ocknął się Piotrowicz:

– I co było dalej?

– Prawdę mówiąc, zbaraniałem jeszcze bardziej. Nie bardzo wiedziałem, o co chodzi. Domyślałem się, że mam zawrócić, ale byłem ciekaw, o co chodzi. W ogóle się wtedy nie bałem. Jeszcze. Ta zjawa, choć dziwna i niematerialna, wciąż nie wydawała mi się wrogo nastawiona. Wręcz przeciwnie. Przecież mnie ostrzegała. Stałem więc i zastanawiałem się, co zrobić dalej. A że nie byłem całkiem trzeźwy, lepiej myślało mi się na głos i zanim się spostrzegłem, znów gadałem co najmniej ośmioma różnymi głosami. Wtedy...

Adam zawiesił głos. Wyglądało na to, że zastanawia się albo usiłuje sobie coś przypomnieć. Przez chwilę nikt mu nie przeszkadzał, ale towarzystwo długo nie wytrzymało milczenia i wkrótce rozległy się ponaglenia.

– No, mówże wreszcie!

– Co było dalej?

– Wtedy co?

– Wtedy coś usłyszałem. Na własne uszy, nie w głowie.

– Co? Co usłyszałeś?

– No, jakieś dźwięki. Nie wiem dokładnie, co to było. Jakieś szuranie, jakby ktoś ciągnął coś ciężkiego, jakiś głośny, mlaszczący dźwięk...

– Mlaszczący? – Młody Brzozowski nie posiadał się ze zdziwienia. Milczący natomiast jak zwykle policjant Odmowski przyglądał się mówiącemu z uwagą. W ogóle tego nieświadomy Sadowski wyjaśnił:

– To był bardzo dziwny dźwięk. Nie umiem tego inaczej opisać. Jakby ktoś wyciągał coś, co zaklinowało się w mokrej masie, powiedzmy w surowym mięsie.

– Fuj! Obrzydliwość! – Klara oddała wrażenia chyba wszystkich kobiet.

– Stary! – zawołał Dominik. – To wino było na pewno z czymś zmieszane. Może ktoś dosypał ci jakiegoś narkotyku?

– Na pewno! – podchwycił inny młodzieniec. – Zjawy bez twarzy, głosy w głowie, mlaszczące odgłosy...

– Dajmy dokończyć panu Adamowi – przerwał im Odmowski. – Pan Sadowski opowiada wszystko tak, jak to pamięta, inaczej przecież się nie da. Na razie nie ma co wnikać, co działo się naprawdę, a co było tylko złudzeniem. Proszę, niech pan mówi dalej.

– A na czym skończyłem? Co chwilę mi przerywacie i już mi się wszystko pomyliło.

– Skończyłeś na obrzydliwym, mlaszczącym dźwięku – przypomniał mu uśmiechnięty od ucha do ucha Dominik.

– Tak, przypominam sobie. Ten dźwięk był naprawdę obrzydliwy i dopiero wtedy poczułem strach. To dziwne, bo zjawa już zniknęła, a ja byłem coraz bardziej przestraszony. Odruchowo więc zacząłem mówić głośniej i wtedy na chwilę wszystko ucichło, a potem rozległy się szybkie kroki, następnie już tupot, jakby ktoś biegł. Ale nikogo nie widziałem, więc doszedłem do wniosku, że te wszystkie odgłosy dobiegają z uliczki za budynkiem Towarzystwa Kredytowego albo z podwórza sąsiedniej kamienicy, tej bliżej mnie. A najgorsze było to, że kroki zbliżały się do mnie, a nie oddalały. No cóż, zeszywniałem ze strachu i nie mogłem się ruszyć, za to gadałem jak najęty już chyba dziesięcioma co najmniej głosami.

Wtedy odgłos kroków ustał, w ogóle zrobiło się cicho. Pomyślałem, że ten ktoś już sobie cichaczem odszedł i zacząłem powoli wypuszczać powietrze z płuc, bo nawet nie zauważyłem, że wstrzymałem oddech. Jakim cudem mogłem mówić tak długo na bezdechu, tego nie wiem do dziś, ale nieważne. Powoli dochodziłem do siebie i nawet udało mi się poruszyć ręką. Nogą jeszcze nie, ale nie traciłem nadziei, że zaraz mi ten paraliż minie i ruszę dalej, tyle że w przeciwnym kierunku, jak doradzała zjawa. Wolałem już nadłożyć drogi niż spotkać się z tym kimś czy czymś młasczącym. Aż tu jak nie wyskoczy z bramy obok mnie jakaś postać! Mówię wam, omal nie padłem trupem na miejscu! Facet też był chyba zaskoczony, bo przez ostatnie dwie czy trzy minuty milczałem, żeby pooddychać, więc może pomyślał, że już sobie poszedłem. Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi, dość, że ten człowiek wpadł na mnie z takim impetem, że gdyby za mną nie stała latarnia, to leżałbym jak długi na ziemi. Znów tchu mi zabrakło, bo wyrznął we mnie z impetem. Ja jęknąłem, on też, w dodatku jego płaszcz splątał się trochę z moim i tak chwilę szamotaliśmy się, a właściwie tylko on, bo ja byłem przyciśnięty do latarni. W końcu uwolnił się i zaczął biec w stronę, z której przyszedłem. W końcu oprzytomniałem i wrócił mi oddech, więc postanowiłem iść dalej, lecz pośliznąłem się na czymś i omal nie wywinąłem kozła. Okazało się, że nadepnałem na laskę. Podniosłem ją, odwróciłem się i zacząłem wołać tego faceta, żeby oddać mu zgubę, ale on był już daleko i chyba mnie nie słyszał. Zawróciłem więc zgodnie z życzeniem ducha i okrężną drogą wróciłem do domu. Tam zdołałem tylko zdjąć płaszcz i buty i padłem na łóżko w ubraniu. Rano obudziłem się, ale dręczył mnie taki *katzenjammer*<sup>25</sup>, że ledwo żyłem. Wykąpałem się, zjadłem lekkie śniadanko, które i tak długo nie zabawiło w moim żołądku, i wróciłem do łóżka z karafką wody z lodem. Zdrzemnąłem się i obudziłem bardziej do życia, więc obejrzałem sobie tę zdobyczną laskę. Bardzo ładna, palisandrowa, tyle że, niestety, po nadeptnięciu pękła na całej niemal długości. I wiecie, co wtedy zobaczyłem?

Sadowski zamilkł i popatrzył na słuchaczy.

– Nie mamy pojęcia. Powiedz, co zobaczyłeś.

– No, mówże, Adasiu – przynagliła go Klara.

– Powiedziała do mnie „Adasiu”? – zdziwił się Sadowski i z triumfem spojrział na kolegów. –

Słyszeliście to, prawda? Boże, Klara...

– Mów albo już się nie odezwę do ciebie ani słowem – zagroziła mu stanowczo panna, ale ciemny rumieniec wykwitł jej na policzkach.

Sadowski powzdychał jeszcze chwilę, wznosząc przy tym oczy do nieba i przykładając rękę do piersi niczym jakiś średniowieczny Romeo, aż w końcu Dominik nie wytrzymał i klepnął go solidnie w plecy.

– Mów! Co zobaczyłeś?

– Że w środku ta laska jest metalowa.

Zapadła głucha cisza.

– Ale... – zaczęła niepewnie Klara. – Ale co to właściwie znaczy?

I rozejrzała się pytająco po przyjaciółach, lecz wszyscy wyglądali na równie zdezorientowanych jak ona. Wtem Odmowski zerwał się z krzesła, ściągając na siebie zdumione spojrzenia, także swojego kolegi, który z wrażenia aż zachłusnął się napojem.

– Ma pan jeszcze tę laskę?! – krzyknął do Sadowskiego.

– Jasne, trzymam ją na pamiątkę pod łóżkiem. Przypomina mi o tym duchu, chociaż nie on ją zgubił.

– Pamięta pan, kiedy to wszystko się zdarzyło?

– No... nie tak dawno temu. Zanim tu przyjechaliśmy.

– A dokładniej?

– Pamiętam, że nazajutrz, kiedy już byłem w stanie utrzymać pokarm w żołądku, a nastąpiło to dopiero pod wieczór, moi starszycy rozmawiali przy kolacji o włamaniu do magazynu w Towarzystwie Kredytowym.

– Natychmiast jedziemy! Niech się pan zbiera, ale już!

Piotrowicz klepnął się w czoło i także zerwał na równe nogi.

– A o zabójstwie nic nie mówili? – spytał, siłą ściągnając chłopaka z krzesła.

Sadowski zapał się odruchowo, ale na wzmiankę o morderstwie zapytał tylko słabym głosem:

– Zabójstwie...? Jakim zabójstwie?

Reszta towarzystwa patrzyła na tę scenę w niemym zdumieniu.

– Tej samej nocy zabito dwie osoby – warknął Odmowski, jednym ruchem unosząc chłopaka do pionu.

– Dwie, w tym jednego żebraka. Ty mogłeś być trzecia ofiarą, durniu!

Sadowski zachwiał się niebezpiecznie, ale policjant go podtrzymał.

– A teraz natychmiast jedziemy do twojego domu!

– Ale po co?

– Po laskę!

– Po laskę?

– Jednak masz fart, chłopcze – odpowiedział. – Nie dość, że przeżyłeś, to jeszcze chyba znalazłeś narzędzie zbrodni!

## Rozdział 6

Gdy żony z dziećmi wyjechały do Borku w towarzystwie Maksa Zaifa, obaj przyjaciele natychmiast wrócili do pracy, zadowoleni, że mogą być spokojni o bezpieczeństwo swoich rodzin. Jakub w towarzystwie niezmiernie zadowolonego z jego przyjazdu Stasia Małyszki przystąpił do przeprowadzenia sekcji zwłok dwóch pozostałych ofiar, Walery natomiast zajął się stertą raportów i rozmowami z podwładnymi w sprawie postępów śledztwa, a raczej czynności prowadzonych w ramach śledztw dotyczących zabójstw, włamania i porwania.

Gdy wszystkie sprawy biurowe zostały wykonane, a polecenia co do dalszych czynności wydane, Jezierski uznał, że może sobie pozwolić na pracę w terenie. Najpierw odwiedził pana Garszyńskiego w hotelu, gdyż wiedział, z jaką niecierpliwością stary radca czeka na wieści. Niestety, na razie nie miał żadnych; lecz sama rozmowa o śledztwie powinna nieco uspokoić adwokata.

Rozmowa nie trwała zbyt długo, głównie dlatego, że Jezierski niewiele miał na razie do powiedzenia, ale także z powodu złego samopoczucia adwokata. Najwyraźniej nagłe i tajemnicze zniknięcie bratanicy tak mocno nim wstrząsnęło, że wpłynęło to niekorzystnie na stan jego zdrowia. Był wyraźnie osłabiony, ruchy miał wolniejsze, a plecy zgarbione, choć kilka dni temu trzymał się prosto i poruszał żwawo.

– Panie Garszyński, proszę wezwać lekarza – perswadował agent, poruszony tak drastyczną zmianą w wyglądzie adwokata.

– Ależ drogi panie, nie mam czasu na lekarza – irytował się Garszyński.

– Tak? A czym pan jest taki zajęty?

– Czekaniem – odparł po prostu adwokat.

Jezierskiemu ścisnęło się serce.

– Muszę tu być na wypadek, gdyby Eliza wróciła albo chociaż napisała.

– Lekarz panu nie przeszkodzi w czekaniu. Przyjdzie tutaj.

– E, tam, zawracanie głowy! Nic mi nie jest.

– Może i nie jest pan chory, ale na pewno osłabiony. Czy pan w ogóle coś je?

– Oczywiście!

– Co najmniej trzy posiłki w ciągu dnia?

– Drogi panie, nie jest pan moją niańką!

– Nie zamierzam się wtrącać, ale proszę pamiętać, że musi pan być silny i zdrowy, gdy znajdziemy Elizę. Będzie potrzebowała pańskiego wsparcia, a może i opieki. A wtedy może się okazać, że to panem trzeba się zajmować.

– Nic mi nie jest, zupełnie nic – odparł z uporem Garszyński, choć widać było, że ostatnie słowa agenta zrobiły na nim wrażenie.

– Zatem proszę o siebie dbać. Obiecuje pan? Dla Elizy.

– Ależ pan uparty!

– Przyganiał kocioł garnkowi – mruknął Jezierski pod nosem.

– Co pan tam mamrocze?

– Że muszę już iść, ale za jakiś czas odwiedzę pana znowu.

– Oby przyniósł pan wtedy dobre wieści!

– Mam taką nadzieję.

Po wizycie u Garszyńskiego agent zajrzał na chwilę do szpitala, ale że obaj lekarze byli w samym środku sekcji, czym prędzej się wycofał, wołając od drzwi, żeby Jakub się z nim skontaktował, gdy skończy i odpocznie.

Wyszedłszy na ulicę, Jezierski stwierdził, że na razie nie ma co robić. Postanowił przejść się trochę i pomyśleć. Miasto wyglądało jak zwykle, codzienny ruch, ludzie spieszący w swoich sprawach, robiący zakupy, spacerujący. Nic nie świadczyło o tym, że niedawno popełniono tu trzy zbrodnie.

Nie wiedzieć kiedy znalazł się w pobliżu teatru, którego budowa dobiegała właśnie końca. Trwały już tylko prace wykończeniowe, za dwa miesiące budynek miał zostać bowiem uroczystie przekazany do użytku. Kaliszanie wyglądali tego dnia z utęsknieniem, gdyż na nowy budynek teatralny miasto czekało już czterdzieści dwa lata, od 1858 roku, kiedy to doszło do pożaru teatru „zjazdowego”. Do powstania nowego gmachu w dużym stopniu przyczynił się oczywiście Michał Piotrowicz Daragan, który stanął na czele zawiązanego w 1892 roku komitetu budowy.

Projekt teatru opracował inżynier Józef Chrzanowski. Pod względem architektonicznym budynek odzwierciedlał charakterystyczny dla przełomu XIX i XX stulecia styl mieszczańskiego neorenesansu i bardzo przypominał teatry powstałe pod koniec XIX wieku w Prusach i na terenie monarchii austro-węgierskiej. Wzniesiony został za ogromną sumę 85 000 rubli, czyli o 20 000 rubli większą, niż to zakładały początkowe szacunki. Kamień węgielny pod budowę gmachu położono dwa lata temu, we wrześniu 1898 roku, i już za dwa miesiące miało się odbyć otwarcie przybytku Melpomeny. Uroczystość planowano na dzień 24 lipca 1900 roku, a miał ją uświetnić swoją obecnością książę Imeretyński, władze gubernialne i miasta Kalisza oraz liczne grono miejscowych miłośników sceny. Jezierski, na bieżąco informowany przez samego gubernatora, który bardzo przejmował się tym wydarzeniem, jako że sam był wielkim miłośnikiem teatru, doskonale wiedział, że na inauguracyjny występ przyjadą artyści z warszawskiego Teatru Rozmaitości pod dyrekcją Władysława Szymanowskiego. Miał też wystąpić dwudziestopięciosobowy balet Aleksandra Gillera.

Jezierski stał jeszcze chwilę i przyglądał się budynkowi, który prezentował się naprawdę okazale. Jego Ekszelencja mógł być z niego dumny, jak i reszta komitetu; jego członkowie nie szczydziłi czasu i pracy, by kaliszanie jak najszybciej otrzymali upragniony teatr. Już teraz wiele osób porównywało go do pałacu z tysiąca i jednej nocy, co, oczywista, było przesadą, ale jakże miłą dla uszu członków komitetu<sup>76</sup>.

Agent skierował się w stronę pobliskiego parku, zastanawiając się, co robić. Na obiad było jeszcze za wcześnie, a poza tym, nie był wcale głodny. Mijane przezeń kilkakrotnie patrole policyjne nie zgłaszały żadnych incydentów. Miasto pławiło się w sennym spokoju, jakby nic złego się nie wydarzyło.

Idąc tak bez celu przez park, Jezierski przypomniał sobie pana Hindemitha, który bardzo chciał podzielić się z nim pikantną opowieścią o burzliwej przeszłości świętej pamięci Modrzyckiego. Najwyraźniej nie bardzo miał z kim porozmawiać na tak ekscytujący temat, bo z pracownikami nie można przecież było się aż tak spoufalać, a czas wolny od pracy spędzał niemal zawsze w towarzystwie swej groźnej małżonki.

Jezierski uznał wizytę w drukarni za doskonały pomysł i uśmiechnął się pod nosem. Niedługo będzie mógł spełnić daną Sarze obietnicę i opowiedzieć przyjaciołom oraz żonie całą tę historię.



Z przyjemnością spędzi zatem trochę czasu na kawie i czymś słodkim u zacnego właściciela drukarni, zamiast samotnie siedzieć w cukierni. Postanowił jednak wstąpić po drodze do jednej z nich, by kupić ciastka, ponieważ trudno było się spodziewać, że pan Hindemith akurat dzisiaj miał jakieś u siebie w zakładzie.

Skierował się zatem w stronę parkowej kawiarni pana Wehnera, naczelnika straży pożarnej w Turku. Jego nazwisko przylgnęło do tego lokalu najdłużej i najmocniej, jako że poczynił on niemałe inwestycje, jak znane od lat rzeźby i fontanna. Po drodze Jezierski minął kolejny patrol i poinformował policjantów, że w razie czego przez najbliższą godzinę lub dwie będzie w drukarni Hindemitha.

Przeszedł przez obszerną werandę, mijając kilka stolików, przy których siedzieli zapaleni szachiści. Była to ich ulubiona kawiarnia w mieście i tu ich można było zawsze spotkać, podczas gdy wielbiciele bilardu zajmowali salkę wewnątrz. Nie zamierzał siadać, choć kilka pustych stolików kusilo do odpoczynku. Zamiast tego podszedł do kontuaru i rozejrzał się. Cukiernia słynęła z najlepszych w mieście cukierków oraz lodów, a dla wymagających klientów sprowadzano nawet świeże kasztany<sup>77</sup>.

Agent wybrał ciastka, kazał je sobie zapakować, zapłacił i wyszedł. Skierował się w stronę ulicy Mariańskiej, gdzie pod numerem 71 znajdowała się drukarnia pana Hindemitha. W ręce tej rodziny trafiła w 1833 roku po Karolu Mechwaldzie<sup>78</sup>, z którego córką ożenił się ojciec obecnego właściciela, Karol Wilhelm Hindemith. Tłoczono w niej między innymi wydawany własnym nakładem „Kalendarz domowy i gospodarki, Polski i Ruski”, wiele wydawnictw miejscowych szkół i towarzystw, druki liturgiczne w języku łacińskim, a od 1870 roku wydawano i drukowano „Kaliszanina, gazetę miasta Kalisza i jego okolic”, a później „Gazetę Kaliską”. Drukarz posiadał też zezwolenie na wykonywanie druków urzędowych, stąd jego znajomość z Jezierskim, która jednak do tej pory pozostawała głównie na stopie służbowej. Prywatnie spotykali się rzadko, a dopiero u pani Modrzyckiej pierwszy raz rozmawiali dłużej i tak poufale.

Po powitaniach Jezierski grzecznie przeprosił za niespodziewane najście, ale Hindemith zaraz mu przerwał:

– Nawet pan nie wie, jak się cieszę, że pan przyszedł! – zawołał i troskliwie posadził gościa w fotelu, podsuwając poduszki pod plecy, jakby się obawiał, że niedobór wygód spowoduje ucieczkę agenta. Jezierski omal nie parsknął śmiechem. – Nudzę się dziś jak mops, bo wszystko już niemal zrobione, a poza tym jedna z maszyn jest właśnie naprawiana. Całkiem nowa maszyna rotacyjna, szanowny panie! Zupełny przewrót w technice składu! No i praca idzie tylko na pół gwizdka.

– Chętnie obejrzałbym pańskie maszyny, ale chciałbym zabrać też przyjaciela, który jest wielkim miłośnikiem nauki i techniki. Może mógłbym obejrzeć je kiedyś razem z nim?

– Oczywiście, będę zaszczycony!

– Poza tym, przyznam szczerze, że zaciekał mnie pan opowieścią o ojcu pana Modrzyckiego. Ciekaw jestem dalszego jej ciągu.

– Bardzo się cieszę! Chętnie ją panu opowiem.

Widać było, że Hindemitha niespodziewana wizyta agenta naprawdę mile zaskoczyła. Zaraz też zaferował mu kawę, a ujrzawszy przyniesione przez Jezierskiego ciastka, bardzo się ucieszył.

– Gdzie pan je kupił? – zapytał, krzątając się przy maszynce spirytusowej.

– U Wehnera.

– Świetnie, znakomicie. Mają bardzo dobre wypieki, choć ich cukiernia słynie raczej z cukierków i lodów.

– I szachistów – dorzucił z uśmiechem agent.

– Tak, i szachistów – zgodził się Hindemith. – *À propos* lodów u Wehnera, przypomniała mi się pewna historia. Czy wie pan, że kilka lat temu głośna tu była sprawa rozwodu Stefana Szolc-Rogozińskiego z Hajotą<sup>79</sup>? Znał pan tego podróżnika?

– Tak, chociaż słabo, bo prawie ciągle był za granicą. Lepiej znałem jego rodziców. Ale przyznam, że

nie wiem, co to ma wspólnego z lodami i cukiernią Wehnera.

– A ma, drogi panie, ma. To arcyciekawe studium miłości od narzeczeństwa do małżeństwa. Wszyscy młodzi ludzie płci obojga powinni ją dokładnie poznać, zamiast od razu pędzić do ołtarza.

– Hm, widzę, że zna pan wiele romansowych historii kaliszian. Przyznam, że mnie pan zainteresował. Nic nie wiem o życiu miłosnym naszego podróżnika, poza tym, że kiedyś jego bracia pojedynkowali się o jakąś kobietę, a jeden z nich zginął. Paskudna sprawa taki bratobójczy pojedynek. Rodzina aferę zatuszowała<sup>80</sup>.

– Tak, to rzeczywiście była tragiczna historia. Szkoda psuć sobie humor jej roztrząsaniem. Opowiem panu inną, która, co prawda, także nie kończy się happy endem, lecz przynajmniej nikt w niej nie ginie gwałtowną śmiercią.

– Bardzom zobowiązany. Takiej śmierci mam ostatnio nadmiar w naturze.

– Wiem, wiem, przecież wydaję naszą prasę lokalną, zatem jestem poinformowany o wszystkim, zanim gazeta trafi do mieszkańców. Proponuję panu inną historię.

– A tę o Elżbiecie Stawieckiej mi pan opowie?

– Ha! Widzę, że pana zaciekawiłem.

– I owszem.

– To może za chwilę. Skoro będziemy zaraz pić kawę i jeść ciastka, opowiem panu najpierw historię, w której także występuje deser, a konkretnie lody, jak już wspominałem. Mam nadzieję, że nie spieszy się pan zbytnio?

– Nie, przyznam nawet, że chwilowo nie mam nic do roboty poza czekaniem, dlatego zaszedłem do pana.

– Świetnie się składa, że i ja akurat dysponuję czasem. Ta historia zaczęła się pięknie, jak zawsze zresztą. – Drukarz westchnął smętnie, nalewając kawy do filiżanek. Jezierskiemu nawet przemknęło przez myśl, czy czasem gospodarz tak naprawdę nie mówi o sobie. – Nasz bohater, słynny podróżnik, nazywał ją swoim „wieszczątkiem”, a jakiś czas potem horrorem, gadem obrzydłym, nieszczęsną zmorą. To już było, szanowny panie, w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku, kiedy Stefan Szolc-Rogosiński rozwiódł się z żoną, znaną w warszawskim świątku literackim jako Hajota. Dokumenty, na mocy których dzielono pieniądze, małżonkowie podpisywali w Kaliszu, stąd tyle wiem. Oczywiście, młodzi poznali się nie tutaj, a w Warszawie, gdzie panna mieszkała z matką, a było to jakieś dziewięć lat wcześniej<sup>81</sup>. Rogosiński wrócił właśnie ze swojej głośnej wyprawy do Kamerunu, a Helena pod pseudonimem dopiero co wydała tomik *Poezji*, z którym, między nami mówiąc, krytyka poczyniała sobie mocno nieogłędnie. Dla niego jednak na kilka lat została „wieszczątkiem”. Zapoznał ich ze sobą sam Bolesław Prus, bardzo zainteresowany wyprawą badawczą Stefana. W prasie warszawskiej występował wręcz jako jej gorący zwolennik. Później młodzi zobaczyli się w Paryżu, gdzie spotykali się między innymi z Adamem Asnykiem i synem Mickiewicza, Władysławem. Później nastąpiła dwuletnia przerwa, w czasie której para korespondowała ze sobą, bardzo namiętnie zresztą. Lecz listy nie zastąpią spotkań, nie uważa pan? Ludzie mają wtedy skłonność do tworzenia idealnych obrazów siebie i ukochanej osoby, co zwykle ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Poza tym, nie widząc się, ludzie się nie kłócą, nie występują między nimi różnice zdań, gustów, poglądów etc. No, nieważne, po dwóch latach odbył się ślub, a wkrótce potem młoda para weszła na statek i rozpoczęła trwającą kilka lat podróż. Ich dom znajdował się na wyspie Fernando Po<sup>82</sup>, na której badacz Kamerunu założył plantację kakao. Pobyt tam był podobno sielankowy, lecz nic nie może trwać wiecznie, zatem i między młodymi zaczęło się coś psuć. Dopiero po powrocie do kraju, w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym. Osobiście przypuszczam, że stały, uregulowany, więc nudny tryb życia bez odrobiny ryzyka i smaku przygody nie posłużył ich związkowi. Może dopiero wtedy po raz pierwszy zobaczyli siebie w mniej kolorowych, ale bardziej prawdziwych barwach. No cóż, Hajota była rozkapryszoną, skorą do flirtów awanturnicą, a Stefan irytującym bucyfonem. Może też być, że po prostu żadne z nich nie nadawało się do stałego

związku, bo radość odnajdywali w ciągłej zmianie.

– Tak, to bardzo prawdopodobne.

– Rozkład związku postępował dość szybko i w jakieś dwa lata po powrocie z egzotycznej wyprawy już mówiło się o rozwodzie<sup>83</sup>, a ponadto Stefan chciał wrócić do dawnego, pełnego przygód trybu życia. Nie mogąc tego zrealizować, głównie z powodu braku funduszy, zaczął pić i zadawać się z kobietami lekkich obyczajów, czym doprowadzał do rozpaczony swoją rodzinę. W końcu, wiosną tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego roku krewni zdecydowali się ubezwłasnowolnić „niepoczytalnego Stefka”, co jak pan zapewne wie, nie jest specjalnie trudne<sup>84</sup>. I oto Rogoziński trafił do zakładu dla nerwowo chorych doktora Żuławskiego w Krakowie. Z etykietką wariata, rzecz jasna. I przebywałby tam nie wiadomo jak długo, gdyby nie pomoc dalekiej kuzynki, Marii Wojciechowej Kossakowej, zwanej Maniusią<sup>85</sup>, która ułatwiła mu ucieczkę. Z leczenia nerwów Rogoziński jednak nie zrezygnował. Po pogrzebie ojca, Ludwika Scholtza, w Kaliszu za radą naszego kaliskiego doktora Brokmana, pojechał do Bonn, gdzie rozpoczął kurację w prywatnym zakładzie przyrodolecznicy doktora Schemitza, i tutaj zastała go wiadomość o konieczności powrotu do kraju ze względu na sprawy spadkowe. I tak we wrześniu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego piątego roku Stefan Rogoziński był już w Kaliszu. Zatrzymał się w Hotelu Wiedeńskim przy ulicy Garbarskiej. Nie tryskał humorem, gdyż zdawał sobie sprawę, że za plecami ludzie będą plotkować o jego „szaleństwie”, a poza tym przykre mu były spotkania z „tą larwą”, jak już wówczas nazywał żonę. Do pierwszego przypadkowego spotkania doszło w rynku obok Towarzystwa Kredytowego. Podobno uratowała go wówczas obecność jakiegoś żebraka, któremu Stefan ofiarował kilka kopiejek, i dzięki temu mógł udać, że nie widzi Hajoty. I może nawet udało mu się uciec, gdyby pozostał na miejscu, ale on ruszył dalej, mijając ją. Hajota zauważyła go wtedy, krzyknęła głośno: „To mój mąż!” i ruszyła w pościg. Szła tak za nim, szanowny panie, aż na ulicę Kanoniczną i powstrzymała ją dopiero hotelowe drzwi. Minęło kilka kolejnych dni. I znowu doszło do przypadkowego spotkania. Tym razem właśnie w kawiarni u Wehnera, a był już wtedy początek października i zrobiło się chłodno. Rogoziński poszedł tam na filiżankę czarnej kawy, ale nie dane mu było wypić jej w spokoju. Zaraz potem zjawiała się Hajota; była ubrana wiosennie i mimo że temperatura wynosiła nie więcej niż dziesięć stopni, kazała sobie podać porcję lodów. W dodatku na werandzie, przy silnym wietrze, uważa pan? Tak, ta kobieta wiedziała, jak rozżłościć mężczyznę. „Fircykowała się powiewnie” do bufetu i zaczęła sobie przez dwie i pół minuty, co najmniej, poprawiać woalkę przed lustrem. Oczywiście, wszystkie te sceny odgrywała na użytek męża, który w tym czasie chodził z gazetą po kawiarni, czekając na kolejny atak swej wybranki. W końcu nie wytrzymał i ewakuował się do domu aleją Józefiny, podczas gdy ona nadal „lodowała się” na werandzie.

Jak pan się domyśla, po takich „pokazach”, które prawie przerażały cierpiącego na nerwy Rogozińskiego, spotkanie u rejenta Kucharskiego było już tylko formalnością. Hajota spóźniła się podobno tylko tyle, by jej pojawienie się miało jeszcze większą siłę rażenia, i wzięła tyle, ile zamierzała, zrzekając się odtąd wszelkich praw do reszty majątku męża, ale tego zostało już wówczas bardzo niewiele. Ten i tak był szczęśliwy, że się pozbył „horroru”.

Resztę czasu badacz spędził w Kaliszu na porządkowaniu spraw finansowych, pochował też wujka Ludwika z Noskowa, na którego pogrzeb zamówił kwiaty u ogrodnika Parku Miejskiego, samego Nestripke, zajrzał do kilku cukierni i w połowie października wyjechał z wielką nadzieją na nowe życie do Bonn. Okazało się, że była to jego ostatnia wizyta w Kaliszu, gdyż biedak zginął rok później, przejechany przez konny omnibus w Paryżu. I tak się skończyła ta historia miłosna, która na końcu z miłością miała już niewiele wspólnego.

– Bardzo ciekawa opowieść, powinien pan pomyśleć, czy zamiast wydawać, nie lepiej by było samemu pisać książki.

– Oj, co to, to nie! – zawołał Hindemith, choć widać było, że słowa agenta mile go połechtały. – Marny ze mnie byłby pisarz. Jakoś mówić mi łatwiej, ale gdy tylko próbuję coś przelać na papier, nic z tego nie

wychodzi.

– Widocznie jest pan urodzonym gawędziarzem, lecz to cenna zaleta dla przyjaciół. Takie barwne opowieści bardzo umilają spotkania, szczególnie gdy towarzystwo mało się zna i na początku panuje nieco drętwa atmosfera.

– Co prawda, to prawda. Napije się pan jeszcze kawy?

– Chętnie. Bardzo dobrą parzy pan kawę.

– O, tak, nawet mojej żonie smakuje, a to osoba bardzo wybredna pod tym względem.

– Tak, wygląda na kobietę o bardzo... zdecydowanych poglądach i silnym charakterze.

– Oj, tu pan utrafił w samo sedno! – zawołał drukarz, wstając, a Jezierskiemu zdało się, że w jego głosie zabrzmiała nutka goryczy.

– Teraz dla odmiany kolej na tę pikantniejszą historię – agent szybko zmienił temat. – Na pewno będzie weselsza.

– Pod pewnymi względami, i owszem! – zaśmiał się Hindemith. – Ale wie pan, co powiadają: miłe złego początki, lecz koniec żałosny.

– Ano, tak to już bywa. Lecz ludzie wciąż ryzykują ów żałosny koniec.

– Pewnie mają nadzieję, że w ich przypadku on nie nastąpi. A oto i świeża kawa. Zdradzę panu mój sekret jej niepowtarzalnego smaku. Otóż przed zaparzeniem dodaję do niej szczyptę korzennych przypraw.

– Hm, nigdy bym na to nie wpadł, lecz muszę przyznać, że końcowy efekt jest wyśmienity. Czy pozwoli mi pan zdradzić tę tajemnicę mojej małżonce i przyjacielowi?

– Oczywiście, będę zaszczycony, gdy pańska żona i państwo Zaifowie zasmakują w takiej kawie! Nadal pan chce wysłuchać drugiej historii?

– Oczywiście, proszę mówić, panie Oswaldzie.

– Muszę zastrzec na samym początku, że w przeciwieństwie do sprawy rozwodowej Stefana Rogozińskiego, który podczas pobytu w Kaliszu trochę mi się zwierzał, w tym wypadku nie mam pewności, ile w tej opowieści jest prawdy, a ile plotek.

– To zrozumiałe.

– Działo się to naprawdę dawno temu, jakieś dwadzieścia pięć lat wstecz, więc chyba nie zaszkodzę już nikomu, opowiadając o tych wydarzeniach. Jak pan sądzi? Główni bohaterowie już nie żyją, ale żyją ich rodziny.

– Przyrzekam, że nie będę tego rozpowszechniał – zapewnił agent. – Chyba że będzie tego wymagało dobro śledztwa – zażartował z uśmiechem.

– Śledztwo raczej nie będzie potrzebne w tym wypadku – roześmiał się drukarz. – Raz, że to stare dzieje, dwa, że nie było tam żadnej zbrodni.

– To się dopiero okaże, gdy mi pan wreszcie opowie tę historię.

– Proszę się częstować. – Hindemith podsunął mu tacę z resztą ciastek. Sam też sobie nałożył jedno na talerzyk. – Na czym to ja wtedy skończyłem?

– Prawdę mówiąc, ledwo pan zaczął. Powiedział pan, że ta kobieta...

– Elżbieta Stawiecka – podsunął odruchowo drukarz.

– Właśnie, że ta pani miała z mężem krzyż pański, że zaraził ją francuską chorobą i nie mogła mieć dzieci, choć ponoć kilka razy była w ciąży. Prawdopodobnie także z Modrzyckim, ale tego już nie jestem pewien, bo na przyjęciu zdążył pan powiedzieć tylko pierwszą sylabę nazwiska przypuszczalnego kochanka – streścił Jezierski.

– Znakomicie pan to ujął! – rozpromienił się drukarz. – Krótko i treściwie! Ale było nieco inaczej.

– Kolej zatem na pana – uśmiechnął się agent. – Niekoniecznie tak krótko.

– Może jednak zacznę od początku, trochę bardziej szczegółowo.

– Zgoda.



– Jak już mówiłem, działa się to dawno temu. Sam miałem wówczas dwadzieścia lat i bardzo mnie ta pełna nieświadomości historia fascynowała. Wie pan, starsi nie kończyli pewnych kwestii, tylko spoglądali po sobie znacząco, panie gwałtownie się rumieniły i spuszczały oczy, służba z lubością wałkowała w kuchni przyniesione z bazaru lub sklepu wieści na ten temat i gwałtownie milkła, gdy wchodziłem. Sam pan rozumie.

Jeziński skinął głową, ale nic nie powiedział, bo właśnie ugryzł spory kęs ciastka.

– Już same te okoliczności budziły zainteresowanie, nic zatem dziwnego, że czujnie nadstawiłem ucha, gdy tylko usłyszałem wzmiankę o którejś z osób zamieszanych, że się tak wyrażę, w tę sprawę.

Dalej nastąpiła barwna, rzeczywiście pikantna, przy tym naprawdę zajmująca historia, która zrobiła spore wrażenie na agencie. Po raz kolejny wyraził swój podziw dla prawdziwie gawędziarskiego talentu gospodarza.

– Muszę to kiedyś opowiedzieć mojej żonie. Niech mi pan wybaczy, ale szkoda, żeby nikt inny nie usłyszał tak interesującej historii!

– Ostatecznie może pan to zrobić, jeśli ufa pan dyskrecji żony – zgodził się wydawca, ujęty szczerym podziwem gościa. – A cóż tam znowu się dzieje?

Nastawił ucha, ponieważ zza drzwi zaczęły dobiegać jakieś dźwięki. Po chwili można już było rozróżnić w nich czyjeś podniesione głosy. Hałasy i krzyki zbliżały się coraz bardziej. Hindemith odłożył talerzyk z niedojedzonym ciastkiem i uniósł się z fotela, gdy drzwi otworzyły się z trzaskiem. Drukarz opadł z powrotem na siedzenie, zdumiony widokiem, który mu się tak nagle ukazał. Do środka wpadł bowiem starszy mężczyzna, a za nim, najwyraźniej siłą rozpędu, dwóch robotników drukarni, omal się nie przewracając.

– Mówiliśmy mu, żeby nie wchodził! – zawołał jeden z robotników. – Że zabronił pan przeszkadzać...

– Piotrowicz! – zawołał zdumiony agent. – Co ty tu robisz?

– Pan zna tego człowieka? – spytał Hindemith.

– To policjant.

– Nie wiedzieliśmy... – spieszył się drukarz. – Inaczej nigdy byśmy nie...

Jeziński tylko machnął ręką i zwrócił się w stronę Piotrowicza:

– Mów, co się stało.

– Szefie! – wysapał Piotrowicz, ocierając pot z czoła. – Jak dobrze, że pana tu jeszcze zastałem!

– Dalej, dalej!

– Chyba znaleźliśmy narzędzie zbrodni!

Jeziński zerwał się z fotela.

– Idziemy! – rozkazał.

W drzwiach jeszcze pożegnał się pospiesznie z zaskoczonym drukarzem i wyszedł szybkim krokiem za policjantem.

Gdy byli już na ulicy, agent nakazał policjantowi zdać ustny raport.

– Byliśmy w Pawłótku pod Kaliszem, żeby sprawdzić wiadomość od pana Rybskiego, który widział w powozie kogoś podobnego do panny Garszyńskiej. Powóz skręcał właśnie w boczną drogę, która prowadzi tylko do Pawłówka...

– Pomiń te nieistotne szczegóły, orientuję się w topografii – przerwał mu Jeziński. – Teraz tylko konkrety. Dokładny raport zdasz później.

– Tak jest. Zostaliśmy tam chwilę dłużej na zaproszenie panny Brzozowskiej, siostry gospodarza, opiekującej się majątkiem, bratankiem i jego młodymi przyjaciółmi podczas nieobecności rodziców. Opowiadali historie o duchach prawdziwych i urojonych...

– Piotrowicz! Miały być tylko konkrety!

– Kiedy to się wiąże, szefie.

Jeziński machnął ręką.

– Dobrze, mów po swojemu.

– Panna Brzozowska opowiedziała, jak znajomi chcieli oduczyć pewną damę wiary w duchy, a wtedy jeden z kolegów młodego dziedzica powiedział, że on chyba widział prawdziwego ducha.

Jeziński westchnął znacząco. Niezrażony Piotrowicz mówił dalej:

– Nie wnikając w szczegóły, z jego słów wynikało, że wszystko działo się chyba w noc, w którą zamordowano stróża i tego niezidentyfikowanego żebraka. Młodzieniec był kompletnie pijany, a wtedy podobno gada sam do siebie różnymi głosami...

Jeziński aż się zatrzymał z wrażenia, słysząc te niedorzeczności. Spojrzał na swojego podwładnego, a jego twarz wyrażała najwyższe zdumienie. Piotrowicz spuścił wzrok, lecz dzielnie mówił dalej, korzystając z tego, że agent chyba na chwilę oniemiał.

– Stwarzało to wrażenie, że nie jest sam, lecz z grupą innych ludzi. To mu chyba uratowało życie, bo gdy zbliżył się do miejsca zbrodni, coś usłyszał, ale wciąż mówił, głośno naśladowując różne osoby. Zabójca był tuż za rogiem i gdyby wiedział, że chłopak jest sam, pewnie by go zabił i po krzyku, a tak przestraszył się chyba i postanowił uciec. Wydedukowałem – Piotrowicz mimowolnie przymknął oczy z zadowolenia, że udało mu się poprawnie wymówić tak skomplikowane słowo – że przedostał się na sąsiednie podwórko, by wyjść z bramy kamienicy obok, ale tam właśnie stał ów młodzieniec. Zabójca wpadł na niego z takim impetem, że chłopak zatrzymał się na latarni, która szczęśliwym trafem była za jego plecami, inaczej runąłby jak długi na plecy. Przy okazji w jego płaszcz zaplątała się laska zabójcy i ten w końcu uciekł bez niej. Laska upadła, chłopak na nią nastąpił i znów omal się nie przewrócił, ale w końcu utrzymał równowagę. Podniósł laskę i ruszył za nieznanym, by mu ją oddać...

– Za mordercą? Nie bał się?

– Nie wiedział, że to morderca. Tak naprawdę nie znalazł ciała i nic nie wiedział o zabójstwach. Na drugi dzień z rozmowy rodziców dowiedział się tylko o włamaniu, może chcieli go chronić przed takimi wieściami...

– Mniejsza z tym.

– Tak jest. Gdy już chłopak przyszedł jako tako do siebie, obejrzał sobie laskę, którą zgubił nieznany mężczyzna. Laska pękła, gdy na nią nastąpił, i w ten sposób odkrył, że we wnętrzu jest coś metalowego...

– Ha! – wykrzyknął Jeziński. – Gdzie ta laska?

– Zabraliśmy ją do cyrkułu...

– Uważaliście, żeby nie zatrzeć odcisków palców? – spytał surowym tonem agent.

– My tak, ale chłopak oglądał ją przed nami. Nie wiem, czy coś jeszcze znajdziemy, poza jego śladami. Ale sama laska – majstersztyk! – Piotrowicz cmoknął z zachwytem. – Robota na specjalne zamówienie i wykonana przez fachowca, bez dwóch zdań.

– Przyspiesz kroku, Piotrowicz. Chcę jak najszybciej zobaczyć to cacko.

W cyrkułe Jeziński włożył bawełniane rękawiczki, dokładnie obejrzał laskę znaną przez Sadowskiego i uważnie wysłuchał jego opowieści, zadając wiele dziwnych pytań, które Adamowi wydawały się kompletnie niezwiązane ze sprawą. Osoba agenta onieśmielała go jednak tak bardzo, że nie odważył się ani protestować, ani prosić o wyjaśnienia.

W ogóle chłopak był mocno zaskoczony takim zainteresowaniem jego osobą i nocną przygodą, lecz jednocześnie dumny jak paw. Oczyma duszy już widział się z powrotem u Brzozowskich, gdzie będzie niewątpliwie główną atrakcją wieczoru. Opowie przyciągnął, jak to przysłużył się policji, a sam agent złożył mu podziękowania i gratulacje oraz zaprosił do współpracy... Nie, nie ma co przesadzać. Dziewczyny i tak będą go podziwiać, a koledzy pękać z zazdrości.

W końcu Jeziński stwierdził:

– Na dziś to chyba już wszystko, młodzieńcze. Bardzo nam pan pomógł, choć miał pan więcej szczęścia niż rozumu podczas tej nocnej eskapady. Ktoś zaraz odwiezie pana do Pawłówka.

– Nie trzeba. Cała paczka siedzi u moich rodziców i tylko czeka, aż wrócę. Nawet ciotka Dominika

zabrała się z nami, taka była ciekawa, ale policja kazała im zostać w salonie i nic nie widzieli.

– Tym lepiej.

– Czy mogę im opowiedzieć...

– Ani słowa – przerwał mu Jezierski surowo. – Rozumie pan, to bardzo ważne, by nikt nic nie wiedział, dopóki nie złapiemy zabójcy. Na razie musi pan milczeć.

– Ale wszyscy będą mnie wypytywać... – jęknął zrozpaczony Sadowski.

– Powie pan, że obowiązuje pana pakt milczenia – stwierdził agent. – Proszę się nie obawiać, będzie pan przez to bardziej tajemniczy, a dziewczęta to lubią... Życzę udanej zabawy oraz więcej rozważli następnym razem. Proszę pamiętać, że dopóki nie znajdziemy sprawcy tych zbrodni, nikt nie jest bezpieczny.

Oczy Adama rozbłysły.

– Przekażę im to – powiedział Sadowski, wstając z krzesła. – Na pewno się ucieszą, gdy im powiem, że to ze względów bezpieczeństwa.

– A to dlaczego? – zdziwił się agent.

– Bo większość z nas miała w przyszłym tygodniu jechać z rodzicami za granicę, a nikt nie chce. To znaczy pojechać to by można było, ale bez rodziców, rozumie pan?

– Tak, rozumiem.

Adam skierował się w stronę drzwi. Gdy już sięgał ręką do klamki, usłyszał nieco zmieniony, jakby wahający się głos agenta:

– I jeszcze jedno. Czy... Czy mógłby pan zademonstrować mi kilka tych słynnych głosów?

Adam zdziwił się, ale zaraz zapytał:

– Kogoś znanego czy jakiegokolwiek głosy?

Jezierski wykonał jakiś nieokreślony gest ręką.

– Jak pan woli.

Chłopak zastanawiał się bardzo krótko, zaledwie kilkanaście sekund, by po chwili wyrzucić z siebie lawinę różnych głosów. Przypominało to gwałtowną dyskusję. Na koniec agent usłyszał sam siebie, jak uspokaja całe towarzystwo.

Gdy Adam skończył, Jezierski siedział jeszcze kilka sekund bez słowa, gdyż zwyczajnie oniemiał z wrażenia. Ani przez moment nie odniósł wrażenia, że są to głosy udawane, i gdyby nie widział tego na własne oczy, mógłby przysiąc, że słyszy autentyczną kłótnię kilku osób.

– Doprawdy... – wykrztusił wreszcie z siebie słabym głosem, gdyż dawno nie był tak zaskoczony. – No cóż, drogi chłopcze, to naprawdę robi wrażenie.

– Dziękuję – powiedział młodzieniec wesoło i bez krzty zarozumiałstwa, czym jeszcze bardziej zyskał w oczach agenta. – To chyba wrodzona umiejętność. Żadna moja zasługa ani tym bardziej ciężka praca.

– To wcale nie umniejsza wartości twojego... występu. Masz talent, bez dwóch zdań. A teraz wracaj do przyjaciół, lecz bądź ostrożny. I bawcie się dobrze, ale bez ekscesów, rozumiano?

Sadowski wyszedł cokolwiek oszołomiony tymi niecodziennymi wydarzeniami i dopiero gdy wszystkie emocje opadły, zorientował się, że i tak nie miałby za wiele do powiedzenia przyjaciołom. Owszem, agent dokładnie go wypytał o wiele rzeczy, lecz sam nic nie powiedział, tak więc Adam wyszedł niewiele mądrzejszy niż przedtem.

Tymczasem Jezierski, ochłonawszy, wezwał policjantów i pochwalił ich za przytomność umysłu. Poraj, który przed chwilą do nich dołączył, pękał z dumy.

– Nie znaleźliśmy, co prawda, panny Garszyńskiej – mówił właśnie agent, gdy Jasiak delikatnie otworzył drzwi i cicho wsunął się do środka – ale wasza wyprawa, choć w innej sprawie, okazała się owocna.

Policjanci skłonili się z szacunkiem i wdzięcznością.

– Nie mogę was nawet obsztorcować za marnowanie czasu na służbie...

Dmowski spojrział w sufit, a Piotrowicz pod nogi.

– ...bo gdyby nie te pogaduszki przy podwieczorku, niczego byście się nie dowiedzieli poza tym, że widziana przez pana Rybskiego osoba nie była panną Garszyńską. Od dziś oficjalnie pozwalam wszystkim policjantom, a nie tylko tym wytypowanym, aby jak najwięcej rozmawiali z obywatelami prywatnie. Możecie zatem przyjmować poczęstunek, sami zapraszać na... hm... kawę. – Mrugnął porozumiewawczo. – Także na służbie. Ale bez przesady. Wy – powiedział z naciskiem – macie być trzeźwi. Wasz interlokutor już niekoniecznie. Zrozumiano?

– Tak jest!

– No to zmykajcie. Jasiiek, ty zostajesz.

Poczekali, aż drzwi się zamkną, i dopiero wtedy agent pochwalił i jego.

– Dobrze się spisałeś, informując wszystkich policjantów o tych dziwnych ranach, które Jakubowi pasowały do szpady – stwierdził z zadowoleniem. – Będą z ciebie ludzie.

– A ja myślałem, że już są...

– Nie popadaj w samozachwyty – ostudził go agent. – Czego dowiedziałeś się sam?

– Znam nazwisko tego pierwszego zabitego żebraka – zawołał triumfująco Jasiiek.

– To dobrze, ale pewnie wiesz to od jego kolegów, czyż nie? Przyznaj się, pewnie Antczak złożył ci wizytę i ci to powiedział.

Jasiiek zmarkotniał.

– Tak – potwierdził. – Przyszedł do szpitala, zanim ja wyszedłem od doktora.

– Jak się nazywał?

– Kto? Antczak?

– Głupiś.

Poraj wyszczerzył zęby.

– Żartowałem, szefie. Chciałem... Jak to się mówi? Rozładować atmosferę. Denat nazywał się Piotr Nowak.

– Denat, powiadasz. Rozładować atmosferę. Widzę, że przebywanie z doktorem bardzo ci służy.

– Zawsze tak było. Nasz doktor to najmądrzejszy człowiek, jakiego znam. Poza panem, rzecz jasna.

– Jasne, jasne. Nie martw się, ja nie mam kompleksów na tym tle. Jeszcze raz podaj mi to nazwisko.

– Piotr Nowak.

Jezierski zanotował sobie.

– A ten drugi, zabity w bramie?

– Pietras Maciej.

– Coś o nich wiesz?

– A jakże – wyszczerzył zęby Jasiiek. – Ale na razie tylko o Nowaku. I niewiele tego. – Zrobił smutną minę. – Rozmawiałem z jego rodziną i kilkoma innymi żebrakami.

– No i?

– No i dowiedziałem się, że ten człowiek żebrał od niedawna. Oczywiście w porównaniu z innymi, którzy parają się tym niemal całe życie. A ten żył tak zaledwie od dwóch lat. Wszystko przez okropną synową, która wyrzuciła go z domu, gdy w wypadku przy pracy stracił jedną rękę i kilka palców drugiej. Wredna sucz wypędziła go krótko potem, gdy zwolnili go z pracy i skończyły się pieniądze, niewielkie zresztą, z ubezpieczenia...

– Jasiiek, nie mówi się tak o kobiecie! – przerwał mu odruchowo agent, mając przy tym niejasne poczucie, że gdzieś już słyszał podobną historię, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

– Okropna synowa? – zdziwił się Jasiiek.

– Nie, wredna sucz.

– Ale kiedy to naprawdę wredna sucz! – zapewnił gorąco Jasiiek. – Sam z nią rozmawiałem i...

– Czekał – agent znów mu przerwał. – Powiadasz, że wyrzuciła go synowa. A co na to syn?



– Syn rozchorował się ciężko i umarł zaledwie kilka miesięcy przed wypadkiem ojca.

– Ach! – zawołał Jezierski. – Już słyszałem tę historię! Zdaje się, że to był żebrak, którego wspomagała właśnie pani Modrzycka, a właściwie jej służba, tyle że za jej zgodą.

– To możliwe – zgodził się Jasiek ostrożnie. – Jego koledzy po fachu nie znali nazwiska moźnej protektorki tego biedaka, ale opisali z grubsza dom i zgodzili się go w razie czego wskazać.

– Prawie na pewno chodzi o panią Modrzycką – powiedział bardziej do siebie niż do Poraja agent. – No, mniejsza z tym. Znasz datę urodzin ofiary? Bo datę śmierci już masz.

– Tak jest, szefie.

– To bądź łaskaw zająć się pogrzebem. A skoro biedaczysko ma taką... hm... niemiłą rodzinę, za grób zapłacę ja, chyba że Jego Ekscelencja zarządzi pochówek na koszt miasta.

– Zrobi się.

– Aha, i nie zapomnij zawiadomić Antczaka. Wydaje się, że to bystry człowiek, poza tym na pewno cieszy się szacunkiem wśród tego bractwa.

– Ale po co, szefie? – zdziwił się Jasiek.

Jezierski spojrzał na niego z wyrzutem.

– Chciałbym, żeby na ten pogrzeb ktoś przyszedł.

– Oczywiście! Nie, żeby na to nie wpadł, miałem zamiar sam się tam wybrać i zabrać kilku chłopaków...

– Jedno nie wyklucza drugiego – stwierdził agent, ale z serdecznym uśmiechem. Cieszył się, że Jasiek nie zawiódł go pod tym względem. – No, to do roboty. Zadzwońię po Pietię, żeby mnie zawiózł do szpitala. Bo doktor Zaif nadal jest w szpitalu?

– O, z pewnością. Jak wychodziłem, dopiero zabierali się z Małyszka do sekcji.

Jezierski skrzywił się.

– Trudno – powiedział z rezygnacją, ale zaraz się rozpogodził. – Wezmę im coś do jedzenia po drodze, to na pewno zrobią sobie przerwę.

– Bo ja wiem? – Jasiek podrapał się po brodzie. – To dwie chudziny, w dodatku nad wyraz pracowite. Jak już złączą robotę, to nigdy nie pamiętają o jedzeniu.

– Toteż ja im przypomnę. Poza tym chcę, żeby Jakub sprawdził, czy ta sekretnie ukryta w lasce szpada pasuje do ran Nowaka.

– Głowę dam, że tak! – Jasiek zapalił się do tematu. – Sam chciałbym zobaczyć, jak doktor...

– Wystarczy ci moja relacja – ostudził jego zapał agent. – I tak masz co robić.

Jasiek nieco posmutniał, ale tylko na chwilę. Był obdarzony nad wyraz pogodną naturą i nie potrafił długo się martwić. Poza tym naprawdę uwielbiał swoją pracę. A jeszcze teraz, gdy dostał sprawę zabójstwa, a właściwie już zabójstw, do samodzielnego rozwiązania...

– Nie narzekam.

– Cieszę się. No, idź już.

Czterdzieści minut później Jezierski wysiadł z powozu przed szpitalem i niespieszonym, pełnym dostojeństwa krokiem udał się do pracowni Małyszki. Gdyby mógł, szedłby jeszcze wolniej, ale bardziej ociążać się już nie wypadało.

Dotarłszy do drzwi laboratorium, agent zatrzymał się na chwilę, wziął głęboki oddech i wszedł. Wewnątrz skierował się prosto do pomieszczenia biurowego. Paczki z jedzeniem odłożył na bok, a na środku biurka umieścił starannie owiniętą w papier laskę, którą policjanci dostali od Adama Sadowskiego. Wychylił się za próg kantorka i usłyszał dobiegające z sąsiedniego pokoju głosy. Wyglądało na to, że nikt nie usłyszał jego wejścia, więc poczuł rozterkę. Zawołać ich czy pójść po nich? Nie miał najmniejszej ochoty patrzeć na pokrojone ciała, a nie daj Boże jeszcze, żeby Jakub lub Staś wyciągali z nich jakieś narzędzia, na przykład żołądek, by sprawdzić jego zawartość... Brrr! Jezierski postanowił zatem jeszcze chwilę poczekać. Wypakował wiktuały, ułożył je na skromnych talerzykach,

które znalazł w jednej z szafek, następnie zajął się zaparzeniem herbaty.

Gdy wszystko było już gotowe i nie miał nic innego do roboty, ponownie wyjrzał za drzwi. Tym razem szczęście mu sprzyjało, bo Małyszko stanął akurat w progu sali, w której odbywała się sekcja, i kątem oka zauważył agenta. Odwrócił się zdziwiony, lecz zaraz na jego twarzy zagościł uśmiech i lekarz ruszył w jego kierunku, by się przywitać. Na miejscu osadził go zdławiony głos Jezierskiego.

– Stój! – krzyknął agent, blednąc na twarzy.

– Co się stało?

– Co masz na rękach?

Małyszko spojrzął na swoje dłonie w poplamionych krwią rękawiczkach.

– Ech, to nic – uśmiechnął się. – Tylko kawałek nerki...

Jezierski w mgnieniu oka znalazł się w gabinecie i z trzaskiem zatrzęsął drzwiami, a zaskoczony Małyszko usłyszał zza nich jego głos:

– Nie zbliżaj się, dopóki nie doprowadzisz się do porządku! Mam tu ważny dowód i nie pozwolę, żebyś mi go zabrudził!

– Kto przyszedł, Stasiu? – zawołał z sąsiedniego pomieszczenia Zaif.

– Walery Konstantynowicz! – odkrzyknął doktor.

Po kilku sekundach podejrzanej ciszy Jezierski usłyszał jego lekko zduszony głos. Był pewien, że przyjaciel właśnie z trudem stłumił śmiech i mimowolnie sam się uśmiechnął.

– Wracaj tu natychmiast! – zawołał Zaif. – Zdejmij rękawiczki i umyj ręce.

– Ale dlaczego... Ach, no tak, oczywiście. Już idę.

– Walery z pewnością przywiózł nam coś do jedzenia!

Jezierski sapnął. No, jasne! Że też zapomniał o jedzeniu i gadał jakieś brednie o zanieczyszczaniu dowodów! Małyszko musiał przecież wiedzieć, że zanim wyniósł łaskę z cyrkułu, poddano ją wszelkim badaniom, a w szczególności zdjęto odciski palców. A niech to! Taka kompromitacja!

Po chwili do ciasnego pokoiku weszli obaj lekarze, już w czystych fartuchach i bez śladów swojej pracy na rękach.

– Umieram z głodu – oświadczył od progu Zaif, lecz zaraz przerwał, bo zauważył zapakowany podłużny przedmiot na stole. – Co tam masz?

– Sądzę, że to narzędzie zbrodni – odparł z dumą agent. – Jestem ciekaw, czy pasuje do ran zadanych żebrakom.

– Spójrzmy – mruknął Zaif, odwijając papier.

– To łaska! – wykrzyknął Małyszko, nie mogąc powstrzymać zdziwienia. – Ten żebrak został zakłuty ostrym narzędziem, a nie załuczony.

– Spokojnie, Stasiu, spokojnie – powstrzymał go Zaif, uważnie oglądając przedmiot. – Agent wie, co mówi, wierz mi. Taak, świetna robota. Twarde drewno, zapewne heban. Myślę, że tę łaskę wykonano na zamówienie i w dodatku pewnie u jakiegoś zagranicznego mistrza w swoim fachu. No tak, mam rację, tu jest sygnatura. – Wskazał na coś, czego Małyszko nie mógł dojrzeć z miejsca, w którym stał, więc zbliżył się do stołu. – Wykonał to jakiś Niemiec, trzeba by sprawdzić nazwisko, ale zacząłbym od Berlina, bo tam Polacy jeżdżą najczęściej. Naprawdę porządna robota, choć teraz łaska jest uszkodzona. Co za precyzja!

W tym momencie Zaif przesunął lekko dłonią po srebrnej główce łaski i nagle z trzaskiem wysunęło się z niej złowrogo błyszczące cienkie ostrze długości około pięćdziesięciu centymetrów.

– Niesamowite! – wykrzyknął Małyszko z podziwem. – Ostrze ukryte w lasce! Zupełnie jak w jakiejś powieści z gatunku płaszczka i szpady!

Zaif drgnął, bo coś mu błysnęło w pamięci, ale zaraz zgasło, gdyż Jezierski właśnie powiedział:

– Jakubie, sprawdź, proszę, czy rany zadane zabitym pasują do tego ostrza.

– Do tego drugiego żebraka, Pietrasa, tak?

Jezierski skinął głową.

– Do jego ran na pewno nie pasują – odparł natychmiast Zaif. – Jemu zadano rany nożem, tak jak Borowcowi. Bardzo podobnym nożem, mniej więcej o tej samej wielkości i długości ostrza. Ale być może pasują do Nowaka. Jestem tego prawie pewien, ale muszę sprawdzić.

To mówiąc, wziął laskę ze stołu i wyszedł z nią do sali sekcyjnej. Małyszko niemal deptał mu po piętach. Jezierski także miał ochotę to zobaczyć, ale nie poszedł za nimi. Co innego widok zamordowanego człowieka na miejscu zbrodni, do czego był przyzwyczajony, a co innego takie nienaturalnie porozcinane ciało... Westchnął i sięgnął po kanapkę. Dobrze, że wziął ich więcej.

Lekarzy nie było zaledwie kilka minut. Gdy wrócili, agent od razu zorientował się po ich minach, że ostrze pasuje do ran.

– Idealnie – powiedział krótko Jakub. – To z pewnością narzędzie, którym zabito Nowaka.

– No i przy okazji dowiedzieliśmy się też, dlaczego sprawca używał potem noża. Zgubił swoją zabójczą laskę i na szczęście nie miał zapasowej. Nie wie też, że ta została uszkodzona.

– Ale pewnie szybko zamówi nową – zauważył Zaif.

– Tak – zgodził się agent. – O ile już tego nie zrobił. Pierwszą zamawiał na pewno osobiście, ale teraz, gdy ta złota rączka już go zna, wystarczy listowne zlecenie. Dostanie ją także przesyłką, a chociaż teoretycznie moglibyśmy zacząć sprawdzać każdą podłużną paczkę, to musiałbym do tego zatrudnić wszystkich moich ludzi i jeszcze by nie wystarczyło!

– To nie ma sensu – przytaknął Zaif. – Pomijając ogrom pracy, wynik jest mocno niepewny, bo sędzę, że przesyłka nie będzie miała kształtu podłużnego, jak owinięta czymś laska. Na pewno zostanie zapakowana do jakiejś skrzyni bądź kufra, skrzętnie ukryta pomiędzy stertą ubrań.

– Cóż – westchnął agent – nic na to nie poradzimy. Poza tym, co za różnica, czym i jak zabije kolejną osobę.

– Uważa pan, że będzie kolejna ofiara? – zaniepokoił się Małyszko.

– Wszystko na to wskazuje – powiedział agent, wstając. – Będę się zbierał. A wy lepiej coś zjedzcie, zanim wrócić do pracy.

Zanim jednak agent zdążył dojść do drzwi, te otworzyły się i wszedł niepozorny chłopaczyna.

– Mam wiadomość dla pana Jezierskiego – powiedział nieco niepewnie, ciekawie rozglądając się wokół. Na widok starych narzędzi chirurgicznych zaświeciły mu się oczy.

– To ja – oświadczył agent. – Co to za wiadomość?

– Proszę. – Chłopak wyjął z kieszeni trochę pomięty list. Jezierski rozpoznał pismo Poraja.

– Masz tu za fatygę i zmykaj – powiedział Jezierski, rzucając chłopakowi monetę. Ten złapał ją w locie i błyskawicznie zniknął.

– Czy to coś pilnego? – spytał Zaif.

– Jakubie, to niesłychane!

– Co takiego?

– Ktoś po zmroku pozrywał prawie wszystkie afisze informujące o zaginięciu panny Garszyńskiej!

– Hm, to rzeczywiście dziwne. Wiadomo kto?

– Nie, ale nie spocznę, póki się tego nie dowiem.

– Słusznie. Zastanówmy się: komu zależy na wyciszeniu sprawy? Rodzinie?

– No, rodzina nie jest zachwycona, ale na miejscu jest tylko jej stryj, a on w końcu wyraził zgodę. Rodzina w Warszawie raczej nic nie wie.

– Komu w takim razie zależy na wyciszeniu sprawy? – zapytał powtórnie i tym razem bardziej znacząco Zaif.

Jezierski spojrzał na niego z namysłem.

– Porywaczowi...

– Otóż to.

– Musimy bezzwłocznie powiesić nowe afisze i zacząć się na tego gagatka! Hm... dużo wam zostało?

– Oj, dużo. Wróć raczej późno. A ty, Walery?

– Posiedzę nad aktami. Wielokrotne czytanie tego samego jest nużące, ale czasami człowiek zauważy jakiś przeoczony detal.

– To pewnie spotkamy się dopiero przy śniadaniu.

– Pewnie tak. Skoro nie ma naszych pań i dziatwy, będziemy mogli zjeść w spokoju i pogadać trochę o pracy.

Niestety, nie dane im było zjeść śniadania w spokoju. Żaden z nich nie mógł sobie nawet wyobrazić, co przyniesie im jutrzejszy poranek. Im i komuś jeszcze.

## Rozdział 7

Tego dnia nad Prosną unosiła się jeszcze poranna mgła, gdy zaspany Stanisław Kowalski, parkowy, szedł wzdłuż brzegu rzeki, by otworzyć drugą bramę parku. Idąc tamtędy, nadkładał nieco drogi, ale bardzo lubił tak spacerować. Było około ósmej, gdy zatrzymał się i postanowił zejść na chwilę na sam brzeg rzeki. Zdawało mu się bowiem, że zauważył jakiś dziwny, brudny tobołek, łagodnie kołysany liżącą nabrzeże falą. Skierował się w tamtą stronę i wtedy z odrazą rozpoznał poplamiony krwią i obwiązany kilka razy sznurkiem papier pakowy i gazety, pod którym krył się jakiś przedmiot.

Był pewien, że wie, co to jest, gdyż w ciągu ostatnich lat niejednokrotnie zdarzało mu się wyławiać martwe płody i noworodki z rzeki; Kowalski pomyślał zatem, że i tym razem ktoś pozbył się czegoś, co nie miało należeć do świata żywych. No cóż, takie miasto jak Kalisz, choćby i niezbyt duże, ale będące stolicą guberni, siłą rzeczy stanowiło podstawę bytu dla stale powiększającego się proletariatu oraz było magnesem dla szukających szczęścia dziewcząt z prowincji. Rzeka natomiast stawała się wygodnym miejscem, w którym porzucano niepożądane owoce miłości.

Zdarzało się to na tyle często, że Kowalski zdążył się przyzwyczaić. Wiedział, że co jakiś czas będzie musiał wyjść poza granice swego ukochanego parku i odnieść do miejskiej kostnicy wszystko to, co znajdował w rzece i na jej brzegach. Robił to niechętnie, ale już bez większego poruszenia, choć nieraz kłął cicho pod nosem. Był przekonany, że nikt tych ciał ani nie rozpozna, ani nie będzie o nie pytał. Tym bardziej nikt też nie będzie nosił po nich żałoby. Nie podobało mu się to, ale cóż było robić. Takie życie.

Ale tego dnia wszystko przebiegało inaczej i później parkowy przysięgał, że dzień ten pozostanie mu w pamięci do końca życia. Na razie jednak Kowalski ściągnął poplamiony krwią papier i gazety, a wtedy ujrzał pozbawiony głowy i kończyn tułów dziewczynki, na oko dziesięcioletniej, ale z wyraźnie już zarysowanymi piersiami. Część tułowia była owinięta staniczkiem i żółtą wełnianą halką. Poza tym tułów był nagi i nawet dla człowieka zupełnie niedoświadczonego było jasne, że ma do czynienia z ofiarą zbrodni. Przerażony Kowalski krzyknął i odskoczył do tyłu tak gwałtownie, że potknął się i klapnął tylną częścią ciała w kępę pokrzyw i ostu. Pieczenie w rękach otrzeźwiło go nieco, więc zerwał się, otrząpał i pędem pobiegł do cyrkułu, skąd policjanci telefonicznie zaalarmowali agenta do specjalnych poruczeń i doktora Zaiфа. Jakub ruszył prosto nad rzekę, Jezierski natomiast poszedł najpierw do gubernatora, by jak najszybciej przekazać mu te złe wieści. Po drodze spotkał Jaśka i kazał mu natychmiast ściągnąć w pobliże pałacu Antczaka, z którym chciał porozmawiać, zanim wyruszy nad rzekę.

– Cóż za straszna tragedia! – Daragan był wstrząśnięty i długo nie mógł się uspokoić. – Sam dobrze wiem, co to znaczy utracić dziecko, ale co innego choroba lub nieszczęśliwy wypadek, a co innego, gdy jakiś człowiek ci je po prostu odbierze! Boże, co też muszą przeżywać nieszczęśliwi rodzice! Walery, koniecznie musisz złapać tę bestię w ludzkiej skórze, byśmy mogli przykładowie ukarać zwyrodnialca!

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, i nie spocznę, póki tego potwora nie schwytam lub... nie zabiję! – wycedził Jezierski przez zaciśnięte zęby. Na samą myśl, że taki los mógłby spotkać jedno z jego dzieci, czuł nieprzemogłą chęć uduszenia zabójcy gołymi rękami.



– Różne rzeczy działy się w tym mieście – mówił tymczasem gubernator, chodząc niespokojnie po gabinecie. – Na ogół jest tu spokojnie i grzechem byłoby narzekać na te drobne przestępstwa, z jakimi mamy do czynienia. Nawet na pijackie awantury, burdy i pobicia. Pominę nawet te nieszczęsne kobiety, które pozbywają się niechcianej ciąży lub noworodka. Wiem, to też jest zabójstwo, lecz głęboko wierzę, że gdyby miały one odpowiednie warunki, to nie musiałyby tego robić. Są do tego zmuszane przez zbyt wiele niezależnych od nich czynników. Bieda, brak męża, napiętnowanie przez opinię publiczną... Ale umyślne zabójstwo dziecka? Nie żadnej sieroty, której nikt nie chciał, lecz odebranie dziecka rodzicom, którzy je wychowywali?

– Michale – Jezierski bezradnie rozłożył ręce – wiesz przecież, że zwykle taki zabójca nie traktuje swojej ofiary jak człowieka, tylko jak przeszkodę do usunięcia lub przedmiot pożądania. Nie wiadomo, dlaczego tak jest, ale ci ludzie są inni od nas, jakby nieco upośledzeni, bo brakuje im ludzkich uczuć. Lekarze spierają się, czy to wrodzona, czy też nabyta cecha, ale są i tacy, którzy twierdzą, że może być i tak, i tak. I też nie wiedzą, jak traktować tę przypadłość...

Gubernator zatrzymał się na chwilę i spojrzał na przyjaciela.

– Zaskakujesz mnie, Walery – powiedział. – A co sądzi o tym doktor Zaif?

– Nawet Jakub nie wie, czy to choroba, czy nie.

– Jak zatem rozstrzygnąć taki dylemat? I nawet gdyby to była choroba, czy to usprawiedliwia zabójcę? Mamy mu wybaczyć? I może puścić wolno?

– Nic nie usprawiedliwia zabójstwa. Nawet choroba. Tylko że niebezpiecznych chorych zwykle zamyka się w szpitalu.

Daragan machnął ręką i wrócił do swej wędrówki.

– Wiem, wiem. Tak czy inaczej, trzeba tego potwora złapać i albo powiesić, albo zamknąć do końca życia, by nikogo już nie skrzywdził.

– No i dylemat rozstrzygnięty.

– Naszym obowiązkiem jest chronić mieszkańców, a nie cackać się z zabójcami, zastanawiając się, czy nie są czasem chorzy. Wściekły pies też jest chory i co się z nim wtedy robi?

Jezierski skinął głową.

– Trzeba go zastrzelić. To mi odpowiada.

– Nie chodzi o to, żebyś sam wymierzał sprawiedliwość. Masz go złapać, a już sąd się nim zajmie. Zawieś zgodnie z prawem.

– Oczywiście. – Agent miał minę skrzywdzonej niewinności. – Nic innego nie miałem na myśli. Ale w razie bezpośredniego zagrożenia z jego strony...

– Wtedy to co innego.

– Świetnie. Cieszę się, że jak zwykle mamy to samo zdanie.

Daragan pogroził mu palcem.

– Mam nadzieję, że tak samo rozumiemy pojęcie „bezpośredniego zagrożenia”. A teraz bierz się do pracy. Trudno, musisz zostawić wszystkie inne sprawy i zająć się tylko tym zabójstwem. Resztę przekaz Jaśkowi. Wiem, że macie za mało ludzi na to wszystko, co się obecnie dzieje w Kaliszu, więc ściągnij posiłki z całej guberni. Wszystkich policjantów czy nawet ludzi choćby trochę przeszkolonych w tych sprawach, jak wojskowi albo strażacy. Bierz też urzędników, skąd tylko chcesz, do całej papierkowej roboty czy innych prostych czynności, żeby odciążyli policję. Zaraz wystawię ci odpowiednie dokumenty.

Daragan usiadł za biurkiem, a Jezierski w fotelu naprzeciwko. Gubernator spojrzał na niego z wyrzutem.

– Nie rozsiadaj mi się tu. Jazda do roboty. Dokumenty ktoś ci dostarczy, a ty w tym czasie już działaj. Nie mamy czasu, kto wie, czy ten zwyrodnialec nie szuka już kolejnego dziecka. Ludzie by nas zlinczowali, i słusznie. Na razie tylko chodzą i gadają, ale jeśli wydarzy się coś jeszcze, może dojść do zamieszek.

Przed wejściem do pałacu czekał Antczak w towarzystwie dwóch innych żebraków. Agent podszedł do nich, uściśnął im dłonie i powiedział:

– Mam dla was pewną robotę. Może okazać się niebezpieczna, ale dobrze zapłacę.

– Mów pan, co trza zrobić. Chętnie na coś się przydamy.

– Otóż ktoś wczoraj wieczorem pozrywał afisze informujące o zniknięciu panny Garszyńskiej. Nie wiemy, kim jest sprawca, i to właśnie musicie ustalić. Ostrzegam, że istnieje podejrzenie, iż to sam porywacz. A wiecie, że może być uzbrojony, tak jak podczas pierwszej próby porwania tej panny.

– Nie ma obawy, szanowny panie! – zaśmiał się cicho, acz groźnie Antczak. – Z nami nie pójdzie mu łatwo. Nie boimy się go. Zresztą zawsze mogę ściągnąć więcej chłopaków.

– Znakomicie. Ale żeby złapać tego gagatka, trzeba rozwiesić nowe afisze. Masz tu pieniądze i idźcie do pana Hindemitha, żeby je wam wydał, zaraz skreślę ci liścik. Rozklejcie je jak najszybciej i przed wieczorem zaczajcie się na tego obwiesia. Macie moje pozwolenie na obywatelskie zatrzymanie. Przeprowadźcie go do cyrkułu, ktokolwiek by to był, i powiedzcie dyżurnemu, żeby mnie jak najszybciej zawiadomił. Czy wszystko jasne?

– Się wie. Może pan na nas liczyć.

– A to zapłata dla was, żebyście nie musieli tego robić o pustym brzuchu. Z naddatkiem, który zrekompensuje wam utracone korzyści.

– Utracone korzyści? – zapytał jeden z żebraków. Po jego minie było widać, że nie rozumie, o czym mowa.

– Pieniądze za to, że przez cały dzień nic nie zarobimy w naszym fachu, głąbie! – Antczak klepnął towarzysza przyjacielsko w ramię. – A teraz do roboty.

Trzej żebracy odeszli szybkim krokiem, a Jezierski wsiadł do czekającego nań powozu. Pół godziny później agent był już na miejscu. Na podstawie zewnętrznych oględzin tułowia zmartwiony Zaif stwierdził, że nie można wykluczyć przestępstwa na tle seksualnym, ale nawet jeśli los okazał się na tyle łaskaw, że dziecko nie było przed śmiercią molestowane, to i tak mieli do czynienia ze zbrodnią popełnioną z dużą brutalnością. A ponieważ morderstwo dotyczyło dziecka, należało spodziewać się bardzo gwałtownej reakcji mieszkańców.

– Wiem – mruknął agent. – Jego Ekscelencja myśli to samo.

– Czyli pewnie masz wolną rękę i dodatkowe środki na tę sprawę?

– Coś w tym rodzaju. Od tej chwili zajmuję się tylko tym, resztę spraw przekazuję Jaśkowi. Ty pomagasz nam obu, choć nie wiem, jak sobie z tym poradzisz.

Zaif wzruszył ramionami. Nie wydawał się ani trochę zaniepokojony tą perspektywą.

– Normalnie.

– Nie będzie łatwo. Mało odpoczynku, ciągła praca...

– Walery – przerwał mu doktor z pokrępiającym uśmiechem – nie martw się. Damy sobie radę. To dla nas nie pierwszozna.

Jezierski także się uśmiechnął. Czuł się bardzo podniesiony na duchu. Tak, dadzą radę. Dadzą, bo muszą.

Carska policja, szczególnie na prowincji, była na ogół mocno zacofana i powolna. Mało kto słyszał nawet o metodzie pomiarowej Bertillona, która ostatnimi czasy i tak została zdystansowana przez odkrycie identyfikacyjnych właściwości odcisków palców – Scotland Yard przymierzał się właśnie do wprowadzenia kartoteki odcisków palców i Bertillon był już na straconej pozycji w walce o utrzymanie swego systemu. Trzeba przyznać, że to Bertillon zapoczątkował nowoczesną kryminalistyczną metodykę, która nie opierała się już wyłącznie na zeznaniach świadków, na intuicji i „specjalnych sposobach” doświadczonych urzędników kryminalnych, lecz na metodach naukowych. Fotografia stała się bardzo ważnym kryminalistycznym instrumentem wszędzie tam, gdzie chodziło o utrwalenie obrazu miejsca czynu i śladów przestępstwa. Wyrosła także nowa gałąź medycyny — medycyna sądowa, jako odrębna

dyscyplina, którą posługiwały się zainteresowane postępowaniem policje kryminalne w Europie. Medycyna sądowa pozwalała na podstawie stanu zwłok lub z obrażeń ustalić przybliżony czas zgonu i jego okoliczności. Opierając się na medycynie sądowej, a także dzięki chemii podjęto badania śladów znajdujących na ofiarach, na miejscach zbrodni i na osobach podejrzanych. Poszukiwano charakterystycznych właściwości oraz cech porównawczych tych śladów. Chodziło przy tym o ślady trucizny, nasienia męskiego i innych składników biologicznych, a zwłaszcza ślady krwi, które były wówczas najbardziej bezpośrednim i zdradliwym piętnem zbrodni.

Kaliska policja, unowocześniana przez Jezierskiego na podstawie wskazówek Zaifa, na pierwszy plan starała się wysuwać obiektywne, naukowe ustalenia. Obecnie miała już swoją służbę informacyjną, kartotekę odcisków palców, wykaz zaginionych i rejestr wykroczeń, a także własną pracownię fotograficzną. Dysponując nowym systemem rejestracyjnym, policjanci mogli w ciągu dziesięciu minut złożyć swojemu szefowi oraz gubernatorowi meldunek, że w czwartek dziewiątego czerwca w południe zaginęła dziewięcioletnia dziewczynka, której opis ogólnie zgadzał się ze znalezionym tułowiem dziecka i resztkami jej ubrania, gdyż w rejestrze znajdował się odpowiedni meldunek. Była to Kasia Dolat, młodsza córka Fryderyka Dolata, który ze swą rodziną mieszkał w domu czynszowym przy końcu Wrocławskiego Przedmieścia, na pograniczu śródmieścia i Czaszek, a pracował w browarze Karola Weigta. Dolat był dobrym fachowcem, solidnym i pracowitym, więc zarabiał całkiem przyzwoicie i jego rodzina nie cierpiała biedy, choć trudno też było nazwać ją bogatą. W każdym razie w swoim środowisku był człowiekiem zamożnym i cieszył się powszechnym szacunkiem.

Słowa gubernatora i Zaifa co do zainteresowania zbrodnią popełnioną na dziecku sprawdziły się co do joty. Nie wiadomo, skąd ludzie się o tym dowiedzieli, pewnie miał w tym swój udział wstrząśnięty parkowy, który teraz chętnie opowiadał o swoim znalezisku każdemu, kto chciał go słuchać, ale w ciągu godziny nad rzeką zgromadził się niemały tłum. Gdy przybył Fryderyk Dolat, blady pięćdziesięcioletni mężczyzna w ubraniu roboczym, trzeba było niemal siłą torować mu drogę poprzez ciżbę. Miejscowy reporter następnego dnia doniósł, że gdy Dolat poznał swoją córkę po bliźnie pod piersią, padł zemdlony na ziemię ze słowami: „Moja biedna Kasia”, czym wywołał niemal ekstazę spragnionego wrażeń tłumu.

Zmartwiony Jezierski dobrze zdawał sobie sprawę, że taka zbrodnia, jeśli nie zostanie szybko rozwiązana, bardzo zaszkodzi będącemu w niełasce ochronie gubernatorowi, postanowił więc jakoś obrócić ją na korzyść Daragana. Na szczęście wiedział też, jak tego typu gesty oddziałują na prasę i gapiów, kazał zatem nieszczęsnego ojca odwieźć własnym powozem do domu i podyktował treść obwieszczenia, mającego się ukazać w gazecie i na wszystkich słupach ogłoszeniowych:

„Tysiąc rubli nagrody! Dziś rano o godzinie 8:00 rano w parku wypłynął tułów Kasi Dolat, urodzonej 8 stycznia 1891 roku w Kaliszu. Głowa, ręce i nogi zwłok zostały oddzielone ostrym narzędziem. Dziewczynka bawiła się dziewiątego tego miesiąca w południe około pierwszej godziny na podwórzu domu przy Wrocławskim Przedmieściu i od tego czasu zaginęła. Jak na swój wiek była ona dość rośła, ubrana w brązowo-żółtą wełnianą sukienkę, czarny fartuszek na szelkach, białe skarpetki i buty z cholewkami. Na szyi miała czarną aksamitkę z podłużnym medalionem do otwierania. Ktokolwiek mógłby udzielić informacji o tym zdarzeniu, a także o miejscu, do którego uprowadzono dziewczynkę, proszony jest o zgłoszenie się na policję. Dziewczynka prawdopodobnie stała się ofiarą gwałtu, jaki mógł mieć miejsce między dziewiątym a jedenastym tego miesiąca, dlatego schwywanie sprawcy jest sprawą nas wszystkich, by los taki nie spotkał żadnego innego dziecka z naszego miasta!”

Jednak w momencie podejmowania śledztwa ani Jezierski, ani Zaif nie przewidywali, że przypadek ten ujawni możliwości analizy śladów krwi, jakimi dysponowali lekarze, chemicy i kryminaliści w roku 1900. A ze względu na to, iż ofiarą zabójstwa było dziecko, śledztwo to okazało się najszybciej przeprowadzonym dochodzeniem w karierze agenta, przynajmniej w tak poważnej sprawie jak morderstwo.

Około godziny dziewiątej Jezierski rozpoczął pracę. Patrolowi, który miał systematycznie przetrząsać

Kalisz w poszukiwaniu przestępców przeciwko obyczajności, sutenerów i kieszonkowców, nakazał zwrócić szczególną uwagę na rejon Czaszek, przedmieście Kalisza, które nie cieszyło się dobrą sławą. Oprócz zwykłej miejskiej biedoty, drobnych przestępców i żebraków coraz częściej osiedlali się tu robotnicy i bezrobotni w drewnianych, ledwo trzymających się parterowych domkach krytych papą, gdzieś jeszcze gontem, co było pozostałością dawnej zabudowy podmiejskiej z początku wieku. Przekornie nazywano je „Złotymi dachami”, choć nie brakowało osób, które nazywały to miejsce „kanałem ściekowym i śmietnikiem społecznych nieczystości i plugastwa Kalisza”.

Jeziński wydał też zlecenie poszukiwania podejrzanych mężczyzn, a mianowicie takich, których widziano w dniu zaginięcia Kasi w południe lub później z jakąś mniej więcej dziewięcioletnią dziewczynką. W cyrkule posadził dwóch urzędników, by spisywali wypowiedzi wszystkich, bardziej lub mniej przydatnych świadków, należało się bowiem liczyć z zalewem informacji, gdy tylko jego apel zostanie rozpowszechniony. Przynajmniej agent miał taką nadzieję, tym bardziej że chodziło o dziecko.

Następnie razem z Porajem pojechał do domu Dolata, gdzie w ciągu dnia dotarł do nich goniec, który przyniósł opis oględzin zwłok dziecka. Zaif napisał krótko, że Kasia Dolat została najprawdopodobniej uduszona, lecz poza tym na jej ciele są widoczne liczne rany, zadane prawdopodobnie różnymi narzędziami. Obrażenia te powstały jednak prawdopodobnie wówczas, gdy dziecko na skutek dławienia było bliskie śmierci, a czynność jego serca już ustawała. Oddzielenie kończyn dokonane zostało zaś przez osobę o niezgrabnych rękach. Sama śmierć nastąpiła prawdopodobnie godzinę po ostatnim posiłku spożytym przez ofiarę, składającym się z „wieprzowiny, ziemniaków i mizerii”.

Dom, w którym mieszkanie wynajmował Dolat, był ciemnym piętrowym budynkiem. W niskich, ciasnych mieszkaniach gnieździło się tam kilkanaście rodzin. Przez bramę można było dostać się na dość zaniedbane wewnętrzne podwórko i stąd wydeptanymi drewnianymi schodami na poszczególne piętra z ciasnymi korytarzami, ubikacjami na półpiętrach i brązowymi ze starości drzwiami prowadzącymi do mieszkań. Jezińskiemu i Porajowi towarzyszyli dwaj policjanci, stare wygi, którzy dobrze znali tę dzielnicę nędzy, robotników i robotnic, drobnych rzemieślników i rencistów, którzy w tym szarym morzu domów i ulic, knajp i podejrzanych miejsc mieszkali drzewi w drzewi z prostytutkami, suterrenami, łobuzami, oszustami i włamywaczami.

Tymczasem „Gazeta Kaliska” rozpowszechniła specjalny dodatek, a urzędnicy rozkleili po mieście afisze o morderstwie. Różni ciekawscy, kobiety i dzieci, bezrobotni i ludzie nigdy niepracujący, oblegali brzeg rzeki, gdzie znaleziono ciało, oraz dom, w którym mieszkał Dolat. Było to nie tylko uciążliwe, ale i wręcz niebezpieczne. Gdy agent rozmawiał z dotkniętą nieszczęściem rodziną, towarzyszący mu policjanci z tego rewiru uratowali przed grupą nedorostków szewca, niejakiego Nagórnego, któremu ktoś zarzucił, że jest sprawcą bestialskiego mordu. Obrzucono go kamieniami i pobito kijami.

W ciasnej kuchni Fryderyka Dolata na pierwszym piętrze oficyny agent z Porajem zastali całą rodzinę – ojca, matkę, czterdziestokilkuletnią spracowaną kobietę, starszego dziewiętnastoletniego syna oraz młodszego syna Piotra, który był gońcem. Jeziński podczas przesłuchania wykazał się dużym taktem i cierpliwością, czym wzbudził podziw u krewkiego Jaśka. Dotknięci tragedią członkowie rodziny Dolatów wielokrotnie bowiem przechodzili od płaczu do gniewu i trzeba było nie lada dyplomacji, by jakoś opanować ich silne emocje. W końcu jednak Jeziński dowiedział się przynajmniej tego, co rodzina mogła powiedzieć o zniknięciu Kasi. Owego feralnego dnia dziewczynka wróciła ze szkoły do domu około godziny jedenastej, krótko bawiła się na podwórku i u kupca, Franka, kupiła cukierków za dwie kopiejki. Po powrocie Kasia czekała na swego ojca, który kwadrans po dwunastej przyszedł na obiad do domu. Wszyscy razem jedli kotlety wieprzowe, ziemniaki i mizerię, po czym Fryderyk Dolat wrócił do browaru. Krótko przed godziną trzynastą dziewczynka poprosiła o klucz do klozetu. Znajdował się on na półpiętrze powyżej, a oddalony był od mieszkania o kilka kroków. Dwadzieścia minut później przyszedł na obiad Piotr. Poszukując Kasi, stwierdził, że wygódka jest zamknięta, potem zszedł na podwórze, wysłuchując od kobiet i dzieci najsprzecznějších informacji, po czym aż do samego wieczora pytał



o Kasię u znajomych. W końcu Fryderyk Dolat złożył meldunek w cyrkule.

– Czy Kasia była łatwowiernym dzieckiem? – spytał Jeziński.

– Ależ skąd! – wykrzyknęła matka. – Kto w takiej dzielnicy może być łatwowierny? Pełno tu złodziei, oszustów, a i sutenerów nie brakuje. Jest podobno kilku takich, co to się w dzieciach specjalizują.

– A dokładniej? – spytał zdumiony Jeziński, starannie to jednak skrywając. Domyślał się, co powie kobieta, nie mógł jednak w to uwierzyć. Ktoś taki w Kaliszu? Niemożliwe.

– Panie! Toć tu prawie na co drugim każdym rogu ulicy stoją tacy z cukierkami i pieniędzmi. Dwa dni przed zniknięciem Kasi pewna dziewczynka z pobliskiej oficyny przysłała do domu z podartą bielizną i z dwudziestoma pięcioma kopiejkami w rączce.

– Wszyscy wbijali Kasi do głowy, żeby nigdy nie zadawała się z kimś, kogo nie zna – dodał ojciec.

Gdy Jeziński rozmawiał z rodziną, Jasiek poszedł rozejrzeć się po budynku. Stwierdził, że gdyby Kasia została uprowadzona lub dobrowolnie wyszła na ulicę i tam została złapana, wówczas sam sprawca albo dziecko, względnie oboje, musieliby po godzinie trzynastej przejść przez frontową bramę. Tymczasem dozorca budynku powiedział, że w godzinach południowych na podwórzu grał katarzyniarz i jak zwykle w takich sytuacjach wielu ciekawskich stało na podwórzu, wielu też wyglądało przez okna. Jasiek kazał sprowadzić do mieszkania dozorcę wszystkich, którzy uważali, że mają coś ważnego do powiedzenia, i razem z policjantami rewirowymi zaczęli ich wypytywać. Trwało to do późnego popołudnia i niewiele dało, ale kilka wiadomości mogło okazać się użytecznych.

Pierwszej informacji dostarczyło przesłuchanie krawca Gustawa Ryskiego. Z okna swego mieszkania miał on bardzo dobry widok na dom, w którym mieszkała Kasia. Powiedział, że widział trzydziesto- lub czterdziestoletniego mężczyznę. Niestety, krawiec nie umiał opisać tego mężczyzny i jedyne, na co zwrócił uwagę, to fakt, iż człowiek ten miał „wyjątkowo szerokie, źle skrojone spodnie”. Niemniej był pewien, że około godziny czternastej wyszedł z bramy, prowadząc za rękę dziewczynkę, i udał się w kierunku niedaleko położonych gęsto zarośniętych krzakami i płataniną chwastów nieużytków, zwanych tutaj szumnie „parkiem”.

W dzień było to całkiem bezpieczne miejsce – bawiły się tam dzieci, a staruszkowie i bezrobotni zgodnie wylegiwali się w słońcu, rozgrzewając jednocześnie żołądki tanią gorzałką. Ale po zmroku miejsce zmieniało się w niebezpieczny trójkąt bermudzki, gdzie bez śladu ginęły przedmioty, głównie skradzione, bo w ustronnym miejscu często dzielono łupy, a z rzadka również i ludzie. Tutaj schronienie znajdowały także pary, które jeszcze nie zawarły ślubu, lub zawarły, ale z kimś innym, i w „parku” mogły za darmo oddawać się zakazanym uciechom cielesnym, złodzieje zaś umawiali się na robotę, załatwiano rozmaite interesy i porachunki. I choć często zdarzały się przy tym różnorakie uszczerbki na zdrowiu, do zabójstw dochodziło bardzo rzadko. Rzecz jasna, nie tyczyło się to „obcych”, czyli ludzi spoza tej podmiejskiej dzielnicy. W tym miejscu nikt taki nie mógł być pewny swego zdrowia i mienia, toteż z rzadka ktoś tam w ogóle zaglądał. Nawet policjanci.

Stolarz Graczyk z domu obok twierdził natomiast, że zauważył w bramie wjazdowej już o godzinie trzynastej dwóch nieznanymi mężczyzn. Jeden z nich rozmawiał później z jakimś dzieckiem. Z kolei pani Rowik i jej córka widziały na ulicy dwóch mężczyzn z dziewczynką, która niosła papierową torebkę. Jeden z tych mężczyzn odszedł, a drugi pociągnął dziewczynkę za sobą w kierunku „parku”. Kobiety zeznały, iż miał on na sobie ciemne ubranie z obwisłymi z tyłu spodniami i słomkowy kapelusz.

Jasiek przepytał też dziewięcioletnią dziewczynkę, Gretę Schreiber, córkę sąsiadów. Dziewczynce bardzo się podobało, że jest w centrum uwagi, mówiła dużo i z zapałem, ale policjanci nie całkiem jej wierzyli. Z jej wypowiedzi Jasiek zanotował tylko, że Kasia wcale nie poszła do klozetu, lecz przebiegła obok niej na schodach, wybiegła na podwórze i dalej na ulicę. Inna dwunastoletnia dziewczynka o nazwisku Adamczyk powiedziała, że krótko przed obiadem zaczął z nią rozmawiać jakiś młody brodaty mężczyzna, który miał słomkowy kapelusz i „wiszące spodnie”. Pokazywał jej ładną zieloną butelkę. Gdy uciekła, osobnik ten zatrzymał się przed pobliskim sklepem, do którego w tym samym czasie po cukierki

weszła Kasia.

Poraj, ostrożny, jeśli chodzi o zeznania dzieci, nie mógł jednak nie zauważyć powtarzających się informacji o źle leżących spodniach, słomkowym kapeluszu, brodzie i pobliskich nieużytkach. Jasiek coraz bardziej wątpił, czy Kasia rzeczywiście była tak ostrożnym dzieckiem, jak twierdziła jej matka. A może dziewczynka podczas kupowania cukierków została zwabiona obietnicą jakiegoś obcego człowieka? Wtedy zabranie klucza do klozetu mogło być tylko pretekstem, by zniknąć z domu. Podejrzenia Jaśka zdawała się potwierdzać wypowiedź dorożkarza Nowika, który był gotów przysiąc, że w południe widział ze swojej dorożki mężczyznę utykającego na jedną nogę, który prowadził jakąś dziewczynkę za rękę w kierunku nieużytków.

Po godzinie siedemnastej Jeziński zarządził odprawę, by wszyscy policjanci poznali bieżące wyniki śledztwa, a szczególnie te dotyczące utykającego mężczyzny z brodą i w źle skrojonych spodniach. Poinformował ich też, że wkrótce dostaną posiłki, gdyż w ciągu doby ściągnie do pomocy kogo się da z całej guberni, bo sprawa ma absolutny priorytet. Rozległy się szmery zadowolenia.

– No, to do roboty i nie martwcie się o papierkową robotę – powiedział na koniec Jeziński – bo już teraz w sprawach administracyjnych zastąpią was urzędnicy, których Jego Ekscelencja gubernator w tej właśnie chwili osobiście oddelegowuje do nowych zadań. Będą też pieniądze za dodatkowo przepracowane godziny.

Agent szybko przerwał burzę oklasków, nakazując policjantom, by się rozeszli i podjęli się wyznaczonych zadań.

Zaraz po odprawie do pracy wzięła się niewielka grupa policjantów, których agent nazywał czasem „obyczajówką”, gdyż zajmowali się głównie zwalczaniem prostytucji i sutenerstwa. Po godzinie osiemnastej Franciszek Popiołko i Józef Polowczyk, dwóch doświadczonych policjantów z tej grupy, zapukało do drzwi mieszkania, które było oddalone tylko o kilka metrów od mieszkania Fryderyka Dolata. Otworzyła im niejaka Johanna Lipowska, która od kilku lat zarejestrowana była jako prostytutka. Tego dnia przed południem, mniej więcej w czasie, gdy w Prośnie znaleziono tułów dziecka, wyszła z więzienia po odbyciu krótkiej kary za „obrazę klienta”. Lipowska, lat trzydzieści dwa, wysoka, korpulentna, z niezgrabnym nosem, lecz poza tym całkiem ładna na twarzy, przyjęła policjantów z wyraźną podejrzliwością, co nie było niczym dziwnym u osoby dopiero co zwolnionej z więzienia.

Przy stole w jej małej kuchni siedział jakiś krępy, mający około czterdziestu pięciu lat mężczyzna. Miał ciemnoblonde włosy oraz wąsy i zjadał bigos. Pod jego krzesłem leżał jasnorudy pies, na którego Popiołko spojrzał podejrzliwie; kilka dni temu jeden taki omal go nie pogryzł i teraz policjant zastanawiał się, czy to czasem nie jest to samo zwierzę. Pies jednak w ogóle nie zareagował na obcych, Popiołko zajął się zatem spisywaniem danych z dokumentów mężczyzny.

Był to Teodor Bujnicki, lat trzydzieści pięć, oficjalnie zajmujący się handlem starzyzną, zamieszkały przy ulicy Rybnej, ale pochodzący stąd, z Czaszek. Popiołko mimowolnie zarejestrował w myślach fakt, że mężczyzna wygląda dużo starzej, niż wskazywałaby na to jego data urodzin, lecz nie miał wątpliwości co do autentyczności dokumentu, gdyż paszport był stosunkowo nowy i zawierał już fotografię właściciela, a nie tylko jego rysopis. Widocznie tryb życia Bujnickiego tak niekorzystnie odbijał się na jego wyglądzie, w co Popiołko bez trudu uwierzył, szczególnie gdy Johanna Lipowska przedstawiła go jako swego starego znajomego.

– Teodor to mój narzeczony – oświadczyła i spojrzała na mężczyznę. Oczy jej zamglily się od nagłego wzruszenia. Czule poklepała mężczyznę po karku i dołożyła mu bigosu. Ten nie odezwał się ani słowem i ze stoickim spokojem jadł dalej, nie zwracając na policjantów najmniejszej uwagi. – Od wielu lat chce się ze mną ożenić i teraz, za kilka dni, wreszcie odbędzie się nasze wesele.

Popiołko zbyt często spotykał się z utajonymi, sentymentalnymi tęsknotami prostytutek do zawarcia małżeństwa, więc niezbyt go to wyznanie zainteresowało, szczególnie że mężczyzna w ogóle na to nie zareagował. Policjant przestał zwracać na niego uwagę, choć w innych okolicznościach bacznie by go

obserwował. Dziś jednak sytuacja była wyjątkowa i nie szukał sutenerów; miał inne zadanie – pomoc w odnalezieniu zabójcy dziecka.

Wrócił do rozmowy z Johanną. Gdy ta zorientowała się, że odwiedziny policjanta dotyczą nie jej samej, lecz Kasi Dolat, stała się zdecydowanie bardziej przystępna i skora do wynurzeń.

– Biedna mała! – jęknęła, popłakując. – Nazywała mnie ciocią i robiła dla mnie zakupy. Na pewno zabił ją ten podły Alek Siwiec, sutener Elki Żuk, mojej koleżanki. Ona mieszka tu na dole, w suterenie. Elka dopiero co się go pozbyła! A czemu? No, czemu? – pytała z triumfem, wymachując palcem przed nosem policjanta.

Popiołko położył rękę na ramieniu Polowczyka, który był dużo bardziej krewki, a mniej cierpliwy i właśnie zamierzał wstać, by „utemperować to babsko”.

– Nie mam pojęcia, droga pani – powiedział spokojnie Popiołko. – Ale liczę, że zaraz mnie pani oświeci.

Lipowska nie miała nic przeciwko temu.

– Pozbyła się drania, bo co i rusz widywała go z nieletnimi dziewczętami, oto dlaczego! – wykrzyknęła z emfazą.

– A jak wygląda ten Siwiec?

– Utyka, źle się ubiera i przez całe lato nosi słomkowy kapelusz, w którym wygląda jak skończony idiota. Ale idiota nie może wyglądać inaczej, prawda?

Polowczyk zmełł w ustach przekleństwo, lecz nie odezwał się, pozwalając koledze prowadzić przesłuchanie.

– Znał Kasię Dolat? – spytał Popiołko.

– Pewnie, że znał! Nieraz się z nią nawet bawił. Sama widziałam, jak kiedyś siedziała mu na kolanach. Później kazał jej też tańczyć przy muzyce i tak się na nią gapił, że... no! Jakby ją chciał żywcem pożreć.

Tu Lipowska wybuchnęła skrzeczącym cokolwiek śmiechem, na co i Polowczyk, i jej partner mimowolnie się wzdrygnęli. Potem zaczęła złorzeczyć Siwcowi, nazywała go wstrętnym uwodzicielem dzieci i potwierdziła wszystko, o czym policjanci dowiedzieli się na odprawie. Popiołko bacznie przyglądał się gospodyni. Jej zarzuty w stosunku do Siwca wydały mu się trochę za szybkie i pewne, jakby wcześniej przygotowane. Mimo to wstał, podziękował jej grzecznie i udał się do suterenu ku wielkiej uldze swego kolegi. Jej gotowość do współpracy w celu pogrążenia Siwca także jakoś dziwnie raziła Popiołkę. Ponieważ jednak nie był w stanie sprecyzować swych wątpliwości, postanowił przekazać zdobyte informacje agentowi do specjalnych poruczeń bez komentarzy, co też uczynił, a następnie, dręczony wątpliwościami, wrócił do domu.

Tymczasem zmęczony jak pies Jezierski późnym wieczorem postanowił jeszcze zajrzeć do cyrkułu, gdyż był ciekaw, czy nie było jakichś wieści od Antczaka. Co prawda, nie przysłano do niego żadnego gońca z liścikiem, lecz tak często dziś zmieniał miejsce pobytu, że mógł go nie znaleźć. Po cichu jednak liczył na to, że skoro już dość dawno zrobiło się całkiem ciemno, nieznany sprawca wziął się do dzieła i ludzie Antczaka go złapali. Niestety, w cyrkule nie czekały na niego żadne wiadomości dotyczące tej sprawy, Jezierski kazał się zatem wieść do domu Maksa Zaifa, gdzie obaj z Jakubem teraz mieszkali.

Nazajutrz Jezierski przeczytał raport, ale nie miał okazji porozmawiać z Popiołką i poznać jego wątpliwości, nie pozostało mu więc nic innego, jak aresztować Siwca. Policjanci znaleźli go w taniej jadłodajni i od razu rozpoznali, mimo że zgolił brodę. Znaleźli przy nim także słomkowy kapelusz zawinięty w starą gazetę, gdyż Siwiec zamierzał go wyrzucić, lecz nie zdążył. Wszystko to wyglądało bardzo podejrzanie i stawiało mężczyznę w złym świetle.

Do przesłuchania przystąpił sam Jezierski, towarzyszył mu Poraj. Jeden rzut oka przez małe okienko w drzwiach wystarczył mu, by ocenić podejrzanego, który choć barczysty i silny, teraz pocił się jak mysz i drżał ze strachu.

– Ciekawe – mruknął agent. – Albo jest winny i wie, że już się nie wykręci od stryczka, albo jest

niewinny i teraz boi się, że skoro go zatrzymaliśmy, nie będziemy szukać nikogo innego i zawiśnie za czyjąś zbrodnię.

– Moim zdaniem jest winny – oświadczył twardo Jasiek. – Dziecko to żaden przeciwnik dla takiego osiłka, ale teraz ma do czynienia z nami i tchórz go obleciał. Wie, że za taką zbrodnię czeka go kara śmierci.

– Wiesz co, Jasiek? Faktycznie wszystko świadczy przeciwko niemu, choć mnie się wydaje, że to nie on.

– Ależ szefie! – wykrzyknął młody policjant z mieszaniną oburzenia i niedowierzania.

– Powiadam ci, mamy nie tego mężczyznę.

– Jak szef może być tego tak pewien? – zapytał Jasiek z goryczą. – Wszystko wskazuje na niego: zeznania tej prostytutki, jego wygląd zgadza się z tym, co zeznali świadkowie, no i zgolił brodę...

– Wiem – odparł spokojnie agent. – Mimo to jestem pewien, że to nie nasz sprawca. Ale, oczywiście, trzeba go przesłuchać. Notuj najważniejsze rzeczy, bo ten urzędniczyna chyba nie wie, co jest istotne, i będzie zapisywał wszystko. Ty pisz tylko to, co będzie wymagało sprawdzenia, czyli przede wszystkim jego alibi.

– Jeśli jakieś ma...

– Sądzę, że jednak ma, choć nie wydaje się specjalnie bystry, więc może nawet sobie z tego nie zdawać sprawy. Ale o tym mu nie powiemy.

– Dzięki Bogu! – westchnął Jasiek, bo nadal był przekonany, że jego szefowi coś zaćmiło umysł.

– I jeszcze jedno, przyszli już ci ludzie, którzy go widzieli owego dnia z dziewczynką?

– Tak jest, czekają w pokoju obok.

– No, to do roboty.

Jezierski z Porajem weszli do pokoju i rozpoczęło się przesłuchanie. Wzięty w krzyżowy ogień pytań Siwiec ze łzami w oczach przyznał, iż znał Kasię, często przyglądał się jej tańcom, bo „mała miała do tego dryg”, nie zaprzeczył też, że trzymał ją czasem na kolanach.

– Ale zamordować?! – krzyknął, padając na kolana. – Nigdy! Panowie! Nie mógłbym skrzywdzić żadnego człowieka, a tym bardziej dziecka!

Niestety, konfrontacja ze świadkami z Czaszek nie wypadła dla niego korzystnie, ponieważ wszyscy bez wyjątku potwierdzili, że to on właśnie jest mężczyzną, którego widzieli z małą dziewczynką. Jedyne dorożkarz nie był zupełnie pewny. Kiedy jednak Jezierski kazał podejrzanemu włożyć na głowę słomkowy kapelusz, Nowik krzyknął: „To on!”. Jasiek z triumfem w oczach spojrzął na szefa i zatrzasnął kajdanki na rękach Siwca. Jezierski nie wyglądał na zmartwionego, co bardzo pocieszyło Poraja. Był pewien, że agentowi minęło już to dziwne zaćmienie umysłowe, szczególnie że kazał mu przewieźć podejrzanego do więzienia i uważać, aby po drodze lub na miejscu nie doszło do linczu.

Jakież jednak było zdziwienie Jaśka, gdy wróciwszy z więzienia, przed którym faktycznie zgromadził się wściekły tłumek, dowiedział się, że agent siedzi w pokoju przesłuchań z jakimś mężczyzną, który wpadł tu niczym burza, krzycząc, że Siwiec jest niewinny. Oburzony Poraj bez ceregieli wparował do środka, ale jedno spojrzenie agenta osadziło go na miejscu. Usiadł więc cichutko przy małym bocznym stoliku obok protokolanta. Zajrzał mu przez ramię i przeczytał, że nowy świadek nazywa się Marian Bronicz i jest przedstawicielem agencji ubezpieczeniowej „Jutrzenka”.

– W dniu, w którym popełniono to ohydne morderstwo – mówił właśnie mężczyzna – rano zatrudniłem Siwca jako agenta pomocniczego dla mojej firmy i byłem razem z nim do godziny czternastej w Zakładzie Monopolowym na Tyńcu<sup>86</sup>.

– Dlaczego zatrudnił pan Siwca?

– Bo już kiedyś dla mnie pracował i nie uwierzy pan, ale naprawdę dobrze mu szło. Niestety, to człowiek słaby i gdy wpadł w sidła tej prostytutki... przepadł z kretesem. Poza tym, on łatwo traci głowę i gdy padło na niego podejrzenie o morderstwo, wpadł w panikę.



– Sprawdzimy pańskie słowa i jeśli wszystko okaże się prawdą, to Siwiec rzeczywiście będzie miał niezbite alibi. Na razie jednak pozostanie w więzieniu, dopóki nie potwierdzimy pańskich zeznań.

– Powinniście szukać prawdziwego sprawcy, bo to na pewno nie Siwiec – oświadczył pewnie Bronicz.

– Dlaczego pan go tak broni?

– Nie dlatego, że jest moim przyjacielem, bo nie jest. Ale nie mogłem znieść myśli, że prawdziwy morderca chodzi sobie wolny, podczas gdy niewinny człowiek gnije za niego w więzieniu. Jeśli nie schwytacie tego drania, może zginąć kolejne dziecko. Nie chciałbym tego, proszę pana, sam mam dzieci.

Rozmowa trwała jeszcze kilka minut, po czym Bronicz pożegnał się i wyszedł. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, agent kazał Jaśkowi wezwać dorożkę i wysłał kilku policjantów z powrotem do domu Dolata, by jeszcze raz dokładnie przeszukali cały pobliski teren w poszukiwaniu śladów zabójstwa.

– Musimy znaleźć miejsce zbrodni, bo na pewno nie popełniono jej nad rzeką. Sprawca tylko wrzucił ciało do Proсны, mając nadzieję, że zatonie i nikt go nie znajdzie.

– Ale po czym poznamy to miejsce, szefie? – zapytał jeden z policjantów. – Dziewczynkę podobno uduszono, więc nie będzie śladów krwi.

– Tak, to rzeczywiście utrudnia sprawę – przyznał agent. – Jeśli jednak Kasię zabito poza domem, może uda wam się znaleźć jakieś fragmenty jej ubioru.

Wydawszy polecenia, Jezierski zawołał Poraja i pojechali na Tyniec, by sprawdzić alibi Siwca. Po drodze obaj wspominali całkiem niedawne czasy, gdy zaczęto budować zakład monopolowy. Zaledwie cztery lat temu, w 1896 roku, imperium rosyjskie opodatkowało produkcję alkoholu, szczególnie spirytusu i wódki, tak jak zrobiło to już z herbatą i welocypedami oraz wieloma innymi artykułami. Dlatego postanowiono, że od 13 stycznia 1898 roku wszystkie istniejące gorzelnie zobowiązane będą sprzedawać swoje wyroby jedynie specjalnie wyznaczonym do tego instytucjom państwowym zwanym zakładami monopolowymi. Dla guberni kaliskiej i piotrkowskiej główny skład został utworzony właśnie w Kaliszu<sup>87</sup>.

Na miejscu Jezierski z Porajem przesłuchali rozmaitych pracowników, od zarządcy poczynając, na odźwiernym kończąc. Poszło im sprawnie, mimo sporej liczby osób, ale w końcu chcieli tylko sprawdzić, czy Siwiec rzeczywiście był w tym czasie w składzie albo czy nie wyszedł wcześniej. Okazało się, że Bronicz mówił prawdę, co bardzo zmartwiło Jaśka, ucieszyło natomiast jego szefa. A skoro aresztowany Siwiec był niewinny, nawet Jasiek musiał przyznać, że trzeba jak najszybciej znaleźć właściwego sprawcę, co koń wyskoczy wrócili zatem do miasta, by sprawdzić, czy wysiłki policjantów przyniosły jakiś skutek.

Na miejscu spotkało ich jednak rozczarowanie. Wielka akcja poszukiwawcza zakończyła się kompletnym fiaskiem, ponieważ nie znaleziono nic, co wiązałoby się z uprowadzeniem i zabójstwem Kasi. Policjanci zebrali się przed sklepem nieopodal domu Dolatów, gdyż dzień był gorący i wszystkim chciało się pić. Właściciel sklepu wyniósł dla nich dwa poobtłukiwane stoliki i kilka kulawych krzeseł, reszta przysiadła sobie na niskim murku, częściowo oddzielającym sklep od drogi. Po chwili policjanci raczyli się zimną wodą sodową lub herbatą, którą żona sklepikarza specjalnie dla nich zaparzyła w dużej ilości i schłodziła.

Jezierski usiadł na jednym z krzeseł i zapalił cygaro, które zawsze uważał za świetny wspomagacz pracy mózgu. Zapewne tak stało się i tym razem, po chwili bowiem zamyślił się głęboko, mimo panującego wokół gwaru rozmów. Nagle zerwał się z krzesła i zawołał:

– Kończcie pić i jeszcze raz przeszukajcie cały budynek, szczególnie piwnice i strych.

– Ale dlaczego, szefie? – zdziwił się Jasiek. – Poprzednio nic nie znaleziono.

– Wiem – agent potarł ręką czoło. – Zastanawiam się, czy nie było tak, że Kasia w ogóle nie opuściła budynku.

– Jak to?

– Mogła zostać uprowadzona do obcego mieszkania, do piwnicy lub na strych. Tam ją zamordowano i później przeniesiono nad Prosnę i wrzucono do rzeki.

– To rzeczywiście możliwe, ale jeśli poprzednio nic nie znaleziono...

– Nie zaszkodzi sprawdzić. Wyślij część ludzi, dwóch zostaw, niech idą z nami.

– Ale dokąd?

Jezierski zawahał się, choć zaraz podjął decyzję.

– Czy zauważyłeś, że pewne informacje przekazane nam w trakcie śledztwa są uderzająco do siebie podobne? To one właśnie doprowadziły do aresztowania Siwca.

– Rzeczywiście – odparł ostrożnie Jasiek, bo nadal nie widział związku.

– Od kogo wyszły te informacje?

Jasiek podumał chwilę, wreszcie stwierdził:

– Od prostytutki i jej... opiekuna.

– Której prostytutki? Bo przewijają się nam tu dwie.

– Od Lipowskiej.

– Tak. Jak się nazywa jej sutener?

– Bujnicki – szybko przypomniał sobie Jasiek. – Teodor – dodał. – Ale on nic nie mówił podczas śledztwa. Przynajmniej tak stało w raporcie.

– Kto ich przesłuchiwał?

– Popiołko i Polowczyk.

– Zawołaj ich. Pójdą z nami. Ale najpierw z nimi porozmawiam.

Po chwili Jasiek wrócił, lecz tylko z jednym policjantem.

– Polowczyk poszedł już z pierwszą grupą przeszukiwać budynek, ale zaraz ktoś go ściągnie – wyjaśnił.

– Dobrze, na razie wystarczy mi Franciszek. Siadaj, chłopie, pogadamy.

Popiołko usiadł ostrożnie, gdyż zupełnie nie wiedział, czego się po tej rozmowie spodziewać. Po chwili jednak rozluźnił się, ponieważ najwyraźniej szef oczekiwał od niego dokładnej relacji z przesłuchania Lipowskiej. W toku opowiadania przyznał się wreszcie do dręczących go wątpliwości.

– Dlaczego nie powiedziałeś o tym wcześniej? – W głosie agenta zabrzmiał wyrzut.

– Nie miałem nic na poparcie swoich przeczuć – bronił się Popiołko. – Nadal nie mam.

– Przeanalizujmy to jeszcze raz.

– Dobrze, ale to nic nie da. – Policjant smętnie zwiesił głowę. – Myślałem nad tym setki razy i nic nie znalazłem.

– Co dwie głowy to nie jedna, a teraz mamy trzy – pocieszył go agent, choć sam miał niewielką nadzieję, że odkryją jakąś lukę w zeznaniach. Popiołko był bystrym i sumiennym policjantem, w dodatku bardzo doświadczonego. Jednak Jezierski ufał policyjnej intuicji podwładnego, gdyż sam miał takie przecucia. – Jasiek, zanim usiądziesz, zamów nam coś do picia.

Poraj posłusznie zanurzył się w czeluściach ciemnego sklepienia, tymczasem agent zapalił kolejne cygaro. Poczęstował też Popiołkę.

– Może Lipowska mówiła prawdę, a może nie – zaczął agent. Musimy pamiętać, że informacje wyszły od niej, a w dodatku jej mieszkanie znajduje się tuż obok mieszkania Dolatów, po sąsiedzku.

– To wszystko prawda, ale Lipowska nie mogła zabić dziewczynki ani nawet pomagać w tej zbrodni, ponieważ tego dnia przebywała jeszcze w więzieniu.

– A jej... przyjaciel?

– On był u niej gościem. Odebrał ją z więzienia, a ona zaprosiła go do siebie na obiad, w końcu podobno to jej narzeczony.

Nagle nad ich głowami rozległ się niespodziewanie głos sklepikarza, który z pomocą Jaśka przyniósł im właśnie napoje. Postawił je na stole i oznajmił, biorąc się pod boki:

– Ale tam! Teodor wcale nie jest gościem u Lipowskiej! Od roku tu z nią mieszka!

– Jak to? – zdumiał się Popiołko, podczas gdy agent rozsiadł się wygodnie na krześle z miną zadowolonego kota, który właśnie upolował mysz. – Przecież w jego dokumentach jest inny adres...

– W dokumentach to można mieć wszystko wpisane, co nie znaczy, że tak jest – stwierdził filozoficznie sklepikarz.

Popiołko zapłonął z oburzenia, ale agent położył mu rękę na ramieniu, zanim tamten zdążył się odezwać.

– Samo życie – powiedział. – A czego się spodziewałeś? Zapewniam cię, że nie on jeden mieszka gdzie indziej, niż wskazywałyby na to jego papiery. Co jeszcze wie pan o tej sprawie albo w ogóle o Bujnickim? – zapytał sklepikarza.

– On ten pokój wynajął od szewca tak dla picu, kamuflażu, znaczy się. Ale naprawdę to mieszka tam ktoś inny, ale nie wiem kto.

– Nie szkodzi, sprawdzimy to – odparł agent i wskazał mężczyźnie krzesło obok siebie. Jasiak tylko przewrócił oczami, lecz bez słowa poszedł po inne krzesło dla siebie. – Proszę, niech pan usiądzie z nami. Widzę, że dużo pan wie o tutejszych mieszkańcach.

– A jakże – potwierdził sklepikarz, dumnie prężąc pierś. Gdy jeszcze Jezierski poczęstował go cygarem, omal nie pękł z zachwytu. – To jedyny sklep w najbliższej okolicy, dużo ludzi robi u mnie zakupy. A w sklepie każdy chętnie zatrzyma się na chwilkę, pogada ze mną albo znajomymi, a ja i tak wszystko słyszę. Czasem to sobie myślę, że wiem więcej niż ksiądz na spowiedzi.

– Tego to ja jestem akurat pewien! – roześmiał się agent. Poraj z Popiołką przezornie milczeli, nie chcąc zepsuć szefowi przesłuchania, które miało wyglądać na zwykłą towarzyską pogawędkę. Ale uważnie się przysłuchiwali. – Na pewno ksiądz nie pozna wielu sekretów tych ludzi, szczególnie jeśli nie są zgodne z prawem.

– Też tak sędzę – zarechotał sklepikarz. – Nie ma potrzeby obciążać świętobliwych uszu księdza takimi nowinami. Inaczej można by rozgrzeszenia nie dostać!

Wszyscy zgodnie się roześmiali, więc nad wyraz zadowolony z siebie sklepikarz bez oporów mówił dalej:

– Wiem też, że taki z Bujnickiego handlarz starzyzną jak i ze mnie, a ja mam tylko starą żonę!

Kolejny wybuch śmiechu.

– To zwykły kamuflaż, szanowni panowie! On tylko od czasu do czasu pokazuje się z jakimiś kłopotami w knajpach i jadłodajniach, ale każdy głupi wie, że nie mógłby z tego wyżyć. To zwykłe praktyki u sutenerów, żeby nie wpaść w oko policji.

Popiołko głośno przełknął ślinę, ale zmilczał. W duchu zaś obiecał sobie solennie, że jak tylko skończy się to śledztwo, natychmiast weźmie się do dokładnego sprawdzenia każdego podejrzanego typu, choćby miał wpisane w dokumentach, że mieszka w pałacu biskupim.

– Faktem jest, że Bujnicki był tego dnia w urzędzie stanu cywilnego i zamówił ślub z Johanną. Jej ojciec nie mógł się temu nadziwić! To starszy pan, już dobrze po siedemdziesiątce, ale sam robi zakupy. Kiedyś był tokarzem, lecz teraz siedzi na rencie. Jak tylko dowiedział się o ślubie, a dowiedział się szybko, bo Johanna zaraz do niego pobiegła, gdy tylko Teodor poszedł do urzędu, to się u mnie pojawił. Po chleb, znaczy się, i długo o tym mówiliśmy...

Sklepikarz tak się rozgadał, że nawet nie zauważył, jak agent spojrział na Poraję, dając mu jakiś dyskretny znak ręką. Ten po chwili wstał, przeprosił grzecznie i powiedział, że zaraz wróci, ale teraz musi sprawdzić, jak jego ludziom idzie przeszukiwanie budynku. Gdy wrócił, szef z Popiołką siedzieli już sami.

– Gdzie ten gaduła? – zapytał cicho Poraj, nieufnie spoglądając w stronę ciemnego sklepu.

– Przygotowuje nam kanapki – odparł wesoło agent. – Za specjalną zapłatą.

– On, a nie żona? – zdziwił się Jasiak.

– Żona obraziła się za porównanie ze starzyzną i wyszła do sąsiadki. Pewnie teraz wypłakuje się jej nad kubkiem herbaty z gorzałką i jakimś plackiem.

– A, to jednak wszystko słyszała? – Jasiek uśmiechnął się szeroko. – No, gdybym ja tak powiedział o żonie, to nie ona by wyszła z domu, tylko ja bym wyleciał jak z procy, to pewnie!

– Wiemy, że jesteś pantoflarzem, ale to lepsze niż być damskim bokserem. Ja też swojej żonie chętnie ustępuję, gdyż niezmiernie sobie cenię spokój i harmonię w rodzinie. Wierzaj mi, to żaden wstyd. Tylko głupiec będzie walczył ze swoją połowicą, bo i tak wiadomo, że w końcu polegnie. A teraz mów, co wiesz od ojca Lipowskiej. Tylko szybko, bo on tych kanapek nie będzie robił wiecznie.

Jasiek usiadł i otarł pot z czoła.

– Jak mam mówić szybko, to powiem po kolei, co mówił stary, bez względu na to, czy ma to związek ze sprawą, czy nie – ostrzegł Poraj i łyknął z pierwszej szklanki, która wpadła mu w rękę. – Johanna już jako czternastoletnia dziewczynka została... hm... „uwiedziona” przez Bujnickiego, syna szcztokarza. Gdy miała lat szesnaście, ten sprowadził ją na stałe do swojego pokoju, ale nie wiem, gdzie wtedy mieszkał...

– To teraz nieważne – pogonił go agent. – W razie czego później się sprawdzi. Mów dalej.

– Ojcu Johanny powiedział, że teraz nie będzie musiał pracować, bo ona go wyżywi. No i posłał ją na ulicę. I tak od lat bez mała osiemnastu żyją sobie razem. Ona zarabia pieniądze, a on je wydaje. Pije, gra i wozi ją po całej guberni, a nawet i dalej. Podobno wynajmował ją nawet w Warszawie i innych miastach do prywatnych „przedstawień artystycznych”, podczas których rozbierała się przed publicznością i była do pełnej dyspozycji panów. Tfu!

– Później się możesz oburzać, teraz mów, bo nie mamy czasu – nakazał surowo agent.

– Jej ojciec powiedział, że Johanna jest leniwa, zmysłowa, uległa i bardzo głupia, skoro od osiemnastu lat wciąż wierzy, że wyjdzie za Bujnickiego za męża. A ten to też nie lada ziółko. Do paki poszedł już jako szesnastolatek za jakieś „nierządne czyny na ulicy”, a potem też odsiadywał liczne kary, głównie za kradzieże i gwałty. Dlatego stary nie wierzył, że kiedykolwiek poślubi Johannę. Gdy więc dowiedział się od niej, że to jednak wkrótce nastąpi, stwierdził, że musiało zajść coś naprawdę nadzwyczajnego, bo ten obwieś jak ognia unikał dotąd ślubu. Ciekawe, co?

– Hm, rzeczywiście, to naprawdę ciekawe – mruknął agent. – Nawet jeśli wziąć pod uwagę zrozumiałą niechęć starego do Bujnickiego, to jego słowa zasługują na sprawdzenie. Szczególnie to, że musiało się coś nadzwyczajnego zdarzyć, skoro po osiemnastu latach ten obwieś zdecydował się na małżeństwo.

W tej chwili ze sklepu wynurzył się sklepikarz z wielką tacą kanapek. Jezierski wstał.

– Jasiek – powiedział do Poraja – ja zapłacę i wrócę do miasta. Ty zostań i poczekaj na chłopaków. Gdy wrócą z przeszukania, niech się posilą, a potem wyślij do mnie gońca z wiadomością, czy coś znaleźli.

– Wątpię – mruknął Jasiek.

– Ja też, ale zawsze trzeba sprawdzać. No i to wszystko, na dzisiaj wystarczy. Jutro też jest dzień.

Nazajutrz Jezierski ponownie wysłał sporą grupę policjantów do miejsca zamieszkania Dolatów. Tym razem mieli oni odwiedzić wszystkie lokale w budynku oraz na wszelki wypadek także w sąsiednich domach i zebrać odpowiedzi na następujące pytania: Jaki był stosunek Bujnickiego do dzieci? Czy znano go jako gwałciciela? Czy w południe feralnego dnia przebywał on w mieszkaniu Lipowskiej? Czy ktoś go widział poza mieszkaniem Johanny? Czy ktoś widział go kiedykolwiek z Kasią Dolat, a jeśli tak, to jak zachowywał się on w stosunku do dziecka? Czy ktoś słyszał jakieś niezwykle odgłosy dochodzące z mieszkania Lipowskiej między godziną dziewiątą a nocą tego dnia, gdy zaginęła Kasia Dolat?

Zadanie nie było wcale łatwe, gdyż każda rodzina, a właściwie każdy człowiek miał w tej brudnej kwaterze własne problemy i potrzeby. Mało kto zatem interesował się tym, co dzieje się u sąsiadów. Po godzinie Polowczyk natrafił jednak na jednym z górnych pięter na mieszkającą samotnie osiemdziesięcioletnią kobietę, panią Annę Wołek. Tego dnia, gdy w południe Kasia szła do klozetu,



kobieta wchodziła po schodach na górę z zakupami. Dziewczynka zaofiarowała się zanieść zakupy do jej mieszkania, ale staruszka podziękowała i poszła dalej. W tym czasie zza drzwi mieszkania Johanny Lipowskiej wyłonił się Bujnicki. Był tylko w koszuli i spodniach. Obserwował dziecko, a jednocześnie odprowadzał wzrokiem staruszkę, dopóki nie zniknęła na wyższym piętrze. Kobieta zdenerwowała się wówczas, gdyż odniosła przykre wrażenie, jakby Bujnicki tym spojrzeniem mówił: „Pospiesz się, stara, i znikaj”. Ale przez myśl jej nie przeszło, że to spotkanie w sieni może mieć jakieś znaczenie, skoro Kasia dobrze go znała i mówiła do niego „wujku”.

Podobne zeznanie złożyła Popiołce panna Markowska, która odnajmowała mieszkanie bezpośrednio nad Johanną Lipowską. Zastanawiała się dłuższą chwilę, aż w końcu oświadczyła, że i owszem, tego dnia między godziną trzynastą a czternastą słyszała przez otwarte okno dochodzący z dołu głos dziecka, które wołało: „Nie!”. Ona również nie przywiązywała do tego zdarzenia wagi, szczególnie że w wielodzietnych rodzinach często dochodziło do kłótni między rodzeństwem. Popiołko poszedł za ciosem i postanowił od razu sprawdzić mieszkanie znajdujące się bezpośrednio pod mieszkaniem Lipowskiej, w którym mieszkał krawiec Szczygieł z żoną. Jakież było jego zdumienie, a jednocześnie satysfakcja, gdy okazało się, że tego dnia około godziny trzynastej trzydzieści posłyszeli gdzieś nad sobą odgłos upadku, który „nie skończył się zaraz, lecz przeszedł w takie odgłosy, jak gdyby ręce i nogi obijały się o podłogę”. Szczygieł powiedział wtedy do żony, że „to chyba Anka wypadła z łóżka”, mając na myśli starszą panią Wołek.

Pod wrażeniem tak sensacyjnych zeznań Popiołko z Polowczykiem nakazali pozostałym kolegom dyskretnie obserwować każdy krok Bujnickiego i Lipowskiej, a sami szybko wrócili do miasta, by złożyć raport Jezierskiemu. Zanim to jednak zrobili, sprawdzili w policyjnych rejestrach meldunki o karach, które dotychczas zostały wymierzone Bujnickiemu, i znaleźli następujące zarzuty: przywłaszczenie pieniędzy, oszustwo, zakłócanie spokoju publicznego, gwałtowne reakcje w stanie nietrzeźwym, a potem długa seria kar za stręczycielstwo i nierząd.

Jezierski wysłuchał policjantów i pochwalił ich za sprawne działanie. Gdy został sam, zapalił cygaro i zamyślił się. Chciał aresztować Bujnickiego, wahał się jednak, gdyż tak naprawdę nie miał nic poza oświadczeniem Anny Wołek, Markowskiej i małżeństwa Szczygłów. Żadne z tych zeznań nie było jednakże dowodem ani nie wskazywało bezspornie na winę Bujnickiego. Takie odgłosy w gęsto zaludnionym domu były na porządku dziennym i zwykle nie oznaczały niczego nadzwyczajnego, a cóż dopiero mówić o zabójstwie! Postanowił więc jeszcze wstrzymać się z aresztowaniem.

Szczęście mu jednak nieco sprzyjało i jeszcze tego samego dnia po południu dumny jak paw Popiołko osobiście przyprowadził mu nowego świadka, panią Zofię Romską, która z całą mocą swej dużej i bardzo piersiastej osoby twierdziła, że wcześniej rano tego dnia, gdy nieszczęsny parkowy wyłowił z Proсны tułów Kasi Dolat, zauważyła na nabrzeżu jakiegoś mężczyznę, który niósł dużą prostokątną paczkę, a na smyczy miał rudego jak marchewka psa. Mężczyznę opisała dość ogólnie, gdyż w oczy bardziej rzucił się jej pies, ale nawet ten skąpy opis pasował do Bujnickiego. Najważniejszy był jednak zwierzak, gdyż jego wygląd był mocno charakterystyczny. Jezierski miał nadzieję, że Romska nie zmyśla i faktycznie widziała Bujnickiego, gdy niósł nad Prosnę pokiereszowane zwłoki Kasi Dolat, a psa wziął ze sobą tylko po to, by uwiarygodnić swój wczesny spacer.

Lecz decyzję o aresztowaniu nowego podejrzanego Jezierski podjął dopiero nazajutrz, gdy otrzymał od swoich ludzi informację, że czterech dwunastolatków, którzy wybrali się o świcie na ryby, zauważyło pływający w kanale łączącym się z Prosną duży kłęb włosów. Wezwani na miejsce policjanci zamarli z przerażenia i odrazy. Znaleźisko było istotnie makabryczne, ponieważ ich oczom ukazała się głowa dziecka i dwa związane na krzyż ramiona, już na etapie rozkładu. Ponadto, na ramionach znajdowały się resztki brązowego materiału i kawałki gazety. Bezspornie była to głowa Kasi Dolat, której podobizna widniała na gęsto rozklejonych w całym mieście afiszach. Krótko potem policjanci dopasowali do siebie ocalałe fragmenty gazet z obu miejsc i okazało się, są one częścią tego samego egzemplarza „Gazety

Kaliskiej”.

Jeziński natychmiast nakazał aresztowanie zarówno Bujnickiego, jak i Lipowskiej, gdyż był przekonany, że choć kobieta nie brała udziału w morderstwie, to jednak później pomagała kochankowi zacierać ślady i okłamywała policję. Gdy wyłowione szczątki znalazły się już w pracowni Zaifa, agent kazał przywieźć tam Bujnickiego. Osobiście zaprowadził go do stołu w sali sekcyjnej, gdzie dopiero co została złożona głowa i ramiona Kasi Dolat, czym wzbudził lekkie zdziwienie obu lekarzy, przy czym Małyszko patrzył zafascynowany, Zaif natomiast zmarszczył brwi. Nie był zadowolony, wiedział bowiem, do czego zmierza agent. Otóż Jeziński chciał posłużyć się starą, brutalną, a dla Zaifa wręcz barbarzyńską metodą policji kryminalnej z całego świata, która niejednego mordercę zmusiła już do szybkiego przyznania się do winy, gdy nagle stawiano go oko w oko ze swoją ofiarą.

Bujnicki na widok makabrycznych szczątek zbladł jak ściana i począł się trząść jak w febrze. Lecz po kilku minutach oznajmił zdławionym głosem:

– Nie wiem, dlaczego pan kazał mnie tu przywieźć. Ja ze śmiercią tego dziecka nie mam nic wspólnego. Nawet nie wiem, kim ono jest.

Agent trzymał go mocno i choć mężczyzna szarpnął się, nie pozwolił mu odsunąć się od stołu.

– Na pewno? Przyjrzyj się dobrze! Znałeś przecież małą Dolatównę!

Bujnicki zaczął się wyrwać i histerycznie krzyczeć:

– To Kasia? Mój Boże! Ja jej nie zabiłem! Musicie mi uwierzyć! Ja nikogo nie zabiłem! Nie jestem mordercą!

Nagle zwiotczał i gdyby nie silny uścisk agenta, upadłby na podłogę.

– Dosyć, Walery – nakazał Zaif, uznając, że najwyższy czas się wtrącić. – Ten biedak właśnie zemdłał.

– Ten „biedak” jest zabójcą! – wydyszał Jeziński. – I to najgorszego sortu! Być może zgwałcił i zabił dziecko!

– Być może, ale jeszcze nie wiesz tego na pewno. Masz niezbite dowody? Na pewno nie, inaczej nie doprowadzałyś do takiej... konfrontacji!

Jeziński opuścił bezwładne ciało Bujnickiego na podłogę, niezbyt delikatnie zresztą, a sam usiadł ciężko na krześle i zapalił cygaro. Po chwili wstał, wyjrzał za drzwi i wezwał stojących tam dwóch policjantów, by odwieźli podejrzanego do więzienia. Widząc ich zdziwione spojrzenia, powiedział:

– Zemdłał. W takim stanie nie będzie wam sprawiał kłopotów, tyle że musicie zanieść go do powozu.

Policjanci zabrali Bujnickiego, w czym pomógł im Małyszko, otwierając drzwi i eskortując ich do wyjścia ze szpitala. Agent tymczasem wrócił na swoje krzesło.

– Masz rację – zwrócił się do Zaifa. – Mam tylko poszlaki, ale wszystkie układają się w całość i wskazują na tego drania. To samo podpowiada mi instynkt.

– Walery, to za mało.

– Wiem.

– I w ten sposób chciałeś nakłonić go do przyznania się?

– Nie miałem wyjścia – westchnął Jeziński. – Z każdej strony są takie naciski na szybkie rozwiązanie sprawy, że nawet sobie nie wyobrażasz. Muszę jak najszybciej znaleźć zabójcę, to absolutny priorytet, inaczej, źle się to dla nas skończy... Mam tu na myśli przede wszystkim gubernatora. Wszystkie inne rzeczy musiałem odłożyć i chociaż początkowo przekazałem je Jaśkowi, to już teraz wiem, że i on nie zdoła się nimi zająć. Potrzebna jest mi dosłownie każda para rąk. Policję atakują reporterzy, zwykli ludzie na ulicy, jednym słowem, tak zwana opinia publiczna. Gorzej, że władze w Warszawie i Petersburgu nie dają nam żyć, bo ochrona śle na gubernatora raport za raportem, każdy gorszy od poprzedniego...

Zaif zmartwił się i przez chwilę milczał, intensywnie rozmyślając.

– Przesłuchiwałeś go już? – zapytał. – Może przyznałby się, gdybyś przedstawił mu zeznania świadków, zebrane dowody...

– Jakie dowody? – zapytał z goryczą agent. – Nie mamy nic prócz różnych zeznań, z których, owszem, wyłania się obraz winy Bujnickiego, lecz każdy adwokat, jeśli nie jest kompletnym idiotą, w mig się z tym rozprawi.

– Jeśli mocno go przyciśniesz... Mam tu na myśli zastosowanie na przykład sokratycznej metody przesłuchania...

– Co proszę?

– Na pewno znasz tę metodę, tylko nie wiesz, że tak się nazywa.

– Dobrze, mów, co to znów za lichy.

– Ta metoda zwana jest dwojako: sokratyczną lub erotematyczną...

– Ta nazwa jest dużo ciekawsza – zauważył agent.

– Ale nie ma nic wspólnego z tym, co zapewne masz na myśli. Jest to metoda używana w erystyce<sup>88</sup>, służąca umocnieniu własnych twierdzeń poprzez zadawanie adwersarzowi pytań, na które przeciwnik ma odpowiedzieć twierdząco. Adwersarz zwykle jest nawet nieświadomy tego, że swoimi wypowiedziami pomaga komuś w dowodzeniu jego tez, gdyż jest atakowany krótkimi i bardzo szybko zadawanymi pytaniami, by nie mógł przemyśleć swoich odpowiedzi ani domyślić się celu rozmowy. I właśnie ta metoda jest stosowana także podczas przesłuchań, kiedy to oskarżonego bierze się w krzyżowy ogień pytań, aby wyłuskać ewentualne sprzeczności w jego odpowiedziach.

– A tak, to rozumiem. Rzeczywiście, policjanci często stosują ten sposób, prawnicy także, o ile wiem.

– Zapewne. Mógłbyś więc wypróbować ją na podejrzanym.

– Ależ wypróbowałem, za kogo mnie masz? Pomagał mi Jasiek z Lipskim, męczyliśmy się z tą gadziną bite sześć godzin i nic!

– Kompletnie nic?

– Nie no, coś tam mówił, ale cały czas się wypierał jakichkolwiek związków z zabójstwem. Jego zeznanie brzmiało następująco: dwa dni przedtem odprowadził Johannę Lipowską do więzienia, a wracając, spotkał jakiegoś znajomego, mniejsza o nazwisko, jest w aktach. Kilka przecnic dalej spotkali innego znajomego z „pewną” kobietą i Bujnicki, człek o gołęmbim sercu – agent wymówił te słowa z jadowita ironią – udostępnił mieszkanie Johannы temu znajomemu, a sam poszedł do pewnej spelunki, gdzie się upił i spędził noc. Wczesnym rankiem wrócił do domu, gdzie około południa odwiedziła go siostra, by przygotować mu obiad. Skubany, podał nawet, co dostał na ten cholerny obiad: śledzie i ziemniaki.

– Siostra potwierdziła jego słowa?

– Nie wiem, nie dostałem jeszcze raportów. Moi ludzie przesłuchują wszystkich jego znajomych, rodzinę i mieszkających w pobliżu ludzi.

– To może niedługo czegoś się dowiesz.

– Zapewne. A wracając do zeznań Bujnickiego, jakąś godzinę potem siostra wyszła, a on położył się i spał do wieczora, kiedy to wstał na chwilę, żeby wyprowadzić psa. Na spacerze w tym ich „parku” rzekomo spotkał dziewczynę, która nie miała się gdzie zatrzymać. Zaprosił ją więc do siebie, a że nie miał już pieniędzy, dziewczyna zgodziła się przyjąć w ramach zapłaty kilka par pończoch i koszyk podróżny Lipowskiej. Spędzili razem noc, tyle że nad ranem dziewczę ulotniło się, podczas gdy on jeszcze spał. Ale jakoś nie potrafił sobie przypomnieć ani jej nazwiska, ani wyglądu. Większą część dnia podobno przespał i dopiero późnym popołudniem dowiedział się, że Kasia Dolat zaginęła. Znów wyprowadził psa i po krótkim spacerze spał aż do południa następnego dnia, kiedy to Johanna Lipowska wróciła z więzienia i to od niej dowiedział się, że znaleziono zwłoki Kasi. Świadectwo Anny Wołek, która widziała go, gdy wyglądał zza drzwi i gapił się na Dolatównę, określił jako czczą gadaninę starej, na wpół ślepej i głuchej jędzy, zeznania sąsiadów o podejrzanym odgłosach w jego mieszkaniu jako fantazjowanie, a oświadczenie innej kobiety, która widziała go o świcie na nabrzeżu z jakąś podejrzaną paczką, jako brednie ulicznicy włóczącej się po nocy. I tak w kółko. Sam widzisz, że z tymi poszlakami

nie uda mi się łajdaka nawet postawić przed sądem, a cóż dopiero mówić o wyroku skazującym!

– A co zeznała ta Lipowska? Może od niej się czegoś dowiedziecie?

– Hm, ciężka sprawa. Najpierw zdecydowanie i długo milczała, potem zasypała mnie pretensjami, że policja rujnuje jej marzenie o ślubie, aż w końcu złożyła wyjaśnienia, tylko że nie na wiele się nam one zdadzą. Gdy wróciła przed południem z więzienia, już na klatce schodowej dowiedziała się o tym, co się stało z małą Dolatówną. Weszła do mieszkania i w sypialni zastała Bujnickiego leżącego w łóżku. Kiedy opowiedziała mu nowiny, ten ponoć od razu stwierdził, że jego zdaniem mordercą jest Siwiec, a ona przyznała mu rację. Potem zmienili temat i szybko doszło do kłótni, gdyż Johanna zauważyła kilka zmian w mieszkaniu, które kazały jej podejrzewać, iż kochanek nie był jej wierny. Bujnicki przyznał, że na jedną noc odstąpił mieszkanie znajomemu i jego kobiecie, co ją uspokoiło. Kiedy jednak po południu zaczęła sprzątać mieszkanie, zauważyła, że znikł biały koszyk podróżny i znów doszło do awantury. Powiedziała z dumą: „Jak sobie Teodor podpije, natychmiast potrzebuje kobiety i zachowuje się jak buhaj. Ale kobiety, nie dziecka”. Potem ciosała mu kołki na głowie, dopóki nie przyznał się, że dwa dni wcześniej sprowadził do mieszkania nieznaną sobie, choć „chętną” kobietę, której podarował ten koszyk, gdyż nie miał pieniędzy. Lipowska wściekła się jeszcze bardziej i zrobiła mu kolejną scenę z takimi krzykami, że podobno Bujnicki zamknął okno, objął ją i poprosił, żeby nie żałowała głupiego koszyka, bo on zamierza się z nią ożenić. Rzekomo rozważył wszystko, kiedy jej nie było, i dlatego powziął takie postanowienie. Lipowska, jak się domyślasz, była wniebowzięta, bo na ten ślub czekała już od osiemnastu lat, ale on ciągle powtarzał, że wolałby spędzić dziesięć lat w więzieniu, niż mieć ją za żonę. Teraz, gdy jej kilka dni nie było, zrozumiał, że nie może bez niej żyć, i gdyby nie to, że była akurat sobota, i w dodatku późna godzina, to od razu poszedłby do urzędu zamówić ślub. Obiecał, że zrobi to jednak w poniedziałek. Sprawdziliśmy, tuż po ósmej rano rzeczywiście był w urzędzie stanu cywilnego i zgłosił ślub. A potem spędzili spokojnie kilka dni, aż tu nagle przyszła policja kryminalna i wszystko „zrujnowała”.

– Hm, przykro mi to stwierdzić, ale chyba nic na nią nie macie. Będziesz musiał ją wypuścić.

– Na to wygląda – ponuro zgodził się Jeziński. – Możemy ją jeszcze kilka godzin potrzymać.

– Swoją drogą, ta nagła decyzja o ślubie jest mocno podejrzana – stwierdził zamyślonym tonem Zaif.

– A jakże! Ale co z tego, kiedy nagła zmiana zdania w tej kwestii nie jest karalna.

– Ale chyba znalazłem nowy punkt zaczepienia – mówił dalej Zaif.

– Jaki? – zapytał Jeziński na poły z nadzieją, na poły z niedowierzaniem.

– Ów koszyk podróżny – oznajmił doktor z błyskiem w oku, który spowodował, że Jeziński natychmiast zorientował się, że Jakub ma coś mocnego w zanadrzu.

– Mów dalej – zachęcił go agent.

– Dlaczego właśnie w momencie, gdy zaczęła się kłótnia o ten koszyk, Bujnicki nagle wyznał swą „tęsknotę i miłość”, a co ważniejsze, gotowość wzięcia ślubu? Jakby obawiał się, że głośna kłótnia o zaginiony koszyk jakoś może mu zaszkodzić, a nawet skieruje na niego podejrzenia. Wygląda mi to następująco: po pijanemu ogarnęło go seksualne podniecenie i zwabił do mieszkania to dziecko, akurat przechodzące obok korytarzem. Wynika to ze słów jego kochanki, która powiedziała ci, że w stanie upojenia alkoholowego musiał natychmiast mieć jakąkolwiek kobietę.

– Ale nie dziecko. Tak powiedziała.

– Tak, lecz czy powiedziała prawdę? Może nadal go chroni? Jeśli bardzo pragnęła ślubu, a wszystko na to wskazuje, będzie tak robić. Musiałby zrobić coś bardzo złego...

– Zabicie dziecka nie wystarczy? To chyba wystarczająco złe?

– Nie pozwoliłeś mi skończyć. Musiałby zrobić coś, co jest złe także w jej systemie wartości. A i wtedy może go jeszcze podświadomie próbować chronić albo usprawiedliwiać.

– Rozumiem, co masz na myśli. Mów dalej.

– To nadal tylko przypuszczenia, teoria – zastrzegł Zaif.



– Ależ wiem.

– Skrzywdzona dziewczynka zapewne krzyczała, więc ją udusił, a potem rozczłonkował ciało, by zatrzeć ślady. Zapakował do koszyka fragmenty zwłok dziecka, a w nocy albo o świcie wyniósł je z domu i wrzucił do Proсны. Resztę zapakował w gazety i papier i też wrzucił do rzeki. Moim zdaniem koszyk odgrywa tu tak decydującą rolę, że był nawet gotów poślubić Lipowską, aby tylko uniknąć dalszych rozmów na ten temat. I wiesz co? Jestem prawie pewien, że z koszyka uda się zdjąć jakieś obciążające go ślady, bo z gazet i papieru już nie, za bardzo rozmiękły i zniszczyły się w wodzie. Moja rada brzmi: szukaj koszyka, a ja zajmę się resztą. Przy odrobinie szczęścia dostarczę ci niezbite dowody jego winy. Krew nam to powie.

Jeziński dłuższą chwilę wpatrywał się w przyjaciela. Krew? A cóż to za dowód? Byle adwokacina potrafi zbić taki argument, przekonując, że jego klient pobrudził się krwią zwierzęcą, bo niedawno zabijał kapłona. Wierzył jednak Zaifowi bezgranicznie i jeśli ten twierdził, że dostarczy mu niezbite dowody, to tak będzie. Nie miał jednak pojęcia, jak przyjaciel tego dokona. Właśnie zamierzał go o to spytać, gdy do laboratorium wpadł jak burza Poraj, omal nie roztrzaskując gwałtownie pchniętych drzwi o ścianę.

– Jasiek, skaranie boskie z tobą! – jęknął agent. – Nie masz już osiemnastu lat, żeby tu wpadać jak...

– Szeffie! – przerwał mu bez ceregieli Poraj, zamykając jednak drzwi spokojniej. – Bujnicki uciekł!

Jeziński zerwał się na równe nogi, ale nie zdążył nic powiedzieć, a właściwie wykrzyknąć, gdy drzwi ponownie rozwarły się gwałtownie i z hukiem uderzyły w ścianę, a do sali wpadł Antczak. Jasiek tym razem uznał to za dar niebios, bo uwaga niezadowolonego szefa natychmiast przeniosła się na nowego przybysza.

– Panie agent! – zawołał nieco zdyszany żebrak. – Złapaliśmy osobę, która zrywała afisze!

– No i któż to? – Jeziński nie mógł powstrzymać ciekawości, więc zbył tym razem milczeniem sposób, w jaki przybysz wszedł do środka. – Mów!

Antczak jednak zmieszał się, spuścił wzrok i zamilkł.

– Panie Bartłomieju! Niechże nas pan nie trzyma w niepewności! Kto to jest?

– Ano – zaczął niepewnie Antczak, przestępując z nogi na nogę – wygląda na to, że sama panna Garszyńska.

## Rozdział 8

W domu Alfonsa Parczewskiego rozpoczął się już poranny ruch, a sam gospodarz właśnie zasiadł nad filiżanką gorącej herbaty z samowara, gdy ktoś zapukał do tylnych drzwi. Służąca, kobieta słusznych rozmiarów i tuszy, oderwała się od rozpalania w piecu pod kuchnią, a że nikogo więcej nie było w pobliżu, wytarła ręce w fartuch i poszła otworzyć. Przed drzwiami zobaczyła mężczyznę, którego wygląd natychmiast wzbudził jej nieufność. Był nawet przyzwoicie ubrany, ale cóż z tego, skoro ubranie miał nieświeże i pomięte, twarz zmęczoną, a wokół roztaczał woń stęchlizny, jakby ostatnie kilka godzin spędził w piwnicy. U jego stóp leżał wysłużony kosz podróżny; był kiedyś zapewne biały, teraz jednak poszarzał i był bardzo poplamiony. Widać od dawna nikt o niego nie dbał.

– Niczego nie kupujemy – warknęła kobieta i chciała zatrzaskać intruzowi drzwi przed nosem, ale mężczyzna wykazał się dużym refleksem i zdążył je zablokować butem.

– Muszę się natychmiast widzieć z panem Parczewskim – zażądał bezczelnym, nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Mam dla niego coś, z czego będzie więcej niż zadowolony.

– Mówiłam już, że niczego nie kupujemy! Każdy domokrażca dobrze to wie!

– Nie jestem żadnym domokrażcą, dobra kobieto – oświadczył mężczyzna, siląc się na cierpliwość – i jeśli zaraz nie zaprowadzicie mnie do swego pana, to możecie stracić pracę.

– O, jaki ważny się znalazł! – wrzasnęła piskliwym z oburzenia głosem służąca. – A cóżeś ty za jeden,

żeby o tym zdecydować? Won mi stąd, łachudro, bo policję zawołam!

Za plecami hardej kobiety zamajaczył jakiś cień.

– Pelagio, co się tu dzieje? – zapytał męski głos.

– A bo, proszę jaśnie pana, przylazł tu taki włóczęga i domaga się widzenia!

– Słucham pana?

– Mam tu coś dla pana – powiedział znacznie pokorniejszym już tonem mężczyzna, zerkając na kosz u swych stóp. – Widziałem, jak ktoś to wyrzucał, i z ciekawości podszedłem zobaczyć, co to takiego. Myślę, że to pana bardzo zainteresuje...

– Ależ drogi panie! Pan mnie chyba pomylił z jakimś handlarzem starzyzną!

– Co to, to nie! Handlarzem starzyzną to jestem ja i doskonale wiem, do kogo przyszedłem. Pan Parczewski, nieprawdaż? Mam dla pana nie lada gratkę, bo tu są pewne dokumenta...

Parczewski na wzmiankę o dokumentach zawahał się. Wiedziony przecuciem, postanowił zaryzykować i wpuścić na chwilę tego dziwnie zachowującego się handlarza, zamiast kategorycznie go wyprosić.

– Proszę się streszczać, drogi panie – powiedział sucho adwokat, maskując niepokój, i gestem zaprosił go do kuchni. – A Pelagia niech nam poda co gorącego do picia. I jakąś kanapkę – dodał po chwili, widząc mizerny wygląd mężczyzny.

Pelagia wzruszyła z pogardą ramionami, ale nie ośmieliła się zaprotestować. Po chwili byle jak zrobiona, ale umieszczona na desce do krojenia gruba i obficie obłożona zimnym mięsem, cebulą i musztardą pajda chleba wylądowała na stole przed nieznanym. Ten spojrzął na nią łakomie, lecz powstrzymał się przed chwyceniem jej, choć głośno przełknął przy tym ślinę. Zamiast tego wydobył z kosza plik dokumentów i ostrożnie położył je przed adwokatem.

Parczewski nałożył okulary i zaczął je przeglądać, nieznanym tymczasem rzucił się na jedzenie. Po kilku sekundach adwokat wyprostował swą niezbyt wysoką, ale krzepką figurę i spojrzął ostro na gościa.

– Skąd pan to ma? – zapytał surowo, marszcząc gęste siwe brwi.

– Już mówiłem – odparł niezbyt wyraźnie, bo z kęsem kanapki w ustach nieznanym. – Przypadkiem widziałem, jak ktoś to wyrzucał. A że było jeszcze ciemno i człek ten dziwnie się jakoś zachowywał, jakby robił to ukradkiem, podszedłem, gdy tylko się oddalił. I znalazłem te papiery. Przejrzałem je pobieżnie i postanowiłem przynieść je do pana jako znakomitego eksperta w tej dziedzinie...

– Hm, znam się na tym co nieco – przyznał Parczewski trochę nieobecny tonem, gdyż dokumenty, które trzymał w ręku, sprawiły, że omal nie zemdlął z wrażenia. – To stare papiery, o dużej wartości kolekcjonerskiej...

– Tak też sobie pomyślałem – wtrącił niewinnym tonem nieznanym, ale nie zmylił tym nikogo. Pelagia prychnęła z pogardą, a Parczewski prześwidrował go wzrokiem.

– Nie wiem, czy pan się orientuje, ale te rzeczy zostały niedawno skradzione – powiedział powoli adwokat. – A kradzieży tej towarzyszyło zabójstwo...

Mężczyzna zbladł i zakrztusił się kanapką.

– Ja nic nie zrobiłem! – krzyknął w popłochu. – Może mi pan wierzyć, ja tylko to znalazłem! Chciałem jedynie dostać kilka rubelków znaleźnego, jeśli papiery są ważne!

Adwokat spojrzął na niego zamyślonym wzrokiem, pod którym nieznanym wił się jak piskorz, ociekając potem. Parczewski był przekonany, że to zwykła szumowina, oszust, a może i złodziej, ale na mordercę mu nie wyglądał. Pelagia natomiast była święcie przekonana, że ten szubrawiec z pewnością zabił jakiegoś biedaka, żeby go obrabować, więc teraz chwyciła za tasak i powoli zaczęła wycofywać się tyłem, by wezwać do kuchni posiłki, czyli jakichś mężczyzn. Nie przyszło jej do głowy, że swą masą sama by mogła skutecznie unieruchomić przeciwnika. W drzwiach do korytarza zderzyła się z chłopcem na posyłki i szeptem nakazała mu wezwać policję, a po drodze lokaja, który, choć niezbyt dorodnej

postury, znajdował się jednak bliżej.

– Powiniennem zawiadomić policję – westchnął Parczewski. – Mógłby im pan opisać tego człowieka, który pozbywał się dokumentów...

– Ależ drogi panie, ja nic nie wiem. Nawet nie wiem, jak ten człowiek wyglądał, bo było ciemno. Wiem tylko, że wyrzucał je z jakiegoś kufra, i w dodatku ukradkiem, dlatego zwróciłem na to uwagę. Nic więcej nie wiem! Po co fatygować władzę? Da mi pan kilka rubelków i już mnie nie ma.

Parczewski zawahał się, gdyż wrodzona praworzędność skłaniała go ku załatwieniu sprawy oficjalnie i zgodnie z prawem, ale wieloletnie doświadczenie podpowiadało mu, że ten człowiek nie był mordercą. I nawet jeśli jego historyjka była tylko wymyśloną bajeczką i nieznajomy komuś te papiery ukradł, to nie on dopuścił się włamania do budynku Towarzystwa Kredytowego i zabójstwa strażnika.

Sięgnął do kieszeni i wyjął dwa banknoty pięciorublowe i trochę drobnych. Spojrzał niepewnie na pieniądze i nieco przepraszającym, lecz rzeczowym tonem powiedział:

– Znaleźne powinno być nieco wyższe. I jeśli pan poczeka, zaraz przyniosę jeszcze kilka rubli...

– Nie trzeba, nie trzeba! – Nieznajomy zerwał się z krzesła i giął się teraz w ukłonach. – Mnie to w zupełności wystarczy. Nie jestem chciwy, tylko... w potrzebie. Inaczej w ogóle nie wziąłbym pieniędzy. Wszak to nasze... dziedzictwo kulturowe, czy jakoś tak. Stokrotnie dziękuję! Kłaniam się! I już mnie nie ma!

To mówiąc, z wielkim pośpiechem wyjął z kosza resztę papierów, zgarnął pieniądze ze stołu i upchnął w kieszeni, sam kosz umieścił pod pachą i w kilka sekund zniknął za drzwiami. Adwokat mimowolnie uśmiechnął się na tę niezwykłą prędkość, o którą nigdy by tego człowieka nie podejrzewał, ale po chwili zupełnie o nim zapomniał, zagłębiając się w dokładne studiowanie dostarczonych w tak niespodziewany sposób dokumentów. Jego uwagę przykuły brązowe plamy na niektórych z nich i właśnie zastanawiał się, czy można te zabrudzenia jakoś usunąć, nie niszcząc jednocześnie papieru.

Z zamyślenia wyrwało go chrząknięcie. Parczewski uniósł głowę i jakież było jego zdziwienie, gdy ujrzał nad sobą młodego umundurowanego policjanta o bystrym spojrzeniu, teraz pełnym jednak niepokoju.

– Pan w jakiej sprawie? – zapytał prawnik nieprzytomnie, gdyż zdążył już zupełnie zapomnieć o podejrzanym gościu oraz o tym, że dokumenty te niedawno ukradł zabójca i nie wiadomo, kto je mu teraz przyniósł. – Nie prowadzę dziś żadnej sprawy, czy coś się stało? Nie wzywałem wszak policji...

– Pańska gospodyni wezwała – oświadczył policjant z ulgą w głosie. – Nazywam się Hieronim Lipski i przyszedłem sprawdzić, czy nikomu nic się nie stało, gdyż, jak zrozumiałem, naszedł państwa jakiś... przestępca. – Lipski w ostatniej chwili ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć „morderca”, gdyż służąca adwokata przed kilkoma minutami dosłownie rzuciła się na niego na rogu ulicy i niemal siłą zawlokła do domu, po drodze w bardzo malowniczy sposób przekazując mu informacje. Wynikało z nich, że dom został wzięty podstępem i szturmem (jednocześnie?) przez srogiego mordercę i złodzieja, który teraz zapewne więzi i torturuje jej chlebobawcę, o ile, rzecz jasna, do tej pory nie poderżnął mu już gardła i nie puścił obrabowanego domostwa z dymem.

Zdziwiony adwokat spojrział najpierw na policjanta, a potem na swoją służącą, której rumiana twarz nieśmiało wychynęła zza Lipskiego. Wyglądało to cokolwiek śmiesznie, gdyż była o pół głowy od niego wyższa i dwa razy tęższa.

– Ale dlaczego...? Ach, droga Pelagio! Przecież sama widzisz, że nic się nie stało.

– Ale, nie stało! Ale mogło się stać! Jak pan powiedział, że ktoś zabił człowieka, aby ukraść te papiery, to wiadomo było, że to on! Przecież je przyniósł.

– Pelagio, jesteś doprawdy niezrównana! Wszak gdyby on to zrobił, na pewno by tutaj nie przychodził. Ukryłby te papiery albo spalił i nie chciałby być z nimi w żaden sposób łączony...

– Chwileczkę – przerwał im Lipski. – Jakie papiery? I przede wszystkim, kto kogo zabił?

Parczewski machnął ręką.

– Nie wiem, kto zabił, ale wiem kogo – strażnika z Towarzystwa Kredytowego.

Lipskiemu zapłonęły uszy z wrażenia. Był szalenie podekscytowany, bo informacje zapowiadały się nad wyraz sensacyjnie i to on miał je przekazać! Chyba poprosi o widzenie z samym agentem do specjalnych poruczeń, żeby zrobić to osobiście... Może... może agent pozwoli mu sobie asystować, tak jak kiedyś Porajowi? Kiedyś i teraz... Boże, ile mógłby się nauczyć w takim towarzystwie...

Lipski natychmiast przerwał te marzenia na jawie, bo adwokat znów coś do niego mówił. To mogło być coś ważnego.

– Bardzo przepraszam, czy mógłby pan powtórzyć? – zapytał zawstydzony swoją nieuwagą.

– Oczywiście, młody człowieku – uśmiechnął się adwokat. – Właśnie powiedziałem, że otrzymałem dokumenty, które zostały skradzione z budynku Towarzystwa Kredytowego na krótko przed wystawą. Zginął wtedy strażnik...

– Ach, już rozumiem! – wykrzyknął Lipski. – I to są te skradzione dokumenty, tak? – Wskazał na leżące na stole papiery.

– Otóż to. Niech pan spocznie, młodzieńcze, i sobie wszystko obejrzy. Jeszcze zdążymy je posłać na wystawę – zatarł ręce.

– A w jaki sposób szanowny pan wszedł w ich posiadanie?

– Pół godziny temu przyniósł mi je jakiś nieznajomy. Powiedział, że znalazł je na śmietniku. Nie, nie tak. Powiedział, że w nocy zobaczył kogoś, kto wyrzuca te dokumenty z kufierka. Podobno wyglądało to nieco podejrzanie. Zaciekawilo go to i gdy ten mężczyzna się oddalił, mój tajemniczy gość poszedł zobaczyć, czego tamten się pozbył. I tak znalazł te dokumenty. Zabrał je i przyniósł do mnie, wiedząc, że się na tym znam...

– Taki szlachetny? – zdziwił się młody policjant.

Pelagia prychnęła głośno.

– Nie no, bez przesady! – roześmiał się adwokat. – Chciał dostać kilka rubli znaleźnego.

– To rozumiem.

– Sam pan zatem widzi, że Pelagia niepotrzebnie tu pana sprowadziła.

Lipski mimowolnie uśmiechnął się, gdyż słowo „sprowadziła” nie do końca odzwierciedlało determinację służącej.

– Niepotrzebnie! – Pelagia znów prychnęła, następnie wzięła się pod boki. – Ale tam! Mój pan jest dusza człowiek, więc naiwny jak dziecko. Skąd pan wie, że to nie on zabił strażnika i ukradł dokumenty? Potem się okazało, że nie umie ich sprzedać, więc postanowił przynieść je do pana, żeby cała robota choć trochę mu się opłaciła. I pewnie dostałby więcej tych rubelków, gdyby nie to, że bał się i chciał jak najszybciej się stąd ulotnić. Głowę dam, że zauważył, jak mu się bacznie przyglądam, a potem, że wyszła, no to domyślił się, że wezwę policję...

– Na pewno dałaś mu odczuć, że go podejrzewasz o jakieś nieczne uczynki – zgodził się uśmiechnięty adwokat.

– I na pewno miałam rację! Tak mu z oczu dziwnie patrzyło, że jestem przekonana, że to jakiś szubrawiec. Tylko nie od razu się zorientowałam, że to złodziej i morderca...

– A teraz już wiesz, tak? A skąd, ciekaw jestem? Masz jakieś dowody?

Pelagia lekceważąco machnęła ręką. Wcale nie była skruszona.

– Jestem pewna i już!

– Miałbym się z pyszna, gdybym przed sędzią takie roztaczał dowody!

– Chwileczkę – przerwał im Lipski. – Co to za plamy?

Podniósł w górę jakiś arkusz i odwrócił go. Pozostali pochylili głowy z ciekawością.

– Drodzy państwo – ton policjanta zrobił się poważny i oficjalny – mnie to wygląda na krew.

– A nie mówiłam?! – wykrzyknęła z triumfem Pelagia. – To morderca! Cud, że pana nie zaciukał i nie obrabował przez tych kilka minut, kiedy mnie nie było!



– Sprawa może być poważna. Czy szanowny pan mógłby mi opisać tego mężczyznę?

Lipski chwilowo zignorował służącą i zwrócił się bezpośrednio do adwokata. W duchu jednak obiecał sobie, że niebawem przesłucha ją dokładniej. Służące zwykle wiedzą znacznie więcej, niż się ich państwu zdaje. Teraz jednak chciał jak najszybciej podzielić się świeżo zdobytą wiedzą z agentem Jezierskim.

– Oczywiście – przytaknął Parczewski. – Co prawda, widziałem go niezbyt długo, poza tym, odkąd pokazał mi dokumenty, nie patrzyłem już na niego, ale sądzę, że mogę go dość dokładnie opisać. Około czterdziestu–czterdziestu pięciu lat, twarz zmęczona, nosząca moim zdaniem ślady, hm... hulaszczego trybu życia. – Adwokat zerknął na służącą, choć ta na razie milczała. – Ciemnoblond włosy i wąsy, krępa, ale krzepka sylwetka, ziemista cera, niebieskie oczy. Chyba ostatnio niezbyt dobrze mu się wiodło albo też przyszedł tu prosto z jakiejś suto zakrapianej imprezy, gdyż ubranie miał pomięte i w nieładzie. Biały koszyk, w którym przyniósł dokumenty, także był podniszczony, wyraźnie pamiętał lepsze czasy. Poza tym, człowiek ten był głodny... Ależ... Co panu jest, młodzieńcze?

Ostatnie zdanie adwokat wymówił ze zdumieniem i lekkim niepokojem, jako że już w połowie opisu młody policjant wstał, zastygł niczym posąg, a teraz raptem skoczył w stronę drzwi, wrócił, zamachał rękami i spojrzał z wdzięcznością w sufit, jakby stamtąd spłynęło na niego natchnienie.

– Drogi panie! – zawołał w końcu z wielką wdzięcznością. – Właśnie dostarczył mi pan bardzo ważnych wieści, za które agent Jezierski na pewno będzie panu, no i mnie, niezwykle wdzięczny. Może spojrzysz na mnie łaskawszym okiem i pozwoli sobie asystować w śledztwie! Szkoda, że pana gość już sobie poszedł. Szukaj wiatru w polu.

– Tak? – bąknął nadal zdumiony Parczewski. – Cieszę się. A można chociaż wiedzieć, jakie to wieści? Poza tą, że odnalazły się skradzione dokumenta.

– Myślę, że panu mogę powiedzieć, mimo że to z pewnością tajemnica śledztwa. Jest pan prawnikiem, no i przysłużył się pan policji, choć jeszcze lepiej by się przysłużył, gdyby pan zatrzymał tego człowieka.

– Miałem go złapać za rękaw czy uwiesić mu się na szyi? – sarkastycznie zapytał Parczewski, ale na jego twarzy czaił się uśmiech.

– Nie wiem – wyznał z rozbrajającą szczerością młodzieniec. – Ale mógł pan spróbować zatrzymać go podstępem, na przykład dając mu więcej jedzenia. Sam pan mówił, że był głodny.

– Sądzę, że kanapka Pelagii w dużej mierze zaspokoiła jego głód. A teraz proszę zaspokoić moją ciekawość, jeśli nie boi się pan nadwyrężyć nieco tej tajemnicy śledztwa.

Lipski pochylił się w stronę prawnika i konspiracyjnym tonem wyszeptał:

– Otóż z pańskiego opisu wynika, że odwiedził pana najbardziej obecnie poszukiwany przestępca, który wczoraj uciekł policji!

Reakcja adwokata była bardzo satysfakcjonująca dla młodzieńca. Parczewski wyprostował swą hetmańską figurę, otworzył szeroko oczy, aż w końcu wykrzyknął:

– Ho, ho, ho! A to ci nowina!

W tym momencie także Pelagia uznała za stosowne się wtrącić, gdyż jej czułe ucho bez trudu wyłowiło słowa policjanta i teraz ledwo mogła ustać w miejscu z nadmiaru ekscytacji.

– Ale któż to taki, drogi panie? Morderca, czyż nie?

– Tak się przypuszcza – powiedział ostrożnie Lipski. – Został aresztowany za zabójstwo Kasi Dolat.

– Wiedziałam!!!

– Niemożliwe – stwierdził z niedowierzaniem Parczewski. – Drogi panie, to absolutnie nie był typ zabójcy.

– Fakty temu przeczą.

– Nie, musieliście gdzieś popełnić błąd. Oczywiście, każdy jest zdolny do popełnienia zbrodni w afekcie, czasem w obronie własnej, ale tutaj nie mamy z tym do czynienia. Zabicie strażnika było moim zdaniem zabójstwem z zimną krwią, stanowiło usunięcie przeszkody. Nie wierzę, że ten typek, jakkolwiek

Śliski i nieuczciwy, mógłby to zrobić, a tym bardziej zamordować dziecko. Nie, musicie jeszcze raz przejrzeć materiał dowodowy, to nie jest wasz zabójca.

– E, tam! – skwitowała wywód swego chlebodawcy Pelagia. – Ja tam wiem swoje. To morderca i basta.

To mówiąc, energicznie zajęła się zawartością garnków na palenisku kuchennym i po niedługiej chwili na stole stała wspaniała jajecznicą z pomidorami i szczypiorkiem, góra kolorowych kanapek, zimne mięso pokrojone w plastry, a do tego sos chrzanowy oraz pikle.

– Niestety, nie mogę – wymawiał się młody człowiek, rzucając jednak tęskne spojrzenie na stół. – Muszę biec do agenta Jezierskiego. Oczywiście, przekażę mu pana zdanie w tej kwestii.

Żwawym krokiem ruszył do drzwi, lecz nagle się zatrzymał.

– Przepraszam, ale muszę zabrać te dokumenty – powiedział. – Teraz stanowią dowód rzeczowy.

– Wielka szkoda – westchnął Parczewski. – Miałem nadzieję, że pójdą na wystawę, zanim się skończy.

– Może to się jeszcze uda – odparł pocieszająco młodzieniec, przyglądając się niewielkiej, ale wyraźnej plamie na jednej z kartek. – Nie wie pan, skąd się wzięły te plamy? Są już zaschnięte, więc chyba nie tutaj się zabrudziły. Zresztą stół jest czysty.

– Ja myślę! – fuknęła Pelagia. – W tym domu można by jeść z podłogi.

– Nie wątpię – skwapliwie przytaknął Lipski, układając papiery w równy stos. – Czy mógłby pan dać mi jakąś teczkę lub pudełko, żeby papiery się nie pogniotły? Skoro są takie cenne...

– Oj, są. Szkoda, że ten człowiek nie zostawił także kosza.

– Kosza? – natychmiast zainteresował się policjant. – A jak ten kosz wyglądał?

– Kosz jak kosz – wzruszył ramionami Parczewski. – Niezbyt duży.

– Niech się pan dobrze zastanowi – poprosił policjant. – To może okazać się bardzo ważne!

– A co? – uśmiechnął się adwokat. – Kosz też jest poszukiwany?

– A żeby pan wiedział!

– Żartuje pan sobie ze mnie.

– Ani trochę. Agent Jezierski wydał polecenie, by za wszelką cenę znaleźć ten kosz, a zrobił to jednocześnie z nakazem ujęcia Buj... – młody policjant zakrył sobie ręką usta – podejrzanego.

– Znając dociekliwość naszych reporterów, jestem pewien, że w najbliższym wydaniu „Gazety” znajdę pełne nazwisko podejrzanego – roześmiał się Parczewski.

– Możliwe, ale nie usłyszysz go pan ode mnie.

– To fakt. Dobrze pan rokuje, młodzieńcze.

– A co do kosza... – delikatnie przynaglił go Lipski.

– Dalibóg, nie wiem! – westchnął ze skruczą adwokat. – W ogóle mu się nie przyjrzałem. Nie miałem podstaw prawnych – dorzucił żartobliwie.

– Chłopy nigdy nie zwracają uwagi na takie rzeczy! – burknęła półgłosem Pelagia, stojąc cały czas tyłem do policjanta, bo akurat mieszała w jakimś garnku. – Gdyby mnie o to zapytano, to, ho, ho, niejedno mogłabym powiedzieć.

– Bardzo panią przepraszam, droga, kochana pani Pelagio! – wykrzyknął Lipski, który w mig zorientował się, że uraził poczciwą służącą, nie zapytawszy jej pierwszej o koszyk. – Niestety, też jestem tylko mężczyzną, dlatego nie przyszło mi do głowy, że to panią pierwszą powinien był zapytać o ten koszyk. Proszę mi wybaczyć to niedopatrzenie!

Pelagia coś burknęła, ale nie stała już tyłem do młodego policjanta, lecz bokiem. Wyraźny postęp. Jej chlebodawca obserwował to zza stołu i świetnie się bawił całą sytuacją.

– Bardzo dobrze, młodzieńcze! – pochwalił. – Umie pan postępować z kobietami, to ważne w pana zawodzie. W moim zresztą też.

Pelagia prychnęła, ale w końcu zlitowała się nad młodzieńcem.

– To był wiklinowy koszyk podróżny – oświadczyła z wielkim ukontentowaniem, jako że tym razem

wiedziała więcej od swego pana. – Biały, to znaczy kiedyś był biały. Tera bardziej szary, jakby przykurzony i poplamiony. Długi na jakieś sześćdziesiąt centymetrów, a wysoki na około pięćdziesiąt. Plecionka była dość luźna, a podtrzymująca pokrywę pętelka uszkodzona. Na pewno sam się otwierał od byle czego. I śmierdział stęchlizną, jak cały ten szubrawiec. Pewnie pił przez cały wieczór i gdy całkiem zalany wrócił do domu, stoczył się do piwnicy i tam zasnął. Obudził się o świcie, suszyło go, a że nie miał ani grosza, bo wszystko przepił, to wziął z piwnicy kosz, poszedł do domu po skradzione dokumenta i przyłazł tu, żeby wysepić od mego naiwnego pana parę rubelków.

– Wspaniały opis! – zachwycił się Lipski, cały czas pilnie notując. Snute przez Pelagię przypuszczenia zredukował jednak do wzmianki „śmierdział stęchlizną”. – Bardzo fachowy, powiedziałbym.

– Ha! – Pelagia łypnęła okiem na chlebobdawcę, czy aby na pewno to usłyszał. – Może zje pan tera trochę zupy, co tom ją właśnie skończyła? – zaproponowała łaskawym tonem policjantowi. – Na pewno już przeleciały przez pana te kanapki, boś pan chudzina. Zresztą nie ma jak gorąca zupa!

Parczewski roześmiał się i skinął głową.

– Niech pan siada i spróbuje zupy, jeśli Pelagia sama pana zaprasza, choć do obiadu jeszcze daleko!

– Bardzo bym chciał, ale naprawdę muszę biec do agenta Jezierskiego...

Pelagia zachmurzyła się.

– ...ale gdybym mógł przyjść i porozmawiać z panią Pelagią później...

Oblicze służącej rozjaśniło się.

– ...bom przecież nie zdążył szanownej pani porządnie przesłuchać...

Twarz „szanownej pani” wręcz promieniała.

– ...to byłbym bardzo wdzięczny także za talerz zupy, na pewno wyśmienitej.

Wniebowzięta twarz Pelagii zwróciła się w stronę chlebobdawcy.

– Myślę, że to da się załatwić.

– Pożegnam już zatem państwa. – Lipski skłonił się i błyskawicznie znalazł znów przy drzwiach, za którymi tym razem zniknął. Zdążył jeszcze usłyszeć kilka pełnych zachwyty słów służącej:

– ...będę przesłuchiwana! Jak prawdziwy świadek w sądzie...

– Albo przestępca – mruknął adwokat, na szczęście bardzo cicho, bo z doświadczenia wiedział, czym groziło urażenie dumy zacnej Pelagii. Nie znosił przypalonych posiłków!

Niecałe pół godziny później znów onieśmielony Lipski został wprowadzony przez dumnego Jacentego do gabinetu gubernatora Daragana, gdyż tam właśnie znajdował się agent. Lipski pobiegł najpierw do cyrkułu, gdzie starszy rangą policjant z namaszczeniem pokręcił korbką telefonu i połączył się z gabinetem Jezierskiego. Dyżurujący tam urzędnik natychmiast powiadomił o tym agenta, który rozmawiał właśnie z gubernatorem i dostał jednocześnie wydany przez obu mężczyzn taki sam rozkaz:

– Dawaj go tu!

Urzędnik wrócił do gabinetu agenta, połączył się z cyrkułem i przekazał polecenie. W ten oto sposób Lipski pobiegł rącho niczym antylopa do pałacu, gdzie bez zbędnych pytań został natychmiast poprowadzony przez samego Jacentego do gabinetu gubernatora.

Wchodząc do trochę już mu znanego pomieszczenia, Lipski usłyszał, jak Jezierski mówi:

– ...myśleli, że to panna Garszyńska, ale okazało się, że to jej siostra, Joanna. Młodsza, ale bardzo podobna. Nic dziwnego, że się pomylili. O, Lipski. Dobrze, że już jesteś.

– Siadaj, chłopcze – gubernator wskazał mu fotel. – I poczekaj chwilkę, zaraz skończymy i zajmimy się tobą.

Młodzienciek usiadł i korzystając z tego, że mężczyźni powrócili do przerwanej rozmowy, rozglądał się po gabinecie, lecz jednym uchem uważnie słuchał, o czym mówią.

– Ale cóż ta siostra robi w Kaliszu? – zdziwił się gubernator. – Przecież była w Warszawie?

– Prócz tego, że zdiera afisze? Podobno dostała list od siostry – westchnął agent.

– Podobno? To znaczy, że go nie widziałeś?

– Nie, bo zostawiła go w Warszawie. Kazałem jej napisać telegram do ciotki, żeby go natychmiast przysłała tutaj.

– A co takiego było w tym liście, że siostra zdecydowała się przyjechać?

– Że nie życzy sobie żadnego rozgłosu, bo poznała wspaniałego mężczyznę, za którego zamierza wyjść za mąż, i że ślub chwilowo przełożono, bo zachorowała. Musi zerwać zaręczyny z obecnym narzeczonym, ale nie wie, jak on to przyjmie, więc z tym zwleka, i tego typu babskie zwierzenia.

– Hm...

– No, właśnie. Ale siostra zarzeka się, że w liście była niedawno zrobiona fotografia Elizy z nowym narzeczonym, więc panna jest na pewno cała i zdrowa. A przynajmniej była do niedawna.

– Skąd wiadomo, że fotografia jest aktualna?

– Panna Eliza ponoć trzyma w ręku gazetę z datą sprzed kilku dni.

– O, to bardzo pomysłowe. Tylko jakim cudem list dotarł tak szybko do Warszawy? I siostra musiała jechać tutaj minimum osiem godzin.

– Pewnie list wysłano przez umyślnego.

– Zapewne masz rację. I co zrobiłeś z drugą panną Garszyńską?

– Zamknąłem w areszcie domowym u pani Łączkowskiej.

– Chyba żartujesz?!

– Ależ skąd. Ta panna zlekceważyła działania policji i działała na szkodę śledztwa w sprawie poszukiwania jej siostry. W dodatku zachowywała się mało uprzejmie, była arogancka i obrażała wszystkich po kolei. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że nawet jej własny stryj jest przekonany, że Eliza została porwana, nie chciała z nim rozmawiać ani w ogóle go widzieć, odgrażała się, że wszystkich nas poda do sądu. Co miałem robić? Przy takim histerycznym nastawieniu mogłaby jeszcze narobić nam masę szkód, więc zarządziłem areszt domowy, a jeśli go złamię, wsadzę ją do prawdziwego aresztu.

– Hm... A co z Bujnickim?

Jeziernski z goryczą machnął ręką.

– Pakowali go właśnie do powozu, gdy ten skubany, wciąż udając zemdlonego, kopnął nagle trzymającego go za nogi policjanta, ten wpadł na Małyszkę i obaj się przewrócili! No i Bujnicki zwiął. Dosłownie rozpląnął się w powietrzu.

– A co z tym, który trzymał go pod pachami? – zapytał gubernator.

– Wpadł plecami do wnętrza powozu i nakrył się nogami. Partacze!

– Zaskoczył ich.

– Nie po to są szkoleni, żeby dawali się zaskakiwać.

– No, już dobrze, mleko się rozlało. Lepiej powiedz mi, co z tą kobietą? – pytał właśnie Daragan. – Jakże się ona nazywa?

– Johanna Lipowska. Będziemy musieli ją wypuścić. Nic na nią nie mamy, poza tym, że pewnie pomagała Bujnickiemu w zacieraniu śladów. Ale w samej zbrodni na pewno nie uczestniczyła.

– Ale może coś wiedzieć.

– Właśnie. Tylko jak na razie nie bardzo chce się tą wiedzą podzielić. Na pewno chroni Bujnickiego, bo obiecał się z nią ożenić.

– Nie boi się zostać żoną zabójcy dziecka? – z niedowierzaniem zapytał gubernator.

– Widocznie nie.

– Ależ Waliesza, to podobno normalna kobieta, chociaż prostytutka. Z tego, co o niej czytałem w raportach, i z twoich opisów wynika, że nie jest okrutnym wampem bez skrupułów, tylko płytką, dość głupią, ale w sumie poczciwą kobietą. Nie sądzę, żeby los zamordowanego dziecka jej nie obszedł. Szczególnie że dobrze znała tę dziewczynkę, więc nie jest to dla niej anonimowa ofiara.

– No i co z tego, skoro cały czas kryje tego łotra.

– Być może nie wierzy w jego winę.



– Być może. I co mam z tym zrobić?

– Musisz ją przekonać, że to ty masz rację.

– Bardzo chętnie, ale brak mi dowodów. Sądziłem, że ona mi jakichś dostarczy, lecz mówi tylko nic niewarte rzeczy.

– Cóż zatem zamierzasz?

– Wypuszczę ją, bo może nas do niego doprowadzi.

– Znakomicie.

– Tymczasem mogę ją potrzymać jeszcze kilka godzin, więc zamierzam wysłać do jej mieszkania Zaiifa z kilkoma bystrymi ludźmi do pomocy, żeby jeszcze raz przetrząsnęli każdy kąt, tym razem w poszukiwaniu śladów zbrodni. Jakub będzie wiedział, gdzie i czego szukać, poza tym niczego nie przeoczy. Może co znajdą.

– Dobry pomysł. A jak poszukiwania Bujnickiego?

– Trwają – westchnął agent. – Ale zapadł się pod ziemię.

– Nie całkiem – wtrącił się mimowolnie Lipski, którego aż rozpierało, żeby podzielić się zdobytymi informacjami.

– Lipski! – zawołał agent, nie wiadomo, czy bardziej zdumiony, czy oburzony takim zachowaniem policjanta, i zapewne powiedziała by coś więcej, gdyby nie interwencja jego zwierzchnika.

– Wszystko w porządku, mój chłopcze – przerwał mu pospiesznie gubernator. – Na pewno masz ważne wieści. Opowiadaj zatem, czego się dowiedziałeś.

Jeziński zaniechał tym razem przywoływania podwładnego do porządku, więc uspokojony Lipski zrelacjonował krótko i treściwie uzyskane w domu Parczewskiego wiadomości, rzadko odwołując się do notatek. W duchu natomiast cały czas żałował, że nie od razu zorientował się, kim był ranny ptaszek, który złożył Parczewskiemu wizytę. Wtedy najpierw spróbowałyby go poszukać, przepytując nielicznych z powodu wczesnej pory przechodniów, i może natrafiłby choć na ślad uciekiniera, jeśli nie na niego samego. Wówczas na plan pierwszy wysunęły się dokumenta. Przy tym adwokat był przekonany, że ów człowiek nie był zabójcą.

– Pan Parczewski tak powiedział? – dopytywał się z niedowierzaniem i niepokojem Jeziński.

– Z całą pewnością. Wyjaśnił mi, że od razu poznał, iż ma do czynienia z... – tu Lipski zerknął do notatek – jednostką z marginesu społecznego, nawet przestępcą, choć raczej drobnym: kradzieże, oszustwa, włamania, tego typu rzeczy. Nie wykluczał, że być może człowiek ten nawet ukradł komuś te dokumenta, ale nikogo przy tym nie zabił. Zdaniem pana Parczewskiego to człowiek raczej słaby, tchórzliwy, w chwili zagrożenia wolałby uciec niż stanąć do konfrontacji.

– Hm... – Gubernator przyglądał wężym i spojrzał wymownie na Jezińskiego. – To zupełnie inny obraz tego człowieka, Waliesza. Nie sposób zignorować opinii tak doświadczonego adwokata. Coś z tym trzeba zrobić.

– Będę musiał z nim porozmawiać – westchnął agent. – Ale zabiorę ze sobą Jakuba. Od dawna interesuje się psychologią przestępców, czy jak to się tam nazywa. Lipski, pójdiesz z doktorem Zaiifem do mieszkania Lipowskiej. Doktor zaraz tu będzie i dobierze sobie jeszcze jednego lub dwóch ludzi.

Młody policjant pokraśniał z zadowolenia i właśnie zamierzał podziękować, gdy do gabinetu wpadł jak burza Poraj, który na widok swego podwładnego stanął jak wryty. Jeziński zmarszczył jedną brew, więc Jasiek zaniechał wszelkich pytań, ale wyraz jego twarzy wyraźnie mówił, że nie jest zadowolony. Chyba nie wolą tego młokosa od niego?, zastanawiał się gorączkowo i ciężka chmura zazdrości i niepewności osiadła mu na piersi.

– Wezwałem tu Lipskiego – ulitował się nad nim agent – bo dowiedział się kilku ciekawych rzeczy. Niedawno widziano Bujnickiego. Trzeba wysłać ludzi, żeby popytali, czy ktoś jeszcze go nie zauważył, to może uda się ustalić, dokąd zbiegł. Zaraz się tym zajmiesz, bo tylko tobie mogę to powierzyć. A ty co masz do powiedzenia, wpadając tu jak do obory, hę?

Ego biednego Jaśka zostało znacznie podbudowane, więc bez problemu puścił mimo uszu wzmiankę o oborze, zostawiwszy sobie w pamięci samą pochwałę.

– Nie mam być może takich rewelacji jak Lipski – powiedział od niechcienia – ale byłem u pana Garszyńskiego... – Zawiesił na chwilę głos, bo miał zamiar zrobić efektowną pauzę, ale Jezierski zamiast ciekawości okazał jedynie irytację:

– Mówże wreszcie, trutniu, bo dostaniesz w ucho!

Jasiek westchnął cicho i zrobił minę uciśnionej niewinności.

– ...gdyż wczesnym rankiem ktoś podrzucił do hotelu list z żądaniem okupu.

– Hm, to ważne, ale nie aż tak, żebyś tu wpadał bez pukania – stwierdził łagodnie gubernator.

– Pewnie, ale krótko potem adwokat dostał drugi list – oświadczył z pozorną niedbałością Poraj. –

Także z żądaniem okupu. Zupełnie innego, że się tak wyrażę, i z innym terminem i miejscem dostarczenia. To jeszcze nie wszystko...

Znów zrobił pauzę i czekał na reakcję. I nie zawiódł się, bo Jezierski gwizdnął, za co zaraz przeprosił gubernatora, i zwrócił się do Jaśka:

– Udało ci się – powiedział z uśmiechem. – Przyznaję się, zaciekawiłeś mnie. Jaki jest ciąg dalszy?

– Och, zupełny drobiazg... – Jasiek dalej mówił jakby od niechcienia, bawiąc się przy tym ozdobnym kryształowym kałamarzem, który stał na bocznym stoliku w pobliżu biurka gubernatora. Od dawna bardzo mu się podobał, gdyż zawsze napełniano go atramentem w kolorze magenta lub fuksji<sup>89</sup>, jak się Jasiek niedawno dowiedział od gubernatorowej, co go jeszcze bardziej zaciekawiło. – Z opisu wynika, że był to Bujnicki.

Pandemonium powstałe po jego słowach Jasiek spokojnie mógłby zaliczyć w poczet swoich największych sukcesów, niełatwo bowiem było czymś zaskoczyć agenta do specjalnych poruczeń lub gubernatora. Mógłby, gdyby nie fakt, że zerkając na pozostałych w oczekiwaniu na upragnioną reakcję, nawet nie zauważył, kiedy wywrócił kałamarz. Zaczął z niego wypływać ów piękny atrament w kolorze magenta lub fuksji. Spanikowany Jasiek zamarł i zamilkł. Rozejrzał się ukradkiem, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

– Co, u licha, Bujnicki ma wspólnego z porwaniem panny Garszyńskiej? – zachodził w głowę Jezierski.

– Muszę przyznać, że się myliłem w tej sprawie – mówił tymczasem zmartwiony gubernator. – Miałeś rację, to jednak było porwanie.

Poraj tymczasem chyłkiem przedostał się do drzwi i ostrożnie je uchylił.

– Jacenty – wyszeptał z ulgą na widok kamerdynera. – Ratuj! Rozlałem atrament! Ten w kolorze magenta. Albo fuksji.

– Dziś była fuksja – machinalnie sprostował kamerdyner. – Zaraz coś zaradzimy, ale boję się, że zniszczyłeś stolik.

– Trudno, powiem Jego Ekscelencji, żeby mi potracił z pensji. Ale pospiesz się!

Jasiek wrócił na miejsce obok stolika, by go zasłonić własnym ciałem, modląc się w duchu, żeby Jacenty jak najszybciej wrócił. Na szczęście zamieszanie spowodowane nowymi wieściami wciąż nie malało. Gubernator z agentem planowali kolejne działania, Lipski wszystko notował, więc wejście kamerdynera z wielką tacą przeszło niezauważone. Na tacy prócz serwisu do herbaty, ciasteczek i konfitur Jacenty umieścił różne akcesoria do czyszczenia. Szybko rozstawił naczynia i zajął się dyskretnym usuwaniem skutków atramentowej katastrofy. Poraj odetchnął i wrócił do reszty towarzystwa. W tej samej chwili do gabinetu wszedł Zaif. Był elegancko ubrany, jakby szedł na przyjęcie.

– Coś ty taki wystrojony? – spytał agent, podejrzliwie oglądając przyjaciela.

– Twoi ludzie mieli szczęście – powiedział doktor, zdejmując okrycie i oddając je wraz z laską, rękawiczkami i kapeluszem kamerdynerowi. – Właśnie wróciłem z Ostrowa, nie zdążyłem nawet wysiąść z powozu.

– Co robiłeś w Ostrowie? – zadziwił się Jeziński.

– Chciałem porozmawiać z doktorem Singerem, który zajmuje się paniami Landau, a potem z samymi paniami. Spędziłem tam cały wczorajszy dzień i zanocowałem u tych przemiłych niewiast. Miałem zarezerwowany pokój w hotelu, ale nawet nie chciały o tym słyszeć. Mają naprawdę wielką willę, w której mieszkają tylko one i kilkoro służby, nie utrzymują wielu kontaktów towarzyskich ze względu na chorobę matki, więc czują się trochę samotne. Moja osoba była dla nich miłym urozmaiceniem, a że to wykształcone kobiety, nie nudziło nam się. Wyjechałem od nich o świcie i właśnie dotarłem do miasta, gdy przy rogatkach celnicy powiedzieli mi, że pilnie poszukuje mnie policja. Przyjechałem zatem prosto tutaj, zamiast do domu.

– Ale dlaczego, u licha? Jasiek, zbierz ludzi, zaraz zrobimy odprawę. Za ten stolik chyba ci policzę z pensji... No, co tak stoisz jak słup soli? Myślałeś, że nie widzę? Lipski, idź na razie z nim. Później dołączysz do doktora.

– Ja też was opuszczę – stwierdził gubernator, spoglądając na zegar. – Zaraz mam ważne spotkanie. Nie martw się, Jasiek, daruję ci ten stolik, bo nigdy go nie lubiłem. A teraz ma taki nietypowy kolor, że kto wie...

Jasiek wciąż stał całkiem osłupiały, gdyż był pewien, że nikt nie zauważył spowodowanej przez niego atramentowej katastrofy. Okazało się jednak, że obaj, i szef, i „szef szefa”, wszystko widzieli.

– Wieczorem postaram się tu zajrzeć i zdać relację – powiedział jeszcze Jeziński do Daragana.

– Będę ci wdzięczny, Waliesza. W ostateczności prześlij choć kartkę.

– Oczywiście.

Gubernator wyszedł, za nim Jasiek z Lipskim, a na końcu Jacenty, uśmiechając się pod nosem, bo ubawiła go ta scenka.

Tymczasem Jeziński zasiadł za stolikiem i napełnił dwie filiżanki herbatą. Zaif ulokował się w fotelu naprzeciwko.

– Jakubie, nie poznaję cię – agent od razu wrócił do przerwanej rozmowy. – Przecież ich nawet nie znasz.

– Teraz już znam – doktor przymrużył filuternie oko. – Ale pojechałem tam, bo chciałem pomóc.

– Pomóc? W czym?

– Jestem lekarzem. Pamiętasz, jak na przyjęciu zaręczynowym panny Modrzyckiej była mowa o paniach Landau, którymi teraz opiekuje się Jan Modrzycki?

– Oczywiście. Niesłychana historia z tymi testamentami! Tak zdobyć majątek!

– I że starsza pani Landau choruje na serce...

– Pamiętam, pamiętam. Ponoć i córka niedomaga.

– No, właśnie. A później w gabinecie rozmawiałem jeszcze z Modrzyckim, widziałem też recepty na lekarstwo pani Landau. Zaciekały mnie. A na drugi dzień nasze żony tyle jeszcze opowiadały o tej całej historii, że w końcu postanowiłem sam zbadać i pacjentkę, i tę sprawę.

– To zupełnie do ciebie niepodobne! – Jeziński wciąż nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Zamilkł na chwilę i napił się herbaty. – Znam cię na tyle dobrze, że jedynym wyjaśnieniem twojego dziwnego zachowania jest...

– Tak? – Zaif ze spokojem popijał herbatę i z uśmiechem wpatrywał się w swego rozmówcę. Jezińskiemu wydało się nawet, że widzi w jego oczach odrobinę zaciekawienia, jakby chciał się przekonać, czy przyjaciel dobrze odgadnie prawdziwy powód jego podróży do Ostrowa.

– Coś cię musiało bardzo zainteresować. A że ze zwykłej ciekawości nie wtrącałbyś się w czyjeś sprawy, szczególnie obcych ludzi, wnioskuje zatem, że chodzi o coś więcej.

– O co? – udał zdziwienie Zaif.

– Uważasz, że komuś grozi niebezpieczeństwo. Tak mi wyszło, gdy sobie zsumowałem różne informacje. Sądzisz, że uda ci się temu zapobiec.

– Nie wiem. Nie wiem nawet, czy takowe istnieje. Ale lepiej zapobiegać niż leczyć, jak mawiają lekarze. Na wszelki wypadek porozmawiałem też z prawnikiem tych pań, notariuszem Alfredem Zajdlerem. Na razie nie ma się do czego przyczepić.

– Sprawa nie jest zatem bardzo pilna?

– Tego bym nie powiedział, ale sądzę, że dzień lub dwa zwłoki nie powinny zrobić różnicy.

– W takim razie musimy to koniecznie omówić, lecz nie dziś, bo mamy teraz pilniejszą robotę. Jeśli się uwiniesz ze swoją, to powinienesz zdążyć.

– A jaka jest moja rola?

– Trzeba jak najszybciej ponownie przeszukać mieszkanie Lipowskiej, zanim ją będę musiał wypuścić.

A nastąpi to już dziś po południu.

– Dlaczego trzeba to zrobić? Przecież już raz je przeszukano.

– Tak, ale ty dostrzeżesz ślady krwi, którą ktoś próbował zmyć, a oni nie. Poza tym może znajdziesz coś, co przeoczyli moi ludzie. To dobrzy policjanci, ale działają zbyt rutynowo i nie mają takiej intuicji jak ty.

– A ty co będziesz robił?

– Króciutką odprawę dla moich ludzi, którzy będą szukać śladów Bujnickiego. Ten pan, wyobraź sobie, był na tyle bezczelny, że dziś od świtu biegał po mieście i bardzo aktywnie szukał pieniędzy. A do tego miał przy sobie kosz. Prawdopodobnie ten, którego szukamy. Poza tym muszę porozmawiać z dwoma adwokatami: Parczewskim i Garszyńskim. No i zajrzeć do drugiej panny Garszyńskiej, która znajduje się w tej chwili w swoistym areszcie domowym u pani Łączkowskiej.

– Drugiej? Masz na myśli siostrę?

– W rzeczy samej.

– Co ją tu sprowadziło? Coś wie o Elizie? I dlaczego wspomniałeś o areszcie domowym?

– Podobno dostała list od siostry, ale go nie zabrała, więc dopóki jej ciotka go tu nie przyśle, ta panna będzie siedziała w domu pani Łączkowskiej.

– Czym tak ci się naraziła?

– Zrywała afisze z informacją o zaginięciu siostry!

– Faktycznie, dziwna sprawa. Pewnie siostra ją o to prosiła w liście. Hm... A zna jej miejsce pobytu?

– Nie. I dopóki nie potwierdzimy autentyczności listu...

– Ale bierzesz pod uwagę, że list można napisać pod przymusem?

– Oczywiście. Już jeden list napisała, a jej stryj od razu stwierdził, że pewne sformułowania mu nie pasują, i doszedł do takiego samego wniosku jak ty.

– Zatem trzeba czekać. A dlaczego musisz rozmawiać z tymi dwoma pannami? Garszyński jest stryjem panny Elizy, ale tę sprawę już z nim omówiłeś, list z Warszawy jeszcze nie doszedł, więc chyba zaszło coś jeszcze?

– Ależ ty szybko kojarzysz fakty! Musisz się bardziej włączyć w nasze śledztwa, przynajmniej na coś się przydasz, zamiast leczyć starsze panie z Ostrowa. Chociaż i tam musisz podejrzewać jakąś grubszą sprawę, inaczej byś się do tego nie mieszał.

– Widzisz, sam też szybko kojarzysz fakty, więc nie jestem ci aż taki potrzebny, a tam być może tak.

– Co dwie głowy to nie jedna. A poza tym pamiętaj, że w Ostrowie nie mam żadnej jurysdykcji, więc będziesz zdany na siebie i tamtejszą policję. A oni tak dobrze cię nie znają.

– Tak, wiem, to poważna trudność. Ale liczę, że znajdzie się punkt wspólny między naszymi guberniami i wtedy będziesz mógł się włączyć, bo nie śmiałybym niepokoić samego gubernatora.

– Michał z pewnością chętnie ci pomoże. Nie martw się, na pewno zrobimy wszystko, co się da. Weź Lipskiego i jeszcze jednego lub dwóch ludzi, bo więcej osób w tak małym mieszkaniu jak to Lipowskiej będzie tylko zawadzało, i jedźcie tam. A jeśli nam szczęście dopisze, to może wkrótce dostarczę ci ten podejrzany kosz i wtedy znowu będziesz miał zajęcie.



– W takim razie bierzmy się do pracy. Ja też mam coś do sprawdzenia, ale nie martw się, najpierw zajmę się naszymi kaliskimi zbrodniami, ostrowska zagadka może poczekać.

Wyszli razem z pałacu gubernatora i każdy poszedł w swoją stronę. Doktor zabrał do powozu Lipskiego i jakiegoś nieznanego sobie dotąd policjanta.

– Panie doktorze, to Paweł Odmowski – przedstawił go Lipski. – Właśnie dzięki niemu mamy narzędzie zbrodni, którym zabijano żebraków. Gdyby podczas słuchania pewnej opowieści nie zorientował się, co wpadło w ręce młodzieńcowi, który ją właśnie snuł, nie mielibyśmy nic.

– Bardzo mi miło pana poznać – uśmiechnął się Zaif. – Zapraszam do powozu. Mam nadzieję, że zdradzi mi pan po drodze kilka szczegółów z tej historii.

Tymczasem agent do specjalnych poruczeń po rozmowach z dwoma adwokatami – Garszyńskim i Parczewskim – które potwierdziły informacje dostarczone przez Poraja i Lipskiego, pojechał do aresztu, by przed wypuszczeniem Lipowskiej jeszcze raz spróbować coś z niej wydobyć lub choćby tylko ją „zmiękczyć”. Nie było to łatwe, gdyż Lipowska uparcie dążyła do realizacji swojego celu – małżeństwa z Bujnickim. Dla kobiety z taką profesją ani jego kryminalna przeszłość, ani liczne wady nie stanowiły przeszkody. Niemniej agent miał nadzieję, że istnieje pewna granica tolerancji, której kobieta nie przekroczy, a może nawet uzna, że trzeba zdradzić kochanka.

Doszedłszy do takich wniosków, agent przypuścił atak na niewzruszoną, jak dotąd, lojalność panny Lipowskiej. Znowu dopytywał się, dlaczego Bujnicki tak nagle zapragnął ją poślubić po osiemnastu latach zwodzenia. Czy jej zdaniem to była miłość, czy tylko chęć zobowiązania do milczenia na temat koszyka, w którym przenosił do Prozny rozczłonkowane ciało Kasi Dolat? Spytał ją również, czy ona za swoje „usługi” pozwoliłaby sobie zapłacić starym koszykiem podróżnym, bo on bardzo w to wątpi. Dlaczegoż zatem Johanna wierzy, że tajemnicza kochanka Bujnickiego zgodziłaby się przyjąć takie wynagrodzenie?

Agent uważnie wpatrywał się w twarz Lipowskiej i w duchu odetchnął z ulgą, bo kobieta chyba zaczęła „mięknąć”. Myśl, że propozycja małżeństwa wynikała tylko z chęci zmuszenia jej do milczenia, bardzo ją dotknęła, wręcz zraniła. Nadal jednak była wstrzemięźliwa w swoich wypowiedziach, które dotyczyły kochanka, choć zaczęły się w nich pojawiać „rysy”. Jezierski zdołał się dowiedzieć, że Bujnicki nie raz posuwał się do czynów gwałtownych. Niekiedy katował Johannę tak, że wyskakiwała przez okno, albo groził jej nożem, lecz nigdy dotąd nie zauważyła, aby dzieci wzbudzały w nim zdrożne pragnienia. Co prawda, Dolatówna była nad wiek rozwinięta i sama Johanna dostrzegła nie tak dawno, że mała ma już pełne uda, ale Bujnicki nigdy nie zwracał na to dziecko najmniejszej uwagi.

Agent wyszedł w końcu z aresztu. Została mu jeszcze wizyta w domu pani Łączkowskiej, więc postanowił pójść tam pieszo, by sobie przemyśleć zeznania Lipowskiej. Były już widoczne jakieś postępy, ale wciąż miał w rękach tylko poszlaki, a nie twarde dowody. I czy w ogóle ta kobieta mogła mu ich dostarczyć, skoro nie brała udziału w zbrodni? Jezierski pokładał jednak nadzieję w tym, że po wypuszczeniu na wolność Lipowska doprowadzi policję do Bujnickiego. Nie wkroczyłby od razu, gdyż chciał dać jej czas, by dręczona zaszczerpionymi jej wątpliwościami rozmówiła się z kochankiem, który może wtedy wreszcie by się do czegoś przyznał.

Jezierski westchnął, bo wszystko to były na razie tylko pobożne życzenia. Jego myśli znowu zaczęły krążyć wokół koszyka. Jeśli bowiem założyć, że Bujnicki rozczłonkował ciało Kasi Dolat i w tym koszyku zaniósł je nad Prosnę, to chyba powinien był go wrzucić do rzeki razem ze zwłokami. Musiał koniecznie znaleźć ten koszyk! Gdyby to się udało i gdyby rzeczywiście zawierał jakieś ślady po zwłokach Dolatówny, byłby to niezbity dowód świadczący przeciwko Bujnickiemu.

Gdy zamyślony szedł ulicami Kalisza, omal nie zderzył się z Porajem, który biegł w jego stronę. Możliwe, że policmajster nawet coś do niego wołał, ale Jezierski był tak skupiony na analizowaniu sytuacji, że zwyczajnie nie zauważył podwładnego, a okrzyki uznał za uliczny hałas i puścił mimo uszu. Teraz jednak oprzytomniał, a usłyszawszy, co Jasiek ma do powiedzenia, omal go nie uściskał. Opatrzność widocznie nad nim czuwała, ponieważ policjantom udało się odszukać koszyk.

– Gdzie go znaleźliście?! – krzyknął agent.

– Nad rzeką. Drań chciał się go pozbyć, koszyk jednak spadł tak niefortunnie, że zaczepił się jednym bokiem o jakieś drobne gałązki. Wyrosły u dołu pnia drzewa i koszyk ledwo się na nich trzymał, ale jednak nie wpadł do wody. Może jakby dłużej tam powisiał...

– Pal diabli, co by było gdyby! Gdzie ten kosz? Trzeba go natychmiast...

– Szeffie, toć od razu go posłałem do laboratorium doktora Zaifa! Za kogo mnie szef ma? Kazałem też zostać tam jednemu policjantowi, żeby pod nieobecność doktora nikt tego kosza nie świsnął albo nie wyczyścił.

– Był tam doktor Małyszko?

– Nie wiem, ale mój człowiek ma świadomość, że Staškowi też nie wolno tknąć kosza, dopóki nasz doktor nie wróci.

– No i dobrze – stwierdził Jezierski i odetchnął z ulgą. Sam chętnie stanąłby na straży bezcennego kosza, ale wiedział, że nie ma to sensu, więc ruszył dalej, już z lżejszym sercem. Musiał w końcu porozmawiać z Joanną Garszyńską. Miał przy tym nadzieję, że szczęście go nie opuści i oprócz panny zastanie w mieszkaniu także wyczekiwany list z Warszawy.

Niestety, listu nie było, więc agent po krótkiej, acz jadowicie uprzejmej rozmowie z wciąż wrogo i bojowo nastawioną panną postanowił wspomóc Zaifa w rewizji mieszkania Lipowskiej. Poraj wrócił natomiast nad rzekę, żeby sprawdzić meldunek, z którego wynikało, że jakiś pijaczyna znalazł ukrytą w krzakach podejrzaną paczkę, owiniętą w brązowy papier i gazety.

Opis pasował do pakunków, w jakich Bujnicki pozbywał się części zwłok dziecka, więc koniecznie trzeba było to sprawdzić. I rzeczywiście, paczka zawierała prawą nogę zabitego dziecka z pończochą i butem. Wkrótce po tym przechodnie zauważyli z mostu następną, zupełnie rozmięktą już paczkę. Znajdowała się w niej druga noga. Jasiek zawiózł swoje znaleziska do laboratorium Zaifa, gdzie Małyszko skompletował na stole sekcyjnym wszystkie części ciała dziewczynki. Widok był jednak tak makabryczny i tragiczny zarazem, że obaj wyszli do najbliższego szynku, by wzmocnić się kilkoma kieliszkami wódki. W pomieszczeniu został tylko pilnujący kosza policjant; nie był z tego powodu szczęśliwy, ale dostał rozkaz czekać aż do powrotu doktora Zaifa. Jasiek obiecał mu za to premię i zamierzał słowa dotrzymać, choćby miał na nią wyłożyć z własnej kieszeni.

Zaif tymczasem wciąż był zajęty przeczesywaniem mieszkania Lipowskiej, która poza kuchnią posiadała jeszcze pokój sypialny. Oba pomieszczenia nie prezentowały się zbyt przyjemnie: popękane i zasmolone niskie sufity, grube i szorstkie deski podłogowe, małe okna z zakurzonymi szybami, nieposłane łóżka i walająca się po podłodze brudna bielizna.

Zaif obejrzał podłogi, części dywanów, ściany, meble i inne przedmioty, potem bieliznę i ubrania znajdujące się zarówno w szafie, jak i poza nią. Część przedmiotów kazał zawinąć w czysty papier i przewieźć do swego laboratorium: dywan, duży kosz na bieliznę, pościel oraz buty należące do Bujnickiego, poza tym wszystkie noże, ścierkę do podłogi i kolanko rury odpływowej ze zlewu kuchennego, gdyż wiedział, że w takim kolanku można znaleźć krew, jeśli morderca wylewał wodę używaną do zmywania śladów.

Gdy wszedł Jezierski, zastał przyjaciela leżącego na podłodze przy łóżku.

– Co robisz?

– Nakładam papier nasączony wodą utlenioną. Nigdzie jednak nie wytworzyła się piana, poza tym jednym miejscem pod łóżkiem, gdzie znajduje się jakiś czerwony ślad. Każę wypłować deski podłogowe i je zapakować.

– Ciekawe. Widziałem, że w kuchni Lipski wydrapuje brud ze szpar desek podłogowych i wsypuje go do kopert.

– Aha – przytaknął Zaif, wciąż z nosem przy podłodze. – Na ścianach w kuchni, między zlewem a piecem, znalazłem plamy, które mogą pochodzić od krwi. Dlatego też policjanci zerwali i zapakowali

część tapet.

– Dużo ci jeszcze zostało?

– Nie, już prawie kończymy. Na koniec sfotografujemy wszystko, co podejrzanego, i ponownie opieczemy pomieszczenie.

– To dobrze, gdyż w laboratorium czeka już na ciebie kosz, w którym Bujnicki prawdopodobnie wynosił części ciała dziewczynki, by wrzucić je do rzeki. Jeżeli uda ci się udowodnić, że to właśnie ten kosz i że są w nim ślady ciała lub krwi Kasi, to mamy go! Wbrew temu, co sądzi Parczewski, uważam, że Bujnicki jest zabójcą!

– Sądzę, że uda się udowodnić, że znaleziona w koszu krew jest krwią ludzką lub że Kasię zamordowano w mieszkaniu Lipskiej, ale powiem ci szczerze, że ja też nie bardzo wierzę w winę Bujnickiego.

– Fakty mówią coś innego.

– Nie do końca... Poczekał, coś tu znalazłem. Daj jakiś nóż. Z ostrym czubkiem.

Zaciekawiony agent w kilka sekund wrócił z kuchni z kilkoma różnymi narzędziami.

– Co znalazłeś? – dopytywał się, gdyż klęczący teraz nad podłogą Jakub wciąż zasłaniał mu widok.

– Chyba jest tu jakaś skrytka.

– Wspaniale! – ucieszył się agent. – Tam możemy znaleźć naprawdę mocne dowody na jego winę!

– Zaraz się o tym przekonamy – stęknął Zaif, manipulując nożem i widelcem pod łóżkiem.

– Może odsuniemy to łóżko? – zaproponował Jezierski. – Będzie łatwiej dostać się do skrytki.

– Można odsunąć – odparł doktor, wyciągając kilka desek podłogowych. – Już ją otworzyłem.

Łąpali każdy z swój koniec łóżka i przeciągnęli je na środek pokoju. Wtedy ich oczom ukazał się otwór w podłodze. Pomiędzy legarami zrobiono prymitywną, ale dość obszerną skrytkę, wyłożoną szczelnie kawałkami desek i starymi gazetami.

– Lipski! – zawołał agent. – Chodź tu, musimy sporządzić spis, więc będziesz robił notatki!

– Lecę, szefie! – odkrzyknął z kuchni młody policjant.

Po chwili praca szła pełną parą: agent wyjmował znajdujące się w skrytce przedmioty, Lipski je zapisywał, a Zaif fotografował.

– Ten gagatek uzbierał całkiem sporą sumkę! – ekscytował się agent, rozwijając grubą warstwę gazet.

– Czekać, już liczę, raz, dwa... proszę, ponad trzy tysiące rubli! Dokładnie trzy tysiące dwieście pięćdziesiąt pięć rubli i czterdzieści kopiejek.

– Widać był oszczędny – zażartował doktor z ustawionego na statywie aparatu.

– Niewątpliwie. Tutaj mamy trochę taniej biżuterii, okropnej zresztą... O, cztery złote pierścionki, trzy obrączki, poślacana tabakiera... Skąd on to brał?

– Pewnikiem pochodzą z kradzieży – powiedział nieśmiało Lipski.

– To bardzo prawdopodobne. Albo dodatkowo trudnił się lichwą i brał w zastaw. Sprawdzimy, oj, sprawdzimy! A to co?!

Agent zamilkł na dłuższą chwilę, oglądając coś w skrytce.

– Co tam masz? – zniecierpliwiał się Zaif. – Wyciągnij i pokaż. Mamy tu siedzieć do rana?

– Do licha! – zawołał zdumiony agent. – To mi wygląda na taką samą laskę, jaką dostaliśmy od Sadowskiego...

– Żartujesz? Tę z ukrytym ostrzem?

– Właśnie.

– Wyciągnij ją wreszcie, zaraz to sprawdzimy!

– Poczekał, tu są jakieś papiery. Wyglądają jak listy przewozowe...

– Wyciągaj wszystko!

Jezierski posłusznie wydobyl kilka przedmiotów po kolei i ułożył je na łóżku, a nie, jak dotychczas, na podłodze.

– To nie tylko laska – zauważył zdziwiony doktor. – Srebra stołowe? Dziwne. Ale dlaczego ustawiasz to wszystko osobno?

– Bo to wszystko wiąże się z innymi prowadzonymi przez nas śledztwami – oświadczył uroczyście agent. Po początkowym zaskoczeniu jego mózg zaczął pracować teraz na zdwojonych obrotach, a na twarzy pojawiły mu się wypieki. – Słuchaj, to są prawdopodobnie srebra skradzione z domu Kobierzyckiego! Jestem tego prawie pewien! Na pewno nie wszystkie, ale spora ich część. Wychodzi na to, że Bujnicki pomagał Złotemu Czesiowi w splądrowaniu domu Kobierzyckiego pod Sieradzem! A to znaczy, że...

– ...mógł również brać udział w kradzieży dokumentów z budynku Towarzystwa Kredytowego – dokończył Zaif.

– Nie zapominaj, że tam zabito strażnika.

– I żebraka. Zaledwie kilka metrów dalej. Ale ja nie wierzę, że to Bujnicki zamordował żebraków i strażnika. Mogę założyć, że był czyimś współnikiem, ale...

– Jakubie, na litość boską! – wybuchnął Jezierski. – Za mało ci dowodów?!

– Mógł przechowywać te przedmioty dla kogoś innego. Mógł je temu komuś nawet ukraść. Równie dobrze ktoś mógł mu je podłożyć, nie sądzisz?

– Po co komplikujesz prostą sprawę? Skrytka na pewno należy do Bujnickiego!

– Co nie znaczy, że on to wszystko sam schował. A nawet jeśli, to mógł przechowywać te rzeczy dla kogoś innego.

– Dlaczego tak się przy tym upierasz?

– Bo Bujnicki nie wygląda mi na orła intelektu. Sam by tych wszystkich akcji nie wymyślił i nie przeprowadził w taki sposób! Wierzysz, że taki pijaczyna, który w dodatku często wdaje się w bitki, nie wygadałby się przed kimś? Już dawno byście wiedzieli, kto to wszystko zrobił, gdyby to on za tym stał.

– Cóż, nie mogę ci odmówić racji, ale z drugiej strony, sam zobacz... Nowa laska z ukrytym ostrzem, jeszcze nieodpakowana, bo dopiero ja zdjąłem...

– Poczekaj – przerwał mu Zaif. – Nie przeczytałeś tych dokumentów. Tu jest list przewozowy, niestety, adres nadawcy jest zatarty i czymś poplamiony, ale może uda się go odczytać. Na pewno po niemiecku. A tu pokwitowanie na dwie takie laski. Gdzie w takim razie jest druga?

– Pewnie ma ją przy sobie!

– Czy pan Parczewski albo jego służąca wspominali, że Bujnicki miał przy sobie laskę? Z tego, co sam mi mówiłeś, powiedział tylko o koszu.

– Lipski, czy tobie coś wiadomo o lasce Bujnickiego?

– Nic a nic, a jestem pewien, że służąca by jej nie przeoczyła. Kosz opisała tak dokładnie, że chyba co do centymetra...

– Na wszelki wypadek pójdziesz tam jeszcze dzisiaj i spytasz o to pana Parczewskiego i jego służącą.

– Tak jest, Wasza Miłość.

– Ale z drugiej strony, mógł też tę laskę zostawić za drzwiami...

– Sam w to nie wierzysz, Walery! Po co by to robił? Przecież dopóki nie zwolni zatrasku, laska wygląda całkiem zwyczajnie.

– No, fakt...

– Osobiście sędzę, że prawdziwy zabójca tę laskę zamówił, a Bujnicki jako zwykły współnik przesyłkę odebrał i to, co nie było zabójcy potrzebne od razu, schował do skrytki. Ten ktoś jest bardzo sprytny, bo nawet gdybyście go podejrzewali, nic byście u niego nie znaleźli, ani jednej obciążającej go rzeczy.

– To ma sens – przyznał niechętnie Jezierski. – A kogo byś typował na tego sprytnego i świetnie zorganizowanego zabójcę?

– Za dużo ode mnie wymagasz – uśmiechnął się Zaif. – To ty trzymasz w ręku wszystkie nici



z poszczególnych śledztw. Ale swój typ mam.

– I oczywiście nic mi teraz nie powiesz?

– Pewnie, że nie! Nie chcę cię zasugerować swoimi przypuszczeniami, szczególnie że nie mam żadnych dowodów. A co, jeśli ta osoba okaże się niewinna?

– Niech ci będzie, zatrzymaj dla siebie to nazwisko. A jeszcze lepiej napisz je na kartce i schowaj do koperty. Później ją otworzymy i sprawdzimy, czy miałeś rację.

– Może się o coś założymy? Wtedy będzie ciekawiej.

– Wracajmy lepiej do laboratorium. Masz okazję sprawdzić, czy te twoje metody naukowe są coś warte.

– Jestem ich pewien, nie martw się.

– Ależ ja ci wierzę! Ty zajmiesz się śladami krwi z domu i z kosza, a ja przedmiotami ze skrytki. Najważniejszy jest teraz list przewozowy. Jeśli uda się ustalić, kto wykonał te laski, to może dowiemy się też, kto je zamówił.

– Tak, to obiecujący trop. Słuchaj, Walery, chyba musimy wrócić pieszo, bo cały powóz jest zawałony próbkami z mieszkania Lipowskiej.

– Spacer dobrze nam zrobi. Odprowadzę cię do szpitala, a potem zajmę się swoją robotą. Powiniennem nadać jej kryptonim „Listonosz”, bo mam na głowie dwa listy z żądaniem okupu, list przewozowy i list z Warszawy.

W drodze powrotnej rozmowa zesłała na sposoby, jakimi Zaif chciał udowodnić, że znalezione plamy krwi są krwią ludzką, a nie zwierzęcą.

– Wy tłumacz mi, proszę, jak się robi te badania krwi – poprosił Jezierski. – Do tej pory nie można było udowodnić, że plamy, na przykład na ubraniu podejrzanego, w ogóle są plamami krwi. A jeśli już jakimś cudem udało się tego dowieść, wszyscy podejrzani i ich obrońcy rzecz jasna tłumaczyli, że jest to krew zwierzęca, a nie ludzka.

– Cóż – zaczął Zaif – w zasadzie masz rację. I nie wiem, czy potrafię ci to przystępnie wytłumaczyć, ale spróbuję. Już dawno naukowcy zorientowali się, że nie każdy czerwony ślad jest równoznaczny z plamą krwi, ponieważ przybierają one różne odcienie: od koloru brązowego, żółtego, aż po zieloną i popielatą. To zależy od czasu powstania śladu i wpływu czynników zewnętrznych, takich jak temperatura, wilgotność i światło. Kiedyś nawet sporządzano tablice zawierające wszystkie rodzaje i barwy plam krwi, by móc przez porównanie rozpoznać podejrzanego ślad, nie mogło to jednak stanowić dowodu w sądzie. Ale postępu nie da się zatrzymać, nastąpił rozwój mikroskopii, odkryto także, iż krew składa się z krwinek czerwonych, białych i surowicy, co skłoniło naukowców do szukania pod mikroskopem w różnych plamach typowych kształtów krwinek czerwonych. Krew szybko zasycha, a wtedy krwinki tracą swój pierwotny wygląd i zmieniają się w bezkształtną masę. Na szczęście szybko okazało się, że gdy zasuszone, ale niezbyt stare ślady krwi podda się działaniu roztworu potasu i alkoholu, zwykle udaje się uwolnić krwinki czerwone, choć nie zawsze. W tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim roku Niemiec Christian Schönbein zauważył, że hemoglobina, czyli barwnik czerwonych krwinek, zawiera pewien enzym, który pod wpływem wody utlenionej powoduje powstawanie białej piany<sup>90</sup>. Szybko okazało się, że metoda badania śladów krwi wodą utlenioną pozwala wykryć krew nawet w tych miejscach, w których została ona zmyta i gdzie nie można jej zauważyć nawet pod szkłem powiększającym. Ale żeby nie było za dobrze, zaobserwowano, że do takiej samej reakcji chemicznej dochodzi także z innymi substancjami, na przykład ze śliną, nasieniem męskim, rdzą czy niektórymi środkami do czyszczenia butów.

– Zatem metoda tego Niemca nie była zupełnie pewna?

– Właśnie. Tak jak test krwi, odkryty mniej więcej w tym samym czasie przez Holendra van Deena. Badacz ten zauważył podczas doświadczeń z alkoholowymi wyciągami ze wschodnioindyjskiego drzewa gwajakowego, że przyjmują one niebieską barwę po zmieszaniu ich z żywicą, zawierającą tlen

z terpentyną i krwią. Nie będę ci tłumaczył, na czym polega ta reakcja...

– Dziękuję! Chemika już ze mnie nie zrobisz, dla mnie ważne są efekty tych reakcji.

– I słusznie. Powiem ci zatem o jeszcze innej metodzie, którą zaproponowali Adlerowie. Ci dwaj jako odczynnika użyli benzydyny, której roztwór dawał niezwykle czułą reakcję pod postacią niebieskiego zabarwienia przy zetknięciu się z krwią. Próba benzydynowa dawała jednak pozytywną reakcję nie tylko z krwią, lecz i z rdzą oraz solami jodu. Może jednak spełniać rolę wstępnej próby, po której należy zastosować inne testy, pozwalające na jednoznaczne stwierdzenie, czy rzeczywiście chodzi o krew, jak na przykład test Polaka Ludwika Teichmanna-Stawlańskiego<sup>91</sup>, który najwcześniej opracował świetną metodę ścisłego wykrywania krwi. Zaobserwował on mianowicie, że jeśli oddzielić cząstkę zaschniętej plamy krwi i położyć na szkiełko podstawowe z dodatkiem krystalicznej soli kuchennej oraz kilku kropeł kwasu octowego lodowatego, a następnie podgrzać, to o ile w badanej substancji rzeczywiście występuje krew, powstaną kryształki. Nazwano je hemina, bo wchodzi w skład hemoglobiny. Metoda Teichmanna jest znakomita i zawodzi tylko w jednym przypadku – gdy plamy znajdują się na zardzewiałych częściach przedmiotów metalowych. Poza tym, jeżeli uda się zobaczyć kryształki, to można mieć pewność, że to krew.

– Ależ to znakomita wiadomość! – ucieszył się agent. – Na pewno umiesz przeprowadzić taki test.

– Oczywiście, to nic skomplikowanego. Gdybym miał tu pewien aparat zwany spektroskopem, wynik badania byłby zawsze pewny. Analiza spektralna jest niezawodna.

– A cóż to znowu za licho? – spytał agent nieufnie, ponieważ nie wierzył w żadne cudowne urządzenia.

– Kilka lat temu odkryło tę metodę dwóch Niemców: Bunsen i Kirchhoff. Bazowali na znanej już nauce wiedzy, że światło słoneczne ulega rozszczepieniu po przejściu przez szklany pryzmat i daje na ekranie kolorową wstęgę, podobną do tęczy, obejmującą barwy od czerwieni do fioletu.

– Ach, sam nie raz to widziałem! – ucieszył się Jezierski. – Mamy przecież kryształowe żyrandole, które „robią” taką tęczę, gdy świeci na nie słońce. Nasze dzieciaki to uwielbiają!

– To znakomity przykład! Kryształy w żyrandolach są właśnie takimi pryzmatami rozszczepiającymi światło, a ta „tęcza” naukowo nazywa się widmem spektralnym. Ale nie o to teraz chodzi. Bunsen i Kirchhoff zwrócili uwagę na fakt, że każda substancja, jeśli tylko posiada zdolność emitowania światła, wywołuje powstanie takiego widma, które jest charakterystyczne tylko dla niej i żadnej innej. Różnice są nieraz drobne, ale zawsze są.

– To tak jak z odciskami palców – zauważył agent. – Są do siebie podobne, a jednak każdy człowiek ma inne.

– Otóż to! Każde ciało – stałe, płynne czy gazowe – jeśli zostanie doprowadzone do stanu promieniowania poprzez podgrzewanie lub działanie wyładowań elektrycznych, na tle pełnego spektrum wytworzonego przez światło słoneczne wywołuje określone, zawsze takie same linie, pasma czy wstęgi. A że każda substancja absorbuje inne części widma, to różne linie absorpcyjne zdradzają rodzaj badanej próbki. Zastosowanie tej metody do wyciągów z plam krwi wykazało, że także hemoglobina wywołuje swoiste pasma absorpcyjne. Ale jak się domyślasz, metoda ta jest dostępna tylko nielicznym medykom sądowym.

– Do których na pewno się zaliczasz.

– To prawda. Mam taki aparat u siebie w Stanach i jestem z jego działania niezwykle zadowolony.

– Wszystko to bardzo dobre wieści, ale każdy adwokat będzie bronił podejrzanego o zabójstwo, mówiąc, że ślady krwi nie pochodzą od zamordowanego, lecz od zwierzęcia. Rozumiesz, ubój, przypadkowe zetknięcie i tak dalej. Może być też na odwrót – każdy kłusownik będzie twierdził, że ślady krwi na jego ubraniu to jego własna krew, bo miał akurat krwotok z nosa. Jak sobie z tym poradzisz?

– Przyznaję, to niełatwe zadanie i choć opracowano kilka metod, żadna nie była niezawodna. Ale ja koresponduję z pewnym uczonym i znam wyniki jego badań. To Paul Uhlenhuth, asystent Instytutu Higieny małego uniwersytetu niemieckiego w Greifswaldzie, człowiek mało znany, choć niesłusznie, bo to

znakomity umysł...

– Do rzeczy, Jakubie!

– Uhlenhuth odkrył metodę odróżniania krwi ludzkiej od krwi zwierzęcej nawet w zupełnie małych śladach.

– Niemożliwe! To byłby cud!

– Żaden cud, tylko nauka. Podczas badań nad płynną częścią krwi zwierzęcej, zwanej surowicą, Uhlenhuth zauważył interesujące zjawisko: jeśli królikowi wstrzyknąć duże ilości kurzego białka i w jakiś czas później zmieszać surowicę tego królika z zawartością jaja kurzego, ale bez żółtka, to surowica królicza wykazuje „przeciwdziałanie” w stosunku do białka kurzego, a mianowicie wytrąca z przejrzystego roztworu białko w postaci kłaczków opadających na dno naczynia. To skłoniło Uhlenhutha do wstrzyknięcia krwi kurzej królikowi i sprawdzenia, czy w jego surowicy wytworzy się przeciwciało skierowane przeciwko białku wchodzącemu w skład surowicy kurzej. Udało się, otrzymał surowicę i to natychmiast po zetknięciu się surowicy króliczej z krwią kurzą. Przy czym ta sama surowica królicza była obojętna przy zmieszaniu jej z krwią ludzką, bydlęcą, psią czy świńską. Jeśli jednak Uhlenhuth innym królikom wstrzykiwał krew bydlęcą...

– Jakubie, na litość boską, oszczędź mi tego! Przecież nikt normalny nie pojmie tych waszych zawłości, a od tych wszystkich surowic można dostać kociokwiku! Przejdź do sedna.

– Efekt jest taki, że przy pomocy tych pogardzanych przez ciebie surowic można stwierdzić, czy próbka w probówce zawiera krew człowieka, czy krew danego zwierzęcia.

– Ależ to genialne!

– Metoda ma jedną wadę.

– A jednak!

Zaif wzruszył ramionami.

– Cóż chcesz, nie ma rozwiązań idealnych. Tutaj chodzi o to, że niemożliwe jest odróżnienie krwi zwierząt, których gatunki są blisko spokrewnione, jak na przykład koń i osioł. Białka ich surowic nie wykazują różnic.

Jezierskiego to nie zraziło.

– A cóż mnie teraz obchodzą konie i osły! To świetna wiadomość. Teraz będziemy mogli udowodnić każdemu zabójcy jego czyn. Wsadzimy go do więzienia...

– Podobnie jest z krwią ludzką i małpią.

Agent zamilkł na chwilę, jego oblicze zachmurzyło się, lecz zaraz potem rozjaśnił je uśmiech.

– Na szczęście żyjemy w klimacie, w którym małpy nie skaczą po drzewach, więc to też nie problem!

Zaif uśmiechnął się.

– Tak, to bardzo szczęśliwa okoliczność. Na deser mogę ci jeszcze powiedzieć, że Uhlenhuth prowadzi także badania w zakresie pochodzenia i wieku najróżniejszych wysuszonych plam krwi. Wyniki są bardzo obiecujące. Nawet przy bardzo znikomych i starych śladach krwi udało mu się określić, czy plama pochodziła z krwi ludzkiej, czy też z krwi różnych gatunków zwierząt. Podobno wystarczy tylko część śladu krwi rozpuścić w probówce i połączyć z króliczą surowicą antyludzką czy antyzwierzęcą. Jeśli w miejscu zetknięcia się wyciągu z surowicą wytworzy się tak zwany biały strat, to wiadomo, że chodzi o ten rodzaj krwi, przeciwko której skierowane były przeciwciała zawarte w surowicy króliczej.

– Z grubsza zrozumiałem, chociaż znów zaczęłeś mieszać mi w głowie tymi surowicami. I chociaż nie wiem, jak wygląda ten biały cosiek...

– Strat.

– Jakubie, to naprawdę w tej chwili nieistotne. Chcę się tylko dowiedzieć, czy w razie czego umiałbyś zastosować tę metodę?

– Ależ oczywiście, przecież to dziecinnie proste!

– Hm, tu bym polemizował, ale chwilowo to mi właśnie wystarczy. No, jesteśmy prawie na miejscu.

Tu cię pożegnam, bo muszę zająć się tymi listami. Poza tym czas wypuścić wreszcie Lipowską i dać jej „ogon”. Pan do nas?

Zaif odwrócił się i ujrzał wysokiego, chudego mężczyznę z kapeluszem mocno nasuniętym na czoło.

– Pan Zaif? – zapytał nieznajomy. – Doktor Zaif?

– Tak. Z kim mam przyjemność?

– Moje nazwisko Zajdler. Arnold. Jestem synem notariusza.

– Czy coś się stało?

Mężczyzna skinął głową.

– Starsza pani zaniemogła. Chyba nie przeżyje nocy. Przynajmniej tak mówi doktor.

Zaif zmełł w ustach przekleństwo, czym niepomiernie zdumiał Jezierskiego. Nie powiedział jednak ani słowa, tylko nastawił uszu, ciekaw dalszego ciągu.

– A niech to! A panienka?

– Z nią wszystko w porządku. Moja matka jest przy niej, bo doktor nakazał wszystkim wyjść z pokoju starszej pani.

– Co pan tu robi? Wystarczyłby telegram.

– Wiem, ale ojciec kazał mi przywieźć pana Modrzyckiego. Mogę zabrać też pana.

– Niestety, nie mogę jechać. Mam bardzo pilną pracę w laboratorium. Zresztą teraz nic tam po mnie, doktor Singer zna się na rzeczy. Ale przyjadę najszybciej, jak się da. Mam tylko jedną prośbę.

– Tak?

– Niech pan przypilnuje, żeby panienka nie brała żadnych lekarstw do mojego przyjazdu. Nawet tych od doktora Singera.

– Chyba pan...

– Nie, nie – zaprzeczył energicznie Zaif. – Nie podejrzewam doktora, ale kogoś innego. Doktor na pewno o niczym nie wie, lecz nieświadomie może podać coś, co pannie zaszkodzi. Lepiej, żeby przez dzień lub dwa nic nie brała. Nie jest poważnie chora, nic jej nie będzie. Przypilnuje jej pan?

Zajdler milczał chwilę.

– Dobrze – powiedział wreszcie. – Zrobię, co będę mógł.

– Lepiej, żeby pan się naprawdę postarał. Przecież panu na niej zależy, prawda?

– Ona nawet o tym nie wie. Zresztą, woli tego lalusia...

– Teraz to nieistotne. Ponadto jestem pewien, że wkrótce przekona się, kto jest jej prawdziwym przyjacielem. Wystarczy, że trochę pan poczeka. Może dziewczyna zmieni zdanie, gdy się dowie... – Zaif zawahał się na moment – ...jak pan o nią dbał.

– Tak pan sądzi?

– Naprawdę w to wierzę.

– Dobrze. W takim razie do widzenia.

Mężczyzna skinął im głową i szybkim krokiem odszedł w stronę znajdującego się nieopodal powozu.

– Sądzisz, że starsza pani z tego wyjdzie? – zapytał Jezierski, gdy tylko powóz ruszył.

– Jestem pewien, że już nie żyje.

## Rozdział 9

Wielogodzinna ciężka praca Jakuba przyniosła w końcu efekty, choć nie wszystkie spełniały oczekiwania policji. Mimo że cały następny dzień spędził z Małyszka na testach i analizach, nigdzie nie stwierdzono widocznych śladów krwi – ani na dywanie, ani na różnych częściach ubrań, ani w zlewie, na nożach czy deskach podłogowych, ani w brudzie ze szpar podłóg. Wprawdzie przy użyciu wody utlenionej i wyciągu z drzewa gwajakowego dało się uzyskać słabe pozytywne wyniki na niektórych częściach ubrań, ale jeśli nawet była tam obecna krew, została tak dokładnie zmyta, że stanowcze



potwierdzenie tych śladów okazało się niemożliwe. Jedynie plamy, które znaleziono na tapetach, były krwią, niestety, pochodziły z krwi pluskiew, gdyż pod mikroskopem można było wyraźnie zobaczyć zmiażdżone części tych owadów.

Jezierskiego zdenerwowały te wieści, więc oderwał się na chwilę od przygotowań zasadzki na amatorów okupu za Elizę Garszyńską i pospieszył do szpitala.

– Powiedz mi w takim razie, Jakubie, czy istnieje taka możliwość, że ktoś zamordował w tym mieszkaniu dziecko, rozczłonkował, zapakował ciało do koszyka i nie pozostawił żadnych śladów krwi? Przecież przy czymś takim nie da się nie pobrudzić!

– Sprawca miał dość czasu, żeby usunąć ślady – zwrócił mu uwagę Zaif. – Poza tym, podczas rozkawałkowania ciała martwej już ofiary krwi mogło nie być dużo. Krew płynie, gdy pompuje ją serce, a skoro serce już nie biło... Sam rozumiesz. Nadto, zabójca mógł – i prawdopodobnie tak zrobił – użyć wanienki jako naczynia, w którym dokonywał rozczłonkowania, wodę natomiast zamiast do zlewu wylał do klozetu. Miał ich w nocy do dyspozycji kilka. Mógł też wyrzucić nóż, którego używał.

Mieli kosz i to w nim Jezierski pokładał największe nadzieje. Musiał jednak wracać do swojej pracy, choć był bardzo ciekaw wyników badań. Zaif się z nim zgadzał, szczególnie że do jednej z węższych ścianek przykleiły się małe kawałki gazety i papieru do pakowania, już na pierwszy rzut oka przypominające te, w które zawinięte były części zwłok. Gdy na tej samej ścianie doktor zauważył kilka czerwonych plam, być może pochodzących od krwi, zabrał się do pracy ze zdwojoną energią.

Najpierw przy pomocy Małyszki przeprowadził próby, które udowodniły, że umieszczenie zwłok Dolatówny w koszyku było zupełnie możliwe. Później zbadał pod mikroskopem czerwone plamy znajdujące się na poprzecznej ścianie koszyka i bez trudu dostrzegł czerwone ciała krwi. W dodatku w plamy te wtopiły się włókna wełnianej tkaniny, które prawdopodobnie dostały się tam razem ze świeżą krwią i później zaschły. Pod mikroskopem do złudzenia przypominały one nitki bawełny z halki Kasi.

Zaif ściśle przestrzegał środków ostrożności obowiązujących naukowca. Ze śladów na koszu sporządził w probówce przejrzysty czerwony wyciąg, podobny wyciąg zrobił też z niepokrytej plamami plecionki wiklinowej. Przygotował także trzecią próbkę – roztwór ludzkiej krwi, pobranej od pewnego szpitalnego nieboszczyka w obecności dwóch innych lekarzy. Później do tych trzech probówek dodał surowicę przeciwludzką z Greifswaldu.

– Jeśli badana plama pochodzi z krwi ludzkiej – tłumaczył Małyszce Jakub – to w próbce z pierwszym wyciągiem powinno najpóźniej do dwóch minut powstać pierścieniowate, stopniowo coraz silniej występujące zmętnienie, które zdradza wytrącanie się białka. To samo musi wystąpić w probówce zawierającej roztwór krwi ludzkiej z naszego szpitalnego nieboszczyka. A co z wyciągiem z samej wikliny?

– Nie powinien się zmienić – odpowiedział szybko Małyszko.

– Teraz pozostało nam tylko obserwować.

Obaj z zapartym tchem wpatrzyli się w probówki. Już po siedemdziesięciu sekundach wystąpiło spienienie w pierwszych dwóch probówkach, roztwór z samej plecionki pozostał natomiast bez zmian.

– A zatem nie ma wątpliwości! – ucieszył się Zaif. – Ślady na koszyku pochodzą z całą pewnością od krwi ludzkiej. Muszę natychmiast zawiadomić o tym Walerego!

Jakub zaczął się szybko przebierać.

– A co ja mam robić w tym czasie?

– Zbadaj skład tych kapsułek, które przywiozłem z Ostrowa!

– Wszystkich?

– Wszystkich! – zawołał Zaif już w drzwiach. – To bardzo ważne, bo osoba, które je zażywała, raz czuła się po nich lepiej, a raz gorzej. A właściwie to bardzo źle.

– Jak bardzo źle?

– Nie żyje.

Zaif zostawił osłupiałego Małyszkę w laboratorium, a sam złapał dorożkę i kazał się jak najszybciej wieźć do pałacu gubernatora. Niestety, nie zastał tam agenta, ale Jacenty dokładnie go poinformował, gdzie jest, więc doktor postanowił nie przeszkadzać gubernatorowi.

– Podawałem akurat herbatę w gabinecie Jego Ekscelencji, podczas gdy agent relacjonował mi postępy w śledztwie. Spieszył się, bo czekał na sygnał od Poraja, że zasadzka gotowa.

– Chodzi o okup?

– Tak.

– A nie wiesz czasem, o który list z okupem chodzi? Wiem, że były dwa, ale każdy wyznaczał inną datę i miejsce przekazania okupu. Zdaje się, że nawet kwota była inna?

– O, tak – z wielkim przejęciem przyznał kamerdyner. – Pierwszy list został podrzucony do hotelu wcześniej, prawdopodobnie w nocy. Nie wiadomo dokładnie, kiedy ani przez kogo, bo recepcjonista spał jak suseł. Gdy się obudził, list leżał na ladzie. Dobrze, że hultaj spojrzął na zegar, stąd wiadomo, że była druga w nocy. Ale termin przekazania okupu z tego listu wyznaczono na jutro. Drugi list zaniósł natomiast podobno Bujnicki, ten morderca, co to uciekł. Tego samego dnia, lecz kilka godzin później, bo po piątej rano. Sam go przekazał, ale recepcjoniście nałgał, że ktoś go o to poprosił i że dostał za to piąta. Oczywiście to było kłamstwo, sam list napisał i przyniósł!

– Zapewne – przyznał ostrożnie Zaif.

– Jak to? – zaperzył się Jacenty.

– Oczywiście, masz rację, mój drogi – pospiesznie zapewnił doktor – ale wybacz, bardzo mi się spieszy. Czy mógłbyś coś dla mnie zrobić?

– Jeśli tylko potrafię.

– Muszę wysłać pilny telegram do Ostrowa.

– Och, to żaden kłopot. Proszę tylko podać mi adres, na który ma dojść.

– Proszę, tu masz nazwisko i adres. – Zaif wyciągnął z kieszeni notes i skreślił kilka słów. – A oto treść. Odczytasz?

Kamerdyner sięgnął po wiszący na tasiemce monokl i spojrzął na kartkę. „Jakie wieści? Czy J. M. był pomocny? Co z panienką?”.

– Dobrze, wyślę ten telegram.

– Znakomicie. A tak przy okazji, nie byłoby ci wygodniej, gdybyś używał okularów?

Jacenty wyjął szkiełko z oka i uśmiechnął się.

– Stary już jestem, panie doktorze – powiedział. – W moim wieku człowiek niechętnie zmienia nawyki.

– Tylko ten, który czuje się staro, a to nie zależy od wieku, wierz mi.

– Rozważę to, doktorze. Będzie odpowiedź?

– Tak sądzę. Bardzo mi na niej zależy.

– Gdzie ją przesłać?

– Hm, będę teraz przez jakiś czas z Walerym... Później... Sam jeszcze nie wiem. To zależy między innymi od tej odpowiedzi...

– Proszę zostać z Walieszą, wtedy na pewno pana znajdę.

– Świetnie, ale dłuższą pogawędkę utniemy sobie później.

Kamerdyner spojrzął na swój kieszonkowy zegarek.

– Tak, musi pan pędzić, doktorze, bo akcja zaraz się zacznie.

– Chętnie, ale powiedz mi wreszcie, dokąd mam jechać?

– Jak to? Nie powiedziałem? Do bazyliki Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny.

– No, proszę – mruknął Zaif. – Historia lubi się powtarzać.

– Co pan powiedział? Nie dosłyszałem.

– Nic ważnego, tam się z Walerym poznaliśmy – rzekł doktor i już go nie było.

Przed bazyliką było mnóstwo ludzi, jako że akurat zbliżała się godzina jakiejś okolicznościowej mszy.

Zaif nie miał pojęcia, w jakiej intencji ją odprawiano, ale mało go to w tej chwili obchodziło. Stwierdził jednak w duchu, że Bujnicki całkiem mądrze wybrał miejsce przekazania okupu, bo w tłumie łatwo się ukryć i zniknąć. Musiał też wiedzieć, że taka msza się odbędzie. Przygotował się zatem, co świadczyło również o tym, że nie jest taki znów głupi.

Zanotowawszy to w pamięci, doktor rozejrzał się dyskretnie, ale nigdzie nie dostrzegł przyjaciela ani żadnego innego znajomego policjanta. Nie bardzo wiedział, co teraz zrobić, żeby odszukać agenta, a jednocześnie nie zepsuć mu niechcący zasadzki. W końcu zdecydował się wejść do kościoła.

Ledwo minął kropielnicę w kruchcie, gdy ktoś pociągnął go za rękaw. Zaif odwrócił się i z trudem rozpoznał Lipskiego, który miał na sobie cywilne ubranie, sumiaste wąsy i monokl w oku, dzięki czemu sprawiał wrażenie dość zamożnego kupca.

– Pozwoli pan, doktorze, za mną.

Zaif skinął głową i dał się poprowadzić do bocznej nawy, gdzie w cieniu pod amboną zastał Jezierskiego. Wokół stało co najmniej kilkunastu innych policjantów. Wszyscy po cywilnemu, z drobnymi zmianami w wyglądzie, doskonale wtapiali się w tłum. Doktor stanął obok agenta, ale na niego nie spojrzął, lecz tak jak on zaczął wpatrywać się we fragment ołtarza, bo tylko tyle dało się z tego miejsca zobaczyć.

– Nie spodziewałem się ciebie tutaj – szepnął agent, nie odwracając wzroku.

– Skończyłem testy, chciałem ci jak naj...

– Wynik?

– Pozytywny. W koszu z pewnością przenoszono... wiesz co.

– Świetnie. Stój tu i się nie ruszaj, nawet gdyby... Psst!

Zaif dyskretnie spojrzął na przyjaciela, a potem skierował wzrok w stronę, w którą tamten patrzył. Zobaczył wchodzącą do głównej nawy Johannę Lipowską, która teraz przystanąła, rozglądając się niepewnie wokół.

– A niech to, nie spodziewałem się jej tu – wyszeptał agent podnieconym szeptem. – W ogóle nie wiem, jak skontaktowała się z Bujnickim, bo nie wychodziła z domu dalej niż do sklepu, a moi ludzie mieli ją cały czas na oku!

– Bujnicki musi być zatem w domu – stwierdził Zaif.

– Sprawdziliśmy mieszkanie tuż przed jej powrotem, nie ma go tam.

– Nie miałem na myśli mieszkania...

– Szefie! – wtrącił się Lipski z wypiekami na twarzy. – On pewnikiem ukrywa się w piwnicy!

Zaif skinął głową na znak, że też tak myśli.

– Ciszej! Skąd wiesz?

– Bo teraz przypomniało mi się, że służąca pana Parczewskiego powiedziała, że czuć go było stęchlizną. Nawet tak mówiła, że pewnie pijany stoczył się do piwnicy i tam zasnął...

– Dlaczego o tym nie ma ani słowa w raporcie?

– Ależ jest... To znaczy chyba jest... Nie, na pewno napisałem, że czuć go było stęchlizną.

– Tak, ale to odnosiło się do kosza, głąbie!

– Może źle to ująłem – zmartwił się Lipski. – Ale też nie byłem pewny, czy zapisywać przypuszczenia służącej...

– Chyba to ją powinienem zatrudnić!

– Przepraszam, szefie!

– Później będziesz przeproszał. Teraz weź pięciu ludzi i idźcie przodem. Zaczajcie się gdzieś w pobliżu, żeby widzieć wejście do budynku, lecz do piwnicy nie wchodźcie, dopóki nie wydam rozkazu.

– Tak je...

– Ciszej! Idź już.

– A my? – spytał Zaif, gdy policjant odszedł.

– My pójdziemy za Lipowską. W końcu nie mamy pewności, że ten gagatek nadal jest w piwnicy. O ile w ogóle tam jest.

– Słusznie. W budynku jest jeszcze strych.

– Sam widzisz. A teraz popatrzymy, czy Lipowska weźmie okup.

– Czego zażądał Bujnicki? Pieniędzy?

– A jakże. Pięciu tysięcy rubli.

– Gdzie są?

– Przyklejone pod ostatnią ławką w rzędzie, z samego brzegu.

– A jeśli ktoś już tam usiadł?

– To będzie musiała poczekać do końca mszy, aż ten ktoś wstanie. A my razem z nią. Ale to nie będzie konieczne. Zobacz, już wychodzi, a woreczek ma bardzo wypchany<sup>92</sup>.

– Nie idziemy za nią?

– Ależ idziemy, tylko w pewnym oddaleniu. W końcu mnie zna. Teraz przejęli ją moi tajni agenci, których nigdy nie widziała. Są wśród nich nawet dwie kobiety.

– Agentki? – zdumiał się Zaif.

– Nie, to siostry dwóch policjantów. Zgodziły się dzisiaj pomóc. Ależ mają frajdę!

– Domyślam się. Ale ja nie jestem podekscytowaną panienką, więc może wezmę dorożkę i pojedę do domu, a stamtąd powozem do Ostrowa.

– A nie mógłbyś pójść z nami? Kto wie, czy nie będzie potrzebny lekarz. Później sam cię odwiozę do domu.

– Hm, właściwie...

– Chodź, możemy już iść – agent pociągnął przyjaciela za rękaw.

Zaif już bez protestów ruszył za nim. Niby od niechcienia wyszli przed kościół, a potem spacerkiem ruszyli w górę ulicy.

– Domyślam się, że wczoraj chodziło o panią Landau? – spytał Jezierski po drodze.

– Tak.

– Czyżby ktoś otruł starszą panią?

– To możliwe.

– Jesteś nad wyraz powściągliwy.

– Nie mam pewności ani dowodów.

– Najbardziej podejrzany jest oczywiście Modrzycki, ale jego nie było w tym czasie w Ostrowie, skoro ten ponury młody człowiek przyjechał po niego. Ma alibi.

– Na to wygląda.

– Czekaj. Powiedzmy, że on odziedziczy po paniach majątek, oczywiście, najlepiej po ich śmierci, żeby nie stracić twarzy porządnego człowieka... A kto dziedziczy po nim?

– Nie wiem, ale przypuszczam, że najbliższa rodzina. Matka albo siostra, albo obie. Trzeba by sprawdzić.

– Hm, jego siostra niedługo wychodzi za mąż, może jej narzeczony doszedł do wniosku, że przydałaby mu się większa sumka niż to, co dostanie w posagu. Albo mamusia ma już dosyć wieloletniej biedy, skoro kiedyś była bogata.

– Wszystko jest możliwe – zgodził się Zaif, choć agent bez trudu dostrzegł, że przyjaciel myśli o czymś innym.

– Taki scenariusz ci nie odpowiada?

– Och, teraz każdy scenariusz jest dobry. Dopóki nie znajdą się dowody, wszyscy są podejrzani. Także osoby z kręgu pani Landau.

– Na przykład ten Romeo, tak? Mamusia umiera, a cały majątek przypada pannie. Ale ona woli ponoć kogoś innego? Wiesz kogo?



– Modrzyckiego.

– Ach, tak! Ów młodzieniec ma zatem więcej powodów, by uśmiercić starszą panią. Ożeni się z córką...

– Pani Landau bardzo by tego chciała.

– To trochę zmienia postać rzeczy. Nie musiał jej truć. Zagmatwana ta twoja sprawa!

– To nie moja sprawa – zaprotestował Zaif.

– Sądzę, że jednak tak, ale mniejsza z tym. Sądziś, że panna teraz wyjdzie za Modrzyckiego?

– On jest zakochany w kimś innym.

– O, a w kim?

– W jakiejś Amelii. Nie znam nazwiska. Ale powiedział, że tylko z nią się ożeni.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Sam słyszałem. Mówił to przy mnie na przyjęciu zaręczynowym swojej siostry.

– W takim razie może mu jednak zależeć na otruciu obu pań. To dlatego kazałeś Zajdlerowi pilnować panny Landau?

– Tylko na wszelki wypadek. Po co niepotrzebnie ryzykować?

– Słusznie, słusznie. Oho, pani Lipowska chyba się zmęczyła. To nawet i lepiej, bo wszystkie dorożki w pobliżu są na naszych usługach. Wsiadaj, wsiadaj, będziemy szybciej na miejscu.

– Nie zdziwi się, że tyle dorożek jedzie akurat na Czaszki?

– Nie pojedziemy do samego końca. Wsiądziemy wcześniej.

– A jeśli gdzieś skręci?

– Mam ludzi rozmieszczonych na całej trasie. Nie wymknie się nam. Zresztą my dwaj pojedziemy za nią najdalej, jak się da. Ciebie, zdaje się, nie zna?

Po pół godzinie wszyscy byli już na miejscu. Lipowska weszła do budynku, ale minęła wejście do piwnicy i poszła prosto do mieszkania. Jeden z agentów zajrzał do stróża i po chwili z zapałem zamiatał kłatkę schodową, ubrany w jego ciuchy, zgarbiony, żeby nie było tak widać różnicy wzrostu, i z czapką głęboko nasuniętą na oczy.

– Masz dobrze wyszkolonych ludzi – pochwalił Zaif. – Naprawdę jestem pod wrażeniem.

– Nie wszystkich, ale kilku jest naprawdę świetnych – przyznał Jezierski. – Co tam, Lipski?

Młody policjant właśnie do nich podszedł i nieśmiało czekał, aż szef go zauważy.

– Melduję, że cisza i spokój. Lipowska w mieszkaniu. Nikogo obcego nie ma w pobliżu, ale wcześniej kręcił się tu jakiś obwieś...

– Kto? – zapytał ostro agent.

– Nie wiemy.

– Nie spisaliście go?

– To było krótko przedtem, zanim tu dotarłem. Policjanci, którzy tu byli, bali się ujawnić.

– Hm, w zasadzie słusznie postąpili – westchnął agent. – Miejmy nadzieję, że to przypadkowa osoba. Co ten człowiek robił?

– Dokładnie nie wiadomo. Na pewno wszedł do budynku, nie wiemy jednak, dokąd poszedł, bo przymknął za sobą drzwi...

– Niedobrze!

– Szefie, nasi odczekali trzy minuty i ruszyli za nim, ale kiedy dotarli do budynku, tamten już wyszedł. W środku nie był dłużej niż pięć minut. Nie zdążyłby się nawet włamać do mieszkania Lipowskiej albo innego. Pewnie przyszedł do kogoś, zapukał, nikogo nie było w domu, więc sobie poszedł.

– Wiesz, jak wyglądał?

– Ja nie, bo go nie widziałem, ale może Piotrowicz go rozpozna.

– Dobrze, wracaj na miejsce.

Lipski odszedł, ale Zaif nie zdążył się znudzić beczynnym oczekiwaniem, bo krótko potem dostali

znak, że Lipowska wyszła z mieszkania.

– Skąd to wiesz? – zdziwił się Zaif.

– Stamtąd. – Agent wskazał na okno w mieszkaniu mieszczącym się obok mieszkania Lipowskiej. –

W mieszkaniu Dolatów jest policjant.

– Zgodzili się?

– Im też zależy na schwytaniu zabójcy ich córki.

– Ale to nie Bujnicki...

– Może i nie, ale do zbrodni doszło prawie na pewno w mieszkaniu Lipowskiej, a on co najmniej zacierał ślady tej ohydnej zbrodni.

– Dolatowie to wiedzą?

– Nie, powiedzieliśmy im, że chodzi o kradzież, a my chcemy odzyskać skradzione mienie. To w zasadzie nawet prawda, w końcu znaleźliśmy w skrytce sporo cennych rzeczy, a i Lipowska ma w tej chwili przy sobie pieniądze z kasy miasta. Idziemy. Niedługo powinniśmy mieć już nasze ptaszki w klatce.

Jeziński ruszył z miejsca, lecz nagle zupełnie niespodziewanie zaczął biec.

– Co się stało? – zawołał zdezorientowany Zaif. – Dlaczego...

– Szybciej! – krzyknął tylko agent.

Dalsze wydarzenia nastąpiły po sobie tak szybko, że później Zaif sam nie był pewien ich kolejności. Bo gdy już coś zaczęło się dziać, to wszystko skończyło się wiele godzin później. Tak jakby los postanowił nadrobić stracony czas i wynagrodzić im dni, podczas których mogli tylko czekać, aż ich wysiłki przyniosą jakieś efekty. Ale teraz żaden z nich jeszcze o tym nie wiedział.

Zaif wbiegł zatem za przyjacielem do sieni budynku, nie mając żadnych złych przeczuc. Już po chwili zmienił jednak zdanie, bo z głębi piwnicy dobiegł go straszny kobiecy krzyk, który nagle się urwał. Nie patrząc pod nogi, zbiegł po starych, koślawych schodach, cudem unikając złamania nogi albo stoczenia się na łeb na szyję.

Stanąwszy na płaskim gruncie, przez chwilę nie wiedział, co robić, gdyż wokół było całkiem ciemno. W głębi zobaczył jednak jakieś światło, więc ruszył w tamtym kierunku. Usłyszał głos przyjaciela:

– Pospiesz się, Jakubie! – wołał agent, a z jego tonu doktor wywnioskował, że sprawa musi być bardzo poważna. Ruszył szerokim korytarzem, od którego odchodziły boczne odnogi, zapewne do poszczególnych piwnic. Wszędzie czuć było stęchlizną, wilgotnym węglem i nadgniętymi ziemniakami, które przechowywała tu zapewne niejedna rodzina. Gdy dotarł na miejsce, zobaczył leżącego na jakimś starym kocu czy kołdrze Bujnickiego i klęczącą nad nim szlochającą kobietę. Wnętrze było dobrze oświetlone, bo niemal każdy policjant trzymał w dłoni latarkę. Gdzie oni je chowają?, przemknęło Zaifowi mimo woli przez myśl i natychmiast uleciało, gdyż wzrok jego padł na klatkę piersiową leżącego mężczyzny. Była cała zalana krwią. Nachylił się nad rannym, podczas gdy jakiś policjant delikatnie odsunął Lipowską.

– Wyprowadź panią na zewnątrz i pilnuj – nakazał Jeziński. – Żyje?

Zaif wiedział, że to pytanie skierowane było do niego, ale zanim zdążył odpowiedzieć, powieki Bujnickiego rozchyliły się.

– To nie ja... – wycharczał z trudem. – Nie ja... zabiłem... Kasię.

– A kto? – spytał agent. – Mówże, człowieku, jeśli chcesz uniknąć stryczka!

– Ja... umieram...

– To chociaż miej trochę sumienia i powiedz, kto zabił, żebym mógł ukarać zbrodniarza.

– On... mi ... kazał...

– Kto?! Co ci kazał?!

– Kazał... zwłoki... Musiałem ją... pokroić...

– Kto ci kazał?!

– Nie... wiem... Nie znam... nazwis...

– Co z Elizą Garszyńską?! Gdzie ją trzymasz? Żyje jeszcze?!

– Nic nie wiem...

– Jak to nie wiesz?! Porwałś ją?!

– Nikogo... nie... porwałem...

Bujnicki zacharczał i zaczął kaszleć. Na ustach pojawiła mu się krew. Po chwili umilkł.

– Jakubie, zróbże coś! – krzyknął agent do klęczącego nad rannym Zaifa. – Ocuć go!

– Walery, on nie żyje. Przykro mi.

Jeziński zaklął i wybiegł z piwnicy. Policjanci spojrzeli po sobie skonsternowani, najwyraźniej nie wiedząc, jak zareagować.

– Poszedł przesłuchać Lipowską – powiedział Zaif, wstając. – Niech jeden z was idzie za nim i notuje.

– Ja pójdę – powiedział Jasiek.

– Ty nie – zaproponował doktor – bo może będziesz musiał przejąć tu dowództwo. Niech idzie Lipski.

Tylko pamiętaj, chłopcze, notuj, ale się nie odzywaj, nie wtrącaj do rozmowy. Zachowuj się tak, jakby cię tam nie było.

– Tak jest.

– A my tymczasem zajmijmy się ciałem – powiedział doktor do policjantów. – Trzeba je jakoś dyskretnie wynieść i przewieźć do mojego laboratorium. Jasiek, skocz do mieszkania Lipskiej i poszukaj pieniędzy z okupu. Nie miała ich przy sobie, a to duża suma.

– Idę – powiedział Poraj. – A wy tu słuchajcie doktora jak samego szefa, bo wam nogi z tyłków powyrywam!

Jakieś dwadzieścia minut później Zaif wyszedł z piwnicy. Ze zdumieniem zobaczył, że agent i kobieta siedzą na krzesłach przed budynkiem, a metr za nimi miejsce zajął Lipski i notował. Wokół nie było żadnych mieszkańców, tylko policjanci w cywilu. Domyślił się zatem, że to oni przynieśli skądś krzesła i teraz pilnowali, żeby nikt nie przeszkadzał w przesłuchaniu. Doktor spojrzął dalej, by sprawdzić, czy są tam jacyś gapie, i zobaczył, że ktoś biegnie w ich stronę i czymś macha z daleka.

Człowiek ten został zatrzymany, lecz po krótkiej wymianie zdań policjant go przepuścił. Zaintrygowany Zaif ruszył w stronę przyjaciela, bo najwyraźniej ten ktoś biegł właśnie do agenta. I na pewno miał jakieś pilne wieści. Później Zaif przypomniał sobie, że chyba właśnie w tym momencie ruszyła lawina zdarzeń.

Tymczasem biegnący mężczyzna był już blisko.

– Ja do agenta Jezińskiego! – wysapał. – To pilne! Bardzo pilne!

– To ja. – Agent wstał z krzesła. – Co się dzieje?

– Wezwali mnie do pałacu gubernatora! – zawołał goniec. – Jego Ekscelencja osobiście nakazał mi odnaleźć pana i przekazać to. – Zamachał plikiem kopert. – Tylko do rąk własnych!

– Lipski, pilnij pani. Pokwitować?

– Jeśli Wasza Miłość tak łaskaw. – Mężczyzna podał agentowi dokumenty, a potem na stoliku położył pojedynczą kartkę. – O, tu, proszę.

Jeziński podpisał, dał mężczyźnie napiwek i natychmiast zajął się przeglądaniem przyniesionej przesyłki.

– Jakubie! – zawołał. – Pozwól tutaj. Jest telegram do ciebie. I kartka od Małyszki.

Zaif sięgnął najpierw po telegram. Jeziński z uwagą studiował plik kartek wyjętych z jednej z kopert.

– A niech to! – krzyknął nagle. – Nie widać twarzy!

– O co chodzi? Pokaż... Ach, to list panny Garszyńskiej! Jest i fotografia.

Zdjęcie przedstawiało niewątpliwie Elizę Garszyńską. Była ubrana w odświętną suknię i kapelusz z dużym rondem, w prawym ręku trzymała gazetę, na której widoczny był duży tytuł jakiegoś artykułu. Obok stał jakiś mężczyzna, także elegancko ubrany. Jego twarzy nie było jednak widać, gdyż odwrócił się bokiem do obiektywu, a twarz skierował ku kobiecie, jakby nie mógł od niej oderwać wzroku. Jedną ręką

trzymał jej kibić.

– Data nie jest widoczna – zauważył Zaif. – Ale może przy użyciu lupy od biedy da się ją odcyfrować. Na pewno jednak datę można sprawdzić po tytule artykułu...

– Mniejsza o datę! Chciałbym wiedzieć, kim jest ten mężczyzna. Przecież to prawie na pewno porywacz.

– Tak, zgadzam się z tobą, ale trudno go będzie zidentyfikować. Tak się ustawił, że...

– Celowo! Nie chciał, żeby ktoś go rozpoznał!

– Oczywiście, nawet koloru włosów nie można zobaczyć, bo ma kapelusz.

– I tak go w końcu dorwę! Szkoda, że berlińska policja jeszcze nie przesłała nam nazwiska zamawiającego laski...

– Udało ci się ustalić nadawcę listu przewozowego?

– Prawie, bo adres był mało czytelny. Ale porozumiałem się z tamtejszą policją i odtąd kontaktujemy się telegraficznie. Oni ustalili dokładną nazwę zakładu rzemieślniczego i obiecali sprawdzić zamówienia. Teraz przysłali informację, że w oficjalnej księdze zamówień nie figuruje nikt z Kalisza ani Ostrowa...

– Oficjalnej? Istnieje zatem jakaś nieoficjalna?

– Otóż to. Właściciel zakładu unikał płacenia podatków i nie rejestrował wszystkich prywatnych zamówień. Na szczęście, prowadził jednak osobny spis w swoim notatniku. W telegramie napisali, że właśnie go aresztowali i będą sprawdzać te zapiski. Nie wiem, ile to potrwa!

– Na pewno dadzą znać natychmiast, gdy tylko coś ustalą. Przecież poinformowałeś ich, jakie to ważne, prawda?

– Prawda, prawda, ale nadal muszę czekać. A co u ciebie?

– Dostałem telegram z Ostrowa. Tak jak przypuszczałem, starsza pani Landau nie żyje. Młody Zajdler nie zastał Modrzyckiego w domu, bo ten wyjechał na kilka dni z jakimś kolegą na wieś. Podobno ma przyjechać dziś lub najpóźniej jutro, więc poczekają z pogrzebem.

– Nie będzie sekcji?

– Będzie. A właściwie już trwa. Wyników jeszcze nie znam, ale wiem, jakie będą.

– Tak? A skąd?

– Stąd. – Zaif pokazał mu ręcznie zapisaną kartkę. – Poprosiłem Stasia, żeby zbadał zawartość kapsułek zawierających lekarstwo pani Landau.

– Skąd je, u licha, wziąłeś?

– Zabrałem za jej zgodą, gdy byłem w Ostrowie. Niestety, w tym czasie dostarczono jej nową buteleczkę, czego nie przewidziałem.

– I co Małyszko znalazł w środku? Strychninę czy arszenik?

– Część kapsułek była nienaruszona, ale w wielu znalazł spore ilości arszeniku.

– Spore? To znaczy?

– Na tyle duże, żeby zaszkodziły, ale nie była to dawka śmiertelna.

– Jednak kobieta zmarła. Dlaczego?

– Sądzę, że partia, którą zabrałem do analizy, zawierała dawki mające wywołać objawy ciężkiej choroby, żeby lekarz myślał, że stan pacjentki się pogarsza...

– Bo później jej śmierć nie byłaby już żadnym zaskoczeniem?

– Otóż to. Podejrzewam, że w tej nowej partii lekarstw była już dawka śmiertelna. To zbada już jednak doktor Singer lub inny tamtejszy lekarz, gdyż uprzedziłem Zajdlera, żeby w razie śmierci starszej pani natychmiast zabezpieczył te kapsułki i oddał do analizy.

– Hm, ale w takim razie nadal nie wiadomo, kto jest sprawcą. Mógł być nim każdy, kto miał dostęp do lekarstw, a to co najmniej kilka osób, od lekarza i aptekarza poczynając, a na służbie kończąc.

– To prawda, tyle że ja wiem, kto jest sprawcą.

– Świetnie, ale zdaje się, że nadal nie masz dowodów.



– To prawda, może znajde je u niego w domu.

– A nakaz rewizji masz?

– Licze, ze go wystawisz.

– Juz teraz? Na jakiej podstawie?

– Wlasnie, w tym lezy problem. Jak tylko znajde jakis pretekst, natychmiast dam ci znac.

– W takim razie obaj na razie nie mamy nic – zmartwil sie Jezierski.

– Na to wyglada – markotnie przyznal mu Zaif. – A co powiedziala ci Lipowska?

– Ech, sporo, ale wychodzi na to, ze Bujnicki byl tylko pomagierem, nikogo nie zabil, nie porwal, tylko zacierał slady, przechowywal rózne rzeczy, wlamywal sie, a nawet nie tyle wlamywal, co siedzial w powozie, gdy Zloty Czesiek przeszukiwal dom Kobierzyckiego... Ale srebrami podzielili sie obaj, choc ponoć mieli zlecenie tylko na papiery.

– Ciekawe, co tez takiego jest w tych papierach, ze ktos za wszelka cene chce je zdobyc.

– Nie mam pojecia.

– A kto byl zleceniodawca?

– Tu jest szkopul. Bezposrednio robotę zlecal mu Zloty Czesiek. Ten po zabojstwie dziecka tak sie podobno wystraszył, ze natychmiast uciekl, nie czekajac nawet na swoja dolę. Jakiś czas pózniej z Bujnickim skontaktowal sie ktos inny, ale Lipowska twierdzi, ze jej niedoszly maz nie wiedzial kto to. Tyle ze to ktos „z towarzystwa”, zamożny. Bardzo sie pilnowal, zeby nikt go nie rozpoznal, zawsze mial czymś przeslonieta twarz. Podobno jednak Bujnicki zobaczył go w koncu, bo tamten przyszedł do niego. Akurat wtedy, gdy Lipowska byla w wiazeniu. Przyniosł mu kilka rzeczy na przechowanie...

– O, mialem racje.

– A nie bylo ryzyka, ze Bujnicki bedzie go szantażowal?

– O, podobno to Bujnicki bal sie go jak ognia! Chyba wiedzial, ze to bezwzglydny morderca...

Na pewno mial swiadomosc, ze tamten zabija wszystkich, ktorzy mieli okazje zobaczyc jego twarz, tak przynajmniej zeznala Lipowska. Moze sam Bujnicki tez cos widzial.

– Na pewno widzial. Chocby smierc malej Kasi.

– No wlasnie, podobno samej smierci nie widzial. Tamten czymś Bujnickiego uspil, bo na zakonczenie transakcji rozbierali flaszke i jakoś szybko mu sie film urwal. Gdy sie obudzil, byl juz sam, to znaczy nie tyle sam, co w towarzystwie trupa dziecka...

– Ale dlaczego zabil to dziecko?

– Do konca nie wiadomo. Bujnicki przypuszczal, ze Kasia weszla do jego mieszkania, zeby pobawic sie z psem. Podobno czesto tak robila, brala tez psa na spacer. Gdy on lub Lipowska byli w domu, nigdy nie zamykali drzwi na klucz i Kasia wchodzila bez pukania, jak to dziecko. Pewnie wtedy tez weszla i cos zobaczyla...

– Wystarczylo, ze zobaczyla twarz zabojcy. Jesli tak pilnowal, zeby nikt go nie rozpoznal...

– Na to wyglada, ale nadal uwazam, ze dziecko nie stanowilo dla niego zagrozenia. Nie musial zabijac Kasi.

– Gdyby byla bardzo malym dzieckiem, to nie, ale ona chodzila juz do szkoly, wiec umiala tez pewnie pisac... Takie dziecko moze komus cos powiedziec.

– Ale kto by jej uwierzyl?

– Tego nigdy nie wiadomo. Sądze, ze zabojca nie chcial ryzykowac. Ale to znaczy, ze chyba jednak jej nie zgwalcil, przynajmniej tyle zostalo oszczedzone biednemu dziecku.

– Marna to pociecha, nawet jezeli to prawda. A pewnosci i tak nie mamy.

– To prawda. Co zatem robimy?

– Skoncze przesluchiwal Lipowska, zeby mogli ja zabrac do wiazienia. Niby nic nie zrobila, nie zabila, nie kradla, ale pomagala Bujnickiemu, nie zawiadomila wladz o popeinionych przestepstwach, ukrywala zbiega, podjela okup... Swoje bedzie musiala odsiedziec. Pózniej przeczytam jeszcze raz ten

list Elizy do siostry – westchnął agent. – Może coś mi umknęło.

– To mnie daj jeszcze raz tę fotografię, mam gdzieś chyba szkło powiększające.

Jeziński wrócił do przesłuchiwania Lipowskiej, zostawiając Zaifa z listem i fotografią oraz szkłem powiększającym. Ale po jakichś dwudziestu minutach przerwał im jeden z policjantów, meldując, że przybył kolejny goniec z pałacu gubernatora.

– Dawaj go tu! – nakazał Jeziński. – I pilnuj pani, żeby nigdzie się nie wybrała...

Wstał i wyszedł na spotkanie zbliżającego się szybkim krokiem zdyszanego mężczyzny. Tym razem był to człowiek o wiele starszy od poprzedniego posłańca.

– Żadna dorożka nie chciała tu wjechać! – skarżył się goniec.

– Mają chwilowy zakaz – odparł surowo agent. – Prowadzimy ważne śledztwo.

– Rozumiem, rozumiem, łaskawy panie! Alem się zdyszał! Proszę, oto list od gubernatora. Nie trza nic podpisywać, a za rubelka pięknie dziękuję!

Jeziński rozerwał kopertę i zaczął czytać, gdy przerwał mu okrzyk Zaifa.

– Ha! – wykrzyknął doktor, który przez ostatni kwadrans uważnie studiował fotografię. – Znam ten pierścień!

– Jaki znów pierścień? To ważne?

– Już go gdzieś widziałem, tylko nie mogę sobie przypomnieć... Zaraz, zaraz...

– Jakubie! Mamy go! Jego Ekscelencja odebrał telegram z Berlina! Lipski! Natychmiast dawaj tu powóz! Drugim wyślij Poraja, żeby zawiózł tę panią prosto do aresztu. Później z nią skończę! Szybko, szybko, człowieku! Jedziemy łapać zabójcę i porywacza!

– Czy teraz będziesz mógł przeprowadzić rewizję w domu sprawcy? – spytał Zaif.

– Od piwnicy aż po dach, możesz być pewien!

Ruszyli obaj w stronę ulicy, skąd nadjeżdżał powóz. Lipski także zerwał się z krzesła, chowając w biegu notes i ołówek do kieszeni. Policjant, który przyszedł z meldunkiem o gońcu, odruchowo przysunął się do Lipowskiej, jakby się bał, że ta ucieknie. Kobieta jednak siedziała bez ruchu, widać było, że jest zmęczona i zrezygnowana, choć na wiadomość o zabójcy oko błysnęło jej mściwie.

– Nigdzie nie ucieknę – powiedziała. – Wszystko mi jedno, skoro Teoś nie żyje. Ale złapcie tego drania i powieście!

– Może pani być tego pewna! – rzucił Jeziński z jedną nogą na stopniu powozu.

Pędzili co koń wyskoczy, bo agent co chwila poganiał woźnicę.

– Uduśzę drania gołymi rękami! – wściekał się Jeziński. – To jakiś potwór! Bydlak nie zasługuje na to, by żyć! Ale nadal trudno mi uwierzyć, że to on! Ostatnia osoba, którą bym o to posądzał! Mogę zrozumieć, że chciał posłać na tamten świat te kobiety z Ostrowa, ale po co zabijał w Kaliszu?

– Może sam nam powie – stwierdził spokojnie Zaif, który po początkowej ekscytacji zdążył się już opanować. – Z moich obserwacji wynika, że mordercy są zwykle ludźmi bardzo zadufanymi w sobie, przekonani o własnej bezkarności i sprycie. Bardzo lubią się chwalić, a że nie bardzo mogą ogłaszać wszem i wobec swoje osiągnięcia w dziedzinie przestępczości, tym chętniej mówią, gdy się ich złapie...

– Co też ty opowiadasz! – zdumiał się agent. – Na pewno nie jest taki głupi. Miałby się dobrowolnie przyznać do winy?

– Tylko wtedy, gdy się przekona, że masz na nią dowody. Ale teraz już masz, prawda?

– No, mam. I zamierzam upleść z nich piękny stryczek na jego szyję!

– Najpierw pomyśl, jak go zmusić, żeby powiedział, gdzie ukrył pannę Garszyńską. O ile biedaczka jeszcze żyje.

– Już ja to z niego wycisnę!

– Nie bądź taki pewien. Mnie się wydaje, że nic nie powie, i to tylko dlatego, żeby ci zrobić na złość.

– Uduśzę gada gołymi rekami!

– Ale najpierw dowiedz się, gdzie jest Eliza...

Do rynku dotarli w rekordowym czasie, łamiąc przy tym wszelkie możliwe przepisy, ale widok Jezierskiego, który kilka razy musiał pokazywać się w oknie powozu, natychmiast ucinał wszelkie próby ich zatrzymania.

Na miejscu okazało się, że dobrze zrobili, jadąc tak szybko, gdyż przed domem stał już powóz gotowy do drogi.

Agent wyskoczył jeszcze w biegu i zajrzał do wnętrza, ale poza woźnicą, nie było tam nikogo.

– Czy to pan Modrzycki wybiera się dokądś? – zapytał zaskoczonego woźnicę.

– Ano – przytaknął tamten. – Bagaze już zapakowane, zaraz ruszamy.

– Do Ostrowa?

– Ano.

– Na długo?

– Nie wiem, ale panicz tam nie siedzi dłużej niż dwa, trzy dni.

– To po co mu tyle bagażu?

– A co ja tam wiem! Panicz lubi zawsze mieć wszystko czyste, a przebiera się i po dwa razy na dzień, to nie dziwota.

– Dobrze, macie tu rubelka. Ja zajrzę do domu...

Nie skończył, gdyż w drzwiach ukazał się Jan Modrzycki w towarzystwie matki, która stanęła zaskoczona łokciem przed wejściem. Jej syn także wydawał się zdumiony.

– Dzień dobry państwu – powiedział jowialnie Jezierski, jak gdyby przybył z czysto towarzyską wizytą. – Przepraszam, że tak bez zapowiedzi, ale mam pilną sprawę do pana Modrzyckiego.

– Oczywiście – powiedziała pani Modrzycka. – Janeczku, zaproś panów do środka. Zaraz zadysponuję herbatę...

– Proszę, niech panowie wejdą – powiedział grzecznie młodzieniec i przepuścił agenta przodem.

Zaif udał, że upuścił laskę i zatrzymał się, by ją podnieść. Nie spuszczał jednak z oka młodzieńca. Jakoś mu nie dowierzał. Wydawało mu się, że człowiek, który zaplanował i przeprowadził brawurowo tyle niebezpiecznych dla siebie akcji, nie mógł dać się tak łatwo aresztować. Ale na razie nic na to nie wskazywało, skoro właśnie bez protestów przepuszczał w drzwiach Walerego. Rozczarowany nieco doktor ruszył w stronę wejścia. Omijał właśnie otwarte drzwi powozu, gdy nagle usłyszał głośny huk. Podniósł głowę i ujrzał, jak młodzieniec zatrząskuje drzwiami za agentem, który wszedł już do środka, a sam wybiega na ulicę. Modrzycki, chociaż szybki, nie zdążył jednak dopaść powozu, ponieważ drogę zastąpił mu Zaif. Nie powstrzymało to młodego człowieka.

– Z drogi, bo zabiję! – krzyknął.

Na to Zaif uniósł swoją laskę, ale Modrzycki nie przestraszył się tylko chwycił za jej koniec. W tym samym momencie Jezierski wypadł zza drzwi i ujrzał następującą scenę: oto koniec laski Zaifa, który chwycił Modrzycki, nagle odpadł z trzaskiem, zostając w ręku młodzieńca, a w promieniach zachodzącego słońca błysnęło cienkie, lecz morderczo wyglądające ostrze. Modrzycki zamarł, gdyż ostrze dotknęło jego gardła.

Tego było za wiele dla Jezierskiego, a może była to reakcja na stresującą sytuację, w każdym razie przystanął i wybuchnął śmiechem.

– A niech cię, Jakubie! – zawołał, podchodząc. – Tegom się po tobie nie spodziewałem! Chociaż chyba jednak powinienem. Nie można dać się wyprzedzić przestępcom, nieprawdaż?

– Otóż to – odparł Zaif i spokojnie wyjął z ręki Modrzyckiego pełniącą rolę pochwy drewnianą końcówkę laski. Agent już wiązał ręce na plecach młodzieńca.

– Panowie! Co wy robicie?!

W drzwiach stanęła pani Modrzycka. Jej twarz wyrażała kompletne zaskoczenie i niedowierzanie.

– Janeczku, co tu się dzieje?!

– Nic, mamó. Wejdz do środka.

– Ależ...

– Droga pani, jest mi niezmiernie przykro, ale pani syn został właśnie aresztowany za co najmniej cztery zabójstwa w Kaliszu, jedno w Ostrowie, porwanie i...

– Pan oszalał! Mój syn niczego złego nie zrobił! Janeczku, powiedz panu, że się myli! Janeczku!!!

Zaif podszedł do Modrzyckiej, bo z jej zachowania wywnioskował, że kobieta jest na skraju hysterii. Chciał jej oszczędzić publicznego upokorzenia, bo wokół zaczęli się już gromadzić gapie. Wziął ją zatem zdecydowanie pod ramię i niemal siłą zaprowadził do mieszkania.

– Jedź – rzucił, mijając Jezierskiego. – Później do ciebie dołączę.

– Będę w areszcie. I prędko stamtąd nie wyjdę.

Po dobrej godzinie z okładem wykończony Zaif dotarł do aresztu. Uspokojenie matki Modrzyckiego bardzo go zmęczyło, bo kobieta za nic nie chciała przyjąć do wiadomości, że jej syn zrobił coś złego, i Zaif poważnie obawiał się o jej zdrowie psychiczne. Gdy kobieta wreszcie zasnęła, gdyż nie pomogło nic, tylko silna dawka opium, musiał zająć się przerażoną i zdezorientowaną służbą. Na koniec do domu wróciła córka z narzeczonym, lecz młodzi jakoś łatwiej znieśli niespodziewany cios. Przynajmniej na razie, Zaif na wszelki wypadek zostawił zatem przyszłemu mężowi panny Modrzyckiej ściśle instrukcje, gdyby nadszedł spóźniony atak hysterii, oraz wypisał recepty na środki uspokajające dla obu pań, stwierdzając, że w ciągu najbliższych kilku dni będą im one bardzo potrzebne. Zalecił też w razie pogorszenia się zdrowia matki umieszczenie jej w szpitalu, a młodym poradził, by jak najszybciej wyjechali w dłuższą podróż, co oszczędzi im bezpośredniego stawienia czoła plotkom i wrogości mieszkańców miasta.

Gdy wszedł do aresztu, uzmysłowił sobie, że od wielu godzin nic nie jadł, poprosił więc Poraja, który wybiegł mu na spotkanie, by przyniósł mu chociaż szklanekę gorącej herbaty, a sam padł na najbliższe krzesło. Nie w ciemną bity Jasiek wrócił po dziesięciu minutach z kanapkami, owocami i dzbankiem parującej, wonnej herbaty.

– Nieżył macie tu wikt – stwierdził Zaif ze słabym uśmiechem.

– To z pałacu – sprostował Jasiek. – Jak tylko daliśmy znać, że mamy zabójcę, Jego Ekscelencja pogonił do roboty kucharza i w kwadrans dostaliśmy suchy prowiant. Gorąca kolacja będzie za... – spojrzął na zegarek – ...jakąś godzinę.

– To dobrze, ale mnie wystarczy kanapka.

– Proszę zjeść wszystkie, my się już najedliśmy. Ja zostawiłem trochę miejsca na kolację, nie to co niektórzy... – Tu spojrzął niby groźnie na Lipskiego, który pozbył się już sztucznego wąsa i monokla.

– Powiedz lepiej, jak idzie przesłuchanie.

– Ano, tak sobie.

– To znaczy?

– Modrzycki przyznał się do wszystkiego, co szef mu zarzucał. Ale...

– Nie chce powiedzieć, gdzie jest panna Garszyńska? – domyślił się Zaif. – Tak właśnie sądziłem.

– Pan, doktorze, na pewno ma jakieś nadprzyrodzone zdolności – powiedział z podziwem Poraj.

– To tylko dedukcja i zdrowy rozsądek – uśmiechnął się Zaif.

– To może pan wydedukuje, gdzie ten drań ukrył pannę?

– Usiądź, podedukujemy razem.

Poraj chętnie się przysiadł i łaskawie udał, że nie widzi, iż Lipski także siada cichutko nieopodal.

– Trzeba się wczuć w skórę przestępcy – powiedział Zaif. – Pomyśl, że to ty porwałś pannę. Gdzie byś ją ukrył?

– Jakoś nie umiem sobie tego wyobrazić – westchnął markotnie Jasiek.

– Musi to być miejsce, w którym nikt jej nie znajdzie, ale dokąd sprawca będzie miał jednak swobodny dostęp w każdej chwili. Nikt nie będzie zdziwiony, że tam zachodzi czy też przebywa.

– Czyli że dobrze zna to miejsce – bąknął Lipski.



– Bardzo dobrze, Hieronimie – pochwalił go doktor.

– Ale po co tam chodzi? – Jasiek nie był przekonany. – To zwiększa ryzyko.

– Ktoś musi ją karmić. Chyba że Modrzycki ma współnika, ale to mi do niego nie pasuje. Jedynym współnikiem mógłby być w ostateczności Bujnicki, a skoro nie był, to nie sądzę, by Modrzycki ryzykował i wtajemniczał w swoje sprawy kolejną osobę.

Lipski wyjął notes i zaczął spisywać w jednej kolumnie cechy, jakie powinno mieć takie miejsce, a obok cechy wykluczające dobrą kryjówkę. Spędzili tak prawie pół godziny, a przeszkodził im dopiero Jezierski, który zrobił sobie przerwę w przesłuchaniu Modrzyckiego.

– Dobrze, że jesteś – ucieszył się na widok Zaifa. – Miałeś rację, drań nie chce powiedzieć...

– Tak, już wiem. Słuchaj, Walery, właśnie się nad tym zastanawiamy i wyszło nam, że...

– Gagatek trzyma pannę w miejscu dobrze sobie znanym – przerwał mu Poraj, zerkając zezem na notatki Lipskiego – tam, gdzie ma swobodny dostęp o każdej porze, może nosić jedzenie i nikogo to nie zdziwi... Gdzie to może być, szefie?

– Powiedziałbym, że w piwnicy własnego domu, jeśli gromadzą w niej nie tylko opał, ale i zapasy, przetwory i na przykład wino. Ale podobno wysłałeś już ludzi na rewizję i niczego nie znaleźliście. Przeszukali piwnicę?

– Oczywiście, szefie, jakżeby inaczej!

– W takim razie nie wiem. Twoje działania wykluczają to miejsce.

– Niekoniecznie – odezwał się Zaif. – Piwnica jak najbardziej pasuje, ale nie może być łatwo dostępna dla służby, bo żadna tajemnica się przy tym nie uchowa. Modrzycki nie jest głupi.

– Gdzie więc ukrył pannę?

– Jasiek, a czy ty wiesz na pewno, czy aby nie ma tam jakiegoś nieużywanego pomieszczenia? Takiego, gdzie niby nic nie ma, więc nikt tam nie zagląda?

– Nie wiem, ale oprowadzała nas jedna służąca, taka młoda dziewczyna. Służy tam ponoć od dwóch lat, to chyba powinna wiedzieć?

– Jeśli pomieszczenia zaprzestano używać już dawniej, to niekoniecznie – zauważył Jezierski. – Co innego stara służąca, która tam mieszka więcej niż dziesięć lat. Nie stój tak, Jasiek, tylko bierz ludzi i idźcie sprawdzić trop!

– Ale co powiem? Będą gderać, że policja ich nęka...

– A co cię to obchodzi? Mieszkali pod jednym dachem z mordercą, złodziejem i nic nie zauważyli, więc teraz nie mają prawa narzekać. Jak ci ktoś będzie podskakiwał, to go z miejsca aresztuj, masz moją zgodę. Posiedzi kilka godzin w turmie, to przestanie.

– Za co mam aresztować?

– Za obrazę władzy – podsunął Zaif.

– Widzisz? Doktor lepiej zna przepisy niż ty!

– Trafiłem? – zdziwił się Zaif, czym zaskarbił sobie wdzięczność Poraja.

– Chodź, Lipski – powiedział Jasiek do podwładnego. – I zabierz te notatki. A pan, doktorze? Jeśli ją znajdziemy, pewnikiem przyda się jej lekarz!

– Doktor teraz odpocznie i porozmawia ze mną. Jeśli znajdziecie pannę, to natychmiast daj znać, doktor pojedzie.

– Natychmiast się nie da. Telefonu tam nie ma, a na piechotę to potrwa...

– Weź mój powóz i już nie marudź.

Jasiek rozjaśnił się, gdyż o to mu właśnie chodziło, i wyszedł z dumnie podniesioną głową.

Godzinę później Zaif zakładał swój fartuch w szpitalu, gdzie umieścił trzy osoby: dwie panie Modrzyckie oraz „cudem odnalezioną” pannę Garszyńską. Panie Modrzyckie straciły przytomność, gdy przekonały się, że Jan w ich domu, niemal tuż pod ich nosem przetrzymywał uprowadzoną kobietę. Panna Eliza była przytomna, ale ogromnie osłabiona.

Zaif ze łzami w oczach opatrywał jej otarcia od więzów, w które już wdała się infekcja. Gdyby teraz trzymał swoją „szpadę” na gardle Modrzyckiego, niechybnie by mu ją wpakował po rękojęść.

## Epilog

Dwa tygodnie później rozpoczął się proces Modrzyckiego, który przyciągnął uwagę nie tylko mieszkańców Kalisza czy Ostrowa, ale całej guberni, jeśli nie większej części imperium rosyjskiego. Stało się to nie tyle za sprawą odrażających czynów młodego, zdolnego, obiecującego człowieka, który powinien był z siebie coś dać społeczeństwu, lecz za sprawą nauki. Otóż metody doktora Zaifa – analizy i testy plam krwi – wywołały ogólne zainteresowanie i zwróciły uwagę nie tylko badaczy i policji na możliwości i potencjał medycyny sądowej. Oto społeczeństwo zyskało potężny oręż do walki z przestępcami, którzy do tej pory unikali kary, choć powszechnie było wiadomo, że są winni!

Z tej okazji oraz dla uczczenia głównych bohaterów ostatnich burzliwych zajść w domu Maksa Zaifa odbyło się kameralne przyjęcie. „Kameralne” to znaczy „tylko dla przyjaciół”, ale tych i tak było niemało: rodziny Jezierskich i Zaifów w pełnym składzie (choć dziatwa w osobnym pomieszczeniu i z dala od głównej jadalni oraz salonu), gubernatorostwo, Poraj z żoną, Lipski, Małyszko, adwokat Garszyński z obiema bratanicami oraz Arnold Zajdler z panną Landau jako przedstawiciele „strony ostrowskiej”.

Honory domu pełnił oczywiście Maks Zaif, niezmiernie dumny z syna i jego przyjaciela. Od kilku dni przygotowywał z kucharzem menu, często doprowadzając tego ostatniego do rozpaczki lub białej gorączki. Znosił książki kucharskie różnych narodowości i biadał nad różnicami w pochodzeniu, religii i zwyczajach swoich gości. W końcu kucharz wyrzucił go ze swego sanktuarium, oznajmiając, że menu będzie na bazie kuchni francuskiej, czyli praktycznie międzynarodowej, którą zna nie tylko arystokracja, ale także szlachta, inteligencja, dyplomaci i artyści. Gdy tylko ktoś podjął za niego tę ważną decyzję, Maks natychmiast się uspokoił i już bez większych problemów zaakceptował propozycje swego kuchmistrza, oddając się bez wyrzutów sumienia zajęciom, które obecnie lubił najbardziej – zabawie z dziećmi syna i Jezierskich.

W tej chwili goście byli już po przystawkach, na które składały się do wyboru: lekki, puszysty „zielony omlet”, to znaczy jaja rozmieszane ze szczypiorkiem, natką pietruszki, kolendrą i szpinakiem, później usmażone i przybrane kawałkami pomidora oraz terrine<sup>93</sup> z sarniny i grzybów leśnych. Porcje były niewielkie, żeby „nie zamulić” żołądków, jak obrazowo wyraził się Maks, większość osób zjadła zatem obie przystawki, wprawiając kucharza w doskonały humor, jako że nie ma dla przedstawiciela tej profesji większego komplementu niż wymieciono do czysta talerze gości i prośby o dokładkę.

– Zdrowie naszych bohaterów! – wznosił toast Maks. W kieliszkach był dziś tylko i wyłącznie szampan, tyle że do każdego dania inny.

– Zdrowie! – zawołali goście.

– Obawiam się, że będziemy musieli jeszcze chwilkę poczekać na danie główne – powiedział gospodarz, odczytawszy ukradkiem dyskretnie przekazaną mu przez lokaja karteczkę z kuchni. – Ale to nic nie szkodzi, bo zaraz dolejemy sobie szampana.

– To może od razu przekażę wam jedną przykrą wiadomość, żeby nie psuć później nikomu humoru – wtrącił się Jezierski. Wszystkie oczy zwróciły się na niego. – Johanna Lipowska nie żyje.

– Co się stało? – zapytał zdumiony Zaif.

– Wdała się w bójkę z inną więźniarką i otrzymała śmiertelny cios w wątrobę zaostrożnym trzonkiem łyżki.

– Jakie życie, taka śmierć – rzekł sentencjonalnie gospodarz. – Przykre to, choć płakać po tej pani nie będę, bo wiele złego zrobiła, choć na plus mogę jej policzyć, że podobno w imię miłości. Ale co to za miłość! Tfu!

Reszta chyba podzielała jego zdanie, ale nikt już nie powiedział tego na głos.

– Pozostańmy jeszcze na chwilę przy mniej przyjemnych wieściach – poprosił Zajdler – bo chciałbym się dowiedzieć, co się stało z matką i siostrą Modrzyckiego.

– Ja panu odpowiem – rzekł Jakub. – Matka nie wytrzymała prawdy o zbrodniach syna. Jeszcze tego samego dnia umieściłem ją w szpitalu razem z córką, która także ciężko przeżyła te wiadomości, lecz dość szybko przysłała do siebie. Stan pani Modrzyckiej jednak wciąż się pogarszał i trzeba ją było w końcu umieścić w prywatnym zakładzie dla nerwowo chorych. Bardzo wątpię, czy kiedykolwiek podniesie się po tym ciosie. Trzeba ją było także ubezwłasnowolnić, żeby córka mogła zarządzać majątkiem. Ze względu na okoliczności sąd przychylił się do wniosku pana Parczewskiego i błyskawicznie rozpatrzył sprawę. Córka z narzeczonym wyjechali już z miasta, wystawiając dom na sprzedaż. Raczej tu nie wrócą.

– Smutne to, naprawdę smutne – powiedział półgłosem Garszyński.

Gubernator zgadzał się z nim, więc na wszelki wypadek postanowił nieco zmienić temat, zarzucając temat martwych i żywych ofiar przestępcy oraz cierpień, których im przysporzył, a wracając do wątku czysto kryminalnego.

– Niby wszystko już wiem – powiedział, mimowolnie spełniając skryte marzenie prawie wszystkich gości, by dać spokój grzecznej konwersacji i przejść wreszcie do tematu, który interesował niemal każdego kaliszczanina i przynajmniej połowę ostrowian – bo w końcu uczestniczyłem we wszystkich rozprawach sądowych, które się do tej pory odbyły, i znam materiały policji...

– To masz szczęście – powiedziała cierpko jego małżonka. – Bo my, zwykli śmiertelnicy, jesteśmy tej wiedzy nadal pozbawieni. Wyobraźcie sobie państwo, że tylko policja, no i doktor Zaif, ale on to też właściwie policja, znają szczegóły tych zbrodni. Ani ja, ani żadna inna małżonka policjanta nie wiedzą nic ponad to, co ukazało się w prasie lub wyszło na rozprawie!

– Jak to? – zdumiał się Zajdler. – Żaden z policjantów nie zdradził swojej żonie ani jednego szczegółu?

– Tajemnica śledztwa jest święta – oznajmił z namaszczeniem Poraj, wywołując dyskretne uśmiechy przyjaciół.

– To prawda! – poskarżyła się Sara. – Mój mąż jest pod tym względem twardy jak głaz i gdy próbuję go o coś podpytać, po prostu zmienia temat!

– A ja już się przyzwyczaiłam – oświadczyła spokojnie Debora. – Lata praktyki! Szczegółów dowiaduję się zwykle dużo później, gdy mój mąż zdecyduje się wreszcie zdjąć z nich klauzulę poufności.

Wszyscy roześmiali się, ale ciekawość większości gości tym bardziej wzrosła.

– Nie narzekaj, moja duszko – podjął przerwany temat gubernator, zwracając się do żony. – Bo ja, choć jestem przełożonym obecnego tu agenta do specjalnych poruczeń, czasem czuję się tak jak jego żona!

Salwy śmiechu odbiły się ciepłym echem po całym domu.

– To znaczy jak? – zapytał ostrożnie Jezierski.

– Po prostu czasami też czegoś nie wiem lub nie rozumiem.

– A czego tym razem, Michale? – spytał Jezierski.

– Modrzycki szukał jakichś dokumentów i był gotów dla nich zabić, co zresztą uczynił, i to wielokrotnie. Ale co to były właściwie za dokumenta? Dlaczego były tak ważne?

– To akurat wiem, ale nie tyle od oskarżonego, co głównie z... plotek.

Po jadalni przeszedł szmer zaciekawienia i niedowierzania.

– Cóż za niezwykła sytuacja! – zawołała panna Landau. – Z plotek? To... To dość niezwykłe... Mam na myśli policję...

– To prawda! – roześmiał się agent. – Niezwykłe, ale cóż robić, skoro pod tym względem Jan Modrzycki milczy jak grób. Ale dodam, że czerpię informacje nie tylko z plotek. Udało mi się znaleźć fragment listu, który zostawił mu ojciec. Nie wiem, dlaczego zachowała się tylko część tego pisma, ale

z pewnością było sporządzone na krótko przed śmiercią...

– Ach! – wykrzyknęła podekscytowana Sara. – Pamiętasz, Deboro, jak pani Modrzycka mówiła o ostatniej woli jej męża wobec syna?! Chyba właśnie o to chodzi. Mężczyźni wtedy wyszli palić te swoje wstrętne cygara, a kobiety zostały w salonie.

I krótko streściła słowa pani Modrzyckiej z przyjęcia zaręczynowego jej córki.

– No, a teraz mów, co wiesz, Walery – zakończyła Sara. – Umieram z ciekawości, dlaczego on szukał tych papierów.

– To musiało być dla niego niezmiernie ważne! – Zajdler także był zaciekawiony.

– Rzeczywiście, i nie bez powodu – oznajmił agent. – Wyobraźcie sobie państwo, że ten młodzieniec jeszcze liczy na jakiś cud, który pozwoli mu wyjść na wolność, nawet jeśli miałoby to nastąpić za kilka lat. On w ogóle nie przyjmuje do wiadomości, że prawdopodobnie czeka go stryczek.

– Mniejsza z tym, Waliesza, powiedz nam na razie, dlaczego te dokumenta są dla niego tak ważne. Później porozmawiamy, jak ten młodzieniec zamierza uniknąć kary, choć sądzę, że nie jest oryginalny i planuje zwykłą, banalną ucieczkę z więzienia.

– Być może – zgodził się agent. – Też tak...

– Waliesza, proszę! – przerwała mu żona gubernatora. – Odpowiedz najpierw na pytanie.

– Oczywiście, przepraszam! Otóż dowiedziałem się od pana Hindemitha...

– Ach! – zawołał z uciechą Maks. – To świetne źródło. Najbardziej wiarygodne plotki, jakie można mieć.

– Dlaczego? – zaciekała się panna Landau.

– Bo to właściciel drukarni i wydawca naszej gazety.

– Teraz rozumiem – ucieszyła się dziewczyna. – Ale niechże pan już dokończy tę opowieść, nie będę więcej przerywać.

– Pan Hindemith opowiedział mi swego czasu niezmiernie ciekawą pod względem, hm... obyczajowym historię, do której wówczas nie przywiązywałem żadnej wagi, poza zwykłą, ludzką ciekawością, jaką przejawia się wobec życia naszych bliźnich. Dopiero niedawno zrozumiałem, jak jest istotna...

– Waliesza, ja cię zaraz uduszę, jeśli nie przejdziesz natychmiast do rzeczy! – ostrzegła gubernatorowa.

– Błagam! Od razu się nie da, bo żeby zrozumieć jego motyw...

– Już dobrze – przerwał gubernator. – Mów, jak chcesz, byle krótko i treściwie.

– Postaram się. Pan Hindemith powiedział mi zatem, że ojciec Jana Modrzyckiego jako młody, ale już żonaty mężczyzna zakochał się w żonie pewnego wojskowego, arystokraty. Tak się składało, że pani ta, Elżbieta, była bliską krewną znanego tu kiedyś niektórym świętej pamięci radcy Garszyńskiego, pańskiego brata, a zatem i pańską. – Agent skłonił się w stronę adwokata. – Zna pan tę historię?

– Nie, wcale – zdumiał się starszy pan. – Chociaż oczywiście wiem, kim była Elżbieta. To najmłodsza siostra mojej matki.

– Czyli twoja ciotka, tak, stryjkku?

– Tak, ale różnica wieku między nią a moim bratem była niewielka, ledwie kilka lat, więc oboje wychowywali się jak rodzeństwo. Pamiętam, że jeszcze jako mały brzdąc byłem o nią bardzo zazdrosny – westchnął ze słabym uśmiechem adwokat.

– Mam nadzieję, że nie sprawię panu przykrości, opowiadając dalszy ciąg tej historii – powiedział przeproszającym tonem agent – ale bez tego nie zrozumiecie państwo pobudek Modrzyckiego juniora.

– Proszę się nie krępować, nie jestem przywiązany do tej części rodziny. Słabo ich znałem, niezbyt lubiłem, a w dodatku wszyscy już, zdaje się, nie żyją.

– Skoro tak, to mówię dalej. Otóż pana brat podobno przepadał za swoją ciotką-kuzynką, dlatego całe życie pomagał jej i służył radą, jak mógł. Oczywiście nie był zachwycony, gdy zorientował się, że jego kolega, Modrzycki, wdał się w romans z piękną Izabelą, ale poniekąd ją rozumiał, gdyż jej mąż był



okropnym brutalem, hulaką, pijakiem i... nadmiernie interesował się innymi kobietami, nie tylko tymi ze swojej sfery. Elżbieta bardzo cierpiała z tego powodu, nie raz poczuła podobno ciężar męzowskiej pięści, a i francuska choroba ją nie ominęła...

– Ależ to okropne! – Gubernatorowa przyłożyła chusteczkę do ust. – To potwór, nie człowiek!

– Tak właśnie twierdził pan Hindemith. Dodał przy tym, że ze względu na okropną reputację tego pana, większość ludzi usprawiedliwiała Elżbietę albo przynajmniej wybaczała jej romans, w jaki się wdała z Modrzyckim.

– Ależ nic tego nie usprawiedliwia! – zawołała gwałtownie Sara. – Jakżeż musiała cierpieć jego żona, jeśli o tym wiedziała.

– I nie daj Boże, sama kochała męża – dodała panna Landau.

– Tego akurat nie wiem. Wiem tylko, że ci państwo zakochali się w sobie, ale dość długo zachowali, hm... wstrzemięźliwość. Zapewne ze względu na współmałżonków właśnie. I nikt nie winił Modrzyckiego, bo pani ta była podobno nad wyraz piękna, miała zatem na pewno więcej wielbicieli, ale żadnego nie obdarzyła swoim zainteresowaniem, dopóki nie pojawił się Modrzycki. W każdym razie po ponad roku czy nawet dwóch takiej platonicznej miłości zdarzyło się, że Elżbieta zaszła w ciążę, podobnie jak pani Modrzycka.

– W tym samym czasie? – zdumiała się panna Landau.

– A cóż w tym dziwnego? – zdziwił się Zaif. – Wiele kobiet zachodzi w ciążę w tym samym czasie, inaczej ludzkość by wyginęła.

– Oczywiście – zmieszła się panna, podczas gdy Sara rzuciła mężowi piorunujące spojrzenie. – Miałam na myśli coś innego.

– Nie patrz tak na mnie! Mówię jako lekarz.

– Sądzę – przerwał im Jezierski – że panna Landau chciała się dowiedzieć, czyje dziecko nosiła Elżbieta. Otóż na pewno męża. Swojego. Podobnie jak pani Modrzycka. Obie panie urodziły w tym samym czasie, obie chłopców, tylko dziecko Modrzyckich podobno zmarło zaraz po porodzie, czego młodej matce nie powiedziano od razu. Albo i wcale. Pani Elżbieta natomiast na myśl o brutalności swego małżonka zaczęła się obawiać o zdrowie i życie dziecka, pan ten bowiem nie znosił hałasu, gdy odsypiał swoje hulanki, a jak wiadomo, małe dzieci dużo i często płaczą. Niektóre naprawdę bardzo głośno. – Tu mrugnął do żony. – W każdym razie posłała po ukochanego i zdradziła mu swe obawy. Chciała, żeby natychmiast zabrał dziecko i umieścił je u jakiejś dobrej rodziny na wsi, a ona będzie potajemnie na nie łożyć. Pieniądzy jej akurat nie brakowało, choć mąż przepuszczał duże kwoty, bo miała osobisty majątek, który nadzorował jej „kuzyn”.

– Naprawdę pierwsze słyszę! – wyrwało się adwokatowi. – Wychodzi na to, że tak naprawdę w ogóle nie znałem swojego brata!

– Sądzę, że mało kto o tym wiedział. W każdym razie Modrzycki miał lepszy pomysł. Powiedział jej, że jego dziecko właśnie zmarło, a on tym chętniej przybiegł na jej wezwanie, bo nie wiedział, jak powiedzieć to żonie, która bardzo pragnęła mieć dziecko. Ustalili zatem, że zabierze syna Elżbiety i wychowa jak własne, co pozostanie tylko ich tajemnicą. Elżbieta jednak zdradziła prawdę kuzynowi, któremu całkowicie ufała, i nakazała mu sporządzić i zaraz potem ukryć prawdziwy akt urodzenia dziecka oraz ustanowić fundusz na rzecz malca, którego oficjalnie miała zostać matką chrzestną. I została, a to był jej hojny prezent. Nikogo to specjalnie nie zdziwiło.

– Czyli Jan Modrzycki tak naprawdę jest synem tego majora i Elżbiety, tak? – upewnił się gubernator.

– Otóż to.

– No dobrze, ale to pewnie nie pierwszy taki przypadek. Cóż w tym takiego strasznego? – zdziwiła się panna Landau. – Nie był ich biologicznym synem, lecz wychowali go jak własne dziecko. Wiele rodzin przygarnia dzieci swoich krewnych po nagłej śmierci rodziców albo...

– Nic nie rozumiesz, moja droga – łagodnie przerwał jej Zajdler.

– Nie, najwyraźniej nie. To nie jest według mnie powód, by kogoś zabijać! Czy tylko ja tak myślę?

Zapadła nieco niezręczna cisza.

– Pani pozwoli, że jej wyjaśnię – uśmiechnął się agent. – Co by pani zrobiła, gdyby ktoś w testamencie zostawił pani olbrzymi majątek pod używanym przez panią nazwiskiem, a potem by się pani dowiedziała, że gdzieś jest ukryty prawdziwy akt urodzenia, z którego wynika, że pani tak naprawdę nazywa się inaczej... Jednym słowem, jest pani w świetle prawa zupełnie inną osobą...

Panna Landau zbladła, a po chwili się zaczerwieniła.

– Pan ma na myśli testament mojego brata, tak?

– Tak.

– To znaczy, że gdyby można było udowodnić, że Jan Modrzycki nie jest synem swoich rodziców, a kogoś zupełnie innego, to testament byłby nieważny?

– Tak.

– Zatem on zabijał...

– Tylko dla pieniędzy – dokończył Maks ze współczuciem. – Proszę nie brać tego zbyt mocno do siebie, wiele osób zabiłoby, a nawet zabiło dla dużo mniejszej sumy.

– Ale on zabił moją matkę!

Maks zmartwił się jeszcze bardziej.

– Nie da się ukryć, moje dziecko.

– I pewnie zabiłby mnie, gdyby nie przenikliwość doktora Zaifa!

– Jestem naprawdę dumny z mojego syna. Spisał się doskonale!

– Tato! – wtrącił się wzburzony Jakub. – Robisz pannie Landau ogromną przykrość swoim brakiem taktu.

– Naprawdę? – Starszy pan był szczerze zmartwiony. – Proszę mi wybaczyć, panienko. Pod tym względem mój syn jest podobny do matki, ja bowiem faktycznie często zachowuję się niezręcznie...

Dziewczyna wstała i szybko podeszła do gospodarza.

– Proszę mi wybaczyć, niepotrzebnie tak się uniosłam. – Objęła go za szyję i ucałowała. – Mój ojciec był taki sam, a bardzo go kochałam, bo serce miał złote.

– Mój ojciec też – odetchnął z ulgą Jakub. – Ręczę, że nie chciał pani sprawić przykrości.

– Skoro już to sobie wyjaśniliśmy, wznieśmy toast za naszą dzielną policję – gubernator zręcznie zmienił temat i wzniósł swój kielich.

– A że mamy tu kilku przedstawicieli tego zacnego zawodu – podchwycił doktor – w wasze ręce, Jaśku, Hieronimie i Walery!

– Szykujecie sztucce! Wjeżdża pieczone! – zawołał radośnie Maks. – A już myślałam, żeście posnęli w tej kuchni.

Goście z takim zapałem zajęli się sztuką mięsa w sosie beszamelowym, udźcem jagnięcym lub stekami wołowymi, co kto wolał, a wszystko to w „towarzystwie” młodych ziemniaczków i wybornie doprawionych sałat, że na chwilę rozmowy przy stole przycichły.

– Panie Jeziński – odezwał się nagle Garszyński, odkładając na bok sztucce.

– Po prostu Walery.

– Zatem drogi Walery, czy mógłbyś mi wyjaśnić jedną rzecz?

– Jeśli tylko zdołam.

– Dlaczego właściwie ten łobuz porwał moją bratanicę, Elizę?

– Jak to? – zdziwiła się Joanna, druga bratanica. – Nie dla okupu?

– To nie takie proste – oznajmił Jeziński. – Modrzyckiemu nie chodziło w tym wypadku o pieniądze.

– Nie? – zdziwiła się panna Landau. – A tyle osób dla nich zabił. Całą moją rodzinę! Zostałam sama...

– To prawda, ale musi pani zrozumieć jego tok rozumowania, choć wiem, jakie to dla pani przykre – powiedział łagodnie agent. – On był przekonany, że praktycznie już ma pieniądze pani rodziny. W tym

wypadku chodziło znów o ten nieszczęsny akt urodzenia, który ojciec panien Garszyńskich ukrył.

– Ale przecież Eliza nie wiedziała, gdzie mój brat go ukrył. Prawda, kochanie?

Eliza uniosła spuszczoną dotąd głowę. Widać było, że te wspomnienia nie są dla niej miłe.

– Prawda, stryjaszku – przyznała jednak dzielnie. – Pan Jezierski ma rację. Co prawda, Modrzycki nigdy nie powiedział wprost, o jaki dokument mu chodzi, lecz cały czas usiłował ze mnie wydobyć informację, gdzie ojciec mógł ukryć „jakieś” papiery. W ogóle nie przyjmował do wiadomości, że zwyczajnie mogę tego nie wiedzieć!

– Czy to nie jest oznaka choroby umysłowej, mój uczony synu? – zapytał Maks.

– Nie jestem psychiatrą, więc mógłbym powiedzieć tylko, że nie wiem – uśmiechnął się Zaif. – Ale sądzę, że w tym wypadku to nie choroba. Ten pan był tak zdeterminowany, aby odnaleźć ów dokument, że był w stanie zrobić wszystko. Jednocześnie starał się nie dopuścić do siebie myśli, że mógłby tę „walkę” przegrać. Inna sprawa, że sposób, w jaki traktował ludzi, łatwość, z jaką ich uśmiercał, brak wyrzutów sumienia i tym podobne nienaturalne objawy każą przypuszczać, że jednak nie wszystko było z nim w porządku. Z góry sobie założył, że zabije każdego, kto go zobaczy w podejrzanych okolicznościach, i konsekwentnie to robił. Dlatego między innymi zginęła Kasia Dolatówna, dwaj żebracy...

– Zaraz, zaraz, nie tak szybko! – zawołał Maks. – Rozumiem, czemu zginął pierwszy żebrak. Zdaje się, że widział Modrzyckiego, gdy ten włamywał się lub uciekał z budynku Towarzystwa Kredytowego. Dlaczego jednak zginął drugi?

– Pozwól, Jakubie, że ja to wyjaśnię – oświadczył Jezierski. – Wiem to od Modrzyckiego, bo to akurat raczył wyjaśnić podczas przesłuchania. Otóż drugi żebrak natknął się na niego, gdy Modrzycki próbował włamać się do piwnicy budynku, w którym do niedawna były przechowywane zbiory radcy Garszyńskiego. Chłopak miał nadzieję, a może tylko chciał się upewnić, czy nic tam nie zostało. Ten żebrak złapał go dosłownie na gorącym uczynku, więc musiał zginąć. Mów dalej, Jakubie.

– Już nie bardzo jest co – uśmiechnął się doktor. – Mogę tylko dodać, że Modrzycki traktował ludzi jak przedmioty...

– Powiedz raczej, że jak zwykle śmieci – wtrącił się Jezierski. – A już taki żebrak był dla niego jeszcze gorszy. Sam mi tak powiedział.

– Nie lubił żebraków? – zdziwiła się Sara. – A jego matka tak się cieszyła, że syn nie uległ złym wpływom ojca, który nie znosił żebraków i masonów!

– Widocznie mało znała syna, ale tak często bywa – stwierdził jej mąż. – Idealizowała go, ale też, jak sądzę, on sam zaczął ukrywać swoje prawdziwe skłonności i opinie. Jako osoba bardzo inteligentna zapewne szybko dostrzegł, że bardziej mu się opłaca udawać dobrego, miłego, uczciwego człowieka niż obnosić się ze swoimi poglądami. Myślę, że taki już się urodził i nic ani nikt by go nie zmienił.

– To dobrze – ucieszył się gubernator. – Przynajmniej odpadnie nam problem dywagacji, czy ten młodzian jest chory i zasługuje na dożywotni pobyt w szpitalu, czy też wiedział, co robi, i można go spokojnie powiesić! Dobrze zrozumiałem, doktorze?

– W zasadzie tak. Moim zdaniem pan Modrzycki jest po prostu moralnym kaleką, osobnikiem „wybrakowanym” od urodzenia, lecz poza tym całkowicie zdrowym i świadomym swoich czynów.

Rozpoczęła się ciekawa dyskusja na temat psychiki przestępców, którą przerwało wejście lokaja. Podszedł on do Jakuba i coś mu szepnął. Doktor wyraźnie się ucieszył.

– Przepraszam, moi drodzy – zawołał doktor, stukając widelcem w kieliszek, by zwrócić uwagę gości. – Czy po tym miesiącu zmieścicie jeszcze odrobinę zupy? Bardzo mi na tym zależy, bo wiąże się z tym niespodzianka dla mojego szanownego rodzica. To wspinała zupa cebulowa z grzankami.

– Cóż to, mam urodziny i nic o tym nie wiem? – zdziwił się Maks, ale był wyraźnie ucieszony. – A wydawało mi się, że to ja jestem gospodarzem tego przyjęcia!

– Ale jaka niespodzianka może się wiązać z zupą? – zdziwiła się gubernatorowa, tak jak i reszta towarzystwa.

– No właśnie? – Debora także była zaintrygowana. Zerknęła na męża, ten jednak siedział z kamienną twarzą, więc nie mogła dociec, czy wie coś o planowanej niespodziance przyjaciela, czy też jest zaskoczony.

– Zaraz zobaczycie – powiedział doktor. – Proszę wnieść supę!

Starszy kamerdyner osobiście przyniósł dużą wazę, obniósł ją uroczyście wokół stołu i postawił przed wyraźnie wzruszonym Maksem. Goście siedzieli zdeorientowani, nadal nie wiedząc, o co chodzi.

Gospodarz otarł oczy i powiedział:

– Taka sama waza jak mojej nieboszczki żony! Synu, nawet nie wiesz, jaką mi sprawił przyjemność!

Sara i Debora spojrzały na siebie, bo już wiedziały, na czym polegała niespodzianka.

– Mój mąż zbił tę wazę, gdy był dzieckiem – wyjaśniła gościom Sara. – Jego matka była do niej bardzo przywiązana, ale wtedy już nie żyła. Maksowi było wtedy podobno bardzo przykro, bo waza stanowiła cenną pamiątkę po żonie.

– Skąd wzięłaś tę wazę, synu?

– Odkupiłem z wystawy – odparł Jakub. – Pan Kobierzycki był tak łaskaw, że mi ją bez problemu odstąpił. Przedtem należała do ojca panny Elizy.

– To ze spadku po moim bracie? – zdziwił się adwokat.

– Z tego samego, który sprzedałam, nie pytając cię o zdanie, stryjasku!

– Ojczy, czyń honory domu i pierwszy nalej sobie zupy – powiedział Jakub.

– Za chwilę, tylko wytrę oczy, bo mi łzawią – odparł Maks. – Starość nie radość.

– Wiecie co? – zapytała żona gubernatora, chcąc dać starszemu panu czas na uporanie się ze wzruszeniem. – Tyle już tu padło wyjaśnień w sprawie zbrodni Modrzyckiego, a nie wiemy jednej rzeczy!

Oczy gości z ciekawością zwróciły się na panią Daragan.

– Jakiej? – padały pytania. – Co przeoczyliśmy?

– Czy ktoś wie, gdzie znajduje się ten tak poszukiwany przez niego dokument?

Zapadła nagle cisza.

– No, faktycznie, moja żona jak zwykle ma rację – oznajmił gubernator. – Waliesza, gdzie jest ten akt urodzenia?

Jeziński pokręcił głową.

– Niestety, tego nie wiem. Nikt go do tej pory nie znalazł.

– Może już nie istnieje? – rzucił przypuszczenie Garszyński. – Mógł zostać zniszczony całkiem przypadkowo.

– Wszystko jest możliwe – zgodził się agent.

– W takim razie spróbujmy zupy – oznajmił Maks i zdjął pokrywę wazy. – Co to jest?! – wykrzyknął, wpatrując się z niebotycznym zdumieniem w supę.

Wszystkie głowy pochyliły się w stronę naczynia. Unosiła się z niego apetycznie pachnąca para, lecz zamiast zupy widać było jakąś dziwną, gęstą masę. Skonsternowany Maks zanurzył w niej łyżkę i wydobyl nieco tej dziwnej substancji.

– To wosk! – wykrzyknął jeszcze bardziej zdziwiony, zrywając się z miejsca. – Niech ja dostanę w swoje ręce kucharza!

– Poczekaj, ojczy – poprosił Jakub. Zamieszał łyżką w naczyniu i po chwili wyłowił z niego nieduży, prostokątny, lecz płaski przedmiot.

– Co to jest, na litość Boską?! – Maks jak zwykle wyraził zwięźle wrażenia ogółu.

– Nie wiem – odparł z niezmaconym spokojem Zaif – ale zaraz się dowiemy.

Przy pomocy sztucców, gdyż zupa była gorąca, obrócił dziwny pakiecik na talerzu.

– Sądzę, że to woskowany papier.

– Woskowany papier?



– Ojczy, zachowujesz się jak echo. Poczekaj chwilę, postaram się to otworzyć.

Delikatnie manipulując sztuczkami, doktor rozerwał grubą, podwójną warstwę papieru i oczom wszystkich ukazała się stara, wyblakła koperta.

– Cóż to może być? – zastanawiał się głośno gubernator.

Jakub podniósł głowę i spojrzął na gości z zagadkowym uśmiechem

– Chyba wiem, co to jest – powiedział.

– Co? Mówże! – Jeziński także nie mógł się doczekać odpowiedzi.

– Sądzę, że to zaginiony dokument, na którym tak zależało Modrzyckiemu. Myślał, że skoro jest to kawałek papieru, to radca ukrył go pomiędzy innymi dokumentami. On tymczasem owinał kopertę w grubą warstwę nieprzemakalnego, woskowanego papieru i zalał woskiem na dnie tej wazy. Niesamowicie sprytnie! Muszę przyznać, panno Elizo, że pani ojciec wykazał się wielką pomysłowością.

– No proszę, proste, a skuteczne – nie mógł wyjść ze zdumienia Garszyński. – Ten osioł mógł szukać dokumentu do końca świata, a i tak by go nie znalazł!

– Ależ nam opatrność sprzyja! – ucieszyła się Joanna. – Inaczej nigdy byśmy się nie dowiedzieli, gdzie ojciec ukrył dokument.

– Ani my, ani nikt inny – mruknął agent. – Jakubie, lepiej otwórz jednak tę kopertę, żebyśmy mogli się upewnić, że jest to właśnie ten dokument. Masz do tego wyjątkowe predyspozycje, ręce chirurga i tak dalej.

Doktor szybko uporał się z delikatną paczuszką i po chwili wszyscy mogli już oglądać prawdziwy akt urodzenia Modrzyckiego, który tak naprawdę nazywał się Jan Stawiecki i był synem Andrzeja i Elżbiety.

– A to się Modrzycki zmartwi – stwierdził z zadowoleniem agent. – Na nic wszystkie jego starania, majątku i tak nie dostanie. Pewnie nawet odechce mu się ucieczki.

– Zupy już raczej nie zjemy – powiedział po dłuższym czasie Maks – ale tuszę, iż deser nie zawiera już żadnych niespodzianek, choćby nie wiem jak ważnych i cennych.

Reszta przyjęcia upłynęła już w niczym niezmaconym radosnym nastroju. Przy deserze jednak gospodarz znów dał wyraz swojej oryginalności.

– Pamiętacie – zaczął, przebijając się z werwą przez twardą „skórkę” skarmelizowanego cukru na swoim *crème brûlée* – jakieś dziesięć lat temu mieliśmy podobne przyjęcie u naszego kochanego gubernatora...

– Tak – przyznała z uśmiechem jego żona. – Po rozwiązaniu makabrycznej zagadki „domu śmierci”. To były wspaniałe czasy... Pomijając zbrodnie.

– Tak, tak, ale nie to miałem na myśli.

– A co, tatku? – zapytała go synowa.

– Wtedy mój syn chciał poinformować swoich przyjaciół o planowanych zaręczynach z tobą...

– Ależ ojczy!

– No co? Najpierw się tego wyparłeś, tchórze, ale gdy powiedziałem ci, że wiem o pierścionku zaręczynowym...

– Pamiętam! – roześmiał się Jeziński.

– Ja też! – zawtórowała mu Debora. – Ależ miałeś wtedy minę, mój drogi!

– A dlaczego o tym wspominasz? – spytał sarkastycznie Zaif.

– Zastanawiałem się właśnie, czy ktoś podtrzyma tę piękną tradycję. – Starszy pan uśmiechnął się rozbrajająco, zerkając i mrugając, w swoim mniemaniu niewinnie, w stronę panny Landau i Zajdlera.

Zajdler był wyraźnie zadowolony z tej aluzji, panna natomiast zachowała pokerową twarz, lecz zdradził ją kolejny, tym razem dużo ciemniejszy rumieniec.

– Wypijmy zatem zdrowie młodej pary! – podchwycił wesoło Daragan. – Obyście podtrzymali tę tradycję, bo jest ona rzeczywiście piękna!

# Od autora

Wraz z oddaniem do rąk Czytelników tej książki kończy się cykl „Calisia”. Jest to ostatni tom trylogii o przygodach agenta Jezierskiego i doktora Zaifa w dziewiętnastowiecznym Kaliszu. Mam nadzieję, Drogi Czytelniku, że zauważyłeś, jak zmieniało się to miasto na przestrzeni tych dwunastu lat, od kiedy w 1888 roku drogi obu bohaterów skrzyżowały się ze sobą po raz pierwszy. I jak bardzo różni się ono od współczesnego Kalisza.

Cykl miał być moją prywatną podróżą w krainę dzieciństwa, w przeszłość i miejsca, które są dla mnie już tylko wspomnieniem, ponieważ Kalisz z lat mojej młodości także wyglądał inaczej. Postanowiłam zatem sięgnąć dalej w przeszłość i poznać miasto sprzed ponad wieku, z urokliwej epoki gazowych latarni, sukien z tiurniurami, surdutów, kapeluszy, laseczek, konnych powozów i dorożek.

Samo zbieranie materiałów do tych książek było dla mnie czystą przyjemnością, a pisanie przypominało zagłębienie się w zupełnie inny świat, który rządził się swoimi prawami. Moim zdaniem bowiem autor nie tworzy nowego świata, lecz tylko pozwala mu się urzeczywistnić. Podobnie było ze mną – moi bohaterowie byli wyjątkowo żywotni i ani myśleli dać sobą bezwolnie kierować.

Ogromne podziękowania należą się przede wszystkim mojemu Wydawcy, który dostrzegł potencjał tego pomysłu i zdecydował się go opublikować. Podziękowania należą się również redaktorom. Ostatnią część cyklu redagował Pan Grzegorz Krzymianowski, któremu również jestem ogromnie wdzięczna. Okładki do moich książek projektowała Pani Anna Damasiewicz i uważam, że świetnie się spisała! Poza tym chciałabym podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do tego, że moje książki w ogóle powstały, zostały wydane i w końcu dotarły do rąk Czytelników. Wiele osób pomagało mi zdobyć materiały, inne służyły radą, jeszcze inne wzięły na siebie ciężar procesu wydawniczego oraz dystrybucji. Szkoda, że nie jestem w stanie wymieniwać ich wszystkich z imienia i nazwiska! Serdecznie Wam jednak dziękuję!

Osobne podziękowania należą się mojemu mężowi, który nigdy nie narzekał, że zajmuję się pisaniem zamiast domem. Przeciwnie, zawsze mnie wspierał, brał na siebie wiele obowiązków i na dodatek cały czas twierdzi, że jest ze mnie dumny! Wiem, że mam ogromne szczęście, że żyję z takim cudownym człowiekiem u boku, dlatego chyba nigdy nie uda mi się napisać łzawego romansu (i chwała Bogu!), nie tylko dlatego, że nie leży to w moim charakterze, ale i z tego powodu, że wiodę naprawdę szczęśliwe i pełne radości życie.

Ale najbardziej dziękuję Tobie, Drogi Czytelniku. Jeśli czas spędzony na lekturze nie okazał się czasem straconym, jeśli choć na chwilę mogłeś oderwać się od codziennych spraw, kłopotów czy nudy, to znaczy, że książka spełniła swoje zadanie. Nie ma większego komplementu dla pisarza niż zacytane egzemplarze jego książki, wzięte od częstego pożyczania rodzinie i przyjaciołom. Mam też nadzieję, Drogi Czytelniku, że wybaczysz mi wszelkie błędy i potknięcia, wszak nie popełnia ich tylko ten, kto nic nie robi...

Żegnam się zatem z Tobą, Miły Czytelniku, ale mam nadzieję, że nie na długo. Spotkamy się być może jeszcze wiele razy, choć już nie w towarzystwie Zaifa czy Jezierskiego.

## Przypisy

<sup>1</sup> Łączkowska Zadora Felicja (1860–1932) – nauczycielka, działaczka społeczna i oświatowa. Ur. 12 VII w Kaliszu w rodzinie szlacheckiej jako córka Żelisława i Józefy z Białobrzeskich. Ukończyła pensję Emilii Krajewskiej w Warszawie, uczęszczała na kursy buchalteryjne im. Łojki w Warszawie oraz kursy pedagogiczne. Od 1878 r. mieszkała w Kaliszu. W gimnazjum męskim w Kaliszu (obecnie A. Asnyka) zdała egzamin państwowy, uzyskując kwalifikacje nauczyciela jęz. polskiego. Od 1885 r. uczyła w tajnych kaliskich pensjach żeńskich B. Dębnickiej i L. Wojciechowskiej. W latach 1890–1914 prowadziła w Kaliszu własną nielegalną pensję. Była inicjatorką i długoletnią przewodniczącą Piątków Literackich, działających w Kaliszu od listopada 1892 r. Działalność „Piątków” została przerwana wyjazdem Łączkowskiej z Kalisza w 1912 r., a następnie wojną. Spotkania wznowiła w 1924 r.

<sup>2</sup> Bogumiłów – wieś w Polsce położona w województwie łódzkim, w powiecie sieradzkim, w gminie Sieradz, na skraju doliny Żegliny,

wśród zalesionych wzniesień – pagórków kemowych, 4 km na południe od Sieradza. W źródłach wspomniana po raz pierwszy w 1365 r. W 1878 r. nabyli ją Koberzyccy. Józef Koberzycki, ziemianin z Bogumiłowa, był zasłużonym badaczem historii Sieradzczyzny. W dworze bogumiłowskim gromadził liczne zabytki archeologiczne, dzieła sztuki, broń i numizmaty. Zebrał cenne książki, w tym wiele starodruków.

3 Wystawa Archeologiczna [w:] „Gazeta Kaliska”, R.8: 1900, nr 22, s. 2.

4 Z wystawy archeologicznej [w:] „Gazeta Kaliska”, R.8: 1900, nr 113, s. 3.

5 O „Meksyku” przy Mariańskiej, czyli dzieje eleganckiej ulicy [w:] B. Kunicki, *Ballady kaliskie*, Kaliskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Kalisz 1991, s. 153.

6 Obecnie hotel Europa w alei Wolności.

7 Czyli w roku 1900.

8 A. Tabaka, M. Błachowicz, *Melonik i zabytki*, <http://www.zyciekalisza.pl/?str=82&id=3980>.

9 Czwarty stopień w tabeli rang Piotra I, o jeden wyżej niż radca stanu.

10 Alfons Józef Ignacy Parczewski herbu Nałęcz, pseudonim Niklot (ur. 15 listopada 1849 w Wodzieradach, zm. 21 kwietnia 1933 w Wilnie) – polski prawnik, historyk, etnograf, działacz społeczno-polityczny i narodowy, członek Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego (z którego wystąpił w 1908 r.), współwłaściciel Kaliszanina, założyciel Nowin Śląskich we Wrocławiu (1884) i Gazety Ludowej w Elku (1896), profesor Uniwersytetu Warszawskiego, profesor i rektor (1922–1924) Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, członek Polskiej Akademii Umiejętności, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie (1927–1933); członek Towarzystwa dla Zachowania Języka Irlandzkiego (1895), a w uznaniu swych zasług został przyjęty w 1901 r. do Eisteddfod, czyli Zgromadzenia Bardów i Druidów, do grona bardów Walii, przybierając przydomek „Pwyl” (Polak); lingwista, bibliofil, regionalista.

11 Za: Ewa Andrysiak, *Alfons Parczewski*, Kaliskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, 2010, s. 42.

12 Kaliski oddział Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego powstał w Kaliszu 12 lutego 1907 r., a jego legalizacja nastąpiła 24 kwietnia 1908 roku. Parczewski został jego prezesem dopiero w styczniu 1913 r., po tragicznym zgonie dotychczasowego prezesa, Stanisława Graeve, który miał miejsce w listopadzie 1912 r.

13 Za: Ewa Andrysiak, *Alfons Parczewski*, op. cit., s. 18–19.

14 Wizytę tę opisuje szczegółowo „Gazeta Lwowska” z dnia 22 lipca 1897 r.

15 Za: Ewa Andrysiak, *Alfons Parczewski*, op. cit., s. 46.

16 Patrz: *Strażnik skarbu i Dom śmierci*.

17 Informacje od Henryka Czyży, spowinowaconego z potomkami nieślubnego syna Daragana.

18 Przygody opisano w książkach *Strażnik skarbu i Dom śmierci*.

19 Pierwsza wzmianka pisana o miejscowości Borków Stary pochodzi z 1261 r. W 1264 r. książę Bolesław Pobożny nadał ją do lokacji na prawie średzkim. Później na mocy aktu działowego z 1667 r. przez długie lata wieś była w rękach rodu Szyszkowskich herbu Ostoja i rodu Bogdańskich. W 1823 r. część wsi nabył Jan Chryzostom Mikorski. Inną część (z zespołem folwarcznym) prawdopodobnie już w XVII w. przejęło kaliskie kolegium jezuickie i wadało do czasu jego rozwiązania w 1773 r. Później dział ten przejął Józef Mikorski, który przekazał ją w 1820 r. swemu synowi Janowi Chryzostomowi. Człon Borkowa związany ze Skarszewkiem otrzymał w 1675 r. podkomorzy kaliski Jan Oleśnicki, a w 1691 roku Anna Stanisławska. Od 1704 roku dziedzicem był miecznik płocki Kazimierz Sokołowski. Sześć lat później tę część Borkowa miał biskup poznański Bartłomiej Tarło. Część królewska wsi przeszła w 1807 r. w ręce generała Józefa Zajączka herbu Świnka, a następnie Piotra Gałczyńskiego, który w 1817 r. sprzedał ją wyżej wymienionemu Janowi Chryzostomowi Mikorskiemu, który stał się właścicielem całego Borkowa. Posiadał go do 1850 r. Majątek odziedziczył jego syn Roman i już w 1851 r. odsprzedał go Felicjanowi Taczanowskiemu herbu Jastrzębiec. Kolejnymi właścicielami Borkowa, aż do 1912 r. byli Kazimierz Suchorski i Emilian Węgierski. Ten ostatni włości borkowskie przekazał w 1913 r. rodowi Chełkowskich.

20 1 wiorsta = 1066,8 km.

21 1 sążeń kwadratowy = 4,5522 m<sup>2</sup>, czyli majątek liczył około 2,5 ha.

22 Panoplium – motyw dekoracyjno-symboliczny złożony najczęściej z broni białej i uzbrojenia ochronnego (tarcz, mieczy, zbroi, hełmów, często stylizowanych na spartańskie) i ułożonych w płaszczyźnie pionowej, symetrycznie wokół tarczy z herbem właściciela.

23 Według S. Małyszki park dworski założony został w końcu trzeciego ćwierćwiecza XIX wieku przez Kazimierza Suchorskiego, częściowo w miejsce istniejącego ogrodu w otoczeniu dworu.

24 Por. *Strażnik skarbu*.

25 Wydarzenia te opisano w książce *Dom śmierci*.

26 Łódź, kilkuset tysięczne miasto, posiadała wówczas jedynie godność siedziby powiatu, podlegając gubernatorowi rezydującemu w kilkunastokrotnie mniejszym Piotrkowie.

27 Por. E. Polanowski, *W dawnym Kaliszu. Szkice z życia miasta 1850–1914*, Wydawnictwo Poznańskie 1979, s. 91–92.

28 Informacje o kaliskiej i ostrowskiej kolei znajdują się w książce *Dom śmierci*.

29 Patrz: Ł. Chimiak, *Gubernatorzy rosyjscy w Królestwie Polskim. Szkic do portretu zbiorowego*, Wrocław 1999, s. 254.

30 „Gazeta Lwowska”..., op. cit.

31 Na terenie Imperium Rosyjskiego obowiązywał szerszy rozstaw kół – 1524 milimetry. Władze wymagały bowiem, by linia zapewniała przewóz transportów wojskowych według norm przyjętych na kolejach rosyjskich. Rząd zagwarantował też wykonawcy prawo własności jedynie na 30 lat. Po tym czasie linia miała przejść na własność państwa. Te warunki ujęto w ukazie carskim z 14 kwietnia 1900 r., potwierdzającym koncesję na budowę linii dla Towarzystwa Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Kierownikiem budowy został Rosjanin, inżynier Kazin, a jego zastępcą kandydat Towarzystwa, inżynier Józef Prüffer.

32 Projektując linię, przyjęto zasadę, by przecinając inne koleje i główne trakty drogowe, przechodziła ona nad nimi. Ogółem wybudowano między Warszawą a Kaliszem 173 mosty, 17 przejazdów i wiaduktów, jeden tunel oraz 11 stacji kolejowych. Planowany koszt budowy wynosił 19 450 542 ruble, faktycznie budowa kosztowała 21 931 600 rubli. Zwiększone koszty wynikały z konieczności dofinansowania wydatków na zakup lepszych szyn i wykup ziemi. Przy budowie zastosowano nowatorskie rozwiązania techniczne, dotyczące układania szyn i rozstawienia podkładów pod złącza według opracowania inż. Aleksandra Wasiutyńskiego. Po raz pierwszy w budownictwie kolei użyto szyn o długości 15 m i ciężarze 480 kg oraz systemu podwójnego podkładu pod złącza szyn. Od zatwierdzenia projektów do zakończenia budowy minęło jedynie dwa



i pół roku. Budowa linii na terenie samej guberni kaliskiej trwała jedynie sześć miesięcy, od maja do listopada 1902 r. Budowę zakończono uroczystie 15 listopada o godzinie 8:00. Na dworcu Warszawa Kaliska zebrały się władze kolejowe wraz z baronem Kronenbergiem. O tej godzinie pociąg nr 1 wyruszył do Kalisza, a pociąg nr 2 z Kalisza do Warszawy.

33 Aleksander Bagration-Imeretyński, ros. Александр Константинович Багратион-Имеретинский (24 września 1837–17 listopada 1900) – rosyjski arystokrata (książe), generał-gubernator warszawski, namiestnik cara w Warszawie. Pochodził z rodu Bagratydów – dynastii królewskiej, która kiedyś rządziła Gruzją. W latach 1897–1900 pełnił funkcję generał-gubernatora Warszawy z nadania cara, zastępując w fotelu Pawła Szuwałowa. Pozorny zwolennik porozumienia z Polakami i pozyskania ich przychylności dla państwa rosyjskiego. W 1898 r. działacze PPS wykradli tajny memoriał Imeretyńskiego dotyczący współpracy z caratem, w którym ten relacjonował carowi założenia swojej polityki pozornych ustępstw, mających doprowadzić do wzrostu tempa rusyfikacji Polaków. Wydany w Londynie wraz z wstępem autorstwa Józefa Piłsudskiego zdobył niebywały rozgłos i w znacznej mierze przyczynił się do dymisji Imeretyńskiego, jak też zdecydowanego osłabienia pozycji stronnictw ugodowych.

34 Za: Edward Polanowski, *W dawnym Kaliszu*, op. cit., s. 180–181.

35 M. P. Daragan został odwołany z funkcji gubernatora w 1902 r., krótko po tym, jak 14 listopada tegoż roku oddano do użytku linię kolejową. Prawdopodobnie powodem odwołania Daragana ze stanowiska w 1902 r. była jawnie propolska polityka. Mimo powrotu do Rosji eks gubernator nadal interesował się sprawami miasta. Jeszcze w 1905 r. próbował wybudować nad Prosną dom, ale odmówiono mu pożyczki. Nie udało się ustalić dokładnych okoliczności śmierci Rosjanina. Najbardziej znana jest legenda przekazana przez Władysława Kościelniaka, że umarł on jako bezdomny na ławce w Piotrogradzie (Petersburgu) podczas Rewolucji Październikowej. Zdaje się to potwierdzać spis gubernatorów wołogodzkich, który podaje, że Michał Piotrowicz zmarł po 1916 r.

36 Kredens – w dawnych pałacach i dworach było to pomieszczenie, najczęściej położone pomiędzy kuchnią a jadalnią, w którym przechowywano sztucce, zastawę i bieliznę stołową (obrusy, serwetki itp.) oraz kończono przygotowywanie posiłków przed wniesieniem ich do jadalni.

37 A. Tabaka, M. Błachowicz, *Melonik i zabytki. Z dziejów kaliskiej opieki nad zabytkami w XIX i na początku XX w.*, <http://www.zyciekalisza.pl/?str=82&id=3980>.

38 Prekursorem w dziedzinie ochrony kaliskich zabytków był ksiądz Ignacy Przybylski, proboszcz kościoła św. Mikołaja. To on pierwszy ok. 1829 roku zwrócił uwagę na znajdującą się w świątyni „pradawną” ławę z plakieta przedstawiającą egzekucję za pomocą urządzenia zbliżonego do gilotyny. Jeszcze wcześniej narodziły się podstawy kaliskiej archeologii, jeśli za jej początek uznać pewne przypadkowe zdarzenie, kiedy to w 1819 roku niejaki kapitan Heilmeier znalazł przedchrześcijańskie urny. Na szczęście kapitan przekazał je Warszawskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk, zamiast je zniszczyć jako bezużyteczne garnki, jak to się wówczas zwykle robiło.

Zmiany następowały powoli, ale jednak następowały. Na „obywatelską” postawę mieszkańców Kalisza duży wpływ miała prasa. Na początku był to wychodzący od 1870 roku „Kaliszanin”, na którego łamach publikowali tacy miłośnicy starożytności, jak Adam Chodyński, jego bracia, księża Zenon i Stanisław (kanonicy włocławscy, twórcy tamtejszej biblioteki seminaryjnej), Józef Szaniawski (archiwista kaliski), Edmund Stawiński (ziemianin spod Sieradza), ks. Paweł Kobyliński (proboszcz dobrzecki), Seweryn Tymieniecki. Znaczącą postacią był dr Teodor Tripplin, który przyswoił nauce polskiej używany do dziś podział pradziejów na epokę kamienia, brązu i żelaza.

Gdy „Kaliszanin” został w 1892 roku zlikwidowany, jego rolę częściowo przejęła „Gazeta Kaliska”, a wraz z nią młodsza generacja miłośników staroci: Alfons Parczewski (prawnik), baron Stanisław Graeve, ks. Józef Szafnicki i ks. Jan Nepomucen Sobczyński (proboszcz kościoła św. Mikołaja). Mimo że wśród nich nie było niemal nikogo z wykształceniem w tym kierunku, byli oni znakomitościami w swoich dziedzinach, w dodatku znającymi perfekcyjnie klasyczną grekę oraz starożytną i średniowieczną łacinę. Poza tym większość z nich należała do klasy niezależnej finansowo, a ich wysoka pozycja społeczna wręcz nakładała na nich obowiązek posiadania szlachetnej i służącej całemu społeczeństwu pasji (zobacz: A. Tabaka, M. Błachowicz, *Melonik i zabytki*, op. cit.).

39 Określanie grodziska tym mianem zostało udokumentowane na planie wykonanym w 1885 r. przez geometrę Władysława Tarłowskiego, z inicjatywy Adama Chodyńskiego (zobacz: T. Baranowski, L. Ziąbka, *Gród kaliski na Zawodziu*, [w:] „Kalisia Nowa”, nr 5–6/2008, s. 5).

40 „Gazeta Kaliska”, R.8: 1900, nr 119, s. 1.

41 Jeden rubel odpowiadał wartości 0,774 g złota (według ukazu carskiego z 1897 r.); porównując m.in. z ceną wejścia do Muzeum Miejskiego w Kaliszu z 1914 r., oznaczoną na 5–20 kopiejek, cena była niewątpliwie wysoka.

42 Patena – w liturgii kościołów chrześcijańskich talerzyk metalowy, wewnątrz pozłacany, na którym kładzie się hostię w czasie mszy. Tutaj: romańska patena kaliska Mieszka III Starego, wykonana przed 1200 r., ufundowana przez księcia dla klasztoru cystersów w Łądzie. Na rewersie przedstawione są postacie św. Mikołaja, Mieszka III Starego, Opata Szymona z Łądu i popiersia złotnika Konrada z Łądu. Obecnie znajduje się w skarbcu katedry w Kaliszu. Jej replika подарowana została w czerwcu 1997 r. Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II podczas jego pielgrzymki do sanktuarium św. Józefa.

43 *Wzory sztuki średniowiecznej i z epoki odrodzenia po koniec wieku XVII w dawnej Polsce*, tekst równoległy: polski i francuski. Wydano nakładem autorów w trzech woluminach w Zakładzie Chromolitograficznym M. Fajansa; Drukarni Józefa Ungra, Warszawa, Paryż 1853–1855, 1855–1858, 1860–1869. Przedruk fotooffsetowy Wydawnictw Artystycznych i Filmowych na zamówienie Zrzeszenia Księgarstwa, Warszawa, 1986 (t. 1, 2) i 1988 (t. 3).

44 Wydarzenia opisane w książce *Dom śmierci*.

45 Wydarzenia opisane w książce *Dom śmierci*.

46 Piotr Kobyliński urodził się 15 czerwca 1814 r. w Środzie, zmarł 15 maja 1896 r. w Błazkach.

47 Współczesne badania dowodzą, że w skarbcu znajduje się oryginalny zabytek, choć wykonana w XIX w. emalia prawdopodobnie jest bardziej jaskrawa niż średniowieczna. Być może to ten fakt był powodem pogłosek o podmianie kielicha. Śladem prac jest też wygrawerowany na spodzie napis: „Odnowił zupełnie J. N. Rayski. Paris 1887”. Inną pamiątką po paryskich perypetiach zabytku jest dziś pudło, w którym przechowuje się dar Kazimierza. Znajdują się na nim oryginalne pieczęcie Rajskiego. Kielich dziś już nie spełnia swych liturgicznych funkcji, poza jednym wyjątkiem. W 1997 r. został użyty wraz z pateną Mieszka III Starego przez papieża Jana Pawła II w czasie liturgii mszy św. odprawionej w Kaliszu. Za: A. Tabaka, M. Błachowicz, *Perypetie królewskiego kielicha*, <http://www.zyciekalisza.pl/index.php?str=82&id=63876>



48 Skandynawskie ozdoby (złote blaszki, zawieszki) zdobione tylko na awersie, wzorowane na późnorzymskich medalionach cesarzy rzymskich rozdawanych władcom barbarzyńskim.

49 „Gazeta Kaliska”, R.8: 1900, nr 119, s. 1.

50 Z wystawy archeologicznej, „Gazeta Kaliska”, R. 8: 1900, nr 113, s. 3.

51 „Gazeta Kaliska”, R. 8: 1900, nr 111, s. 1.

52 T. Baranowski, J. A. Splitt, L. Ziąbka, R. Żukowski, op. cit., s. 7 i 8.

53 „Gazeta Kaliska”, R. 8: 1900, nr 110, s. 1.

54 Wystawa archeologiczna, „Gazeta Kaliska”, R. 8: 1900, nr 143, s. 2.

55 L. Żarski, *Wrażenia z wystawy archeologicznej w Kaliszu*, „Gazeta Kaliska”, R. 8: 1900, nr 156, s. 1.

56 K. Rymarkiewicz, „Gazeta Kaliska”, R. 14: 1906, nr 310, s. 1.

57 E. Pudełko, *Dział Archeologii: historia, zbiory, działalność*, Kalisz 1990, s. 9.

58 Obecnie ulica Zamkowa.

59 Henryk Marconi (1792–1863) – włoski architekt sprowadzony w 1822 r. do Polski przez gen. Ludwika Michała Paca w celu ukończenia pałacu w Dowspudzie. Poślubił córkę ogrodnika hr. Paca, Szkotkę Małgorzatę z Heitonów. Od 1827 r. zajmował stanowisko w Wydziale Przemysłu i Handlu Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych, Duchownych i Oświecenia Publicznego, a w latach 1851–1858 był profesorem w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie. Jeden z najwybitniejszych i najbardziej płodnych polskich architektów pierwszej połowy XIX wieku.

60 Dziś ulica Chodyńskiego.

61 Anna Tabaka, Maciej Błachowicz, *Cukiernie, kawiarenki i tancerki*, „Życie Kalisza”, <http://www.zyciekalisza.pl/index.php?str=82&id=104173>.

62 Ibidem.

Przy okazji wypadałoby nadmienić o konkurencji. Wielkim wzięciem cieszyła się także kawiarnia założona przez Ignacego Wypiszczyka w 1881 roku, który wzorem warszawskich przybytków założył przy niej prowizoryczną scenę. Z prasowych anonsów i notek mógłby powstać obraz lokalu na wysokim poziomie, gdyby nie opinia Stefana Szolc-Rogozińskiego, podróżnika, który w swoim wspomnieniu z 1895 roku nie szczędził w jego opisie słowa „prowincja” (zobacz: Stefan Szolc-Rogoziński (ur. 14 kwietnia 1861 w Kaliszu, zm. 1 grudnia 1896 w Paryżu) – polski podróżnik, badacz Afryki, zwłaszcza Kamerunu). Lokal znajdował się w alei Józefiny 15 i mógł śmiało pretendować do tytułu głównej atrakcji wieczorów w grodzie nad Prosną, ale nie za sprawą letniego ogródka czy nawet występów aktorów, lecz skąpo odzianych pań. Chodzi rzecz jasna o tancerki, które szczególnie trwale zapadły w pamięć męskiej części publiczności. Jeden z klientów wspominał: „Razu jednego na balkonie stała cała skrzynka dużych jak granaty, jędrnych, ciemnofioletowych śliw. Wieczór był pogodny, bezgwiezdny, a w ogródku odgrywały się swawolne igrce półnagich girlsów. Przy suto zastawionych stolikach było pełno gości. Wpadł mi wtedy szatański pomysł urządzenia zawodów, kto dorzuci śliwą do »Wypiszczyka«. I zaczęło się bombardowanie. Tylko pojedyncze pociski dotarły do celu [...]”. Jednym z nich był dekolt „girlsasy”. W 1929 roku lokal ciągle polecał „znaną swą kuchnię”, w tym obiady, kolacje i piwnice zaopatrzone we wszelkie trunki. Gościom w czasie posiłków przygrywało artystyczne trio, wieczorami zapewniano występy „znakomitego” zespołu kabaretowego i jazzbandu (Wspomnienia Jerzego Zdzisława Staneckiego [zm. 2004], późniejszego Kawalera Orderu Wojennego Virtuti Militari, w latach międzywojennych ucznia Gimnazjum im. Adama Asnyka, mieszkającego na stacji w sąsiadującym z kawiarnią domu).

63 Opis gruźliczego zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych, zwanego ówczesznie „puchliną mózgu”, jest często przypisywany lekarzowi z Edynburga Robertowi Whyttowi, w pośmiertnym doniesieniu, które ukazało się w 1768 r., chociaż związek gruźlicy z jej patogenem nie był znany aż do następnego stulecia. Pierwsze odnotowane poważne ogniska pojawiły się w Genewie w 1805 r. Krótko po tym opisano kilka innych epidemii w Europie i Stanach Zjednoczonych, a pierwsze doniesienie o epidemii w Afryce pojawiło się w 1840 r.

64 Pierwsze doniesienie o zakażeniach bakteryjnych, stanowiących podłoże dla zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych, zostało podane przez austriackiego bakteriologa Antona Weichselbauma, który w 1887 r. opisał meningokoki. We wczesnych doniesieniach śmiertelność z powodu zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych była bardzo wysoka (ponad 90 %). Dopiero w roku 1906 została wyprodukowana końska surowica odpornościowa.

65 Oswald Arno Hindemith (1855–1918) – kontynuował działalność drukarską i wydawniczą ojca Karola Wilhelma Hindemitha, wydając „Kaliszanina” i „Gazetę Kaliską”. Zakład tłoczył również druki urzędowe, kalendarze ilustrowane, podręczniki, mapy, druki akcydensowe. Oswald Arno był znanym społecznikiem. Zakład został zupełnie zniszczony w 1914 r., właściciel opuścił Kalisz i udał się do Rosji. Zmarł w Kijowie w 1918 r. Natomiast jego brat Alfons Bronisław Hindemith (1859–1909) szkołę średnią ukończył w Kaliszu. Po studiach prawniczych był adwokatem przysięgłym w Kaliszu. Aktywnie działał w organizacjach społecznych: Towarzystwie Muzycznym, Kaliskim Towarzystwie Wzajemnego Kredytu, Komitecie Kredytowym, resursie kaliskiej. Był jednym ze współzałożycieli siedmioklasowej Szkoły Handlowej. Zmarł w 1909 r. we Wrocławiu. Pochowany na cmentarzu ewangelickim w Kaliszu.

66 Fryderyk Wilhelm Rüdiger (1855–1904) – urodzony w pobliskim Stawiszynie, syn właściciela majątku Góry. Gimnazjum ukończył w Kaliszu, medycynę w Warszawie. W latach 80. i 90. XIX w. mieszkał w Uniejowie. W 1894 r. przeniósł się do Kalisza. Był uznanym diagnostą i terapeutą. Na krótko przeniósł się do własnego majątku Góry. Zmarł w 1904 r., pochowany na cmentarzu ewangelickim w Kaliszu.

67 Edward Henryk Wende (1874–1949) – urodził się w Konstantynowie, studiował teologię w Dorpacie i tam został ordynowany. W latach 1902–1906 był wikariuszem w Kaliszu. Od tego roku aż do 1939 r. pełnił obowiązki proboszcza parafii ewangelickiej w Kaliszu. Znacznie zwiększył udział nabożeństw w języku polskim, wspomagał organizowanie Kaliskiego Towarzystwa Śpiewaczego oraz budowanie domu starców. W latach 1915–1934 był superintendentem diecezji kaliskiej, pełnił również funkcje katechety. Był członkiem Rady Miejskiej w Kaliszu, a także długoletnim jej prezesem, był także działaczem Polskiej Partii Postępowej. W 1939 r. wyjechał do Warszawy, gdzie w 1949 r. zmarł. Pochowany został w Warszawie.

68 Ordynacja rodowa, powiernictwo rodowe, fideikomis familijny (łac. *fidei commissum* – w wiarygodne ręce oddaje) – rządzący się swoimi własnymi prawami dotyczącymi dziedziczenia majątek ziemski, posiadający swój własny statut (akt fundacyjny) zapobiegający rozdrobnieniu dóbr.

69 Funt – tu równy 409 g.

70 E. Polanowski, *W dawnym Kaliszu*, op. cit., s. 89.

71 Wg. E. Polanowskiego w 1880 r. w Kaliszu było 8 restauracji, 5 cukierni, sześć winiarni i 92 szynki. Za: E. Polanowski, *W dawnym Kaliszu...*, op. cit., s. 131.

72 *Zamczysko w Otranto* (ang. *The Castle of Otranto*) – powieść autorstwa Horacego Walpole’a, wydana w 1764 r.

73 Anna Barbara Olimpia Mostowska z domu Radziwiłł – polska powieściopisarka. Niewiele o niej wiadomo, nieznane są nawet daty jej urodzin i śmierci. Prawdopodobnie w 1778 r. wyszła za mąż za starostę mińskiego Dominika Przeździeckiego, któremu w 1779 r. urodziła syna Michała. Po śmierci męża w listopadzie 1782 r. zrzekła się opieki nad małoletnim synem, a w 1787 r. powtórnie wyszła za mąż, mimo gwałtownych sprzeciwów rodziny pana młodego, za młodszego od siebie Tadeusza Antoniego Mostowskiego. Ich małżeństwo nie trwało jednak długo. Mostowski rozwiódł się z żoną wprawdzie dopiero przed 1804 r., ale faktycznie rozpadło się ono dużo wcześniej. W latach 90. XVIII w. Mostowska spędziła wiele lat za granicą, głównie we Francji, gdzie zetknęła się z modną na Zachodzie powieścią gotycką. Po powrocie na Litwę nawiązała współpracę z wileńską oficyną Józefa Zawadzkiego, w której w 1806 r. opublikuje seryjne wydawnictwo *Moje rozrywki* (m.in. *Strach w Zameczku, Matylda i Daniło*).

74 Dziś aleja Wolności.

75 *Katzenjammer* (niem.) – „koci lament”, pot. kac, złe samopoczucie po przepiciu.

76 Dokładny opis teatru kaliszanie poznali dzięki Adamowi Chodyńskiemu, który w „Gazecie Kaliskiej” pisał: „Gmach nowo wykonany w stylu odrodzenia zaraz na wstępie zwraca uwagę pięknym frontem o olbrzymich drzwiach oszklonych ponad podjazdem, wiodących ze wspianego foyer na obszerny balkon, ozdobiony figurkami trzymającymi w rękach gałązki złote. Pomiędzy liśćmi umieszczono misternie kilka lamp elektrycznych, które wieczorem jaśniejąc efektowny sprawiały widok. Gzymsy gmachu frontowego zdobią dwa gryfy, na samym zaś szczycie kopuły dachowej umieszczony został posąg »Sławy«. Podjazd sam ozdobiony został trzema pięknymi metalowymi lampami. Lewa i prawa strona fasady oraz tylna strona gmachu, prócz płaskorzeźb i gipsatur, upiękzone zostały balkonami, z których rozciąga się czarowny widok na park miejski. Wnętrze gmachu wprost zachwyca zarówno estetyka, jak i profana. Zaraz na pierwszym kroku obszerny przedsionek bardzo gustownie wykonany. Foyer na 1 piętrze jest prześliczne i urządzone tak, że z łóż 1 piętra można przyglądać się osobom bawiącym w foyer głównym. Obszerny bufet oświetlony 6 lampami elektrycznymi, wreszcie dwa balkony w stylu włoskim dopełniają piększenia korytarzy. Sala widzów jest tak pięknie urządzona, że śmiało porównać ją możemy z piękną bombonierką. Całe wnętrze na tle bladioróżowym, upiękaszonym gipsaturami, dziwnie sympatyczny wywiera urok. Pod łóżami i galerią dyskretnie ukryto mnóstwo świateł elektrycznych, które wraz z prześlicznym żyrandolem o fantazyjnych kształtach, zwłaszcza przy oświetleniu, przenoszą nas myślą do jakiegoś zaczarowanego pałacu. Sala widzów zbudowana amfiteatralnie mieści na parterze 74 fotele i 154 krzesła; łóż proscenicznych jest 6, łóż 1 piętra 15, miejsc na balkonie 2 piętra numerowanych jest 48, a takich miejsc galeriowych 36. Galeria nie numerowana wygodnie pomieścić może 100 osób; razem teatr mieści, licząc po 4 krzesła w łóżach, 496 osób. Krzesła w teatrze są wygodne, wiedeńskiej roboty, z mechanicznymi siedzeniami; łóże prosceniczne ozdobione draperiami, oparcia zaś wszystkich łóż wybite pluszem kolorowym. Oświetlenie gmachu teatralnego urządziło Allgemeine Elektrizitäts Gesellschaft z Berlina. Motor gazowy sprowadzony został z dreźnieńskiej fabryki motorów gazowych. Wodociągi w nowym gmachu wykonała kaliska firma Alfreda Milke. [...] Kurtyna, najwięcej w teatrze funkcjonująca, by się nie niszczyła, wciągana jest bez żadnego składania. Dekoracji jest 6 [...]: 3 dekoracje salonowe, wolna okolica, miasto i ulica nadwodna. Salony są francuskie, tj. zamykane, bez żadnych kulis, inne dekoracje zostały zaopatrzone w piękne przecięcia, które można dowolnie do tylnych dekoracji dostosować, a przy użyciu odpowiednich przystawek można wolną okolicę zamienić na las, ogród lub wieś. Szczególnie wygodnymi są garderoby dla artystów, obszerne i widne. Dla pierwszorzędnych artystów przygotowane są oddzielne pokoiki...” (za: A. Chodyński, *Teatr w Kaliszu*, „Gazeta Kaliska” 1900 nr 168).

77 Por.: E. Polanowski, *W dawnym Kaliszu*, op. cit., s. 133; A. Tabaka, M. Błachowicz, *Cukiernie, kawiarenki, tancerki*, <http://www.zyciekalisza.pl/index.php?str=82&id=104173> oraz *Kawiarniane życie*, <http://www.zyciekalisza.pl/?str=82&id=163235>.

78 Carl Wilhelm Mechwald (24.03.1772–15.07.1827) – właściciel pierwszej drukarni w Kaliszu.

79 Hajota – pseudonim artystyczny Heleny Janiny Pajzderskiej.

80 Por. *Strażnik skarbu*.

81 W 1886 r.

82 Dziś Bioko – wulkaniczna wyspa położona w Zatoce Gwinejskiej u zachodnich wybrzeży Afryki, niedaleko wybrzeży Kamerunu.

83 Przełom nastąpił 18 lipca 1893 r., gdyż o tej dacie podróżnik wspomina kilkakrotnie, nie precyzując przy tym, co się wówczas wydarzyło. „Dopiero po obcieraniu zimnym wieczorem o 10-tej przypominało mi się, że to był 18 lipca. Co za data. [...] Co dwa lata uczyniły ze mną. Co będzie dalej?” – rozmyślał Rogoziński. Cytaty z dziennika Stefana Szolc-Rogozińskiego za: Hanna Szumańska-Grossowa, *Podróże Stefana Szolca-Rogozińskiego*, Warszawa 1967.

84 Ubezwłasnowolnienie kogoś było wówczas dużo łatwiejsze niż obecnie.

85 Maniusia Kossakowa – żona malarza Wojciecha Kossaka, matka Magdaleny Samozwaniec i Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.

86 Tyniec – prawobrzeżna dzielnica Kalisza, położona na północny wschód od Śródmieścia, nad Kanałem Bernardyńskim i Swędrnią, włączona do miasta w 1906 i 1934 r., do 1935 siedziba gminy Tyniec. Dzielnicę Kalisza jako osobną miejscowość w zlatynizowanej formie villa Thynecz wymieniono w łacińskim dokumencie z 1282 r. wydanym w Kaliszu i sygnowanym przez króla polskiego Przemysła II. W 1807 r. Napoleon Bonaparte nadał Tyniec Józefowi Zajączkowi. W 1813 r. w Tyńcu stoczono bitwę pod Kaliszem, w której oddziały saskie VII Korpusu Wielkiej Armii gen. Reyniera zostały rozbite przez rosyjski korpus gen. von Wintzingeroda, który zajął Kalisz. Pod koniec XIX wieku Tyniec miał 512 mieszkańców, a folwark 33 mieszkańców.

87 Miał on pomieścić 150 000 wiader spirytusu – po osiem rubli każde, a wódki po 4,5 rubla. Składy miały nie tylko przechowywać alkohol, ale i dystrybuować go do utworzonych przez państwo sklepów, których w Kaliszu miało być siedem. Sprzedaż alkoholu w lokalach i sklepach prywatnych mogła być prowadzona tylko za zezwoleniem.

Utworzenie nowej instytucji, która w dodatku miała filie we wszystkich większych miastach guberni, pociągnęła za sobą rozbudowę i tak już rozrośniętej administracji i obsługi. Miało to także swoje dobre strony, ponieważ w obu sąsiadujących ze sobą guberniach powstało w sumie czterysta nowych miejsc pracy. Pod budowę kaliskiego Zakładu Monopolowego władze wybrały plac na Tyńcu, zakupiony od miasta za cenę 7000 rubli, zapewne z powodu usytuowania w pobliżu dwóch gorzelni – Tykocinera (istniejący od 1867 r.) za mostem Warszawskim i Trąbczyńskich w Winiarach.

Uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego odbyło się 30 czerwca 1897 r. Impreza przebiegała hucznie i nie mogło na niej zabraknąć

czołowych osobistości guberni – rosyjskich urzędników i gubernatora Daragana. Ważnymi gośćmi byli także członkowie komisji budowlanej inżynierowie: Józef Chrzanowski, Władysław Stachlewski i Rosjanin Bykow. Po ceremonii w fundamencie schowano żeliwną szkatułkę ze stosownym dokumentem, sporządzonym po rosyjsku i zaczynającym się od sakramentalnej formułki: „Działo się to za panowania cesarza Mikołaja II...”, a zaraz potem udano się na „służbowe” śniadanie zorganizowane przez nadzorcę okręgowego monopolu, Przybyszowa. Ważne osobistości przeszły do „gustownie przystrojonego flagami i zielenią baraku”, podczas gdy dla szeregowych pracowników budowy ucztę przygotowano na świeżym powietrzu.

Wkrótce do Kalisza przybyła z Petersburga specjalna komisja, złożona z urzędników „do szczególnych poruczeń przy departamencie dochodów niestałych przy ministerium finansów”, co świadczyło o powadze, z jaką władze traktowały kwestię alkoholową. Komisja ta miała podać wytyczne dla kierujących pracami, które ukończono dopiero w grudniu 1897 r. 19 grudnia, w niedzielę, nastąpiło uroczyste oddanie zakładu do użytku.

Pierwotnie zabudowania tej instytucji składały się z trzech dużych murowanych budynków oraz zabudowań gospodarczych, między innymi szop i wozowni. W pierwszym budynku mieściły się magazyny, piwnice, rozlewnia oraz izba do korkowania butelek. Dla interesantów umieszczono tu kantor, a w razie wypadku na miejscu znajdowała się niewielka sala ambulatoryjna, czyli infirmeria. W drugim budynku umieszczono urządzenia do preparowania węgla potrzebnych do filtrowania spirytusu, a w trzecim znajdowało się mieszkanie zarządcy składu. Kompleks ów był bardzo nowoczesny – oprócz oświetlenia elektrycznego (zewnątrznego i wewnętrznego) cały obiekt ogrzewano za pomocą kaloryferów.

Za: *O kaliskim monopolu spirytusowym*, „Życie Kalisza”, <http://www.zyciekalisza.pl/?str=82&id=77435>.

88 Erystyka – sztuka doprowadzania sporów do korzystnego rozwiązania.

89 Magenta – nazwa purpurowego barwnika anilinowego wynalezionej w roku bitwy pod Magentą (1859).

Fuksja – intensywny kolor różowy, nazwa pochodzi od barwy kwiatów z rodziny wiesiołkowatych.

90 Ten enzym to katalaza, spełniająca rolę akceptora procesu redukcji wody utlenionej.

91 Ludwik Karol Teichmann-Stawłarski (1823–1895) – anatom i patolog, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

92 Pierwotny wzór współczesnych damskich torebek pojawił się na początku XIX w. Kroje ubrań były bardziej przylegające, w związku z czym nie było już możliwości umieszczenia pod spódnicą kieszeni na damskie drobiazgi. Wówczas wymyślono woreczki, sakiewki, zwane *ridicules* – śmiesznotki. W pierwszej połowie XIX w. torebki pełniły funkcję wyłącznie dekoracyjną, dopiero w II poł. XIX w. torebka stała się nieodłącznym atrybutem kobiety aktywnej.

93 Terrine – rodzaj pasztetu z ryb, mięsa albo warzyw. Potrawę tę przygotowuje się w kamionkowej formie, którą następnie należy umieścić w naczyniu z gorącą wodą i wstawić do piekarnika.

# Table of Contents

[Strona tytułowa](#)  
[Strona redakcyjna](#)  
[Dedykacja](#)  
[Rozdział 1](#)  
[Rozdział 2](#)  
[Rozdział 3](#)  
[Rozdział 4](#)  
[Rozdział 5](#)  
[Rozdział 6](#)  
[Rozdział 7](#)  
[Rozdział 8](#)  
[Rozdział 9](#)  
[Epilog](#)  
[Od autora](#)  
[Przypisy](#)